



Kłopot z  
**HENRYM,**  
problem z  
**ZOE**

ANDY JONES

autor bestsellerowej  
powieści *Dwoje do pary*

Świat Książki

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Część pierwsza

Henry. Pytanie, które odbiera mu sen

Zoe. Kotłowancko z zaskoczenia

Henry. Miejscowy materiał

Zoe. Szatkowanie palców

Henry. Kamienne schody nie skrzypią

Zoe. Był didżejem

Część druga

Henry. Cegła obwiązana wstążką

Zoe. Potrójna premia literowa za U

Henry. Odpowiedzią chyba jest miłość

Zoe. Wszędzie

Zoe. Klik

Henry. Gdyby ona mi się tak nie podobała

Zoe. Miła niezręczność

Maj

Henry. Wszyściutkie nowe

Zoe. Skompaktowana

Henry. Za moje grzechy

Zoe. Tylko ten wieczór

Henry. To wszystkich bajka

Czerwiec

Zoe. Zdecydowanie drugie miejsce na liście rankingowej

Henry. Nie powinniśmy

Zoe. Pobieramy się

Lipiec

Henry. Unosimy się?

Zoe. P jak palant

Henry. Całkiem białe

Zoe. Kicha do kwadratu

Henry. Kupa tego czegoś w tym czymś

Pik

Henry. Super

Henry. Jakby wdowa

Henry. Jakby dentysta

Zoe. Zrobił mi domek dla ptaków

Henry. Złap byka za rogi

Zoe. Helikopterowanie

Henry. Cicho, jak to na wsi

Zoe. Być może, być może

Henry. Jak daleko posunąć się w tej szczerości?

Zoe. Jednak coś się dzieje

Henry. Wymowne głuche stuknięcie

Zoe. Henry i ja

Henry. Poważniejszy problem

Zoe. Wiele rzeczy może się zdarzyć

Zoe. Różowa koperta

Henry. Doh je

Zoe. Krzykacze o wykrzywionych wściekłością twarzach

Henry. Ten balon ani drgnie

Sierpień

Zoe. Przecież nie rzuciłeś jej przed ołtarzem

Henry. To była głupota

Zoe. Ostatnia butelka szampana

Henry. Walka, której nie można wygrać

Zoe. Au revoir, 'enry

Henry. Liczy się element zaskoczenia

Zoe. Muszę kogoś odnaleźć

Henry. Podróżnik w czasie

Zoe. Wielki romantyczny gest

Henry. Skomplikowana historia

Zoe. Rano najpewniej cię zabiję

Henry. Dużo pocztówek

Wrzesień

Henry. Coś znalazłem

Zoe. To, co się nigdy nie zdarzyło, jest już zamkniętą sprawą

Henry. Żeby cię mogła namierzyć

Zoe. Wygrawerowane imię

Henry. Wszystko oprócz Zoe

Zoe. Niezakreślone kratki

Henry. Nigdy nie obejrzelśmy razem Casablanki

Część trzecia

Epilog

Podziękowania

ANDY JONES

Kłopot z  
**HENRYM,**  
problem z  
**ZOE**

Z angielskiego przełożyła  
ANNA ZIELIŃSKA

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Tytuł oryginału  
THE TROUBLE WITH HENRY AND ZOE

Wydawca  
*Grażyna Woźniak*

Redaktor prowadzący  
*Katarzyna Krawczyk*

Redakcja  
*Elżbieta Kobusińska*

Korekta  
*Katarzyna Bielawska-Drzewek*  
*Irena Kulczycka*

© Andy Jones, 2016  
Copyright © for the Polish translation by Anna Zielińska, 2018

Świat Książki  
Warszawa 2018

Wydawnictwo Świat Książki  
02-103 Warszawa, ul. Hankiewiczza 2

Księgarnia internetowa: [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)

Skład i łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Dystrybucja  
Firma Księgarska Olesiejuk  
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
tel. 227213000  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej: [pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

*Dla Sarah  
żeby mi wskazała, gdzie jest coś dobrego*

# Część pierwsza



# Henry

## *Pytanie, które odbiera mu sen*

Pytanie, które odbiera mu sen...

Co gorsze: wziąć ślub z niewłaściwą kobietą czy złamać jej serce na oczach stu dwudziestu ośmiu gości?

A może to odpowiedź nie pozwala mu zasnąć?

Tak czy owak, już za późno. Sprawdza czas w telefonie – 2.48 nad ranem; do chwili, gdy wypowie sakramentalne „tak”, zostało niecałe dziesięć godzin. Porobią mu się wory pod oczyma, myśli, no i matka – miejscowa fryzjerka i domorosła kosmetyczka – na pewno nie będzie zachwycona. Od sześciu tygodni w każdą niedzielę cierpliwie poddawał się jej bezwzględnym zabiegom pielęgnacyjnym, a teraz ta cała robota pójdzie na marne.

W tamtych tygodniach po oświadczeniach Henry zrezygnował z pracy w jednym z pięciu największych miast Zjednoczonego Królestwa i wrócił na głęboką prowincję dzieciństwa. Otworzył praktykę stomatologiczną i zamieszkał w swoim dawnym pokoju nad pubem rodziców. W ubiegłą niedzielę matka nałożyła mu ostatnią, „wygładzającą” maseczkę.

– Aż dziw, że się nie spedalił – rzuca ojciec, który wypełnia sobą futrynę drzwi do salonu i wygląda niczym podupadłe bożyszczce kobiet ze starych filmów: muskularne ramiona splecione nad wydatnym brzuchem, wyraziste, nadal błyszczące oczy w zmęczonej twarzy, przerzedzone, lecz ciągle czarne, uczesane na Presleya włosy ze starannie wymodelowanym czubem.

– Po co przyszedłeś? – naskakuje na niego matka, rozprawdzając zieloną papkę na twarzy Henry’ego.

– Muszę do kibelka.

– Jezu – wzdycha. – Dzięki za informację.

– Pytałaś.

– A męska toaleta na dole?

– Już ci mówiłem, zimno tam jak w psiarni.

– Bo nie naprawiłeś okna.

– Powiedziałem, że to załatwię.

– No, powiedziałeś i palcem nie kiwnąłeś, stara śpiewka.

Ojciec rozplata ramiona i zbywa jej uwagę machnięciem ręki. Ten były bokser i lokalny celebryta z miejsca, gdzie stoi, nie widzi ekranu wyciszonego telewizora, na którym Clark Gable właśnie podnosi kieliszek z cocktailem. Henry obserwuje, jak gniewny grymas na twarzy matki zastępuje rezygnacja, gdy wodzi spojrzeniem z ojca na ekran i z powrotem.

Henry siedzi z głową odchyloną na oparciu wytartej kanapy.

– Zajmę się tymi beczkami, jak tylko się to skończy – obiecuje ojcu spod sztywniejszej maski.

– Jeszcze sobie złamiesz paznokietek – mruczy ojciec.

– Zostaw go w spokoju – odwarkuje matka.

– Zostawię, jak ty go zostawisz.

Ojciec kręci głową i znika w korytarzu. Matka wygładza glinę na grzbiecie nosa Henry'ego i wzdycha.

– Twój biedny nos – mówi. – Biedny, biedny nosek.

Henry (dostał to imię po brytyjskim bokserze wagi ciężkiej, któremu udało się rzucić na deski Muhammada Alego) wie, że po jego narodzinach matka dwukrotnie poroniła, zanim pogodziła się z myślą, że nie będzie mieć córki. To on siadywał obok mamy na tej samej wysłużonej kanapie w miejscu nieziszczonej dziewczynki (miała nosić imiona Priscilla Agatha) i oglądał z nią *Stąd do wieczności*, *Garsonierę*, *Dziewczynę Piętaszka* i mnóstwo innych filmów.

– Zrobisz z niego mięczaka – wytykał matce ojciec.

– Uczę go, jak być prawdziwym mężczyzną – kontrowała Sheila.

I tak: ojciec ciągał Henry'ego do klubu bokserkiego, a matka sadzała go przed telewizorem, i żadne z rodziców nie było gotowe wybaczyć temu drugiemu szkód wyrządzonych synowi – złamanego nosa, przeciętego łuku brwiowego, babskiego gustu filmowego. Czasami wzajemne pretensje wylewały się podczas rutynowych sprzeczek, a czasem (matka podchmielona, ojciec po odpowiedniej liczbie drinków w pustym już barze) eskalowały do potwornych awantur.

Widział tamte zdjęcia: Clive Smith, zwany Duże Buty, męski i pewny siebie obejmuje w pasie dziewczynę. Są dla siebie stworzeni, mawiali ludzie. To prawda, zupełnie jakby oboje zostali zaprojektowani przez tego samego wytwórcę zabawek – wystrugał ich sztywnych i kruchych, bez ruchomych części.

Idealnie dobrana para.

O Henrym i April wszyscy mówią to samo. Wyglądają jak cukrowe figurki nowożeńców na trzypiętrowym weselnym torcie. On i April się nie kłócą. Owszem, zdarza im się miewać odmienne zdanie i czasem się posprzeczają, ale rzadko dochodzi między nimi do większych spięć. A już na pewno daleko im do awantur, jakie urządza jego rodzice.

No właśnie, czy brak kłótni to dostateczny powód, żeby brać ślub?

Przyszły pan młody wierci się w łóżku – niewygodnym, wąskim łóżku w zamku zaadaptowanym na dom weselny, gdzie niedługo odbędzie się przyjęcie ślubne. Mieszkają niecałe pięć mil od tego miejsca, ale April uparła się, że impreza ma być w zamku, a tatuś niczego nie odmówi swojej księżniczce. Czternastowieczna budowla, przeznaczona na wesela, konferencje, wyjazdowe imprezy korporacyjne, ma dwa skrzydła; rodzina panny młodej ulokowała się w jednym, pana młodego w drugim. Wszystko tak urządzone, aby przypadkiem oba klany nie spotkały się przed wielkim wydarzeniem.

Co za pomysł.

Henry w kółko zadaje sobie to samo pytanie. Czy powinieneś wziąć ślub z kimś,

kogo lubisz? Z piękną dziewczyną, którą znasz od czternastego roku życia i która ciebie kocha... czy powinieneś się żenić, skoro serce i trzewia mówią ci, że jej nie kochasz? Przynajmniej nie tak, jak w filmach. Jak Rhett kochał Scarlett w *Przeminęło z wiatrem* czy Rick Ilsa w *Casablance*. Tak, miłość istnieje, ale czy osiąga apogeum? Czy jest absolutem? Czy można kochać bardzo albo tylko trochę? No i na jak długo takie trochę wystarcza – na pięć, dziesięć lat?

Czy powinieneś się z nią ożenić, bo jesteście blisko ze sobą od (mniej więcej) dwunastu lat, bo narzeczona stanowi substytut córki, której twoja matka się nie doczekała, bo obcina włosy w jej salonie fryzjerskim, bo ojciec tej dziewczyny buduje wam dom, w którym macie się zestarzeć i umrzeć? Czy powinieneś z uśmiechem przyrzec: „na dobre i na złe”, gdy czujesz, że ta druga opcja wydaje się bardziej prawdopodobna? Czy powinieneś unieść welon, pocałować pannę młodą w ponętne usta i szepnąć (oczywiście, na tyle głośno, aby cały kościół usłyszał): „Bardzo cię kocham”? Nawet jeśli nie kochasz – przynajmniej nie tak jak Ben kochał Elaine, Calvin Fran czy Walter Hildę. Czy należy tak postąpić, bo wiesz, że wszyscy we wsi cię znają i inne zachowanie nie wchodzi w grę?

Henry, dlaczego teraz? – zastanawia się. Cały ostatni rok to była jedna wielka lawina wycinków z czasopism, próbek materiałów i list spraw do załatwienia. Od trzech miesięcy April ogląda telewizję i robi herbatę, zamiast w papciach, w czółenkach w odcieniu kości słoniowej i sześciocalowymi szpilami wygniata dołki w wykładzinie w domu swojej matki, bo chce rozchodzić te pantofle przed czekającym ją krótkim spacerem nawą i całonocnymi tańcami. Na myśl o tym Henry niemal wybucha śmiechem, choć w problemie, który rozważa, nie ma nic zabawnego.

A co dokładnie chodzi mu po głowie? Może by tak po śniadaniu zapukać do drzwi April, zapytać ją, jak spała, i palnąć: – Słuchaj, tak sobie myślę...

Nie, wykluczone. Nie ma mowy, nie widzi siebie, jak mówi narzeczonej, że właściwie, po zastanowieniu, uważa, iż na dobrą sprawę, patrząc perspektywicznie, oboje będą szczęśliwsi, jeżeli odwołają tę całą imprezę.

Nie pierwszy raz nachodzi go ta czarna myśl. Ona go nęka od miesięcy. Przed dwoma tygodniami leczył kanałowo ząb pani Griffiths i kiedy ona leżała z palcami splecionymi pod biustem, światło lampy stomatologicznej odbiło się w pierścionku zaręczynowym. Kamień zamigotał, a on pomyślał: „To nie to, czego chcę”. I wtedy umysł podsunął mu scenariusz zbyt straszny, aby mógł się do niego świadomie przyznać. April ucięłaby to jednym „nie”. Gdyby jej powiedział, że się waha, nie przyjęłaby tego do wiadomości. Usłyszałby, że jest głuptaskiem; że wątpliwości w tej sytuacji to normalna rzecz; że są dla siebie stworzeni. A może na jego wyznanie zareagowałyby histerycznym szlochom i obudziła druhny i rodziców. Wyrwała ze snu despotycznego ojca i nieco szurniętego brata. Czy Henry naprawdę sobie wyobraża, że oni pozwoliliby mu tak po prostu się zmyć?

Kiedy studiował na uniwersytecie, ludzie pytali: „Skąd jesteś?”. Odpowiadał, wzdychając w duchu, bo rozmówcy nieodmiennie kręcili głowami. Owszem, znali z grubsza te okolice; może nawet odwiedzili któreś z setek miasteczek i wsi

tworzących ten upstrzony punkcikami zielony dywan w centralnej Anglii, ale nikt z nich nie trafił do wioski, gdzie Henry chodził do szkoły, po raz pierwszy wdał się w bójkę, po raz pierwszy całował się z dziewczyną. Wieś jest taka mała, że nawet jeśli kogoś nie znasz, zawsze znajdzie się ktoś, kto tego kogoś zna. W społeczności liczącej niecałe dwa tysiące ludzi, nikt nie rozwodzi się tak, aby ktoś o tym nie usłyszał. Czyja córka się puszcza, czyj syn bierze narkotyki, czyj pies wali kupy na chodniku – wszyscy to wiedzą. Kup nowe buty; już tego samego dnia ktoś o tym napomknie wieczorem przy kolacji. Zostaw narzeczoną przed ołtarzem...

Niewyobrażalne.

Pomiędzy ósmą a dziewiątą grupa panny młodej zejdzie na śniadanie do pomieszczenia przy kuchni; o dziewiątej trzydzieści, ani minuty wcześniej, pan młody i jego goście zrobią to samo. Potem Henry będzie miał dwie godziny na ogolenie się, wpięcie spinek w mankiety i punktualne dotarcie do kościoła – trzy minuty jazdy za mniej więcej sześćset funtów wynajętymi zabytkowymi samochodami. Po mszy goście weselni wrócą do zamku na jedzenie, picie, przemowy, tańce, a państwo młodzi będą żyli długo i szczęśliwie. Ja i April będziemy spać razem w łóżku z kolumnkami, kochać się, a obudzimy się jako państwo Smithowie. Po śniadaniu April podpisze się w księdze gości (zamaszyste, przechylone w lewo litery: „S” przeplecione przez poprzeczkę „A”). Dopieszczą ten podpis od trzech tygodni. Na koniec kilka fotografii, objęcia, uściski dłoni, łzy, „opiekuj się moją dziewczynką” i w drogę na lotnisko. Dwa tygodnie kolorowych cocktaili i lenistwa nad basenem, może jakaś wycieczka po okolicy i wieczór w modnym klubie. Na pożegnanie butelka szampana wypita na plaży o zachodzie słońca i powrót do klocka z cegły, który wybudował dla nich (teraz już) teść Henry’ego.

April, być może dlatego, że jej wybraniec jest syn właściciela pubu, woli stare piosenki i tradycyjne melodie. Kiedy oboje byli za młodzi, żeby pić w pubie, Duże Buty dawał im garść drobniaków na szafę grającą. Ulubiona piosenka April to *Sweet Home Alabama*. Przejście z domu rodziców April do siedziby młodej pary zajmuje tyle samo czasu co odśpiewanie tego przeboju we właściwym tempie od wstępnych riffów po końcowy akord, z uwzględnieniem gitarowych solówek. Z grubsza biorąc, pięć minut.

Ich gniazdko składa się z dwóch sypialni i pokoju dziecięcego.

– Albo gabinetu – zauważył Henry.

– Gabinetu, do czego? – zdziwiła się April. – To pokój dziecięcy. Nie chcesz mieć dzieci?

– Oczywiście, że chcę, ale niekoniecznie tak od razu.

– Jesteśmy ze sobą od dwunastu lat. To pokój dziecięcy.

I koniec dyskusji. Kuchnia jest nowa, jeszcze nieużywana, nowe są łóżka, stoły, krzesła i telewizor. Wszystko stoi na swoim miejscu nieruszane i zbiera kurz.

April zrobiła listę ślubnych prezentów: pościel, garnki, noże, szlafroki dla niego i dla niej. Henry chciał staromodny adapter, April wybrała głośnik

beprzewodowy. Odpuścił, nie kwestionuje potrzeby narzeczonej do panowania w gospodarstwie domowym. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. April jest zabawna, wysportowana i śliczna. Raz na tydzień odwiedza babcię w domu spokojnej starości, zawozi jej kwiaty, zna imiona wszystkich mieszkańców i z powagą wysłuchuje ich pokręconych historii. W każdą niedzielę maluje swojej matce paznokcie u nóg, a ojcu co rano parzy cały termos kawy. Do taty Henry'ego zwraca się jego bokerską ksywą z dawnych czasów i dla żartu kuksa go w brzuch. Poza tym na co dzień pracuje w salonie fryzjerskim jego matki. Obie razem jeżdżą pociągiem do miasta i w centrum handlowym kupują sobie ciuchy. Czasem April bierze zmianę w pubie i zawsze pierwsza zgłasza się do karaoke. No i wyprowadza na spacer psa sąsiadów. Jeżeli potrzebujesz, aby ktoś nakarmił rybki, kiedy będziesz na wakacjach, poproś najładniejszą, najmiłą, najśladszą dziewczynę we wsi. Komu przeszkadza, że ona chce mieć monogramy na poduszkach? W prezencie zaręczynowym dostali od ojca April cegłę obwiązaną różową wstążką. Stoi teraz na kominku w ich przyszłym domu z dwoma sypialniami i z pokojem dziecięcym.

Rodzice Henry'ego kupili im serwis obiadowy z białej porcelany z niebieskim szlaczkiem na dwanaście osób.

– On buduje dom, my dajemy talerze – podsumowała matka takim tonem, jakby to była wina jej męża.

– Co niby w związku z tym mam zrobić?

– Nie spodziewam się, że cokolwiek zrobisz – zaśmiała się Sheila Smith.

Koszty wesela są powszechnie znane. Kwiaty, jedzenie, zespół, suknia, samochody i cała reszta to siedemnaście tysięcy sześćset czterdzieści sześć funtów. Wszystko pokrył ojciec April. Dom jest wart dziesięć razy więcej.

Henry byłby zadowolony, gdyby dostał toster. Bardziej zadowolony.

– Sami możemy kupić sobie dom – oświadczył, kiedy po raz pierwszy wypłynął tamten temat. – W końcu jestem dentystą.

– A mój tata jest budowlańcem. Każdy robi swoje.

Żadnych krzyków, ciskania przedmiotami, raniących słów. Już trzy tygodnie później oglądali projekt.

– Może byśmy się gdzieś przenieśli – zasugerował Henry.

April, kiedy się dąsa, marszczy nos, jakby coś jej pod nim brzydko pachniało.

– Mamy się przenieść? Niby dokąd?

– Nie wiem, nieważne. Do Chester, Liverpoolu, gdziekolwiek.

– Gdziekolwiek? Skarbie, dlaczego mielibyśmy mieszkać gdziekolwiek? Przecież żyjemy w najlepszym miejscu na świecie.

Miejscowa mantra. Henry'ego uderza myśl, że ludzie, którzy tak twierdzą, zazwyczaj niewiele tego świata widzieli.

– To może Manchester? – próbuje dalej. – Zachwyciłyby cię sklepy w Manchesterze. Wszystko na wyciągnięcie ręki.

– Tam pada.

– Tu też.

April całuje go, ujmując w dłoń jego twarz.

– Hej! – rzuca. – Myślałam, że już ci przeszło.

– Ja tylko... – urywa z westchnieniem.

– Nic dziwnego, że się denerwujesz – tłumaczy April. – To poważny krok. Zostaniemy rodziną, będziemy mieli dzieci i wychowamy je w najlepszym miejscu na świecie. Psy, spacer, rodzina. – Pieczętuje wypowiedź przedłużonym pocałunkiem.

Jaka ona piękna.

– Mój ty przystojniaku – mówi April i jeszcze raz go całuje.

Wskazówki zegara tykają w zamkowej ciszy i pokazują trzecią nad ranem. Henry wysuwa nogi spod pledu. Jest zimno, nakłada więc skarpetki, dzinsy i podkoszulek. Tylko dlatego, że zimno.

Podchodzi do okna, rozsuwa ciężkie, welurowe story i wygląda na dziedziniec. Duży, nisko zawieszony księżyc rzuca dość światła, by wydobyć z mroku zarys drzew i odległych szczytów. „Schodzą ku dolinie”, tak mówią ludzie o wzgórzach, lecz według Henry’ego one drepczą w miejscu, narzekając, że nie mogą się ruszyć.

## Zoe

### *Kotłowanko z zaskoczenia*

Zoe myśli, że chyba powinna już wstać. W kuchni czeka zlew pełen naczyń, czas odkurzyć wykładzinę, przydałoby się posprzątać w łazience. Jednak odczuwa zmęczenie i miłe ciepło, delektuje się ustępującą falą podniecenia po niespodziewanym seksie w ten sobotni poranek. Alex jest skowronkiem, ona sową i ostatnio jakoś tak się składa, że kiedy jedno z nich jest w nastroju, to drugie prawie śpi. Zoe usiłuje sobie przypomnieć, kiedy, nie licząc tego ranka, ostatnio się kochali. Mieszkają razem od dziewięciu miesięcy, byłaby zdziwiona, gdyby jej wyszło, że w ostatnich trzech wprawili w ruch sprężyny łóżka nie więcej niż sześć razy. Tymczasem dziś rano Alex wykazał inicjatywę i kiedy Zoe mruknęła, że chce jej się spać, cmoknął ją w ucho i wyszeptał: – Możesz nie otwierać oczu. – Tym ją rozbroił. Jego oddech łaskotał jej ucho, a ręka wsunięta pod T-shirt pobudziła zakończenia nerwowe nieco niżej. To było miłe.

Trochę szybko się uwinął, stwierdza, myśląc o tym teraz, ale było... miło. Wziął ją – nazywa to „lewarkiem” – podsuwając ramię pod jej lewą nogę. Normalnie Zoe nie przepada za tymi wygibasami (po pierwsze czuje się trochę głupio, a po drugie nie jest taka wygimnastykowana, no i może ją złapać skurcz w udzie), ale dziś Alex postępował bardzo delikatnie i chyba... nie bardzo wiedziała, jak to ująć... rozmyślnie się starał. Przynajmniej nie próbował założyć jej blokady; ostatnim razem, kiedy przyszło mu to do głowy, musiała wcisnąć twarz w poduszkę, żeby stłumić śmiech. Nie, tego ranka było sympatycznie, a później, po stosownej porcji pieszczot i czułości, Alex zerwał się na równe nogi i oznajmił, że poleci zrobić zakupy.

– A ty sobie pośpij – powiedział. – Podam ci śniadanie do łóżka.

Kto odrzuciłby taką propozycję?

Seks, дума Zoe. Fajna sprawa, ale nie należy poświęcać mu zbyt wiele uwagi. Bo jak się zastanowić, to czy wszystko nie jest trochę głupawe? Zna rutynę Ala niemal na pamięć. Wędrówka rąk, ust, palców po jej ciele. Jak pilot szykujący się do startu...

Jakaś część jej istoty podpowiada, że gdy przesadnie przypatrujesz się jakiejś rzeczy czy osobie, niewielkie wady wykrzywiają całościowy obraz. Jak z tymi ścianami, myśli.

W pokoju jest wystarczająco jasno, aby mogła wskazać miejsca, gdzie niechlujne plamy ciemniejszej farby przebijają przez dwie warstwy Porannej Mgły. Alex twierdzi, że nic takiego nie widzi; mówi, że ona to sobie wyobraża. Jest przy tym taki przekonujący, iż Zoe zaczyna się zastanawiać, czy on przypadkiem

nie ma racji. Skup się na jasnych stronach, nakazuje sobie.

A jakie są te jasne strony? Alex jest przystojny, wyluzowany, ma apetyczne (choć już nie takie jędrne) ciało jak wtedy, gdy się poznali, i jest dobry (...a może tylko w porządku?) w łóżku.

Spała z jedenastoma facetami. Miała sześciu boyfriendów i kilka przelotnych przygód od jednej do paru nocy. Nigdy nie próbowała sklasyfikować swoich partnerów pod względem sprawności seksualnej, lecz wiedziała, kto znalazłby się na czele listy. Otwierałby ją Ken Coleman, student trzeciego roku matematyki, z którym chodziła przez dwa semestry na drugim roku. Któraś z dziewczyn – najpewniej Vicky – nadała mu ksywę „Ken Wood”. Najgorszy był tamten głupek Jacob Kentish z filozofii (mały penis, przykry oddech, śmieszne odgłosy). Kiedy mózg Zoe zaczyna automatycznie układać ranking, ona świadomie się przed tym wzbrania – a co, jeśli Alex wyląduje w niewłaściwej połowie grupy? Nawet jeśli tak, Zoe zdecydowanie nie zamierza przyjąć tego do wiadomości. Mają teraz wspólną hipotekę – nowoczesny odpowiednik małżeństwa – lepiej więc nie bawić się w takie pensjonarskie porównania. Alex jest dobrym kochankiem: przeważnie uważnym, przeważnie czystym i przeważnie doprowadza ją do miłego, niewielkiego orgazmu. Wprawdzie nie ma mowy o nieprzytomnym, dzikim, ekstatycznym szczytowaniu jak z Kenem, ale cóż...

Chociaż – i to coś nowego – jakiś tydzień przed terminem okresu dopadła ją chcica – inaczej tego nazwać się nie da – na seks. Nie na kochanie się, ale na pierwotny, ostry seks. Zastanawia się teraz, czy przypadkiem jej zegar biologiczny nie zaczyna wysyłać sygnałów. Chyba trochę za wcześnie, bo do trzydziestki brakuje jej jedenastu miesięcy. Może ma to jakiś związek z zakupem domu; uwili z Alexem gniazdko. Kto powiedział o tym moim cholernym jajnikom, wkurza się.

Łapie się na tym, że właśnie wstrzymuje oddech – ten nawyk pojawił się u niej gdzieś w ubiegłym roku. Coś takiego przytrafia jej się kilka razy w ciągu dnia – siedzi przy biurku albo leży w łóżku z uniesioną klatką piersiową i z powietrzem uwięzionym w płucach. To krzepiące, a jednocześnie nieco dziwne wrażenie, że musi sobie przypominać... oddychać. Pewnie stres daje o sobie znać.

Czy myśl o macierzyństwie jest naprawdę aż tak stresująca? A może tak działa na nią świadomość, że dziecko będzie miała z Alexem? Odsuwa od siebie te rozważania. Wypuszcza powietrze z płuc... bierze oddech.

W jasnym październikowym słońcu Zoe myśli o tym, jaki czuły był dziś Alex, i nakazuje sobie żyć terażniejszością. Otwiera szufladę w nocnym stoliku, wyjmuje listek pigułek antykoncepcyjnych. Wyłuskuje jedną na dłoń i połyka bez popijania.

Kiedy ponownie się budzi, chce jej się siusiu. W domu jest zimno, a ona już zdążyła ochłonąć po niespodziewanych miłosnych igraszkach. Kafelki w łazience pod bosymi stopami będą jak zamarznęte jezioro, otula się więc szczelnie kołdrą, żeby ratować resztki ciepła. Do Bożego Narodzenia zostały niecałe dwa miesiące, może powinni na Gwiazdkę kupić sobie z Alexem papcie – tani, praktyczny



prezent...

– Boże drogi – mówi na głos – robię się jak moja matka.

Niemniej papcie by się przydały.

Jeżeli skupi się na czymś innym niż pęcherz, myśli, może uda jej się poleżeć jeszcze z dziesięć minut. No, choćby pięć. Bojler najwyraźniej postanowił znowu zastrajkować. Wymaga wymiany, ale z forszą krucho, wpływy są niewielkie; będą musieli trzymać sine kciuki za to, żeby baniak przetrwał jeszcze tę zimę, zanim całkiem odmówi posłuszeństwa albo wybuchnie.

Wybór, paskudne słowo, myśli, czując parcie na pęcherz. Spogląda na zegar – 10.15 – i zastanawia się, jak długo drzemała. Dziesięć minut? Godzinę? Nasłuchuje – w domu cisza – żadnej krzątaniny w kuchni czy szumu wody w czajniku. Woła Alexa, ale nie dostaje odpowiedzi. W takim razie nie mogła długo spać. Odrzuca kołdrę i idzie na palcach do łazienki. Kiedy siusia, machając nogami, dostrzega na kafelkach wzór z wyschniętych kropli. Czemu mężczyźni mają problem z trafianiem do muszli, zastanawia się. A może uogólnia? Przed Alexem nie mieszkała z żadnym facetem, nie ma z kim go porównać. Hmm, poza ojcem, ale rodzice mieli osobną łazienkę przy swojej sypialni i dwa razy na tydzień przychodziła sprzątaczką. Może tylko Alex ma taki rozrzut. Muszla wcale nie jest mała; w tej łazience słoń spokojnie by się wysusiał bez opryskiwania krawędzi muszli i kafelków. Uśmiecha się, bo widzi w wyobraźni słonia siusiającego w łazience. To byłby niezły pomysł na książeczkę obrazkową dla dzieci. Może w poniedziałek podsunie go swojej szefowej, sprawdzi, czy któryś z ich autorów by go nie wykorzystał. A może sama się tym zajmie – w końcu czy to tak trudno napisać osiemset słów o wyczynach zwierząt w łazience? Zatytułowałyby tę książeczkę: *ZOO na wesoło*. Spróbuje w weekend wygospodarować godzinę czy dwie, żeby to przemyśleć.

Wyciera podłogę wilgotną chusteczką higieniczną i zanim spuści wodę, wrzuca ją do muszli. Kiedy patrzy na swoje odbicie w lustrze nad umywalką (kapki pasty do zębów jak przymarzniałe płatki śniegu), widzi swoją skrzywioną minę. Ta zmarszczka między ściągniętymi brwiami może na zawsze pozostać, jeżeli nie będzie się kontrolować.

– Co teraz? – rzuca pytanie swojemu odbiciu.

Ma trzy możliwości: może umyć lustro, wziąć prysznic albo wrócić do łóżka.

Twarz w lustrze robi minę. Pogięło cię?

– Pytam cię, nie? To odpowiedz.

Wracaj do łóżka i niech ten twój facet poda ci śniadanie. Dobrze wiesz, że nie masz co liczyć na jego pomoc przy sprzątaniu.

– Szczera prawda – przyznaje Zoe.

Wiem, przytakuje odbicie.

W drodze do sypialni natrafia stopą na obluzowaną deskę w korytarzu i czuje, jak rośnie jej gula. Dwa tygodnie wcześniej nadepnęła na wystający gwóźdź i rozdarła nowe rajstopy za dwanaście funtów. Drugi raz coś takiego jej się przytrafiło, spróbowała więc wyciągnąć ten gwóźdź nożyczkami, oczywiście wiedząc, że się do tego nie nadają, ale odpowiednie narzędzia leżą gdzieś w ich

małej, zagraconej komórcie, a na dworze akurat padało. Alex, zamiast przyjąć z czułym rozbawieniem ten kobiecy sposób radzenia sobie z kłopotami, ochrzanił ją za zniszczenie nożyczek i pouczył, żeby zwracała się do niego, jeżeli coś wymaga naprawy. Szybko ją potem przeprosił, ale poczuła się bardzo dotknięta tym wybuchem złości. A do dziś nie zajął się cholerną podłogą. I wcale nie chodzi o tę jedną deskę; druga rusza się w pokoju gościnnym, a trzecia w jadalni pod stołem. Zoe ma ochotę wziąć młotek i sama się tym zająć, ale boi się, że dojdzie do kolejnej kłótni. I właśnie ta świadomość, że we własnym korytarzu odczuwa coś w rodzaju obawy, bardziej ją wkurza od ruchomej deski.

Teraz zbyt poruszona, żeby zasnąć, rozsuwa zasłony w sypialni i wygląda przez okno na rząd ogródków stłoczonych jeden przy drugim na tyłach szeregowych domów. Zapowiada się piękny dzień, mogliby pojechać na rowerach nad Tamizę i sączyć sobie wino, obserwować wioślarzy sunących po rzece. Rowery zostały wciśnięte do pełnego pajęczyn składziku i przywalone kartonami, na których balansują puszki po farbach. Wyciągnięcie ich stamtąd kosztowałoby sporo wysiłku, choć Zoe uważa, że przejażdżka pod wieloma względami dobrze by im zrobiła.

Kiedy wprowadzili się do tego domu, wszystko wymagało naprawy, od wymiany wykładzin i tapet po remont kuchni i łazienki. Dosłownie wszystko. Zaliczka, opłata skarbowa, notariusz, niezbędne sprzęty oraz podstawowe meble z Ikei wyczyściły ich konta bankowe. Z okazji przeprowadzki dostali kwiaty i szampan i choć może to zabrzmia gburowato, Zoe wolałaby dostać równowartość tych pięciuset funtów w talonach do sieci sklepów Johna Lewisa. Przynajmniej kupiliby sobie jakieś ładne kieliszki i nową kołatkę do drzwi.

W zeszłym miesiącu zaproponowała, żeby przynajmniej w celu zaspokojenia najpilniejszych potrzeb skorzystali z karty kredytowej, lecz Alex się nie zgodził.

– Nie ma mowy, Zoe – uciął zdecydowanie.

Na ten ostry ton – zapewne element kontroli – jej żołądek zareagował nerwowym skurczem.

– Spłata nie wygląda źle – powiedziała, ścisząc głos.

– To się tylko tak wydaje, Zo. Właśnie przez takie sprawy ludzie wpieprzają się w długi. To pierdzielona pułapka.

Raziły ją te: „wpieprzają się”, „pierdzielona”, jednak zmusiła się do szukania rzeczowych argumentów.

– Alex, nasze pensje będą rosnać.

– Mówisz o mojej? – Usadził ją spojrzeniem, odbierając chęć do dalszej dyskusji.

Cios poniżej pasa, pomyślała, hardo patrząc mu w twarz. Oddychała przez nos, bo mocno zaciskała szczęki. Nawet gorzej, to zdrada. Kto ją namawiał do rezygnacji z dobrze płatnej pracy?

– W porządku – odezwała się. – Wezmę to na klatę. Załatwię kartę kredytową.

– Nie – warknął Alex. – Nie załatwisz. Razem w tym tkwimy, Zo.

– Więc razem coś ustalmy.

– Nie ma co ustalać. Poza tym jestem spóźniony.

I tyle. Poszedł pograć w nogę. W tej samej chwili, kiedy zamknął za sobą

frontowe drzwi – nie trzasnął nimi, tylko pchnął je energiczniej niż to konieczne – Zoe chwyciła za luźny narożnik tapety i szarpnęła. Pierwszy pas puścił bez problemu, drugi trzymał się ściany sypialni tak uparcie jak złe myśli wzburzonego umysłu. Gdy złamała już drugi paznokieć, zeszła na parter po skrobaczkę do ryb, ostry nóż, gąbkę i miskę wody z detergentem. Trzy godziny później podłoga zrobiła się śliska jak pokład statku na wzburzonym morzu, a ona dorobiła się dwóch kolejnych złamanych paznokci i bolesnego pęcherza we wnętrzu dłoni. Najwyraźniej u tego kogoś, kto kładł tę tapetę, talenty remontowe rekompensowały tandetny gust. Jak dotąd udało jej się usunąć cztery pasy ohydnych tureckich mazajów. Osiem pozostało i Zoe po raz pierwszy od chwili, kiedy tu zamieszkali, była zadowolona, że sypialnia jest mała. Szacując, że dokończenie dzieła zajmie kolejnych sześć godzin, wskoczyła pod prysznic, a potem ruszyła w miasto wydać nieco pieniędzy, których nie mieli.

Zanim wróciła, zdążył zapaść zmrok. Drżącą z poczucia winy dłonią wsunęła klucz w zamek frontowych drzwi. Przełożyła zakupy (w tym buty oraz dżinsy, których nie potrzebowała) za dwieście funtów (których nie miała) do torby z najmniej ekskluzywnego sklepu. Zapewne i tak nie uniknie inkwizycji. Chyłkiem wsunęła się do salonu i z ulgą stwierdziła, że Alex śpi na kanapie; na wpół wypita butelka piwa stała niebezpiecznie blisko stóp, w telewizji leciał jakiś stary wojenny film. Omijając skrzypiące deski, weszła na palcach na piętro, czym prędzej przełożyła zakupy do szafy, a poskładaną torbę wepchnęła pod stertę butów.

Dopiero kiedy zamknęła szafę, zwróciła uwagę na ściany. Wszystkie cztery dokładnie oskrobane do gołego tynku. Śmieci wyniesione, podłoga zamieciona i umyta mopem, nawet łóżko posłane, a poduszki, tak jak lubiła, ułożone na kołdrze.

– Niespodzianka – odezwał się cichy głos za jej lewym ramieniem.

Wspominając to teraz, jest zła na siebie za swoją małostkowość; za to, że pozwala, aby złe rzeczy przesłaniały dobre. Przykłada dłoń do ściany i przesuwa nią w miejscu, gdzie według Alexa przez ostatnią warstwę farby wcale nie przebija ta wcześniejsza.

Następnego dnia po tym, jak Alex pozrywał tapety, pojechali do B&Q po pędzle i mini puszki z próbkami farb. On wybrał Świeżą Szałwię, Oberżynowe Marzenie i – według Zoe – Duszący Błękit, a ją kusiło, żeby go spytać, czy przypadkiem się nie wygłupia, lecz najwyraźniej mówił poważnie. Nie chciała swojemu mężczyźnie zepsuć humoru po szarmanckim i romantycznym geście z poprzedniego dnia i dlatego pozwoliła mu wypróbować owe odcienie kolejnych etapów sińców, a sama zdecydowała się na Zimny Kamień, Poranną Mglę i Kryształową Biel.

Oboje, przebrani we wzgardzone dżinsy i w wyciągnięte z niebytu podkoszulki, nakładali próbki na ścianę. Zoe ograniczyła się do schludnych maźnięć w kącie poniżej poziomu wzroku, tymczasem Alex upstrzył całą ścianę bijącymi po oczach oberżynowymi sercami. Wiedziała, że stara się zmienić to testowanie w odjechaną, romantyczną zabawę, ale tak naprawdę robił tylko bałagan.

– Może maluj w mniej widocznych miejscach, na wypadek gdybyśmy się zdecydowali na jakiś jaśniejszy kolor – zasugerowała.

– Wyluzuj, Goblinie – odpowiedział, robiąc głupią minę jak zawsze, kiedy tak ją nazywał.

– Dobra. Ale... wiesz... tak na wszelki wypadek...

Alex zbliżył się do niej z pędzlem.

– Może tobie też przydałby się mały retusz.

Widziała ten numer w wielu filmach i serialach komediowych. Kiedyś śmieszny, teraz banalny; wcale jej nie rozbawił, tylko zirytował.

– Ani się waż – ostrzegła Alexa.

– Odrobina fioletu dobrze ci zrobi – powiedział, unosząc pędzel.

– Mówię poważnie, odpuść.

– Podkreśli kolor twoich oczu – dodał i machnął pędzlem w jej stronę.

Poczuła krople Oberżynowego Marzenia na czole, policzkach i na podbródku.

– Jezu, Alex!

– Co?

– Właśnie umyłam głowę.

– Chryste, ktoś naprawdę jest dziś goblinem. – Był wyraźnie urażony.

– Przepraszam – powiedziała Zoe. – Jestem zmęczona.

– Ja też przepraszam – odparł. – Ale naprawdę ten kolor ci służy.

Śmiech rozładował sytuację i ułatwił Zoe przejście do wyboru farby.

– Być może, proszę pana, ale nie sądzę, aby służył ścianom.

– Rozumiem, chodzi o coś bardziej subtelnego, tak?

Po raz drugi wybrali się do sklepu dla majsterkowiczów i tym razem wrócili zaopatrzeni w litry farby, wałki, tacki i inne malarskie akcesoria. Zoe próbowała zmyć ściany, zanim zaczęli malować na poważnie. Udało jej się usunąć większość oberżynowych serduszek, lecz te, które pozostały, dalej przebijały przez trzy warstwy Porannej Mgły. Kiedy skończyła im się farba (a Alexowi kończyła się cierpliwość), Zoe zaproponowała, aby pojechali do sklepu po parę puszek czegoś ciemniejszego.

– Myślałem, że chciałaś pieprzone Poranne Opary.

– Poranną Mgłę. I musisz przeklinać?

Alex wziął głęboki oddech. Jakby wymagał tego wysiłek związany z zachowaniem zdrowego rozsądku.

– Zo, zdarłem tapety, zdecydowaliśmy się na twój kolor i – parsknął śmiechem – ręka mi odpada.

– Ale...

– Zo, wydaje ci się. Ja tam gówno widzę.

– Bo się ściemnia na dworze.

– To pier... – Kolejny tonujący oddech. – To sypialnia. Raczej będziemy tu przebywać po zmroku.

Zoe odpuszcza, zanim ta rozmowa rozwinie się w kolejną kłótnię.

Gdy trzy tygodnie później stoi w sypialni, wcale nie jest tam ciemno. Boi się, że

jeśli chwilę dłużej będzie wpatrywać się w ścianę, przyłoży w nią pięścią. Dlatego wychodzi do łazienki i nalewa wody do wanny.

Nakładając szampon, skręca długie włosy w powróż i szarpie za ciasny splot. Naciągnięta skóra na czubku głowy piecze w tysiącu miejsc; stary, znany ból jest niebezpiecznie przyjemny... Kiedy ostatnio?

Prawie trzy lata temu, gdy zrezygnowała z kariery prawniczej i przeszła do wydawnictwa.

Może powinnam kupić sobie odznakę? – myśli.

Pamięta, jak bliska depresji, siedząc w wannie w niedzielę wieczorem, z obawą myślała o kolejnym tygodniu w znienawidzonej pracy. Uporczywie szarpała za włosy, bojąc się, że jeszcze trochę, a wyrwie je wraz ze skórą. Szczerze mówiąc, dwukrotnie przesadziła i w garści zostały jej długie, czarne pasma. Z Internetu dowiedziała się, że to kompulsywne zachowanie nazywa się trichotillomania. Szybkie, krótkie, aliterowane sylaby przyprawiły ją o świąd głowy, a widok bezwłosych, zawstydzonych kobiet, patrzących na nią z monitora, podobnych do główek porzuconych lalek, okazał się radykalną i skuteczną terapią. Przestała natychmiast, inaczej skończyłaby jako oskubana kura, przypomina sobie, puszcza włosy i sięga po odżywkę.

Odżywka wsiąka, a ona w tym czasie goli nogi maszynką Alexa. On nie znosi, kiedy rusza jego maszynkę, a ona z kolei nie cierpi, gdy on zostawia ją na umywalce, a więc jest remis. Kiedy rano podsunął ramię pod jej nogę, wzdrygnęła się zażenowana, wiedząc, że odrost musi drapać delikatną skórę na jego ręce. Przy okazji sprawdza, czy nie robią jej się wykwity na łydkach; ani śladu egzemy.

Dlaczego miałyby się pojawić? Dobrze jej się żyje; pracuje nad nową książką – nie jakąś bzdurką dla maluchów, za takie serdecznie dziękuje – tylko nad historyjką o mądrym kocie i gepardzie dla początkujących czytelników. To oczywiście są rymowanki, ale z ważnym przesłaniem dla dzieci: bądź szczęśliwy, kimkolwiek jesteś. Dla dorosłych to też istotna wskazówka.

Opukuje maszynkę o brzeg wanny. Jej włosy i zarost Alexa unoszą się razem na pianie z płynu do kąpieli. Niemal romantyczne w dość obrzydliwy sposób. A Alex potrafi być romantyczny, jeśli wpadnie w odpowiedni nastrój. Owszem, czasem zachowuje się jak typowy facet – trochę roztrzepany, trochę niedbały, trochę... hmm, macho. Ale to pasuje do jego mocnych piłkarskich nóg, owłosionej klaty, niskiego głosu i podbródka z rowkiem. Zoe wie, że nie patrzy na niego obiektywnie, jednak Alex jest zdecydowanie najprzystojniejszy spośród facetów jej koleżanek. Zresztą, czyż on nie jest jej rycerzem w srebrnej zbroi? To, że cieszy ją nowa praca, w dużej mierze zawdzięcza właśnie jemu, bo wspierał ją i podtrzymywał na duchu, gdy zrezygnowała z poprzedniej.

Woda w wannie wystygła, na powierzchni pływają kępki zarostu Alexa i jej włosków z nóg. Wstrzymuje oddech i zanurza się z głową, jedną ręką zaciskając nos, a drugą odgarniając włosy z twarzy. Będzie musiała opłukać się pod prysznicem, zanim się wytrze ręcznikiem.

Po wyjściu z wanny woła Alexa z podestu, lecz on najwyraźniej nie wrócił jeszcze z zakupów. A może ze słuchawkami na uszach siedzi przy konsoli albo

bawi się Xboxem. Musi przyznać, że on naprawdę o nią dba. Wie, jak ona lubi sobie pospać, więc nauczył się omijać wszystkie skrzypiące deski, żeby poruszać się po domu niczym nindza. Oczywiście, gdyby naprawił podłogę, byłoby prościej, ale może nie tak zabawnie. Zoe ma nadzieję, że jeśli Alex jest teraz na parterze, to słucha płyt, a nie strzela do zombie. Lubi go obserwować przy konsoli, kiedy lekko wydymając usta, kiwa do rytmu głową; niektórzy faceci głupio wyglądają, potrząsając głową, szczególnie gdy na dodatek robią dzióbek, lecz u Alexa to nie razi, bo jest przystojny. No i on nie wydaje się traktować siebie śmiertelnie poważnie – błysk w jego oku mówi: „wiem, wiem”. Potrafi poruszać głową na boki jak tańczące Hinduski – i raczej robi to dla zgrywu, niż aby pokazać, że jest taki cool. Ilekroć chodziła popatrzeć, jak gra, za każdym razem, gdy robił te myki z głową, wyszukiwał ją w tłumie i puszczał do niej oko: „wiem, wiem”. Zakochała się w tej jego pozie i w tym facecie, który się za nią krył. Tamtego dnia, gdy się poznali, od razu zrobił do niej tę swoją minę.

To była jej czwarta letnia impreza organizowana przez firmę prawniczą, w której pracowała, i po zrobieniu z siebie widowiska na drugiej i trzeciej, tym razem dozowała alkohol i piła z umiarem. Dlatego była stosunkowo trzeźwa, gdy przystojny didżej wyrósł u jej boku przy barze.

– Postawić ci drinka?

– Alkohol jest darmowy – poinformowała go, odpowiadając uśmiechem na uśmiech.

– Ćśśś... – Mrugnął porozumiewawczo. – Udawajmy – zniżył głos.

Kiwnęła głową.

– Dobra – szepnęła.

– Hej! – zwrócił się do niej, jakby dopiero teraz ją dostrzegł. – Postawić ci drinka?

– Jasne. Poproszę o kieliszek szampana.

– Szampana? Ja... – Udał zaskoczenie i panikę, jakby porażony kosztownym gustem damy.

Zoe konsekwentnie grała swoją rolę.

– To jakiś problem?

– Nie, Boże, skąd, tylko... – Zawahał się, klepiąc się po kieszeniach – ... chyba zostawiłem portfel w moim ferrari.

– To się zdarza – zbagatelizowała. – W takim razie ja ci postawię, a ty możesz się zrewanżować następnym razem.

– Następnym razem? – Uniósł gęste brwi. (Gdybyśmy mieli dzieci, urodziłyby się z gęstymi, czarnymi włosami, przeszło jej przez myśl).

Z zasady nie wdawała się w brawurowe flirty, ale skoro już w to wdepnęła, odważyła się pójść na całość.

– Ty tak zawsze?

– Raczej nie – odparł ze śmiechem.

Przerwała zabawę w odgrywanie ról w odpowiednim momencie, zanim to wszystko stało się wymuszone i niezręczne. Odwróciła się do baru i zamówiła dwa kieliszki szampana.

- A więc jak się do ciebie zwracać? – spytała.
- Didżej Lexx – ruch głowy i kpiarski uśmiech – jeżeli chcesz mnie wynająć.  
Alex, jeśli chcesz się spotkać na drinka w przyszłym tygodniu.
- Na zdrowie, Alex! – Trąciła się z nim kieliszkiem.

# Henry

## *Miejscowy materiał*

Zaledwie dziewięć godzin zostało do chwili, gdy Henry wsunie April obrączkę na palec. Jego „komnata” jest wyposażona w czajnik, torebki z herbatą, kartony z długoterminowym mlekiem i saszetki z tanią kawą. Napelnia czajnik w przyległej łazience i przynosi go do pokoju, żeby zagotować wodę. W nocnej ciszy to niewielkie urządzenie robi tyle hałasu co parowóz i Henry, aby nie zbudzić swego drużby, wyłącza go, zanim woda się całkiem zagotuje.

Brian mruczy coś przez sen. Przyjaźnią się od tamtego dnia, gdy Henry pozbawił go zęba, a on pomógł Henry’emu zdobyć nową ksywę. Kiedy mieli po paręnaście lat, budowali razem domki dla ptaków, które potem sprzedawali turystom; proste konstrukcje z pojedynczych deszczulek. Nieźle sprawdzały się deski z rozebranych palet, ale miały drzazgi i trzeba je było szlifować papierem ściernym. Ulubionym materiałem chłopców stały się więc „gładzone panele ogrodowe” i przez wiele lat nie było we wsi ani jednego całego płotu. Na szczęście dla przedsiębiorczych wandali nikt nie skojarzył tego tajemniczego zjawiska z kwitnącym handlem domkami dla ptaków – „wykonanymi ręcznie z miejscowych materiałów”.

Czy Brian jest szczęśliwy? – zastanawia się Henry. Naukę zakończył na gimnazjum i jako szesnastolatek poszedł na praktykę do małego warsztatu samochodowego, gdzie początkowo przekładał opony i wymieniał olej. Nadal tam pracuje, jeździ całkiem niezłym samochodem, mieszka w całkiem ładnym domu i kiedy nadarzy się okazja, sypia z całkiem atrakcyjnymi dziewczynami. W piątki się upija, w soboty gra w rugby i – Henry gotów jest się założyć – śpi jak niemowlę przez siedem nocy w tygodniu. Taaak, dlaczego nie miałyby czuć się szczęśliwy?

Miejscowy materiał, myśli Henry.

Pamięta, jak wypełniał formularze aplikacyjne do wysłania na uczelnie. Chodził z April niecałe pół roku, ale żadne z nich nie wątpiło, że są ze sobą na poważnie. April nie zamierzała się uczyć ani chwili dłużej, niż to było konieczne, obiecał więc, że złoży papiery wyłącznie do „okolicznych” uniwersytetów. Będą razem spędzać czas we wszystkie weekendy i w wakacje. Poza tym, jak ogólnie wiadomo, rozłaka wzmacnia uczucie. I tak, gdy jego matka zaplatała April warkocze przed telewizorem, w którym leciała *Pretty Woman*, Henry wypełniał podania do Manchesteru, Liverpoolu, Sheffield i Leeds. Kusił go Londyn, jednak kiedy oznajmiła, że to jego decyzja, w jej tonie wyraźnie usłyszał ostrzeżenie o konsekwencjach. Kochał ją; gdyby miał wybierać pomiędzy April i Londynem, bez wahania wybrałby April.



– Właściwie dlaczego stomatologia? – zapytała.

Oczywiście, Henry sam się nad tym zastanawiał i miał na ten temat swoje teorie, ale one brzmiały nieszczerze, interesownie albo – co jeszcze gorsze w przypadku siedemnastoletniego chłopaka – naiwnie.

Kiedy jego rodzina przeprowadziła się na wieś, Henry’emu zostały jeszcze dwa lata podstawówki. Wydawało mu się, że jako syn boksera zyska w szkole popularność albo przynajmniej zniechęci amatorów łatwego zysku do zakusów na pieniądze przeznaczone na lunch. Tak więc nowy uczeń ochoczo rozgłaszał ten fakt. Już w pierwszym dniu wdał się w dwie bójki (przegrał obie) i w rezultacie zyskał przydomek Buciki. Jedną z pierwszych zapamiętanych z dzieciństwa domowych kłótni dotyczyła jego boksterskiej edukacji. Duże Buty chciał kupić synowi rękawice, jak tylko dzieciak zacznie stawiać pierwsze kroki, tymczasem matka, pod groźbą rozwodu, wymogła na mężu, aby trzymał go z daleka od ringu do jedenastego roku życia. I chociaż ojciec uczył go wyprowadzania prawidłowych prostych i sierpowych ciosów, Henry nie miał w sobie zadatków na wojownika. Odkąd ta prawda (a to podbite oko, a to rozcięta warga) stała się wielce oczywista, nie brakowało chłopaków chętnych do rzucenia syna boksera na łopatki. Henry częściej przegrywał, niż wygrywał te podwórkowe walki, lecz nie wypadał znowu tak źle, nadrabiając brak talentu odwagą. Zapewne do dziś byłby znany jako Buciki, gdyby nie wybił zęba Brianowi, dzięki czemu zyskał nową ksywę. Henry, zaskoczony swoim rzadkim sukcesem, podniósł ząb, wytarł go o przód koszulki i wręczył oszołomionemu, krwawiącemu napastnikowi.

– Myśli, że jest cholernym dentystą – rzucił któryś z otaczających ich kołem chłopaków.

I tak to się zaczęło.

Naturalnie Henry nie wybrał kierunku studiów z powodu przewiska z podstawówki, ale też nie byłby gotów zdecydowanie zaprzeczyć, że ten pomysł nie zakiełkował mu w głowie tamtego dnia, gdy wrócił do domu ze śladami zębów na knykcjach.

– Sam nie wiem – odpowiedział na pytanie April. – Przypuszczam, że tak długo jak ludzie będą mieć zęby, będą potrzebować dentysty.

– Skoro o tym mowa – wtrąciła matka, wskazując na roześmianą Julię Roberts – nie chciałbyś dać jej ugryźć jabłka.

Jego dziewczyna z powrotem skupiła uwagę na filmie.

Przez pierwsze trzy i pół roku studiów Henry niemal w każdy piątkowy wieczór wsiadał do pociągu. Znał rozkład jazdy na pamięć, wiedział, w ilu krokach można przejść peron z jednego końca na drugi, miał zakodowany w głowie wygląd elewacji zewnętrznych podcieni dworca i jego żelaznej konstrukcji. Nie potrafiłby zliczyć, ile ominęło go imprez, wygłupów i romansowych historii, o których dowiadywał się w poniedziałkowe poranki. Koledzy z grupy, których zbliżył do siebie pierwszy, trudny semestr, nadal traktowali go przyjaźnie, ale przestali pytać, co robi w piątek wieczorem, czy

namawiać, aby został na weekend. Henry wyczuwał ich frustrację, gdy musieli tłumaczyć mu środowiskowe żarty (w konsekwencji gubiąc ich komizm), które powstawały spontanicznie podczas opuszczanych przez niego imprez. Dlatego przestał prosić kolegów o wyjaśnienia, kwitując ich wybuchy śmiechu uprzejmym uśmiechem. Zrezygnował z treningów rugby w tygodniu, bo nie mógł grać w weekendowych meczach; nie chodził do kina, bo nie chciał się wpraszać do paczki. Pilnie uczęszczał na wykłady, dużo się uczył i dostawał wysokie oceny ze wszystkich egzaminów.

Latem pomiędzy trzecim i czwartym rokiem jego studiów April zaczęła przebąkiwać o zaręczynach. Dwie z jej koleżanek miały już dzieci, inna się zaręczyła, a jeszcze inna wyszła za mąż; dziewiętnastoletnia April mówiła o życiu przeciekającym przez palce. Rozmowy, które toczyli w łóżku w piątkowe wieczory, często miały melodramatyczny i nierzadko łzawy charakter; padały w nich oskarżenia i żądania. Matka prawiała mu kazania o „lekceważącym traktowaniu tej słodkiej, ślicznej dziewczyny”.

– Obyś nie zmienił się w swojego ojca – powiedziała mu.

Pod warunkiem, że ona nie zmieni się w ciebie, odpalił matce w myślach.

Po całym lecie spędzonym razem – kiedy sprzeczki nie należały do rzadkości – para wydawała się bliska rozstania. Henry zasugerował, że może lepiej, aby przyjeżdżał raz na dwa tygodnie, cytując stare powiedzenie o pozytywnym wpływie rozłąki na uczucie. April bez cienia uśmiechu natychmiast zaakceptowała ten pomysł, a on odkrył, że odpuszczenie jednego weekendu sprawia, iż równie łatwo przychodzi odpuścić dwa. Nawiązał nowe przyjaźnie, chodził na zabawy przebierańców, dyskoteki w stylu lat siedemdziesiątych i koncerty alternatywnych kapel. Rozmawiali z April przez telefon, wysyłali esemesy i pisali maile. Tęsknię, zapewniali się oboje, lecz Henry podejrzewał, że deklaracje April są tak samo puste jak jego.

I chociaż w zasadzie to smutne, ale nie poczuł się ani zaskoczony, ani zdruzgotany, kiedy w połowie trzeciego trymestru czwartego roku April oznajmiła mu, że między nimi koniec.

W tamten weekend przypadły urodziny Theresy Johnston i wieczorem całą paczką pojechali do miasta świętować te urodziny w nowo otwartej knajpce z wystrojem w stylu amerykańskiego baru i z niewielkim podświetlanym parkietem do tańca. Pili słodkie cocktaile, jedli grillowane skrzydełka, żeberka w słodko-pikantnym kleistym sosie oraz nachos i na luzie, z dziesięcioma innymi osobami świetnie się bawili. Tamtego wieczoru Henry spędził więcej czasu na rozmowie z Bobbi, koleżanką April, niż z nią samą. Bobbi, po niemal roku podróży po Azji, Australii i Nowej Zelandii, jesienią rozpoczynała studia w Edynburgu. April, podobnie jak wiele jej rówieśniczek, zakończyła edukację w wieku szesnastu lat i Henry czuł coś w rodzaju podziwu dla niemal brawurowej odwagi Bobbi. Siedzieli przy barze, sącząc mocno zakrapiane drinki Long Island Iced Tea, a ona opowiadała o ukrytych zatoczkach, egzotycznych pająkach, imprezach na plaży podczas pełni księżyca, od czasu do czasu rzucając pytania o tajniki czekającego ją życia na kampusie, kuchnię studencką i,

wyginając znacząco brwi, o stancje dla par. Nie omieszkała zapytać, jak Henry radzi sobie z „relacją na odległość”.

– Między wami wszystko okej? – Zatroaska się i poważniejąc, nakryła dłonią jego rękę.

Bobbi nie miała urody April. Nie przypominała żon piłkarzy, dziewczyn muzyków z rockowych kapel czy drugorzędnych blond celebrytek. Gdyby zapytać dziesięciu facetów w barze, którą z nich by wybrali, cała dziesiątka wskazałaby April. Na Uniwersytecie Edynburskim jej przewaga zapewne nie byłaby już tak druzgocąca. Jednak piegowata Bobbi z przerwą między zębami i z sięgającymi ramion włosami skręconymi w pierścionki miała w sobie coś bardziej pociągającego od utartego wzorca kobiecego piękna. Ona była interesująca. Henry nie odrywał wzroku od jej oczu, kiedy mówiła o rozwoju emocjonalnym dziecka, ekonomii behawioralnej, psychologii poznawczej – przedmiotach, które będzie studiować na pierwszym roku. Patrzył, jak zakłada włosy za małe, lekko odstające uszy, i wiedział, że ona nigdy nie będzie próbowała „się wylaszczyć”. Nie wyciągnie spinek z włosów, nie wyrzuci okularów i nie przeistoczy się w idealną piękność. No właśnie, taka trochę niezdarna, asymetryczna, z szerokim nosem i.. nie najurodziwsza, była pewna siebie, otwarta i sexy. I miała tego świadomość, co tylko wzmacniało wrażenie.

– Jak sądzisz, ile się jedzie z Edynburga do Sheffield? – zapytała po długiej przerwie przeznaczonej na jego odpowiedź o związkach na odległość. Henry podniósł oczy znad stolika (dłoń Bobbi nadal bezwiednie spoczywała na jego ręce).

– Tylko kilka godzin pociągami – odparł z uśmiechem. – Mniej więcej pół butelki wina i parę rozdziałów z ekonomii dziecięcej czy czegoś tam.

Bobbi parsknęła śmiechem.

– Pasuje mi taki bilet – oznajmiła, przechylając przy tym głowę, jakby przyglądała się jakimś intrygującym detalom na obrazie. Przez chwilę patrzyła na niego w taki sposób, po czym klasnęła w dłonie i poderwała się ze stołka.

– No dobra. Idę potańczyć. Do zobaczenia. Pa!

Henry spędził resztę wieczoru z Brianem, wspominając dawne czasy i wypijając za dużo taniego piwa. Obserwował mężczyzn tańczących pomiędzy dziewczynami, widział, jak celowo objają się o nie i przykładając dłoń do ucha, ruchem głowy wskazują na bar. April była zdecydowanie najczęściej atakowanym celem, a on patrzył, nie czując ani dumy, ani zazdrości, jak jego dziewczyna śmieje się zalotnie, ściąga brwi z udawaną dezaprobatą, kwituje uśmiechem jakieś komplementy i na koniec kręci głowę. Zastanawiał się, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby go tu nie było, i czy ona przypadkiem nie czułaby się szczęśliwsza, gdyby chodziła z kimś innym.

Gdy w nocy wracali z imprezy taksówką, April oparła się o niego i biorąc go pod rękę, położyła mu głowę na ramieniu. Niestety, ciało Henry’ego wiedziało to, czego nie mógł zobaczyć taksówkarz w lusterku. Ten gest April wyrażał smutek, a nie intymność. Owszem, było w nim też uczucie, lecz zabarwione znużeniem i rezygnacją – mówił o tym bierny ciężar jej głowy, mechaniczne, niemal

autystyczne wodzenie kciukiem po jego dłoni, przesadnie głośne wzdychanie. Każde miejsce styku Henry'ego z ciałem April – głowa, ramię, dłoń zdawały się nakazywać milczenie, powiększając przepaść między nimi.

Dopiero gdy znaleźli się w łóżku i zgasły światła, April usiadła i oznajmiła w ciemność: – Myślę, że powinniśmy od siebie odpocząć. – Nic tak ostatecznego jak dobitne: „Między nami skończone”, lecz oboje wiedzieli, że to bez znaczenia. Z obu stron padały zapewnienia o smutku i o trwałej sympatii, a potem kochali się z pasją, jakiej nie pamiętali od niemal roku. Nikt tu nie zawinił; ot, smutna oczywistość, dorośli i oddalili się od siebie.

Rano ubrała się odwrócona do niego plecami, po czym pocałowała go w policzek na pożegnanie i powiedziała, że go kocha, że jest dla niej kimś szczególnym i wszystko między nimi było w porządku, tylko czas okazał się niewłaściwy. Kiedy wyszła z sypialni, Henry usłyszał skrzypnięcie innych drzwi i stłumione głosy April i jego matki na korytarzu – szepty, słowa pociechy, pocałunek. Obecnie April pracowała w salonie na pełnym etacie i to, co wcześniej było lukrowaną relacją pomiędzy zastępczą matką i namiastką córki, przerodziło się w głęboką, niemal siostrzaną przyjaźń. Nie wątpił, że matka wiedziała o zerwaniu na długo przedtem, zanim on się o tym dowiedział.

Nie minął nawet tydzień od rozstania z April, gdy przyszła wiadomość od Bobbi. W pierwszym esemesie po prostu spytała, czy u niego wszystko w porządku, zwracając się do niego przez „kochany” i stawiając na końcu „x” zamiast buziaka.

Henry'ego ten lakoniczny i w zasadzie niewinny esemes wprowadził w ekscytację. Odpisał, że czuje się dobrze, otwarcie i pragmatycznie nawiązując do świeżo odzyskanej wolności. Po tygodniu zaczęli do siebie wydzwaniać. Nie rozmawiali już o jego rozstaniu z April – ten temat wyczerpali, wymieniając kilka esemesów – ale o małomiasteczkowej mentalności, o studenckim życiu, zajęciach na uczelni, książkach, które akurat czytali, o kolorze nieba. Trzy tygodnie później Bobbi przyjechała na weekend do Sheffield – dwa dni długich spacerów, nocnych rozmów i zachłannego seksu. Podczas jednej z wizyt tamtego lata, zaledwie za drugim razem, gdy została na noc w małym, studenckim pokoju Henry'ego, pozwoliła mu na coś, na co April nigdy się nie zgodziła: dała mu obciąć włosy.

Od dwunastego roku życia Henry pomagał matce w jej salonie Love & Die. Prawdopodobnie malarze nie mieli do czynienia z zakładem fryzjerskim czy punktem sprzedaży ryby z frytkami przed przyjęciem tego zlecenia i byli gotowi poprawić oczywisty błąd ortograficzny[1]. Szyld nad salonem zamiast kojarzyć się z uniwersalnym związkiem pomiędzy miłością a odpowiednim kolorem włosów, zyskał filozoficzny wydźwięk. W sumie nazwa przypadła Sheili Smith do gustu, poza tym wykonawca zaproponował obniżkę ceny o połowę.

Z początku obowiązki Henry'ego sprowadzały się do zamiatania podłogi i zbierania z niej spinek za pomocą magnesu w kształcie podkowy, który kojarzył mu się z kreskówką o Strusiu Pędziwietrze. Później wolno mu było myć głowy, nakładać farbę i płyn do trwałej ondulacji oraz nawijać włosy na wałki. Gdy po

raz pierwszy wziął do ręki nożyczki, ćwiczył strzyżenie na grzywce matki. Pokazała mu, jak naprężając włosy palcami wolnej dłoni, skracać je pewnymi ciachnięciami nożyc. Następnie nauczyła go używać nożyczek do cieniowania i obcinać włosy na grzebieniu. Kiedy miał piętnaście lat, pozwoliła mu obciąć sobie włosy na chłopaka. Umiał już stopniować i cieniować, strzyc boki pod odpowiednim kątem i robić pazurki. Ku wielkiemu rozczarowaniu ojca, zanim skończył szesnaście lat, w soboty przyjmował płatne klientki. Mniej więcej dziesięć lat temu we wsi i w całej okolicy najbardziej popularną fryzurą stał się wydłużony bob. Nie, żeby akurat był w modzie, raczej dlatego, że Love & Die oferowało cięcie za darmo, na dodatek częstując panie rozpuszczalną kawą i herbatnikiem.

– Jeżeli umiesz wymodelować wydłużony bob, poradzisz sobie z każdą fryzurą – orzekła matka, zdeterminowana, aby jej syn w wakacje pomiędzy końcem gimnazjum a początkiem liceum dotarł do świętego graala damskiego fryzjerstwa. Niejednokrotnie Sheila Smith musiała wkraczać, aby ratować dzieło swojej latorośli, lecz zanim Henry wrócił po wakacjach do szkoły, potrafił już wymodelować bob z geometryczną precyzją, wybierając zdecydowane lub łagodne cięcia w zależności od rysów twarzy. Co odważniejszym klientkom proponował jego asymetryczne odmiany, według matki nieco pretensjonalne, niemniej efektowne. Mimo wszystko April pozwalała mu co najwyżej obcinać rozdwojone końce.

– Wszystko, byle nie bob jak u ludzików lego – zastrzegła Bobbi, jakby czytając w jego myślach, gdy Henry, leżąc na pojedynczym, studenckim łóżku, z palcami zanurzonymi w burzę jej loków, dumął o najróżniejszych sposobach uporządkowania tego chaosu. W apteczce we wspólnej kuchni znalazł w miarę ostre nożyczki i pożyczył maszynkę do strzyżenia od sąsiada z piętra niżej. Za pomocą tych dalekich od ideału narzędzi zrobił jej punkową fryzurę z podgolonymi bokami i z nastroszoną grzywką, która świetnie mogła wyglądać w studenckim nocnym klubie, lecz w ich rodzinnej miejscowości raziłaby jak, nie przymierzając, pocałunek lesbijek.

Po zakończeniu ostatniego trymestru Henry po raz pierwszy od wyjazdu na studia został na lato w Sheffield. Znalazł robotę na budowie i trzy wieczory w tygodniu spędzał przy piwie w miejscowym, obskurnym pubie. Bobbi przeważnie przyjeżdżała do niego na weekendy i ich relacja rozwinęła się w intymny, swojski związek. Podobała mu się gadatliwość oraz żywiołowość tej dziewczyny, a jednocześnie taki styl bycia wydawał mu się nieco sztuczny i stawał się męczący – ciągle żarty, wolty myślowe, pytania: „co sądzisz?”. Za to seks był fantastycznie – niemal pornograficznie – satysfakcjonujący, lecz w nim też wyczuwał pewną teatralność; coś, co budziło jego tęsknotę w czwartek, kiedy się umawiali, i nużyło go w niedzielne popołudnie, gdy zerkając na zegarek, czekał, kiedy będzie mógł ją odprowadzić na dworzec.

Bobbi trzymała te weekendowe eskapady w tajemnicy przed rodziną i przyjaciółkami; kłamała, że jedzie do koleżanki, którą poznała podczas otwartego dnia na Uniwersytecie Edynburskim. Nazwała ją Penelope i tym

imieniem pieszczotliwie zwracała się do Henry'ego: Gdzie pójdziemy jeść, Pen? Penny, o czym myślisz? Przeleć mnie, Penelope!

Romans się zakończył, jak oboje się spodziewali, we wrześniu, gdy Bobbi zaczęła studia w Edynburgu. Nadal dzwonili do siebie, jednak odstępy między rozmowami wydłużały się w miarę upływu jesiennego trymestru. W październiku Bobbi pojechała jeden raz na południe zobaczyć się z Henrym, a on w następnym miesiącu wybrał się na północ, lecz nie miał okazji posmakować życia na kampusie. Z zachowania Bobbi jasno wynikało, że na tapecie jest inny mężczyzna. Nie przedstawiła Henry'ego swojej paczce, spięta wychodziła z nim z pokoju i omijała studenckie bary, prowadząc go do turystycznych miejsc w centrum miasta. Mimo wszystko to był piękny weekend; teatralność w sypialni zastąpiła zwykła intymność. Być może oboje czuli, że ich związek, miłosna przygoda, już się wypalił. Pod wieloma względami to był idealny romans; trwał nie za długo i przydarzył się w odpowiednim momencie. Henry nie wytrzymałby z Bobbi; po tygodniu doprowadzała go do szaleństwa, a co tu dopiero mówić o całym życiu. To ona go poderwała; jej inność od April i sposób bycia pozwoliły mu otrząsnąć się z frustracji i smutku po rozstaniu ze szkolną miłością.

– Dbaj o siebie, Penelope.

Kiedy pocałowali się na peronie, Henry poczuł lekki, ciepły ucisk w piersi.

Do domu przyjechał dopiero na Boże Narodzenie, pierwszy raz od siedmiu miesięcy. Gdy przypadkiem natknął się na April (w Tesco; ona szła z butelką wina i pudełkiem lodów Ben and Jerry's, on z dwunastopakiem papieru toaletowego), spotkanie wypadło mniej niezręcznie, niż się tego obawiał. Rozmawiali ze sobą bez skrępowania. Miał wrażenie, że ucieszyła się na jego widok. Ze szczerym zainteresowaniem wypytywała go o studia.

– Cichy wieczór w domowych pieleszach? – Henry ruchem głowy wskazał na wino z miną, która mówiła, że pytanie ma bardziej drażący charakter.

– Coś w tym rodzaju – odparła, rumieniąc się.

Oboje śmiechem pokryli zażenowanie, ale on poczuł ukłucie smutku. A może zazdrości. Nawet przez sekundę nie wyobrażał sobie, że April może spotykać się z kimś pół roku po ich rozstaniu. Teraz miał potwierdzenie, a na dodatek zbliżały się święta. Pocałowali się w policzki, życząc sobie nawzajem szczęśliwego nowego roku.

\*

Z góry było wiadomo, że zejda się z powrotem, lubiła mówić April różnym ludziom.

– Potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby z perspektywy docenić, jak nam się poszczęściło, prawda, Henry?

Okazało się, że wystarczyły trzy lata.

Los – dobry, a może zły – popychał ich ku sobie.

Henry zrobił już dyplom i pracował w Sheffield, kiedy matka zadzwoniła

z wiadomością, że Duże Buty miał wypadek. Dzwonek telefonu wyrwał go z głębokiego snu w środku nocy. Zanim jeszcze podniósł słuchawkę, czuł, że musiało wydarzyć się coś złego. Ojciec trafił do szpitala z połamanymi nadgarstkami i pękniętymi trzema żebrami, przez co doszło do odmy prawego płuca. W pierwszej chwili Henry pomyślał, że ktoś musiał go napaść, lecz rzeczywistość okazała się przyziemna i nieco frustrująca – staruszek wpadł po pijaku do piwnicy. Henry zadzwonił do gabinetu, nagrał wiadomość odwołującą zapisanych pacjentów, wskoczył do samochodu i popędził do szpitala, łamiąc po drodze wszystkie ograniczenia prędkości.

Duże Buty przeszedł drenaż płuca i dwie operacje. Czekala go długa i mozolna rehabilitacja. Chociaż stary bokser z wielkim uporem próbował udowodniać, że konowały się mylą, ledwo był w stanie podnieść łyżkę do ust, a co dopiero mówić o prowadzeniu pubu czy wyrzucaniu pijusów za drzwi. Henry, tak jak kilka lat wcześniej, wpadł w rutynę cotygodniowych przyjazdów do domu; tym razem, żeby pomagać w barze i zajmować się ojcem. April, która pracowała na pełnym etacie w Love & Die, w tym trudnym czasie w naturalny sposób włączyła się do pomocy w Black Horse. Często się zdarzało, że Henry obsługiwał klientów razem ze swoją byłą dziewczyną i dawne uczucie, teraz dojrzsze i głębsze, na nowo ich połączyło. Czasem po zmianie odprowadzał ją do domu, okazjonalnie cichaczem zakradał się do jej pokoju, a potem wracał nad ranem, sprzątał stoliki w pubie i pomagał ojcu przy myciu zębów.

Pojawiły się komplikacje, zarówno medycznej jak i romantycznej natury. April była wtedy w związku, niezbyt udanym; stąd brały się jej zmienne i nieprzewidywalne nastroje. Z drugiej strony to ona ocaliła życie ojcu Henry'ego. Jego stan ulegał pogorszeniu, mimo udanego zabiegu na płucu. Duże Buty nie przyznał się nikomu, że cały czas odczuwa ból i coraz bardziej cierpi – przy każdym oddechu kłuło go w klatce piersiowej. Któregoś wieczoru w tygodniu, gdy bar świecił pustkami, April pobiegła na górę, żeby podać mu herbatę, i znalazła biedaka na czworakach, zlanego potem. Nie bacząc na protesty, zawiozła go do szpitala, gdzie zdiagnozowano ropniak w płucu – doszło do wysięku ropnego w jamie opłucnej. Gdyby w porę się tym nie zajęto, skutki byłyby opłakane. Konieczna była kolejna operacja, no i rekonwalescencja Dużych Butów jeszcze bardziej się wydłużyła. Pod koniec października, jakieś siedem miesięcy po wypadku, ojciec na dobre wyszedł ze szpitala. April, od zawsze hołubiona przez rodziców Henry'ego, stała się członkiem rodziny na równi z nim. A ponieważ miłość między nimi rozkwitła na nowo tak samo gładko, jak trzy lata wcześniej zwiędła, oczekiwano od niego oficjalnej deklaracji.

April, oprócz pociągania piwa w barze i kokietowania miejscowych bywalców, z wielką starannością i dumą dbała o to, co miało uchodzić za wystrój Black Horse; w okolicy Bożego Narodzenia namalowała sprayem płatki śniegu na szybie, w Dzień Pamięci ozdobiła wnętrze chorągiewkami i makami, a latem plastikowymi palmami i kokosami. Kiedy Duże Buty doszedł na dobre do siebie tuż przed Halloween, zabrała się do pracy z niezwykłym entuzjazmem – na ścianach zawisły pajęczyny, a w kątach stanęły duchy z prześcieradeł

i plastikowe maskary. W weekend Henry przywiózł do domu słoiczki z alginatem, składnikiem masy wyciskowej używanej w protetyce, i zapowiedział, że będą robić ucięte żelowe palce. April, trzymając obie drobne dłonie w kleistej substancji, nawet przez chwilę nie podejrzewała, że on bierze miarę na pierścionek z brylantem.

Kiedy Henry wraca myślami do tamtego wieczoru w Halloween, wspomnienie nie wywołuje u niego uśmiechu rozbawienia. Chyba jednak April przeczuwała, na co się zanosi, bo w pubie znalazło się dużo znajomych twarzy – przyszły koleżanki ze szkoły i rodzice z obu stron. W przeddzień matka Henry’ego zachowywała się jak podekscytowany dzieciak. Zjawił się nawet brat April, Walnięty George. Jasne, że ona się tego spodziewała! Kiedy Henry przyklęknął na lepkiem dywanie i przycichł gwar, w szeroko otwartych oczach April nie dopatrzył się zaskoczenia, a jedynie wyczekiwanie. I tak jak w filmach przycisnęła obie dłonie do piersi.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytał Henry, wyjmując pierścionek idealnie dobrany rozmiarem do palca.

Kiedy pytanie zawisło w powietrzu, widział, jak April ukradkiem zerka na pierścionek. Przez jej twarz przemknął cień rozczarowania, lecz zawiedziona minę natychmiast pokrył promienny uśmiech.

– Tak – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Tak.

Następnego dnia pojechali pociągiem do Liverpoolu i wymienili pierścionek na taki z większym kamieniem i droższy. Różnica w cenie nie powalała, a jemu nie było żal wydanych pieniędzy. Jednak nie potrafił pozbyć się wrażenia, że popełnił błąd.

Na tym właśnie polega jego problem – nie może sobie ufać. Nie umie na zimno analizować emocji i oddzielać prawdy od opinii, wątpliwości i rozterek. Kochał April do czasu, kiedy się odkochał. A potem wrócił do punktu wyjścia, zmieniając zdanie jak dzieciak w sklepie z komiksami. Ona nigdy nie spytała, skąd znał rozmiar pierścionka, więc nigdy jej nie powiedział.

Henry dopija herbatę, zegar pokazuje teraz trzecią trzydzieści jeden. W następnej dobie obudzi się obok małżonki w łóżu z kolumnkami w drugiej połowie zamku. Walizki czekają spakowane, paszporty i kremy z filtrem przeciwsłonecznym leżą w odpowiednich przegródkach. Nowożeńcy w dziesięć minut dojadą taksówką na dworzec, pociągiem dotrą na lotnisko w Manchesterze, stamtąd liniami krajowymi polecą na Heathrow, gdzie po długiej przerwie odbędą dwugodzinny lot na Ibizę. Do hotelu dotrą tuż przed północą, zmęczeni i lepcy od potu. Owszem, jest w rozkładzie wcześniejszy samolot, który ląduje o bardziej cywilizowanej porze, ale żeby połapać wszystkie połączenia, musieliby wyjechać z tutejszej stacji pierwszym porannym pociągiem o piątej dwadzieścia osiem. Jest sobota i Henry zastanawia się czy pociągi w weekendy jeżdżą tak samo jak w zwykłe dni.

Szacuje, że zamek dzieli od stacji sześć mil krętymi drózkami po ciemku i w chłodzie. Pokonanie tej drogi pieszo zajmie półtorej godziny do dwóch. Spogląda na zegar, jest trzecia trzydzieści trzy.



---

1 *Die* – umrzeć, *dye* – farbować. Wymawia się tak samo. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

# Zoe

## *Szatkowanie palców*

Oczywiście miał dziewczynę.

Zoe wcale nie przyjęła tej wiadomości ze śmiechem.

Kiedy przyszła, Alex siedział już w pubie i pił, zdaje się, dzin z tonikiem. Zauważył Zoe i pomachał, gdy zmierzała ku niemu przez salę. Zaskoczył ją widok dyskdzokeja Lexxa w garniturze, lecz zanim zdążyła jakoś błyskotliwie to skomentować (Byłeś w sądzie? Na ślubie? Kurczę, tak didżeje noszą się w wolne dni?), Alex podniósł się, gestem zaprosił ją do stolika i zapytał, czego się napije.

Zaproponowany przez niego pub okazał się pozbawioną uroku norą, ukrytą w plątaniu ciasnych, brukowanych uliczek, których nazwy – Ludgate, Newgate – kojarzyły jej się z Dickensem i jego miastem łobuziaków, zamieszek i wiktoriańskich więzień. Od katedry St Paul dzielił ich rzut beretem i dlatego zaskoczył ją nieco wybór tego akurat miejsca, skoro okolica obfitowała w znacznie ciekawsze bary serwujące wina i cocktaile. Być może w jego mniemaniu pub miał szczególny charakter albo zapewniał przytulną, intymną atmosferę.

Alex był wyraźnie spięty, kiedy wrócił z drinkiem Zoe. Wcześniej zastanawiała się, jakim pocałunkiem go przywitać (w policzek czy w usta, cmoknięcie czy przeciągane muśnięcie, niosące obietnicę czegoś więcej), ale zmieniła zamiar, bo udzieliło jej się jego skrępowanie.

– Zdrowie – powiedziała, unosząc przechylony ku niemu kieliszek, i upiła łyk pośledniego czerwonego wina. – A więc tak ubierają się dyskdzokeje w wolne dni?

– Przepraszam, co?

Udała, że przygląda kciukami klapy.

– Garnitur.

– Ach, to, no tak. Prawdę mówiąc, ja... pracuję w City. Ropa naftowa, gaz, takie tam. Trochę to... – Skruszony, wzruszył ramionami i wydmuchał powietrze przez usta. – No tak, ropa naftowa i gaz.

Zoe pokiwała głową, starając się ukryć rozczarowanie.

– Fajnie. Znaczy... świetnie. Chyba... ludzie zawsze potrzebują ropy i gazu, nie?

– Miejmy nadzieję, inaczej stracę robotę.

– Zawsze możesz pracować jako didżej.

Roześmiał się.

– Fajnie by było.

– W takim razie... jak trafiłeś na naszą zakładową imprezę?

– Przyjacielska przysługa. Dostałem kasę, ale... nie za wiele.

– I darmowy szampan.

Uśmiechnął się.

– Tak, i darmowy szampan. Niestety, to nie wystarcza, żeby zrezygnować z normalnej pracy – wahał się przez chwilę. – Przez jakiś czas naprawdę puszczałem muzę w całkiem sporym klubie w Tajlandii – wyznał.

– W Tajlandii?

Po studiach Alex dostał etat w firmie, w której pracuje do dziś. Udało mu się odwlec zatrudnienie o rok, bo planował popracować jako dyskdzokej w różnych krajach Azji, Australii, Ameryki i wszędzie tam, gdzie poniosą go nogi. Okazało się, że trudno złapać fuchy, gdzie zapłata nie jest wyłącznie alkohol. Kiedy kończyły mu się pieniądze oraz optymizm, okoliczności i dyskdzokejscy bogowie skierowali go w końcu do miejsca, gdzie mógł liczyć na wypłatę w banknotach. Co prawda, lokalizacja nie była tak idylliczna jak wyspy Ko Lanta czy Rai Leh, ale dawała szansę zdobycia upragnionej gotówki. Niestety, po czterech tygodniach pobytu na Phuket właściciel klubu oskarżył go o kradzież, postraszył maczetą i zapowiedział, że jeśli do weekendu nie wyniesie się z wyspy, przytrafi mu się coś „krynicznego”.

– Krynicznego?

– Nie wiem, może miał na myśli coś krytycznego czy kryminalnego. – Alex wzruszył ramionami. – Ponieważ skubaniec wymachiwał maczetą, to pewnie bez różnicy. Byłaś kiedyś w Tajlandii? Tamtego dnia zdążyłem już wciągnąć porcję tabletek odchudzających, a dokładniej amfy oraz cocktailu z magicznych grzybków, i groźba nie od razu do mnie dotarła. Spytałem go: „krynicznego”? Co znaczy „kryniczny”? A on dosłownie z pianą na ustach wykrzyczał: „Kryniczny!”. Znajdziesz się w krynicy! Teraz rozumiesz?

Ta historia – poza odległym podobieństwem do fabuły powieści Alexa Garlanda – brzmiała mało wiarygodnie. Na dodatek on cały czas bawił się zegarkiem i nie patrzył jej w oczy. Z drugiej strony ten kawałek z powiedzonkiem „kryniczny” jakby osadzał tę historię w realiach. Alex chyba nie dostrzegał sceptycyzmu Zoe i ciągnął opowieść. Właściciel klubu nie tylko nie wypłacił mu znacznej kwoty za cztery tygodnie pracy, ale na dodatek „skonfiskował” zbiór płyt i słuchawki. Tak więc bez pieniędzy i sprzętu, nie miał wyboru i wrócił do Anglii. Kumpel, który udostępnił mu własną kanapę, dzięki swoim różnym kontaktom znalazł mu kilka fuch po osiemdziesiąt funciaków w dużych pubach i w małych klubach.

– A co z płytami? – spytała Zoe, uważając na ton, aby nie pomyślał, że chce go przyłapać na konfabulacji.

– Pożyczyłem od kumpla.

Zdaje się celowo ograniczył się do zwięzłej odpowiedzi, jakby sugerował: Może zakończmy ten temat.

Zoe pokiwała głową.

– Sorry. – Parsknął śmiechem. – Wiem, to porąbana historia. Nie lubię jej opowiadać, bo wygląda na wciskanie kitu. Przypomina *Niebiańską plażę* Garlanda.

Teraz z kolei ona się roześmiała.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

Alex wypił łyk wina.

– Złapałem kilka fuch w Londynie, ale kiedy nadszedł wrzesień, miałem na koncie dwieście funtów i kredyt na dziesięć tysięcy, więc... – poprawił klapy eleganckiej marynarki – stąd ta ropa i gaz.

– Przynajmniej masz co wspominać.

Pokiwał głową, jakby przyznawał jej rację.

– Muszę ci coś powiedzieć – oznajmił z westchnieniem.

Zoe przymknęła powieki i wstrzymała oddech.

– Jeżeli usłyszę, że jesteś żonaty albo że masz dziewczynę, przysięgam na Boga – uniosła kieliszek – wylądujesz w pralni chemicznej.

Uśmiechnął się po tej groźbie, ale tylko przelotnie. Wyciągnął rękę, ujął Zoe za nadgarstek dłoni z kieliszkiem i przygiął ją do blatu.

– Nie wierzę – wysapała.

– To... niedokładnie tak.

– No cóż, potrafisz zaskakiwać.

– Poz...

– Pozwól, że ci wytłumaczę. Czy nie to właśnie chciałeś powiedzieć? Lecisz z podręcznika?

– Zoe...

– Alex, nie możesz siedzieć cały wieczór, trzymając mnie za rękę. Co by było, gdyby weszła tu twoja dziewczyna?

– Ona nie jest... My... Zamierzam to zakończyć.

Wymownie opuściła wzrok na stół. Ciągle trzymała kieliszek, a Alex nadal obejmował palcami (ładny zegarek, czyste paznokcie) jej nadgarstek.

– Obiecujesz, że nie rzucisz tym we mnie?

– Jeszcze nie wiem. Gdybyś wybrał lepsze wino, chętniej bym je wypila. To smakuje, jakby czyjaś babcia zrobiła je w wiadrze od mopa.

– Jesteś zabawna – stwierdził z uśmiechem. – Prawie tak zabawna jak facet.

– Tak jest. Niewiele mi trzeba, żeby parsknąć śmiechem. Mam ksywę Pufająca Zoe.

– Żartujesz?

– Wcale nie. I nie wiem, czemu ci to mówię. Tak mnie ochrzciły koleżanki z akademika: Pufająca Zoe, Zoe Puf. Boże, ale gładzę!

– Podoba mi się twoje gładzenie, Zoe Puf.

Zdjęła jego palce z nadgarstka. Oboje spojrzeli na kieliszek. Z rezygnacją pokręciła głową i krzywiąc się, wypila łyk wina.

– Nigdy więcej tak na mnie nie mów. Wiesz, co to jest puf, prawda?

– Takie krągłe i miękkie siedzisko.

– No właśnie, przede wszystkim nie byłam gruba, tylko... pulchna. Wtedy piłyśmy piwo i jadłyśmy mnóstwo chipsów.

– Nie ma nic złego w określeniu „pulchna”, chociaż ja osobiście wolę „puszysta”.

– Przymilanie się nie pasuje do ciebie. A na dodatek ta ksywa nie miała nic wspólnego z dawną wielkością mojego tyłka.

Poważnie? Alex spojrział na nią spod uniesionych brwi.

– Jak już wspomniałam, łatwo wybucham śmiechem.

– Podobasz mi się.

Wychwyciła w jego głosie ten sam bezceremonialny ton, jak wtedy na zakładowej imprezie. Miało to swój urok. Uśmiechnęła się nieznacznie, bo jej gniew wyparował (przynajmniej o jedną czwartą).

– Dobra, oto mój plan. Przyniesiesz mi z baru kieliszek porządnego czerwonego wina. Wtedy wrócimy do tamtego stwierdzenia: „ona nie jest” i zobaczymy, co dalej.

Alex skinął głową i sięgnął po jej kieliszek.

– Zostaw – zdecydowała. – Jeszcze może się przydać.

Wrócił do stolika z butelką i z dwoma kieliszkami. Już bez luzackiej miny, z rysami ściągniętymi zdenerwowaniem. Napełnił kieliszki i powrócił do historii z Phuket.

„Rzeczą”, którą podobno ukradł właścicielowi tajskiego klubu, była młoda Niemka, Ines. Ona także zrobiła sobie rok wolnego pomiędzy dyplomem i pracą w Londynie (kończyła studia na uniwersytecie w Heidelbergu i miała zapewniony etat w dużym amerykańskim banku). „Zeszli się” z Ines i wszystko byłoby fajnie, gdyby Tajlandczyk nie wbił sobie do głowy, że ona już jest zajęta – przez niego. Zoe cisnęło się na usta mnóstwo pytań, lecz Ines (niewątpliwie piękna i uprzywilejowana) stanowiła konkurencję, więc okazywanie nadmiernego zainteresowania „drugą kobietą” wypadłoby niezręcznie.

„Koks”, lakonicznie podsumował Alex przyczynę konfliktu, a Zoe pozwoliła mu na tym poprzestać. Przynajmniej na razie.

On był bez kasy, a Ines bez planów, za to ona miała znajomych w Londynie i dom w okolicy King’s Road, opłacany (jak Zoe słusznie przypuszczała) przez ojca. Wrócili więc do Londynu i zamieszkali w pastelowo-niebieskim domu z dwiema sypialniami, a dokładniej: adaptowaną zabytkową stajnią, w samym sercu Chelsea. Ich sąsiadem z jednej strony był bankier inwestycyjny, a z drugiej opryskliwy dżentelmen, który grał na gitarze basowej w co najmniej dwóch zespołach o nazwach znanych Alexowi z lat sześćdziesiątych. Po dwóch tygodniach jadał w restauracjach, gdzie podaje się platerowane sztuce, a drogą kawę pije się w maciupkach filiżankach, Alex wsiadł do pociągu i pojechał na północ, odwiedzić matkę i brata w niegdyś górniczym, a teraz zapyziałym miasteczku. Do Londynu przywiózł dwie walizki pełne ubrań, książek oraz zdjęć i w sobotę wieczorem na dobre wprowadził się do Ines.

Zoe, pijąc wino nieco za szybko, szczególnie miała ochotę wysłuchiwać, do jakich klubów z obowiązującą kartą członkowską Alex chadza z Ines, ile ona wydaje na ciuchy i kto ze śmietanki towarzyskiej należy do kręgu jej znajomych. Tymczasem on w charakterystyczny dla siebie, barwny sposób, właśnie na takich szczegółach skupił się w swojej opowieści. No dobra, może nawet ją trochę to ciekawiło.

– Czy miałaś kiedyś wrażenie, że tkwisz w pułapce przez własną błędną decyzję? – zagadnął ją.

Pomyślała o egzemie na łydkach, o włosach wyrywanych garściami w kąpielni, o strachu przed niedzielnym wieczorem, który rujnował jej cały weekend, i o depresji w piątek, gdy wychodząc z pracy, myślała o tym, że wkrótce znowu będzie musiała przejść przez obrotowe drzwi. Dziś przed południem, szatkując dokumenty w niszczarce, spekulowała, ile dostałaby zwolnienia, gdyby jej palce przypadkiem wkręciły się w mechanizm. Być może nawet dwa tygodnie i ta perspektywa wydała jej się niebezpiecznie kusząca.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Już w powrotnej drodze wiedziałem, że robię błąd.

– Czemu?

Alex westchnął.

– Ines nie jest... ona... nie powala towarzysko.

– Chodziłeś do tych wszystkich snobistycznych klubów, jadłeś w bajeranckich restauracjach... – Może przesadza z sarkazmem, ale co tam. – I nagle takie odkrycie? Ile czasu ci to zajęło? Miesiąc?

– Tajlandia jest dziwna. Wszystko... jakoś inaczej... wariacko.

– Czy ona jest piękna? – spytała, a w duchu dodała: Cholera, po co się tym interesuję!

Alex zakolysał kieliszkiem i zapatrzył się na krople wina spływające po szkle.

– No. – Kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

Wkurzające. Zoe nagle ogarnęło skrępowanie, bo pomyślała o swoim nosie. Uroczy, mówiono, zupełnie jak guziczek. Niestety, jej to porównanie kojarzyło się z pieczarką. I akurat teraz ten cholerny nos zaczął ją swędzieć. Niemniej schlebiali jej, że podrywa ją facet, który trzyma się z germańską pięknnością.

– Bogata, piękna i... mówiłeś, że... bankierka?

Kolejne skinienie głowy Alexa.

Aha, dlatego wybrał ten pub w zaułku. Żeby przypadkiem Ines albo któryś z jej znajomych z City nas nie namierzili.

– Bogata, piękna i inteligentna – podsumowała. – Baha, co?

Alex podniósł na nią wzrok i się roześmiał.

– Tak naprawdę, bogata, piękna i ograniczona.

– A mnie, jak byś określił?

Uśmiechnął się, ale nie podjął wyzwania.

– Krótko mówiąc – wrócił do tematu – to od początku było nieporozumieniem... jest nieporozumieniem... niepotrzebnie w to wdepnąłem. Chyba było łatwo, wygodnie.

– Ile czasu to trwa?

– Około półtora roku.

– A więc podrywasz dziewczyny na dyskotekach...

– Dyskotekach?

– Zapraszasz je na drinka do obskurnego pubu, zwierzasz się im, a potem łapiesz ostatnie metro i wracasz na King's Road do swojej bogatej, pięknej

i nudnej dziewczyny.

– Tak to mniej więcej wygląda.

– Hmm... – Nagle poczuła znużenie pomieszane z irytacją. – Cieszę się, że mogłam ci pomóc. Niestety, jutro czeka mnie ciężki dzień. Zebrania, na których muszę udawać zaangażowanie, szatkowanie palców i takie tam różne sprawy.

Odsunęła się z krzesłem od stolika.

– Czeka! – Alex, wyraźnie rozbawiony, walczył ze śmiechem. – Czy ty powiedziałaś... szatkowanie palców?

Westchnęła, zaciskając powieki.

– Dokumentów – poprawiła się, oblewając rumieńcem. – Miałam na myśli szatkowanie dokumentów w niszczarce.

Dostała ataku śmiechu; wybuch był tak gwałtowny, że zaczęła pufać i prychać bez odrobiny wdzięku. Miała tak od zawsze i już dawno przestała z tym walczyć, bo jakiegokolwiek próby opanowania gulgotu w zatokach jedynie pogarszały sprawę, zmieniając odgłosy przypominające pokwikiwania prosiaczka w chrupkanie dorodnego wieprza. Nie zamierzała się przejmować. To był dobry, oczyszczający śmiech, wyciskający łzy z oczu. Alex też się roześmiał, ale nie tak żywiołowo. Siedział rozparty na krześle, popijał wino i z uśmiechem patrzył, jak Zoe powoli się uspokaja, ocierając łzy wierzchem dłoni. Jej nos pieczarka na pewno zrobił się spuchnięty i czerwony, a ona sama stała się kompletną antytezą chłodnej, germańskiej piękności. Ale... co tam, chrzanić to.

– Ulżyło?

Pokiwała głową.

– Czy ktoś ci mówił, że ślicznie wyglądasz, kiedy się śmiejesz?

– Nie przeginaj. Poważnie, lepiej... – I jak jakaś wariatka ponownie zaniósł się gulgoczącym śmiechem.

Rozmawiali. O złych decyzjach, o pracy, ambicjach, rozczarowaniach, studiach, rodzinie, o wyjazdach nad morze oraz o serialach telewizyjnych, na których oboje się wychowali. Rozmawiali też o miłości i seksie; ona i ten mężczyzna, którego ledwo знаła, jednocześnie mając wrażenie, że od dawna go zna, lub trafniej ujmując: dobrze rozumie. Z nim było tak samo. Trzymając się za ręce, zwierzali się z pierwszych razów i komicznych razów, a Alex kciukiem gładził wierzch jej dłoni. Wyciągając przed siebie nogi, dotykali się pod stolikiem stopami i goleniami. Powiedziała mu, że powinien zostawić Ines, a on poradził jej, aby rzuciła pracę. Należy robić to, co cię uszczęśliwia, mówili sobie; żyje się tylko raz, przytaczali banalne stwierdzenie, jakby je dopiero odkryli. Tak, życie jest za krótkie, aby tracić czas z niewłaściwą osobą, w niewłaściwej pracy czy w niewłaściwym miejscu, stwierdzili zgodnie. Kiedy Alex powiedział Zoe, że ma cudowny śmiech, seksowny uśmiech – a także – kształtny nos, postanowiła mu uwierzyć. Pocałowali się w pubie; z jej inicjatywy. Podążając za impulsem, spontanicznie przechyliła się nad stolikiem i dotknęła ustami jego warg, gdy z zaraźliwym entuzjazmem rozvodził się o swojej miłości do muzyki. Na zewnątrz znowu się pocałowali. Już mniej skrępowani w miękkiej poświacie ulicznych lamp, przywarli do siebie, szeptem deklarując intencje i pragnienia.

Całowali się przed przeszkloną fasadą stacji Blackfriars Underground, gdzie wszyscy mogli ich widzieć. W zawziętym pocałunku zderzali się zębami. Zoe fizycznie wyczuwała tłumioną frustrację przyciskającego ją do siebie Alexa, gdy miejski tłum sunął obok nich w siąpiącym deszczu na stację, aby złapać ostatnią kolejkę do domu. Ze śmiechem przyjęli okrzyki i gwizdy grupki podpitych mężczyzn, dopingujących ich, żeby „sobie nie żalowali”. Potem zbiegli na peron po ruchomych schodach – ona chwiejnie na wysokich obcasach – i gdy z głośnika padł komunikat „Proszę odsunąć się od drzwi”, pocałowali się jeszcze raz, zanim Zoe wskoczyła do pociągu wiozącego ją na północ do mieszkania, które dzieliła z Vicky, zostawiając na peronie Alexa, który zmierzał na zachód do wspólnego łóżka z Ines.

Potem były kolejne randki, więcej pocałunków i więcej ostatnich pociągów do domu. Zdarzały się też sprzeczki z powodu niespełnionych obietnic i zapewnień.

– Są komplikacje – tłumaczył się Alex.

Ilekcioć poruszał temat wyprowadzki, Ines płakała, głodziła się, ciskała przedmiotami, groziła, że nałyka się tabletek. I co w takiej sytuacji miał zrobić? Powiedzieć jej: Proszę bardzo? Kłamiesz? Próbujesz mną manipulować? A jeśli ona mówi poważnie? Co by było, gdyby pozwolił tej germańskiej dzidirze skoczyć z Mostu Waterloo ?

– Rób, jak uważasz – mówiła Zoe, bo nic więcej jej nie pozostawało. Nie akceptowała tej sytuacji, ale też nie stawiała ultimatum. – To twoje życie, twój wybór.

Dalej spotykali się w tym samym obskurnym pubie, lecz już z mniejszym entuzjazmem. Owszem, ciągnęło ich do siebie, nadal flirtowali, zwierali się, śmiali i czasem całowali. Był też w tym wszystkim pewien dramatyzm. Niewątpliwie ekscytujący, a jednocześnie męczący i niszczący szczerą empatię, a więc to, co tak ich ujęło podczas pierwszego spotkania. Zoe czuła, że postępuje jak idiotka; była odskocznią, przygodą na boku. Alex cierpiał katusze, bił się w piersi i użalał nad sobą, a potem jechał do darmowej mety w Chelsea i do pięknej Ines. Zoe przestała odpowiadać na esemesy i maile. Na niektóre, nie wszystkie. Wymawiała się, gdy proponował spotkanie, poszła na randkę z innym facetem, przespała się z nim i natychmiast tego pożałowała, bo hmm... nie miała w domu Niemki, do której mógłby wrócić, i to było łatwe. Nigdy nie przyznała się Alexowi do tego skoku w bok (i do dziś nie zamierza tego robić); nie jego sprawa, skoro sam był z kobietą. Na Boże Narodzenie wymienili maile, lakoniczne, uprzejme i prawdopodobnie ostatnie. A potem niespodziewanie gdzieś w połowie stycznia przyszedł esemes od Alexa.

Samotny poszukuje prawniczki, która chciałaby chodzić na podłe wino, obściskiwac się publicznie, opowiadać pieprzne kawałki i wariacko chichotać. Uroczy uśmiech mile widziany. Niemki wykluczone.

To było dwa lata i dziewięć miesięcy temu.



Zoe siedzi na brzegu łóżka w samej bieliźnie (w komplecie w brzoskwiniowo-różowym kolorze, bez pozaciąganych nitek) i nakłada makijaż. Zerka na zegar; minęła jedenasta. Nie wie dokładnie, o której Alex wyszedł, ale na pewno nie ma go już z godzinę, a może nawet dwie. Doświadcza czegoś w rodzaju mentalnego dreszczu, odsuwa od siebie myśl, której nie chce przyjąć do wiadomości.

Alex ostatnio jest... jaki?... dziwny? Zachowuje się jakoś inaczej. Przycichł, wydaje się zamyślony i... jak na siebie, zrobił się niezwykle troskliwy, przynajmniej ona tak to odbiera – bez szemrania gotuje, sprząta, jest uczynny (podam ci śniadanie do łóżka). Zupełnie jakby miał coś na sumieniu. W ubiegłą środę wrócił z pubu, gdy ona oglądała komedię romantyczną. Spodziewała się, że będzie hałaśliwy, namolny, zalatujący piwskim i w ogóle irytujący, a tymczasem on wsunął się do domu na palcach, wyszeptał przeprosiny i cmoknął ją w policzek w drodze do kuchni, gdy szedł odgrzać sobie w mikrofalce resztki z obiadu. Na wszelki wypadek podkręciła głośność w telewizorze, ale on usiadł na drugim końcu kanapy, jadł w milczeniu, od czasu do czasu zerkając na wyświetlacz swojego telefonu, jakby nie chciał jej przeszkadzać. O ironio, to zachowanie bardziej ją rozproszyło niż spodziewany grad pytań, wtrętów i kąśliwych komentarzy na temat tego, co dzieje się na ekranie. Jeszcze przed końcem filmu posprzątał po sobie i poszedł na górę umyć zęby. Kiedy dołączyła do niego w sypialni, znalazła go w łóżku z książką. Pogadali pięć minut, Alex nie był ani mrukiwy, ani też szczególnie wylewny. Odpowiadał na pytania i zapytał, jak minął jej dzień, lecz myślami błądził daleko. W ciemnościach sypialni, z Alexem śpiącym u boku, przywołała w pamięci scenę z filmu, gdy bohaterka odkrywa, że jej wiarygodny, wierny – nudny nawet – chłopak zdradza ją prawie od roku. To skojarzenie pojawiło się jak nieproszony gość na przyjęciu i Zoe, wstrzymując oddech, za wszelką cenę starała się je odpędzić.

To był film, a to jest jej życie, i Alex nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

Czego by nie zrobił, Zoe?

Wpatruje się w swoje odbicie w lusterku puderniczki.

Czy on mnie zdradza?

Nie wierzy, ale to oczywiście możliwe. Bardziej prawdopodobne, że po prawie roku mieszkania razem popadł w rutynę. Albo jest znudzony. To możliwe, bo czyż ona też nie traktuje ich związku rutynowo? Wszyscy wiemy, co robią znudzeni mężczyźni, podszeptuje niechciany gość.

A jeśli ją zdradza? Jakby to przyjęła? Prawdę mówiąc, nie jest do końca pewna. Oczywiście czułaby się oszukana, byłaby zażenowana, wkurzona... Ale kto wie – może dlatego woli nie analizować tej ewentualności – czy przypadkiem nie poczułaby ulgi. Nie byłoby mowy o drugiej szansie. Jej umysł – wyraźnie bez woli od właścicielki – skupia się na konsekwencjach i logistyce rozstania; zmywarka; kanapa; ozdobne poduszki; kubki z nadrukiem w płytce ze scrabble, pojedyncze A i samotne Z. Wbrew jej chęci przez głowę przelatują chaotycznie nieproszone myśli. Zostawił dla ciebie dziewczynę. Nieprawda; zostawił ją, bo sam tego chciał. Ale oszukiwał ją przez ciebie, nie było tak? Zastanawia się nad karafką, prezencie na otwarcie domu od swoich rodziców – jasne, to ona ma do niej prawo, chociaż

tylko Alexowi chce się do niej przelewać wino. Pościel – ktoś powinien ją wziąć i spać pod kołdrą, którą razem kupili. Ta druga osoba będzie musiała wydać dziewięćdziesiąt funtów na nowy komplet bielizny pościelowej. A co z kosztami utrzymania? Czy Alex dałby radę sam spłacać hipotekę? On może tak, ale ona na pewno nie. Spłaciłby Zoe czy sprzedaliby dom? Czy ona może go zmusić do sprzedaży, gdyby się sprzeciwił?

Zoe, co z tobą? To jakieś abstrakcyjne lęki czy coś poważniejszego? Nie ma pojęcia i co gorsza, nie wie, jak się tego dowiedzieć. I dlaczego dopiero teraz? Czemu teraz, a nie przed podpisaniem umowy na sześciocyfrową pożyczkę hipoteczną rozłożoną na dwadzieścia pięć lat.

Pracowała mniej więcej od roku w nowym miejscu, gdy Alex po raz pierwszy wspomniał o wspólnym kupnie domu. Przy okazji przypomina sobie, jak ją wspierał – materialnie i psychicznie – w tamtym przerażającym, przejściowym okresie. Wpadła w ekscytację, trzymając w ręce swoją pierwszą książeczkę z obrazkami. Autor zaakceptował jeden z jej pomysłów i dołożył trzmielowi okulary przeciwsłoneczne w kształcie serduszek. Podczas akcji promocyjnej, gdy czytał fragmenty książki w bibliotekach i na targach, razem rozdawali dzieciom serduszkowe okulary. Widok zasłuchanych dzieciaków – zachwyt na ich pyzaty buziach, chichoty i pochlipywanie w zależności od kolei losów bohaterów – obudził w niej silny instynkt kwoki. Za każdym razem, gdy brała do ręki egzemplarz *Pracowitej pszczołki*, oczyma duszy widziała, jak czyta ją swojemu dziecku (córeczce), zaznaczając, że te okulary to mamusia wymyśliła. Tak więc, gdy Alex powiedział: „Kupmy sobie dom”, pierwszą sprawą, jaka przyszła jej do głowy, było macierzyństwo. Nie myślała ani o hipotece, ani o ślubie, nie planowała, gdzie zamieszkają czy jakie talerze kupią, tylko w wyobraźni urządziła dziecięcy pokój. Bo czy nie o to chodzi w nowym domu? Może dlatego tak ochoczo się zgodziła.

Może dlatego, a może z powodu zapachu.

Mieszkali wtedy razem od niemal dwóch lat w wynajętym, niedużym mieszkaniu z dwiema sypialniami. Para zajmująca mieszkanie naprzeciwko dzień w dzień się kłóciła i trzaskała drzwiami. Pod nimi nepalska rodzina przynajmniej dwa razy w tygodniu gotowała coś z rybich głów, nasycając każdy centymetr kwadratowy powietrza przykrym morskim zapachem, który gęstniał i rzedniał, ale nigdy do końca nie znikał. Zoe podejrzewała, że wszystkie jej ubrania muszą zalatywać tą odrażającą wonią, ale tak zdążyła do niej przywyknąć, że nie miała pewności. Któregoś listopadowego wieczoru, gdy zza ściany dochodziły odgłosy zażartej kłótni, a schodami walił do góry smród rybich wnętrzności, Alex stwierdził, że powinni pomyśleć o własnych czterech kątach.

Zoe przyjęła jego słowa ze śmiechem, zakładając, że do tej uwagi sprowokowało go to, co akurat wokół nich się działo.

- Czy to dowcip z rybami w tle?
- Co?
- Fetor. Dorsz, łupacz i te flądry z piętra niżej.

Alex parsknął śmiechem i pocałował ją jak zakochany.

– Własny kąt. Wspólnymi siłami.

– Wspólnymi siłami?

– Z naszych pensji. Dalibyśmy radę; stać nas na pożyczkę na mieszkanie albo na nieduży dom.

– Mówisz poważnie?

– Sama zobacz. To, co udało mi się odłożyć, wystarczy na połowę zaliczki. Ale...

– Uniósł brwi.

Alex nieźle zarabiał i dostawał znaczną roczną premię. Był roztropny; odkąd zaczął pracować, oszczędzał i inwestował. Za to ona miała mnóstwo eleganckich butów i drogich torebek.

– Ja nie mam więcej niż parę tysięcy.

– A twoi starzy?

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Z góry wiedziała, że poprosi rodziców, a oni nie odmówią. Oczywiście potraktuje to jako pożyczkę, taką bez konieczności szybkiej spłaty i bez odsetek. Jednak uznała, że przynajmniej wypada jej poudawać przed Alexem, że sprawa nie jest przesądzona. Jego ojciec zmarł, kiedy on miał dwanaście lat, matka ledwo wiązała koniec z końcem, wychowując samotnie jego i brata. Dorabiała w kilku miejscach, brała do domu prasowanie, kupowała przecenione produkty albo takie w uszkodzonych opakowaniach z obniżoną ceną, żeby skromne środki wystarczały na dłużej.

– Porozmawiam z nimi – obiecała.

Niestety, nawet z pożyczką od rodziców możliwości wyboru mieli ograniczone. Przez wiele miesięcy wieczorami i w weekendy oglądali zaniedbane mieszkania i zapuszczone domy w sporej odległości od ostatnich przystanków różnych linii metra. W języku agentów nieruchomości określano je jako „do remontu dla kreatywnych”. Miejsca, w których nabywcy mogli wykazać się wyobraźnią i nadać im „indywidualny charakter”. Pomimo wszechobecnej łuszczącej się farby, ohydnych tapet i powycieranych wykładzin przeżywali ekscytujący okres. Zatrzymywali się w obskurnych pubach i nad drinkiem robili notatki na formularzach z biur nieruchomości, koncentrując się nie tyle na wizji, co pragmatycznie przymykając oko na ponure typy kręcące się po smętnych ulicach, gdzie przeważały sklepy z rzeczami za jednego funta, punkty zakładów bukmacherskich i witryny zamalowane białą farbą. Równoważąc zmienne w swoim ograniczonym równaniu – wielkość, lokalizacja, poziom dewastacji – zdecydowali się na „przytulny” dom w dość opłakanym stanie, ale możliwy do wyremontowania, który od modnej dzielnicy z kultowymi barami dzieliły dwa przystanki metrem albo długi spacer. Co prawda nie było tam Starbucksa ani delikatesów ze zdrową żywnością, ale mieli do dyspozycji Sainsbury’s Local i dwie w miarę przyzwoite kawiarnie. Za wyborem przemawiała również obecność licznej grupy „ludzi naszego pokroju”, jak określał ich Alex, czyli młodych wykształconych profesjonalistów w szykownych butach, wracających do domu z intratnej pracy, którzy dzięki swojemu zbiorowemu optymizmowi

oraz skłonności do picia porządnej kawy wywindują dzielnicę do poziomu sąsiednich.

Dziecko się nie zmaterializowało. Nie miało jak; przede wszystkim należało odstawić tabletkę, wcześniej decydując się na omówienie tego kroku z mężczyzną, który dostarczy połowę genetycznego materiału. Zoe nie była gotowa na taką rozmowę; jej macierzyńskie zapędy minęły, wyparte przez bardziej praktyczne problemy – podwyżkę płacy, okna do wymiany i ciekące krany. I być może przez konieczność samookreślenia. O małżeństwie nie rozmawiali inaczej niż w zawołany sposób, ale przecież byli ze sobą zaledwie dziewięć miesięcy. I to był kolejny temat, z którego podjęciem Zoe się nie spieszyło. Owszem, chciała tego wszystkiego – męża, dziecka, rodziny – ale... najpierw wolała załatwić chociażby problem wykładzin.

Pamięta dokładnie tamten dzień, gdy się tu wprowadzili, i uśmiecha się na to wspomnienie. Na kolację mieli rybę z frytkami i szampan pity w filiżankach do kawy. Pamięta, jak Alex powiedział, że „umyje naczynia”, po czym zgniótł tacki po frytkach i nonszalancko rzucił je za siebie. Zanim dostarczono łóżko, przez dwa tygodnie spali na dmuchanym materacu. Co wieczór Alex zapraszał ją „aby się wspięła na Statek Miłości”. Z materaca powoli schodziło powietrze i jeżeli spali dłużej niż siedem godzin, budzili się na twardej podłodze. Pół dnia zajęło im poskładanie nowego łóżka; Alex dorobił się odcisków na dłoniach od uchwytu tandetnego śrubokrętu. Wieczorem Zoe pokryła pocałunkami obolałe miejsca, co okazało się rozwojowe. Czy po to cztery godziny składali to łóżko, żeby kochać się na wyboistej kanapie, śmiali się później. Kiedy wspomina tamte momenty zwykłej czułości i spontanicznej bliskości, czuje wyłącznie miłość. Skup się na jasnych stronach, mówi sobie. Zapomnij o łaciatej ścianie w sypialni, o skrzypiących deskach, o paście do zębów na lustrze w łazience – myśl o tym, jak pocałował cię dziś rano, jak patrzy na ciebie, gdy jest napalony, wspominaj romantyczne gesty (szlak z drażetek M&M's w Walentynki od drzwi wejściowych do sypialni, gdzie jej mężczyzna czekał na nią z butelką szampana na nocnym stoliku. Śmieszne, ale przecież o to chodziło). Skup się na jego włosach, na kształtnej pupie piłkarza i na tym, że wstał pierwszy, żeby ci podać śniadanie do łóżka. Obojętnie, co będzie dalej.

# Henry

## *Kamienne schody nie skrzypią*

Wieczorem za trawnikiem do krykieta widział z daleka Bobbi. Ona teraz mieszka w Hiszpanii, przyjechała, bo jest jedną z druchen April. Henry zastanawia się, w jakiej sukni wystąpi; czy pokaże rowek w głębokim dekolcie? Wyeksponuje kształtne plecy i ramiona?

Podczas kolacji Brian się uparł, że do obowiązków drużby należy wypijanie wszystkiego, co odpuszcza pan młody. Już przed dziesiątą odbijał się od ścian i pojawiło się niebezpieczeństwo, że trafi łokciem w którąś z beczennych waz. Henry wraz z ojcem, wprawionym w sztuce wyprowadzania pijaków, zaholowali Briana do łóżka. Gdy wracali na dół do towarzystwa, Duże Buty zarzucił mu ciężką rękę na ramiona. Henry pamięta, jak w dzieciństwie go prosił, żeby pokazał mu muskuły. Wrył mu się w pamięć tamten nabożny podziw, gdy biceps zmieniał się w twardą masę mięśni, imponującą i groźną niczym armatnia kula.

Clive Smith odwrócił ku sobie twarz syna i pogładził go po policzku. Ten gest zdawał się mówić: Dasz sobie radę, chłopcze. Wszystko się ułoży. Potem ojciec skręcił do toalety i Henry chyba po raz pierwszy tego dnia został sam. Dotąd cały czas otaczali go ludzie; pozował do zdjęć, zabawiał gości, rozsyłał uśmiechy. Ta krótka chwila samotności podziałała na niego jak zimny prysznic. Zamiast dołączyć do kurczącej się grupy biesiadników, zawrócił i wymknął się bocznymi drzwiami na dwór. Był ciekaw, czy April nachodzą podobne myśli jak jego, i miał nadzieję, że nie. Pewnie już leżała w łóżku ze zmytym makijażem i z włosami zaplecionymi w warkocz, żeby się nie splątały. Na dworze panował ziąb. Dygotał, ale obszedł frontowy trawnik, trzymając się blisko żywopłotu, żeby nie rzucać się w oczy. Oddalał się coraz bardziej od zamku i zastanawiał, jak długo człowiek może wytrzymać na takim zimnie – temperatura spadła do dwóch, góra trzech stopni – w samych tylko dzinsach i koszulce. Ostre powietrze działało orzeźwiająco, wrażenie igiełek kłujących go w głowę i w plecy sprawiało przyjemność. Cały czas parł przed siebie i zatrzymał się dopiero nad stawem z karpami koi na skraju posiadłości.

Teraz oczyma wyobraźni widzi siebie, jak chyłkiem obchodzi trawnik, podświadomie myśląc o ucieczce. Zimny wiatr wciska się do pokoju przez stare okna z szybkami w kształcie rombów. Pulower Henry'ego na fotelu pod oknem wygląda jak zwinięty szary kot. Naciąga go na siebie, cały czas wpatrując się w ciemność.

Gdy zbliżał się do stawu, zatrzymał się na widok zarysu sylwetki. Ktoś, jakaś kobieta siedziała na ławce. Czyżby April zdecydowała się na nocny spacer?

Zastygł i wstrzymując oddech, myślał, czy nie powinien się dyskretnie wycofać. Dopiero gdy oczy nawykły mu do mroku, kształt na ławce przybrał znajomą postać Bobbi. Włosy zdążyły jej odrosnąć i niesforne loki wiły się na wszystkie strony. Henry wypuścił wstrzymywany oddech.

– Penelope – odezwała się, odwracając do niego. – Co ty tu robisz?

– Marznę.

Bobbi, owinięta w ciepły płaszcz, klepnęła ławkę tuż przy sobie.

– Chodź.

Henry usiadł, a ona objęła go i pocałowała mocno, a jednocześnie niewinnie w policzek.

– Boże, jak sopel lodu.

– Jestem twardym facetem.

– Chyba w marzeniach. Denerwujesz się?

– Już na to za późno – odparł ze śmiechem.

– Skoro tak mówisz, Penelope.

Jedyne, czego w tamtej chwili pragnął, to zerznąć Bobbi tam, na tym zimnym błocie. Wydawało mu się, że jej ciało komunikuje tę samą potrzebę. Był pewien, że gdyby odwrócił się do niej, wplótł palce w jej loki i przybliżył twarz Bobbi do swojej, odpowiedziałyby, wpychając mu język w usta i napierając ciałem na niego. Rozpiąłby jej dzinsy, ściągnął je poniżej rowka pomiędzy pośladkami, zsunął na dół i w milczeniu, bez słowa przestrogi czy zachęty z którejkolwiek ze stron pieprzyliby się, mając księżyc za świadka. Potem poprawiliby ubrania, pocałowaliby się jak starzy przyjaciele, nigdy nie wracając ani nie przyznając się do tego, co zaszło. Rano ona jak gdyby nigdy nic uśmiechałaby się do niego, a on może nawet miałby wątpliwości, czy rzeczywiście między nimi do czegoś doszło.

– Robi się późno – odezwał się Henry, czując, jak jej ciepło przenika do niego przez warstwy ubrania.

– Uhum – przyznała Bobbi gardłowym pomrukiem.

Chciał ją pocałować na dobranoc, tylko cmoknąć w policzek, ale nie miał odwagi. Podniósł się z ławki, wrócił do zamku i dołączył do biesiadników. Wlał w siebie dwie spore porcje whiskey, pożegnał się, szczerząc zęby w głupawym uśmiechu i ruszył ciężko po schodach, oświadczając niedopitym maruderom, że musi „złapać trochę snu dla urody”.

– Już za późno! – odkrzyknęli chórem, parszając śmiechem.

Bez dwóch zdań, będzie dziś okropnie wyglądał. Patrzy na zegarek – trzecia czterdzieści dziewięć – podpuchnięte oczy pieką z braku snu.

Znowu zadaje sobie pytanie: Co gorsze, małżeństwo z niewłaściwą kobietą czy porzucenie jej w dniu ślubu?

To pytanie prowokuje następne: Właściwa kobieta to jaka?

Nie Bobbi, tyle na pewno wie. Ona chyba jest za bardzo... efemeryczna. Odleciana. A z drugiej strony, przy wszystkich swoich wadach ma to, czego brakuje April. W przeciwieństwie do jego narzeczonej tli się w niej coś dynamicznego, ożywczego, jakiś płomień. Cokolwiek to jest, April przy niej wypada blado.

Henry wie, że rezygnacja z przespania się z druzną w przedślubną noc to nie aż taki znowu powód do dumy. Niemniej jest zadowolony, że do tego nie doszło. To skomplikowałoby sprawę. Poczucie winy każe mu pozostać, myśli o zakazanym orgazmie skłania do wzięcia nóg za pas.

Oprócz rzeczy, które nosił wczoraj, ma jeszcze czystą koszulę na przedpołudnie i wypożyczony smoking na uroczystość. Na drzwiach od łazienki wisi nowiutka, ani razu nieużywana, biała koszula. Ma kurtkę, telefon i portfel oraz klucze do drzwi nowego domu, które otworzy za dwa tygodnie, gdy przeniesie świeżo poślubioną żonę przez próg.

Na niskim, zabytkowym biurku leży blok papieru z firmowym nagłówkiem zamku. Henry odsuwa krzesło, bierze do ręki długopis i zaczyna pisać. Zapełnia kartkę jednym ciągiem, potem składa ją starannie na pół, opierając się pokusie przeczytania niepojętych słów. Wstaje od biurka, rozciera zeszywniały kark i sięga po kurtkę.

W drodze do drzwi spogląda na Briana. Przyjaciół, cichy i nieruchomy jak kłoda, śpi snem zadowolonego z życia, nieskomplikowanego faceta. Henry kładzie mu dłoń na głowie, nie bardzo wiedząc, czemu to robi i co ten gest ma oznaczać. A gdyby tak się teraz obudził i zapytał Henry'ego, co on, do cholery, wyrabia?

Brian wzdycha i pojękując, przewraca się na bok, plecami do niego.

W pozbawionym okien korytarzu jest ciemno choć oko wykol i Henry, przesuwał się ku schodom, trzyma się ściany. W szkole czytali *Wielkie nadzieje* Dickensa. Powieść mu się nie podobała, ale niektóre fragmenty zachował w pamięci. Przypomina mu się, jak Pip zakradł się do piwnicy, żeby coś zwinąć – zdaje się jedzenie – i teraz on sam na myśl o kawałku wieprzowiny w cieście czuje ssanie w żołądku. Gdy Pip ukradkiem schodził po skrzypiących schodach, każdy stopień zdawał się wołać: „Stój, złodzieju!”. Henry pamięta, że jakiś typ spod ciemnej gwiazdy zagroził chłopakowi, iż jeśli nie spełni rozkazu, to on rozpruje mu brzuch, a potem wyrwie i ugotuje wątrobę. Podejrzewa, że jego spotkałoby coś równie makabrycznego, gdyby ktoś zdybał go na tych schodach.

Z pamięci Henry'go wyłania się nazwisko dobroczyńcy Pipa i postać panny Havisham, porzuconej oblubienicy, zgorzkniałej i żalosej jak jej spleśniały weselny tort.

Henry odpycha od siebie tę myśl.

Kamienne schody nie skrzypią i szczęśliwie dociera do głównego holu. Dwuskrzydłowe drewniane drzwi zabezpieczają trzy rygle: u góry, na środku i na dole; nie wiadomo, czy nie są też zamknięte na klucz. Zasuwy puszczają z trzaskiem nie większym od chrupnięcia knykci – raz, dwa, trzy. Henry rozgląda się po holu i zerka na schody; wszędzie głucha cisza. Naciska na klamkę – ciężką pętlę z kutego żelaza, szerszą niż jego pięść. Szczęk zamka odbija się echem w pustej przestrzeni. Henry i zamek wstrzymują oddech, uciekinier ma wrażenie, że słyszy bicie swojego serca. A po chwili... szmer.

Bardzo powoli odwraca głowę w stronę skrzydła, gdzie na dzisiejszą noc ulokowano rodzinę Smithów. We wnętrzu otwartych drzwi nadal cicho i ciemno

i tylko krąg światła ze stolikowej lampki oświetla przepastny, skórzany fotel z wysokim oparciem. Jego ojciec wychyla się z niego, twarz nękającą w cieniu ma pozbawioną wyrazu, czarne włosy bezładnymi kosmykami opadają mu na czoło. Wieczorem rodzice się pokłócili i w głowie Henry'ego rodzi się pytanie, czy ojca też nękały wątpliwości w przedwesełną noc. I czy gdyby mógł cofnąć czas, posłuchałby wewnętrznego głosu.

Ojciec i syn patrzą na siebie zastygli w absolutnym milczeniu. Henry zaczyna się zastanawiać, czy to, co widzi, nie jest przypadkiem snem lub jego ciemną kuzynką, halucynacją. Bierze głęboki oddech i kiwa ojcu głową. Duże Buty podnosi dłoń. Trzyma w niej szklanekę ze rżniętego szkła w jednej czwartej napełnioną bursztynowym płynem. Przechyla ją ku synowi w pożegnalnym geście i odgina się na oparcie, po czym nika w cieniu fotela. Henry wychodzi na dwór, gdzie czerni nocy rozrzedzają pierwsze oznaki nadchodzącego świtu.



# Zoe

## *Był didżejem*

Burczy jej w brzuchu, powoli zaczyna ją mdlić. Jest głodna, zbyt głodna, żeby czekać, aż Alex poda jej śniadanie do łóżka. Roztrzepuje kołdrę, spulchnia poduszki i kończy się ubierać; nakłada spodnie do kolan i koszulkę, tę, która według Alexa ładnie podkreśla biust.

Schodzi na parter, ale przystaje przed czarno-białą fotografią, jedną z pięciu wiszących na ścianie na zakolu schodów składających się z trzynastu stopni. Stoją na niej pośród kartonów w dzień przeprowadzki. Umieścili aparat Alexa na gzymsie kominka i ustawili samowyzwalacz. Kiedy migawka w pięćdziesięcioletniej leice kliknęła, Zoe akurat rozśmieszyła ją jego uwaga. (Już nie pamięta, co to było). On patrzy na nią rozbawiony i zakochany, a ona marszczy się, serdecznie śmiejąc – ma na wpeł otwarte usta i przymknięte powieki. Ponieważ nie zdążyli się upozować, ponownie nastawili samowyzwalacz, żeby cyknąć „porządną” fotkę. Gdy parę tygodni później Zoe przeglądała odbitki, właśnie to zdjęcie dała powiększyć i oprawić. Nasze miejsce na ziemi, myśli z uśmiechem.

– Wróciłeś?! – woła, zbiegając z ostatnich kilku stopni. – Alex? Skarbie?

Właściwie nie podejrzewa, że zadekował się na dole ze słuchawkami na uszach, a mimo to jest rozczarowana, nie znajdując go w salonie. Wygląda przez kuchenne okno na ich ogródek, ale tam też go nie ma. Włącza czajnik, otwiera lodówkę i lustruje jej zawartość. Są jajka, ale skończyło się masło i nie ma mleka. Jest też słoik dżemu i korytko z hummusem, które podejrzenie spuchło. Pół ogórka, jedna czerwona papryka, wysuszony i spękany kawałek żółtego sera, bo ktoś, być może ona, porządnie go nie zawinął. Pół słoiczka oliwek, musztarda, anchois, resztkę soku z jabłek oraz butelka szampana. Nie sądziła, że jeszcze się jakaś ostała; widocznie Alex skądś ją wyszperał. To już pewnie ostatni szampan z przeprowadzkowego zapasu. Może po południu wezmą go ze sobą na wycieczkę rowerami. Dostrzega niedomknięte drzwiczki zamrażarki. Ogarnia ją irytacja, którą szybko wypiera poczucie winy. W nocy swędziały ją łydki. Poskarżyła się Alexowi, a on wstał i zszedł po lód na okłady. Kolejny plus. Ilu facetów byłoby stać na coś takiego w pioruńsko zimną październikową noc?

Wkłada dwa jajka do rondelka z gotującą się wodą i wychodzi do ogródka, wyciągnąć rowery z szopy. Świeci słońce i jest ciepło jak na październik. Zjada śniadanie i wypija kubek czarnej herbaty na składanym krześle w ogrodzie. Alexa nadal ani śladu, więc kiedy kończy, odszukuje komórkę i dzwoni do niego. Dwukrotnie wybiera numer, jednak za każdym razem włącza się poczta głosowa,

zostawia mu więc dwie wiadomości, pytając – żartobliwie, bo przed nimi jeszcze cały piękny dzień i nie chce go zepsuć, wszczynając kłótnię – gdzie, do czorta, podział się z jej śniadaniem. Krąży po salonie, usiłuje odtworzyć, co tak naprawdę powiedział, wychodząc.

Podam ci śniadanie do łóżka?

A może: Wrócę na śniadanie?

Mniejsza o to, fakt, że długo go nie ma. Zdaje się, rzucił coś w rodzaju: „Wyskoczę kupić parę rzeczy”, a może powiedział: „Załatwić parę rzeczy”? Zoe nie ma pojęcia, o jakie rzeczy mogłoby chodzić. Kolejny raz nasuwa jej się ta sama myśl: A jeśli on mnie zdradza?

Niestety, powtarzanie tego pytania nie przyniesie odpowiedzi.

A może poszedł pograć w piłkę, spekuluje. Zagląda do szafki, gdzie Alex trzyma sportowy strój. Wszystko jest na swoim miejscu; oblepione błotem buty i cała reszta. Teraz już naprawdę wkurzona, dzwoni do niego po raz trzeci, a kiedy i tym razem nie odbiera, powstrzymuje się od nagrania wiadomości – nachodzi ją myśl, że może coś mu się stało, i złość miesza się z niepokojem. Dzwoni do Darrena, jego najlepszego kumpla, ale on od środy nie miał kontaktu z Alexem. Kiedy Zoe mówi mu, że od dziesiątej go nie widziała, Darren kwituje to śmiechem.

– Typowe. Pewnie wpadł na jakiegoś znajomka i stracił poczucie czasu. Wiesz, jak z nim jest.

Brzmi to całkiem realnie, ale akurat tym razem nie wydaje się prawdą. Darren wyraźnie ma chęć pogadać; zaczyna od: „A pamiętasz, jak..”, lecz ona, rozkojarzona i zdenerwowana, nie ma ochoty wysłuchiwać anegdot na temat Alexa. Ucina rozmowę, oznajmiając, że właśnie wychodzi, i rozłącza się, zanim Darren dokończy rozwlekłe pożegnania.

Serce tłucze jej się w piersi. Zoe zauważa, że wstrzymuje oddech. Zmusza się, by przestać dreptać, i stojąc spokojnie, odetchnąć głęboko parę razy. Zwariuje, jeśli będzie siedzieć w domu, dlatego postanawia przejść się po okolicy i jak zasugerował jej Darren, sprawdzić, czy Alex nie bawi w kawiarni lub w pubie. Może jest jakiś mecz w telewizji. Zoe nie ma pojęcia, kiedy zaczyna się czy kończy sezon rozgrywek piłkarskich, niemniej wydaje jej się, że bez przerwy w telewizji pokazują jakieś transmisje. Nie potrafi zliczyć, ile razy Alex, przechodząc z nią obok pubu, zatrzymywał się, żeby popatrzeć przez szybę na duży ekran: „Tylko sprawdzam wynik, kiciu”. Bywało też, że z rozbijającym uśmiechem, przechylając zabawnie głowę, kusił ją, aby weszli na drinka i obejrzel resztę meczu.

Czując się obnażona w przyciasnej koszulce, naciąga sweter, zabiera klucze oraz telefon i wychodzi na dwór. Gdy dociera do głównej ulicy, ma dwie możliwości: albo skierować się w górę, w stronę stacji metra, gdzie są nowo otwarte delikatesy ze zdrową żywnością i elegancko odnowiony pub z gatunkowym piwem, albo pójść w przeciwnym kierunku, w dół, tam gdzie jest Aldi i ulubiony przez miejscowych, nieco szemrany pub. (Pierwszy raz dostrzegła prawidłowość dotyczącą góry i dołu). Czy Alex poszedłby po zakupy na śniadanie

do Aldiego czy do delikatesów? A jeżeli ogląda mecz, to gdzie jest włączony telewizor – w tamtej spelunce czy w hipsterskim pubie? A może i tu, i tam? Skręca w prawo i idzie po łagodnie wznoszącym się chodniku. Po jej stronie ulicy samochody poruszają się swobodnie, natomiast w przeciwnym kierunku korek ciągnie się do połowy wzniesienia.

W odległości jakichś pięćdziesięciu metrów od delikatesów widzi samochód policyjny. Funkcjonariusz w mundurze stoi niedbale oparty o biały van i rozmawia z mężczyzną w pomarańczowym kombinezonie z odblaskami. Serce zaczyna jej łomotać, przyspiesza kroku – odsuwa od siebie wszelkie myśli, chce jedynie jak najszybciej tam dotrzeć, nie podbiegając. Mężczyźni sprawiają wrażenie spokojnych, nie ma migających świateł, nie słychać wycia syreny, lecz część ulicy jest zagrodzona biało-niebieską taśmą. Zoe rozgląda się za ambulansem, ale go nigdzie nie widzi. Policjantka w kamizelce odbłaskowej stoi na środku jezdni i przepuszcza samochody, a inny mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie ustawia jakieś urządzenie na trójnogu. Czyżby pękła rura czy coś w tym rodzaju, zastanawia się Zoe – ale po co w takim razie policja?

Dopiero kiedy podchodzi bliżej, zwraca uwagę na stojących na chodniku ludzi, którzy z poważnymi minami wymieniają uwagi, spoglądając w kierunku wygrodzonego taśmą odcinka ulicy. Leżą tam porozrzucane w poprzek jezdni kawałki pomarańczowego i żółtego szkła. Ślady hamowania czterech kół są obrysowane białą kredą. Jakiś płyn, nie krew, rozlany na suchym asfalcie wygląda złowieszczo.

Zoe, jakby nagle budząc się ze snu – a może z koszmaru – zauważa, że zastygła w miejscu. Odwraca się i rusza do policjanta przy vanie, a on prostuje się jak przyłapany na nieregulaminowym zachowaniu. Nie odrywa wzroku od zbliżającej się do niego dziewczyny, a robotnik w kombinezonie odchodzi i dołącza do swojego kolegi z trójnogiem.

– W czym mogę pani pomóc?

– Co się stało?

– Wypadek.

– Jaki wypadek? Ktoś został ranny?

– Pani cała się trzęsie. Lepiej, żeby pani usiadła.

– Mój chłopak – zaczyna Zoe. – Wyszedł z domu przed paroma godzinami. I... co się tutaj stało?

Policjant bierze ją pod łokieć i prowadzi do radiowozu; otwiera drzwi po stronie pasażera i Zoe wsiada, nie czekając na zaproszenie. Funkcjonariusz obchodzi samochód przed maską i opada na fotel obok niej.

Zoe odwraca się do niego – mężczyzna zdążył zdjąć czapkę – i teraz widzi, że przedwcześnie wyłysiał. Alexowi włosy zaczynają się przerzedzać w podobnych miejscach; za dwa lata będzie mieć ich tak samo mało.

– Czy ktoś... – Nie ma siły dokończyć, ale policjant rozumie. Kiwa głową.

– Może pani opisać swojego chłopaka? – pyta.

– On... – Zoe nie poznaje własnego głosu. – On był didżejem.

## **Część druga**

# Henry

## *Cegła obwiązana wstążką*

Jest po północy i tylko ja zakłócam ciszę i rozpraszam czerń okolicznych pól. Osiem dni temu porzuciłem narzeczoną przed ołtarzem, a mam takie wrażenie, jakby to zrobił ktoś inny; aktor w sztuce, ktoś, jakiś on. Nie ja. W życiu nie mógłbym tak postąpić. Chwytam w światła reflektorów lisie, a może kocie ślepie. Aha, to ty, widzimy cię, Henry Smisie.

Tak, to ja; potajemnie jadę do domu pod osłoną nocy, podobnie jak ponad tydzień temu chyłkiem uciekłem od April. Gdy wypożyczonym samochodem wyłaniam się z tunelu starych dębów, złączonych koronami nad wąską drogą, wjeżdżam na rozwidlenie; na lewo dojadę do zamku, na prawo na stację i do wsi. Zimny, mdlący niepokój wypełnia mi trzewia.

Co ty sobie myślałeś?

Co ty sobie myślisz?

Wyłączam silnik i cisza otula mnie jak zarzucona peleryna. W przeszłości dokładnie o tej porze pruliśmy po ciemku tymi drogami – ja, Brian i inni chłopcy. Upakowani po pięciu, sześciu do samochodu, na łysych oponach, z wariacką prędkością pokonywaliśmy czarne zakręty. Gdyby ktoś wyjechał nam z naprzeciwka, zakład pogrzebowy miałby pracowity tydzień, ale jakoś nigdy nic się nie stało. Raz, gdy jechaliśmy tędy cortiną Walniętego George'a, on zdjął ręce z kierownicy i zakrył sobie oczy. Samochód zarzuciło na skraj drogi, złapałem więc za kierownicę, a wtedy George wydarł się na mnie i uderzył pięścią w ucho. Potem jak gdyby nigdy nic, dowcipkował i częstował wszystkich papierosami.

Tydzień temu, gdy szedłem tą monotonną drogą, ciężko sapiąc, oddech huczał mi w uszach jak morskie fale i zastanawiałem się, czy usłyszę nadjeżdżający samochód, zanim zdąży wypruć ze mnie flaki. Zamknąłem oczy i naliczywszy dwadzieścia trzy kroki, poślizgnąłem się na czymś mokrym i wpadłem w kępę janowca. Wygrzebałem się z krzaków z podrapanym policzkiem oraz z nogą skreconą w kostce.

Siedząc teraz w samochodzie z wyłączonym silnikiem, wciskam do oporu pedał hamulca i czuję, jak ostry ból przeszywa kostkę. Przekręcam kluczyk w stacyjce, wrzucam bieg i skręcam w prawo, do domu. O ile nadal to mój dom.

Tydzień temu wsiadłem do pierwszego pociągu, jaki stanął na stacji, nie przejmując się, dokąd trafię. Już za dnia, o ósmej trzydzieści, dojechałem na dworzec Liverpool Lime Street, a tam, niewiele myśląc, przesiadłem się na pociąg, który dowiózł mnie na lotnisko w Manchesterze. Dużo czasu i samotność sprzyjały rozważaniom, dlaczego akurat tam jadę. Nie znalazłem lepszego

wytłumaczenia poza tym, że było to po prostu drugie z kolei miejsce, gdzie miałem się znaleźć. Jakbym mógł złagodzić rejteradę sprzed ołtarza, stawiając się przynajmniej na dworcu. Nasz samolot na miesiąc miodowy odlatywał za półtora dnia, ale nie miałem ani odpowiednich środków, ani zamiaru do niego wsiadać, a jednocześnie musiałem gdzieś się podziać. Wynająłem więc pokój w Hiltonie przy lotnisku i natychmiast po otwarciu drzwi skorzystałem z barku. Kiedy wyszedłem spod prysznic, ekran mojej komórki pękał w szwach od nieodebranych połączeń oraz wiadomości od Briana i matki. Ich treść ewoluowała od niepokoju poprzez gniew i niedowierzanie po groźby. Odsłuchałem je wszystkie dwukrotnie. Wynikało z nich, że Brian zasnął, i kiedy obaj nie stawiliśmy się na śniadanie, zgodnie przyjęto, że zatrzymały nas jakieś szczególne sprawy „pomiędzy panem młodym i drużbą”. Dopiero gdy Duże Buty, waląc do drzwi, o mało nie wyrwał ich z zawiasów, wyszło na jaw, że Henry Smith opuścił budynek. List został odnaleziony, lecz na razie jego treść znali jedynie moi rodzice i Brian.

Wysłałem ten sam esemes do mojego drużby i do matki:

Przykro mi, ale to ponad moje siły. Jestem bezpieczny, zadzwonię za jakiś czas. Przepraszam.

Któreś z nich będzie musiało podać dalej tę wiadomość, bo okazałem się zbyt dużym tchórzem, żeby załatwić to osobiście. Teraz już nie było odwrotu. Dosłownie po paru sekundach mój telefon znowu zadzwonił. Tak będzie przez cały dzień i nic tego nie zmieni. Jezu Chryste, czy oni przypadkiem nie mogą mnie namierzyć za pomocą tego ustrojstwa? Owinąłem komórkę w ręcznik i waliłem nią o brzeg umywalki, dopóki nie przełamała się na pół przy brzęku tłukącego się szkła. A potem zwymiotowałem dwa piwa z barku i paczkę orzeszków, które zjadłem na śniadanie.

Obok stacji zwalniam poniżej dwudziestu na godzinę. Osiem dni w całkowitej izolacji w manchesterskim Hiltonie, wypełnionych zamawianiem posiłków do pokoju i opróżnianiem barku, zdawało się wiecznością. Teraz, zbliżając się do wsi, gdzie niewątpliwie uchodzę za najbardziej znienawidzonego osobnika, wiem, że tydzień i jeden dzień, to zaledwie chwila.

Kiedy wjeżdżam na parking za pubem ojca, światła reflektorów wynajętego samochodu wychwytyują moje własne auto. Stoi na jednym z trzech miejsc parkingowych zarezerwowanych dla personelu. Czuję ulgę i jednocześnie zaskoczenie; na pierwszy rzut oka szyby wydają się całe, a opony nietknięte. Coś leży na masce; to cegła obwiązana różową wstążką. W jednej chwili temperatura zdaje się spadać o dziesięć stopni. Ustawiam wypożyczony samochód na końcu parkingu i podchodzę do swojego auta, trzyletniego audi, którego zakup uznałem za niemądry kaprys, a teraz na jego widok z weselnym prezentem na masce od niedoszłego teścia jedynie utwierdzam się w tym przekonaniu.

Z wahaniem podnoszę cegłę i przesuwam palcami po odkrytym lakierze – nie czuję zadrapań. Dopiero gdy obchodzę samochód, żeby sprawdzić opony, widzę

z boku dwie równoległe rysy biegnące przez całą długość karoserii, wyryte, jak mi się zdaje, narożnikami cegły. Tak samo wygląda drugi bok; dwie krechy, przypominające pasy kalkomanii na cortinie Walniętego George'a, co według niego miało podrasować jej wygląd.

– Chyba się trochę spóźniłeś? – odzywa się opryskliwy głos. Odwracam się gwałtownie i w drzwiach na zapleczu pubu widzę ojca. Stoi w pizamie, włosy ma potargane.

– Tata.

Ojciec przykłada palec do ust i ruchem głowy daje mi znak, żebym wszedł do środka.

– Drinka?

Kiwam głową i kładę cegłę na barze, a ojciec w tym czasie nalewa dwie duże whiskey. Podaje mi drinka i trąca się ze mną swoją szklanką, zanim wypije pierwszy łyk.

– No – zaczyna, patrząc na cegłę z kokardą – zabrałbym ją do domu, ale matka... – Wzrusza ramionami. – Uznała, że powinienesz to zobaczyć.

– Śpi?

Kiwa głową i wychyla połowę zawartości szklanki.

– Jak poszło?

Ojciec śmieje się cicho.

– A jak myślisz?

– Narobiłem trochę bałaganu, nie?

– Tylko trochę. Tej miłej dziewczynie też.

– Wiem, ale...

Ojciec zdaje się patrzeć przeze mnie tak samo, jak wtedy w nocy w zamku. Kładł się spać ze świadomością, co będzie się działo w dzień. Rano, gdy matka, cała w skowronkach, wirowała po pokoju, on poszedł się ogolić, uczesał włosy, nałożył smoking, wiedząc lub przynajmniej podejrzewając, że to wszystko nie ma sensu.

– Tamtej nocy – mówię.

Ojciec kiwa powoli głową; trzy majestatyczne ruchy masywnej szyi.

– Przepraszam, że was na to naraziłem.

Sardonicznie unosi brwi.

– Ranek musiał być...

Otwiera usta i zaraz je zamyka, bo na górze słyhać poskrzypywanie podłogi. Zerka na sufit, kładzie mi dłoń na ramieniu i zaciska ją znacząco. Dopija whiskey, pokazuje na moją szklankę, a kiedy wysączam zawartość do ostatniej kropli, idzie z obiema szklankami za bar i nalewa nam po słusznej porcji.

Kroki na schodach i głos matki:

– Clive?

– Tutaj. – Spogląda na mnie, kiwa głową i bezgłośnie pyta: Okej? Odpowiadam skinieniem głowy.

Otwierają się drzwi u podnóża schodów. Mama skupia uwagę na ojcu za barem, jakby jej umysł uznał, że nie jest jeszcze gotowy oswoić się z nową

sytuacją.

– Co tu robisz? – pyta, trąc oczy. – Usłyszałam...

Teraz dopiero jej mózg przetwarza informację.

Na sekundę zastyga, odrywa dłonie od twarzy i opuszcza je powoli. Widziałem kasety z nagraniami walk ojca. Pamiętam sposób, w jaki patrzył na przeciwnika, zanim sędzia polecał pięściarzom przywitać się dotknięciem rękawic i przypominał o trzymaniu gardy. Ojciec nawet na moment nie odrywał oczu od swojego rywala i groźba, jaką potrafił przekazać za pomocą samego spojrzenia, naprawdę wytrącała z równowagi. Też stawałem na ringu i patrzyłem w oczy przeciwnikowi, który starał się, jak mógł, ukryć własny strach i wywołać u mnie panikę; czasem to działało, a czasem pod groźnym grymasem kryło się wahanie. W sposobie, w jaki w tej chwili patrzy na mnie matka, nie ma wahania.

– Mamo.

– Ty.

– Ja... ja...

– Ty.

Ojciec odkasłuje i matka powoli się do niego odwraca.

– Lepiej zrób mi drinka – rzuca.

– Co...

– Obojętnie, Clive – mówi, podchodząc do baru. – Cokolwiek.

Tata wybiera wysoką szklankę i robi dzin z tonikiem, na koniec dodaje lód i plaster cytryny. Ta celebrowana wygląda absurdalnie. Stawia drinka przed matką, która siedzi teraz przy barze, oddzielona ode mnie dwoma stołkami, jakby nie ufała sobie na tyle, aby znaleźć się obok syna na długość ramienia.

– Gdzie byłeś?

– W hotelu.

– W hotelu – prychna drwiąco. – Niektórym to służy, prawda? I co, dobrze się bawiłeś?

Już chcę odpowiedzieć, ale ojciec podchwytuje mój wzrok i powoli kręci głową.

Mama wypija łyk dzinu z tonikiem, odwraca się na stołku i chlusta we mnie resztą drinka. Jak na żonę właściciela pubu przystało bardzo dobrze celuje i zimny płyn, do ostatniej kropli, ląduje mi na twarzy. Jedna kostka lodu trafia mnie w wargę, druga odbija się od czoła.

– Jezus, mamo!

Zrywa się ze stołka i zanim zdążę się zasłonić, okłada mnie po twarzy, szyi, torsie i ramionach. Bije otwartymi dłońmi, młóci rękoma i pięściami. Krzyczy przy tym, a ja z beładnego potoku słów wyławiam jedynie powtarzające się kilkakrotnie: „Ty, ty, głupiec, skurwiel, biedna, biedna dziewczyna”.

Kiedy przestaje zasapana, nie mogę się nadziwić, jakim cudem siedzę jeszcze na stołku. Matka jest czerwona jak burak, twarz ma wilgotną od potu i łez, pasma włosów kleją się jej do policzków i czoła.

Tak jak bokser po walce wraca teraz na swój stołek. Duże Buty stawia przed nią nowy dzin z tonikiem. Widzę, że tym razem wrzucił zdecydowanie mniej kostek lodu. Trwamy wszyscy w milczeniu, czekając, aż matka złapie oddech



i postanowi, co zrobi z drinkiem. Wypija łyk, a ojciec w tym czasie dolewa mi whiskey.

– Jak mogłeś? – pyta, patrząc mi w oczy.

Jej uporczywy wzrok i głucha cisza podpowiadają mi, że nie jest to bynajmniej retoryczne pytanie. Przechodzi mi przez myśl, aby wzruszyć ramionami; wyrazić tym prostym gestem zagubienie, smutek, bezradność oraz złożoność mojego dylematu oraz decyzji. Wiem jednak, że mogłaby to odczytać jako arogancję.

– To nie było właściwe – mówię.

Matka zaciska zęby. Przeczesuje palcami włosy, odgarnia je z twarzy i zbiera niedbale w koński ogon. Bez makijażu, z zarumienionymi policzkami wygląda zachwycająco. Aż mam ochotę jej to powiedzieć.

– Niewłaściwe?

Kiwam głową.

– Henry, co, dokładnie, nie było właściwe? Mój Boże, taka dziewczyna. Urocza, miła... – Jakby odpowiadając sobie na własne pytanie, kończy w myślach wyliczanie przymiotów April.

– To jak w tych filmach, które oglądaliśmy.

Matka wypija łyk alkoholu, a potem bardzo ostrożnie odstawia szklanekę na blat.

– W filmach?

– Cary Grant – bąkam.

– O czym ty mówisz?

– Cary Grant i Rosalind Russel – podpowiadam. – Między nimi była... – Słowo, które ciśnie mi się na usta, to „chemia”, lecz podejrzewam, że ten argument by do niej nie trafił. Zerkam na ojca, a on się krzywi, jakby czytał w moich myślach i przygotowywał się na to, co powiem.

– ...było coś – kończę.

– Cary Grant? – powtarza matka. Ogląda się na męża stojącego za barem; brzuchatego faceta, zmęczonego, z przerzedzonymi włosami zwisającymi w strąkach. – Powiem ci jedną rzecz – odzywa się, skupiając na mnie całą uwagę. – Prawdziwe życie ma niewiele wspólnego z bajką.

– Przykro mi, mamó. Ja po prostu... Wybacz.

Zsuwa się ze stołka, obejmuje mnie, mocno przytula, całuje w szyję i gładzi po włosach.

– Przepraszam, że ci przyłożyłam.

– Należało mi się.

– Należy ci się znacznie więcej niż to – stwierdza, uwalniając mnie z objęć. – I pewnie ci się dostanie.

– Być może.

– A więc? – zaczyna pytająco. – Jakie masz plany?

Potrząsam głową.

– Co zamierzasz?

– Co masz na myśli? – Rozglądam się po pustym pubie. – Nie mam dokąd... sądziłem...

Matka patrzy na mnie, jakbym powiedział coś zabawnego.

– Chyba nie myślisz tutaj zostać?

– No...

– Henry, mój drogi. To wykluczone. Synku, kocham cię całym sercem – nawet jeśli jesteś beznadziejnie głupim skubańcem. Ale... tutaj? – Kręci głową ze smutkiem, a jednocześnie stanowczo. – Nie, to nie jest dobry pomysł, skarbie.

– A... co z pracą?

Parska śmiechem.

– Naprawdę sądzisz, że ktokolwiek w obrębie dwudziestu mil od tego miejsca odezwie się do ciebie? Boże, oni ci nie pozwolą nalać sobie piwa, a co dopiero mówić o leczeniu kanałowym. Synku, musisz stąd zniknąć.

Odwracam się do ojca. Wzrusza ramionami.

– Nie wiem, niemożliwe, abyś tu został. Przykro mi.

– Ja... – Podnoszę szklanę. – Piłem.

– Nastawię budzik – mówi ojciec.

– Na wcześniej rano – dopowiada matka.

## Zoe

### *Potrójna premia literowa za U*

Jesteśmy w trójkę – ja i moi rodzice – na trzech tysiącach metrów. Gramy w scrabble w góralskiej chacie z kompozytowych bali i pijemy cienkie czerwone wino (niestety, wolniej, niż bym chciała). Góry pokrywa gruba warstwa śniegu, jednak sezon narciarski jeszcze oficjalnie się nie rozpoczął i wyciągi ruszą dopiero w grudniu. Mimo wszystko mama uznała, że widoki oraz świeże powietrze dobrze mi zrobią.

– Cierpię na obstrukcję samogłosek – ogłasza tato (stary żart nad planszą z pozaginanymi rogami) i spłoszony zerka na mnie znad stojaka z literkami, czy przypadkiem tym niewinnym dowcipem mnie nie uraził albo nie zdenerwował.

Wydaję z siebie krótki, chrapliwy śmiech i kiedy ojciec opuszcza oczy na planszę, pociągam długi łyk wina, świadoma, że matka obserwuje mnie kątem oka.

– Weź parę ode mnie, chyba wszystkie trafiły do mnie – żartuję.

Mama śmieje się lekko i nakrywa dłonią mój nadgarstek.

Minęły prawie trzy tygodnie; bezładne i chaotyczne przeplatanie się żalu, szoku, poczucia winy i urzędowych spraw – tak samo przypadkowe i niepojęte jak siedem liter na stojaku przede mną.

A-U-U-I-Ć-Ż-L

Jednej litery brakuje do L-U-B-I-Ć. O jedną za mało do L-Ż-Y-Ć. Śmieszne, oba słowa zaczynają się i kończą tak samo, a tak różne mają znaczenie. O ironio, podobnie jest z życiem. Ta tragiczna zbieżność powinna wywołać u mnie spontaniczny potok łez, a jednak tak się nie dzieje. W tamtych pierwszych dniach po śmierci Alexa zasypiałam i budziłam się z płaczem. Spazmatyczny szloch wywoływał mdłości; dosłownie zbierało mi się na wymioty, gdy łkając, czułam w ustach żółć wymieszaną ze śluzem z nosa i słonymi łzami.

Od pogrzebu jest jakby lepiej. Odkąd trumna z Alexem, sunąc powoli, zniknęła w płomieniach, przede wszystkim czuję się oziębiała. Odrętwienie i poczucie winy, tak podsumowałabym ten stan.

Co prawda nikt nie powiedział mi tego w twarz, ale ogólnie wiadomo, że płaczemy nad sobą. To jedna z tych rzeczy, których doświadczamy po czyjejś śmierci. Ludzie mówią: „Szczzerze ci współczuję”, co w sumie sprowadza się do tego samego – bardziej oplakujemy naszą stratę niż tych, co odeszli.

Mówią też: „Była z was taka wspaniała para”. A ja kiwam głową, dziękuję i roniąc łzy, pozwalam się trzymać za rękę. Niestety, oni się mylą; nie było nam tak wspaniale ze sobą. Było w porządku i wywiązując się z roli, jaką mi

narzucają, wcale nie płaczę nad sobą, tylko nad Alexem.

Potrafił być miły, wrażliwy i taktowny. Był dobrym człowiekiem. Zabawnym, bystrym, wyluzowanym. Kochał matkę i brata, był lojalny wobec przyjaciół, mnie też kochał, jak sądzę, i dlatego serce mi krwawi, że jego życie tak szybko się zakończyło. Jednocześnie część mojej istoty (ta zimna i beznamiętna, za którą nie przepadam) podpowiada, że śmierć Alexa otworzyła mi wyjście z kiepskiej sytuacji. Z całej siły staram się odpędzać tę myśl i gdybym mogła przywrócić go do życia, na pewno bym to zrobiła, ale nie w tym celu, żebyśmy dalej byli razem.

– No – mówi tata i dokłada dwie litery do słowa na planszy. – Ż-L-E, ile to punktów... dwanaście, wcale nie najgorzej, patrząc na to, co mam.

A gdyby się okazało, że to wszystko jest tylko snem; gdyby zbudził mnie tupot Alexa przepychającego się z zakupami przez drzwi, z ulgi popłakałabym się w poduszkę. Zjedlibyśmy śniadanie, wybralibyśmy się rowerami na przejażdżkę, wypilibyśmy butelkę wina i być może wcześniej poszlibyśmy spać. A następnego dnia, w następnym tygodniu, ale na pewno nie później niż po miesiącu, oznajmiłabym mu, że to koniec. To wiedza zdobyta na zimno w ciągu tych strasznych dziewiętnastu dni nurzania się w żałobie i smutku. Na pewno złamałabym mu serce i wszystko wyglądałoby okropnie. Klóciłibyśmy się, obrzucali wyzwiskami, płakali, pili i oskarżali wzajemnie, pozwalając naszym najpodlejszym cechom wypłynąć na powierzchnię, aż w końcu zapałalibyśmy do siebie nienawiścią. Śmierć Alexa oszczędziła mi tego wszystkiego i dlatego, nie, wcale nie użalam się nad sobą, tylko nad nim. Ze smutku, poczucia winy i ulgi wypłakałam oczy.

– Idę po następną – mówię, biorąc pustą butelkę po winie.

– Mogę ci zrobić gorącą czekoladę – proponuje mama. – Marshmallows!

– Dzięki, ale zostanę przy winie. I tak teraz twój ruch.

Mama spogląda na tatę.

– Ja się tym zajmę – ofiaruje się. – Tylko nie zaglądalejcie do moich literek.

– Jasne – przytakuję. – Dzięki.

Gdy tata kręci się po kuchni, mama przestawia swoje litery na stojaku.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Taa. W porządku. No wiesz... jestem przygaszona... trochę... nie w sosie.

– Dzwoniłaś do pracy?

Kiwam głową.

– Wracam we wtorek. Z początku na parę godzin dziennie.

– Brzmi rozsądnie.

– Przynajmniej nie będę musiała chlipać przy współpasażerach w metrze – mówię, nie bardzo wiedząc, czy wypada żartować dwa i pół tygodnia po tym, gdy mój chłopak zginął, przechodząc przez jezdnię.

Mama zaciska dłoń na moich palcach.

– Cholerne litery – mówi.

Ona jest ambitną scrabblistką, zastanawia się dłużej niż inni, gra taktycznie i często układa trudne wyrazy. Jednak dzisiaj, patrząc na planszę ze słowami ze szkoły podstawowej, podejrzewam, że daje mi fory.

- Jest ktoś, kto mógłby u ciebie pomieszkać? – pyta.
- Tak, o ile poproszę, ale... myślę, że wolę być sama.
- Na pewno, Zoe? Przeżyłaś okropny szok... potworny szok.

Na pewno, potwierdzam kiwnięciem głową. Obawa przed samotnością zdecydowanie nie należy do przeżywanych przeze mnie emocji. Nie zasługuję na współczucie, jakim otaczają mnie ludzie. Alex umierał na poboczu drogi, a ja leżąc w łóżku, fatalnie o nim myślałam. Może już nie żył, gdy zwinęta pod ciepłym pledem, katalogowałam jego wady i przewiny. Nie należy mi się współczucie, duszę się pod jego ciężarem. Nie chcę, aby mnie chroniono i utulano, jakbym lada chwila miała się załamać. Chcę być sobą. Potrzebuję przestrzeni; niekoniecznie po to, aby rozmyślać – w ostatnim czasie wystarczająco dużo rozmyślałam – raczej po to, aby swobodnie oddychać.

Rachel dojechała do mnie do szpitala i trzymała mnie za rękę, gdy policjantka – specjalistka od rozmów z rodzinami ofiar wypadków – wypytywała mnie o Alexa: kolor włosów, ewentualne blizny, tatuaże, znaki szczególne. Właśnie do Rachel, mojej przyjaciółki od ponad dziesięciu lat, pierwszej zadzwoniłam przed pierwszą randką z Alexem. To ona mnie objęła, kiedy policjantka pokazała mi zdjęcie tatuażu na zwłokach usuniętych z jezdni kilka godzin wcześniej. Tatuaż na lewym ramieniu – tajski ideogram symbolizujący miłość. Zrobiłeś go dla Ines, twojej niemieckiej dziewczyny? – drażniłam się z nim, a on zaprzeczał, twierdząc, że dał to sobie wydziarać na fазie po haszu. Jednak nie do końca mu wierzyłam.

Potem zaprowadzili mnie do prosektorium i pracownik odchylił prześcieradło na tyle, aby pokazać mi połowę twarzy Alexa. Miał zamknięte oczy i zarost, który przydałoby się ogolić.

Noc spędziłam u Rachel; siedziałyśmy do późna, piłyśmy i chlapiąc, oglądałyśmy zdjęcia. Jej narzeczony, Steve, podał nam kolację, a potem pilnował naszych kieliszków i starał się schodzić nam z drogi. W niedzielę Vicky przywiozła mi z domu torbę pełną ubrań, bielizny i kosmetyków. Wieczorem we trzy odprawiłyśmy na kanapie ten sam rytuał czuwania. Jak bardzo to się różniło od naszych uniwersyteckich czasów, gdy śmiałyśmy się i płakały, oglądając łzawe filmy. Wtedy żadnej z nas nawet przez głowę nie przeszło, że te wymyślone dramaty mogą się przytrafić w prawdziwym życiu. Dziewczyny na zmianę chodziły do pracy, żeby nie zostawiać mnie samej. Rodzice chcieli natychmiast przyjechać, lecz perspektywa nadmiaru szczerego współczucia wprawiła mnie w przerażenie. Pojawili się dopiero w następnym weekend z furą jedzenia i z dmuchanymi materacami w bagażniku land rovera. Uparli się, że będą spać w pokoju gościnnym, a ja mam zostać w naszym łóżku. Wolałabym odwrotnie, przynajmniej byłabym zmuszona zmienić pościel, w której kochaliśmy się z Alexem zaledwie siedem dni wcześniej.

We wtorek o świcie wyruszyliśmy do Yorkshire na pogrzeb. Całą drogę siedziałam odgięta na oparciu i udawałam, że drzemię, bo nie miałam ochoty rozmawiać. Po mszy pojechaliśmy do matki Alexa. Były kanapki przesadnie posmarowane masłem, czerstwe paszteciki i bardzo dużo wina. Co rusz ktoś mi mówił: „Wyobrażam sobie, co czujesz”. A ja w myślach odpowiadałam: „Nie,

na pewno nie”.

Płonę ze wstydu na wspomnienie tamtego przedpołudnia w dzień pogrzebu, gdy siedząc z matką Alexa na łóżku w jego pokoju i płacząc razem z nią, opowiadałam, jak bardzo go kochałam i jaka jestem zrozpaczona. Szlochałyśmy przytulone do siebie, a ja doświadczałam czegoś w rodzaju eksterioryzacji, bo zajmowało mnie spekulowanie, ile czasu musi upłynąć, zanim będzie mi wypadało przestać do niej telefonować i odpowiadać na maile.

– Trzy *chocolat chaud* – melduje ojciec, stawiając tacę na stole.

– Już myślałam, że cię utraciliśmy – śmieje się mama.

Śmiech zamiera jej na ustach, gdy dociera do niej, co powiedziała. Zerka na mnie, a ja udaję, że tego nie widzę. To strategia, którą dzięki licznym powiedzonkom (śmiertelnie poważny, zabójczo piękna, umierać ze śmiechu) udało mi się po wypadku opanować do perfekcji.

– No tak – mówi mama i wyjmuje ze stojaka cztery kafelki. – Siedzieć jak M-Y-S-Z pod miotłą. Podwójna premia literowa na Y, osiem punktów.

Po pogrzebie rodzice zatrzymali się u mnie na jeszcze jedną noc. Wtedy powstał plan, żebyśmy w następny weekend zjechali się we Francji. Obiecałam, że do tego czasu będzie u mnie pomieszkiwać któraś z przyjaciółek, lecz po jedenastu dobach ciągłego matkowania mi i użalania się nade mną rozpaczliwie potrzebowałam spokoju i przestrzeni. Jak tylko rodzice odjechali, machając do mnie i posyłając całusy przez tylną szybę land rovera, zmieniłam pościel. Potem sprzątałam cały dzień i całą noc aż do rana, wycierając z kurzu cały dom, mając takie niewyraźne wrażenie, że ten kurz to ludzki naskórek; mój, rodziców i mojego zmarłego chłopaka. Z jakiegoś powodu, który nie jest dla mnie do końca jasny – być może z rozpędu – opróżniłam do czysta lodówkę, a po niej szafki. Warzywa, mleko, kartony, puszki i słoiki z przyprawami, wszelkie zapasy, oprócz jedynej butelki szampana, wylądowały w workach na śmieci. Przejechałam odkurzaczem wykładziny, umyłam okna, lustro, muszlę, umywalkę oraz zlew i przetrąłam kafelki w łazience. Pozdejmowałam poduchy z kanapy i foteli, odkurzaczem ściągnęłam z tapicerki kurz, okruchy i wieczka od długopisów. Wypolerowałam kłamki, wyłączniki i poręcz na schodach, doczyściłam wszystkie klosze w domu, po czym bladym świtem padłam na kanapę i zasnęłam.

W sobotni wieczór, przed moim wylotem do Francji, londyńscy znajomi Alexa umówili się na wspominkowego drinka. Nikt nie nazwał tego stypą, ale taki charakter miało to spotkanie. Szybko się zorientowałam, że moja obecność usztywnia atmosferę, posiedziałam więc tyle, ile wypadało, przeprosiłam towarzystwo i wezwałam taksówkę. O ósmej rano musiałam znaleźć się na lotnisku. A więc wcale nie byłam wielkoduszną Zoe, tylko znużoną, z połową pizzy i całą czekoladą czekającymi w lodówce.

Kiedy otwierałam drzwi taksówki, usłyszałam, jak ktoś woła moje imię. To był Tom, jeden z grona najbliższych kolegów Alexa.

– Hej, Tom.

– Zo, jakoś... głupio wyszło, że nie mieliśmy okazji pogadać. To wszystko jest... no, wiesz.

Zauważyłam, że ma na sobie kurtkę.

– Nie zostajesz?

Pokręcił głową.

– Powiem ci, że wkurza mnie Hugh. To zgrywanie się na żalobę. „Za Ala!”. – Podniósł rękę z nieistniejącym kuflem, naśladując kolegę hałaśliwie wznoszącego toasty. – A niech to!

– No cóż. – Uśmiechnęłam się i moment później mimo woli parsknęłam śmiechem.

Wiedziałam, że Tom i Alex się przyjaźnili i nie wątpiłam w jego smutek.

– Alex chyba nie przepadał za Hugh.

– Nie. – Tom przeciągnął dłonią po zaroście. – Bałam się, że jak dłużej zostanę, to w końcu mu przyłożę.

– Wsiadaj – zaproponowałam, dokładnie wiedząc, co robię.

– To nie całkiem po drodze, Zo.

– Wiem. Ja... nie bardzo mam ochotę być dzisiaj sama. Obejrzymy razem jakiś film?

Nawet nie włączyliśmy telewizora. Otworzyliśmy butelkę wina i usiedliśmy na obu krańcach kanapy z czekoladą leżącą na poduszce pomiędzy nami, jak ze znikającą barierą. Kiedy zaczęliśmy się żarliwie całować, wstałam z kanapy, wzięłam Toma za rękę, dając mu znak, by poszedł za mną.

Zaprotestował ruchem głowy.

– Lepiej zostańmy tutaj.

Pociągnął mnie z powrotem na miejsce obok siebie. Może czuł się mniej winny, pieprząc się z dziewczyną przyjaciela na kanapie, a nie w jego łóżku. Nie wiedział, że my z Alexem nieraz kochaliśmy się na tych trzech poduchach, więc moje sumienie nie mogło liczyć na pobłażliwość.

– Nie możemy tu spać – oznajmiłam po wszystkim, gdy skończyły się wino i czekolada oraz ostygły zmysły.

– Ty weź łóżko, a ja kanapę – zadysponował ze śmiechem Tom.

Byłam mu wdzięczna, że swoim zachowaniem nie podsycił we mnie poczucia winy. Nie wezwał taksówki i nie zostawił mnie samej jak tchórz.

– Dam ci koc – powiedziałam, rzucając w niego poduszką.

Rano zjedliśmy razem śniadanie; śladowe wspomnienie tego czegoś, co wydarzyło się w nocy (długi pocałunek na dzień dobry), powoli rozwiało się przy kawie (dotknięcie dłoni) i grzance (skrępowane, pełne skruchy uśmiechy).

Oboje, zażenowani na tyle, by zaspokoić poczucie przyzwoitości, wiedzieliśmy – przynajmniej tak sądzę – że to, co się wydarzyło, było wybacalne, zrozumiałe i może nawet naturalne, ale więcej się nie powtórzy.

– Zozo?

– Słucham?

– Twoja kolej, skarbie.

Rodzice uśmiechają się do mnie, pokrywając niepokój pobłażliwym rozbawieniem.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Wszystko przez tę czekoladę.

Nie wiem, czemu ich to tak śmieszy. Na wszelki wypadek z wielką uwagą wpatruję się w moje płytki.

A-U-U-I-Ć-Ż-L

Kiedy wyciągnęłam z woreczka moje ostatnie litery, wiedziałam, że mogę dołożyć ŻAL do ŻLE. Zarobiłabym trzy punkty za potrójną premię literową na A, ale nie chcę tego słowa. ŻYC wydaje mi się znośniejsze, lecz zyskuję tylko trzynaście punktów, dlatego szkoda zachodu. U-L-Ż-Y-Ć – triumfuję – potrójna premia na U, dwadzieścia cztery punkty.



# Henry

## *Odpowiedzią chyba jest miłość*

Mam totalny bałagan na głowie. Włosy, nierówne, postrzępione i rozdwojone na końcach, opadają na wszystkie strony i za żadne skarby nie dają się uczesać. Widywałem kierowców autobusów z lepszymi fryzurami. Ostatni raz strzygłem się tydzień przed planowanym ślubem, trudno więc się dziwić. Mnóstwo rzeczy może się wydarzyć w ciągu czternastu tygodni. Gdybym patrząc na siebie w lustrze, miał odgadnąć swój zawód, sądząc po tym, co dzieje się na mojej głowie, prawdopodobnie wytypowałbym perkusistę z kapeli chałturzącej po pubach – jakiejś Less Zepp, Deep Mauve, Bums N'Roses czy innej, na równie żenującym poziomie. A może wziąłbym siebie za wybitnego uczonego, mechanika alkoholika albo taksówkarza handlującego dragami, ale nie za dentystę. A już na pewno nie za syna fryzjerki.

Gość, który masuje mi kark, ma na imię Gus. Jest właścicielem tego przybytku. Nie prosiłem go o masaż, a on nie zapytał, czy tego sobie życzę, niemniej to robi. Gdy ugniata mi mięśnie szyi, obaj patrzymy na szopę jak z kreskówki na mojej głowie. Ten facet miał mnie tylko ostrzyc, lecz on wyraźnie nie wie, od czego zacząć. Nic w zachowaniu Gusa nie sugeruje seksualnych skłonności z jakimś szczególnym czy wyłącznym ukierunkowaniem, a jednocześnie on jest zmysłowo obecny – pewny siebie, swobodny, z nieprzesadnie wystylizowaną fryzurą, w szorstki sposób męski, a jednocześnie jakby zniewieściały. Jeżeli miałbym w ogóle próbować określić jego orientację, powiedziałbym, że ma Nielimitowany potencjał. Nie powierzyłbym mu swojej dziewczyny (gdybym ją miał) ani matki czy też babki (gdyby nadal żyła). Paradoksalnie, pomimo emanującej od niego zmysłowości, nie czuję się na celowniku. Pewnie nie jestem w jego typie. Ten cały masaż, to dogłębne, uporczywe katowanie mnie całymi dłońmi, wydaje się odzwierciedlać proces myślowy Gusa, gdy kombinuje, jak rozwiązać problem moich włosów.

– Oddaję się w twoje ręce – oznajmiłem mu, gdy posadził mnie na fotelu i zapytał, jakie mam życzenie. Kto by pomyślał, że on potraktuje to aż tak dosłownie.

– Zacznijmy od mycia – zdecydował. – Może mokre będą się sensowniej układać.

Zakład nazywa się Kosmaty Kriszna – jakaś osobliwa wariacja na temat wielkiej, niezgłębionej tradycji; na szyldzie nad drzwiami opasły Budda z puklami w stylu gwiazdy rocka w jednej ręce trzyma nożyce, a w drugiej suszarkę.

Trzy miesiące temu, po pospiesznym śniadaniu w Black Horse (zostawiwszy wynajęty samochód pod opieką ojca) wyruszyłem moim podrapanym cegłą audi na południe i krótko po lunchu znalazłem się w Londynie. Idąc po najmniejszej linii oporu, wybrałem ruchliwą ulicę na południowym brzegu Tamizy, myśląc jedynie o tym, aby się wysiusiać i wrzucić coś na ruszt. Po mocno przepłaconej wizycie w toalecie i nieprzyzwoicie drogim dużym piwie znalazłem pokój w pensjonacie po drugiej stronie ulicy, zarezerwowałem go na dwa tygodnie i wróciłem do pubu obejrzeć boks w telewizji. Do następnego wtorku dostałem już cztery oferty pracy; wybrałem tę najbliższą pensjonatu; ośmiotygodniowe zastępstwo za dentystę na urlopie tacierzyńskim w gabinecie pięć minut drogi od domu.

Jak dotąd prawie nie wystawiam nosa poza trójkąt, którego wierzchołki stanowią pub Red Lion, Lavender Lodge oraz adres White 32. W obrębie tego równobocznego trójkąta o powierzchni mniej więcej mili mam do dyspozycji więcej sklepów, punktów usługowych i miejsc oferujących najróżniejsze rozrywki niż w całej mojej wsi, którą przez większą część życia nazywałem domem. Są tu między innymi bary, restauracje, siłownie, kino, supermarket, pralnia samoobsługowa i ekscentryczny salon fryzjerski Gusa. To wcale nie znaczy, że korzystam z miejscowych rozrywek; w pracy biorę wszystkie proponowane mi zmiany, łącznie z dyżurem pod telefonem w Boże Narodzenie i w Nowy Rok. Znalazłem też w okolicy dwa sklepy charytatywne i w jednym z nich kupiłem pięćdziesiąt zestawów puzzli za dwadzieścia pięć funtów. Układanki mają od pięciuset do dwóch tysięcy elementów ze szczegółowymi fragmentami krajobrazu, widoku nieba w nocy i wszystkim, co mieści się pomiędzy tymi dwoma skrajnościami. Zafundowałem sobie nawet specjalną matę do układania puzzli i mogę spokojnie zwinąć swoje dzieło przed pójściem spać. Po czterech tygodniach mieszkania w jednoosobowym pokoju zwolnił się w Lavender Lodge „luksusowy apartament” – podwójne łóżko, telewizor, łazienka z prysznicem, wykuszowe okno oraz mała kuchenka ze składanym stołem. Spakowałem więc torbę i przeniosłem się piętro wyżej. Od czasu do czasu wypuszczam się poza mój mały trójkąt, aby w zapyziałej siłowni z bokerskim ringiem, tuż za południowo-wschodnią granicą dzielnicy, potrenować z workiem, poskakać na skakance i powalczyć z cieniem.

Czas wypełnia mi praca, oglądanie starych filmów, układanie puzzli i rozmyślanie.

Myślę o tym, jak skazałem się na rozłąkę z rodziną i wygnanie z domu, jak uciekłem do jednego z najbardziej ekscytujących miast na świecie po to, aby żyć jak eremita, kursując pomiędzy pracą i kanapą. Jem posiłki przed telewizorem, oglądając stare, czarno-białe filmy, które dziesiątki razy widziałem już wcześniej. Gdy konfrontuję moje obecne życie z tym, od którego uciekłem, widzę dwie istotne różnice: boleśnie doskwiera mi samotność i coraz lepiej wychodzi układanie puzzli. Przygnębiające.

Raz na tydzień dzwonię do rodziców. Nastroje mamy oscylują pomiędzy łzawą wrogością a płacziwą melancholią, tata rozmawia ze mną o pubie, pogodzie

i o walkach bokserskich, jeśli akurat jakieś się odbyły. W pierwszych tygodniach mojej banicji zdarzyło mi się kilka razy zadzwonić do Briana. W dawnych czasach przez telefon podawaliśmy sobie jedynie nazwę pubu albo godzinę spotkania i teraz nasze rozmowy międzymiastowe się nie kleiły. Może dlatego, że ciążyła nad nimi ta historia ze ślubem. Po mojej rejteradzie wrogość do mnie rozlała się na wszystkie związane ze mną osoby, czyli na Briana i na rodziców. W pierwszej chwili na fali hysterii zgodnie przyjęto, że drużba na pewno był ze mną w zмовie, i Duże Buty musiał interweniować, gdy obsesja Walniętego George'a oraz ojca April przybrała fizyczną formę. Jak to się zdarza w przypadku rodzin seryjnych morderców, Black Horse spotkał bojkot; w zamkniętych, lokalnych społecznościach hańbę zmywa jedynie demolka lub pożar. Małe puby utrzymują się z dość skromnej marży i gdyby nie interwencja April, moi rodzice mogliby stracić interes. Słuchając o tym, jak prowokacyjnie piła drinki z moją matką przy barze czy stojąc ramię w ramię z Dużymi Butami przed wielkim ekranem, oglądała bokserską noc w telewizji, podziwiam ją bardziej niż kiedykolwiek i... może nawet Kocham. Ta świadomość sprawia, że opadają mnie wątpliwości, czy ucieczka przed świtem była mądrym posunięciem, ale w życiu nie przyznam się do tego Brianowi. Zdaje się, że przez swą upartą, zaściankową żywotność wiejska codzienność powoli wróciła do normy, gdy irytujący element został usunięty.

A co by było, gdybym tak, powiedzmy za rok, z tobołkiem na plecach i z zuchwałym uśmiechem dla pokrycia skruchy, wmaszerował do wsi, gwizdząc jakąś dziarską melodię? Na pewno nie rzucono by tłustych hamburgerów na grill. To długa pamięć sprawia, że mentalność w małych miejscowościach trwa niezmienną. Otwarto by puszkę z przeterminowanym witriolem, wstrząśnięto zawartość i oblano by mnie z bliskiej odległości. Być może dlatego nie kontaktuję się więcej z Brianem. I po co mi to wszystko? Jak, kiedy i gdzie się to skończy?

Dużo się nad tym zastanawiam i myślę, że znam odpowiedź.

Jest nią, przynajmniej tak mi się wydaje, miłość.

Gus wyciera ręcznikiem moją mokrą strzechę i przesadza mnie z powrotem na fotel przed lustrem.

– Randka? – rzuca, przejeżdżając mi grzebieniem po włosach.

Jestem niemal pewien, że to pytanie, nie propozycja, ostrożnie więc przytakuje skinieniem głowy.

– Miło – komentuje, patrząc krytycznie na zmierzwioną czuprynę.

Jedyną chyba rzeczą, jakiej nauczyły mnie filmy oglądane z matką, jest to, że miłość wszystko usprawiedliwia. W *Dziewczynie Piętaszku* Cary Grant spiskuje, kłamie, kradnie i porywa, wykazując socjopatyczny brak sumienia i empatii – i jest okej, ale robi to wszystko z miłości. Dustin Hoffman w *Absolwencie* wpada jak burza do kościoła, atakuje wiernych krzyżem i ucieka z panną młodą. I to też jest w porządku, bo on idzie za głosem serca.

Miłość pokonuje wszelkie przeszkody, wszystko usprawiedliwia i wybacza. Miłość również leczy rany i tego pragnę dla April. Mam nadzieję, że znajdzie kogoś lepszego ode mnie, kogoś, kto będzie bardziej do niej pasować. Wątpię, czy

kiedykolwiek mi wybaczy, i nie mogę mieć jej tego za złe, ale może przełamie się na tyle, żeby mnie chociaż tolerować. Mojej matce na pewno ulży, gdy po tym, co się stało, April znajdzie się w szczęśliwym związku. A co ze mną? Czy matka mogłaby nie życzyć tego samego swojemu jedynemu synowi?

Wczoraj wieczorem zalogowałem się do internetowego serwisu randkowego.

Otak, przez ciekawość, powiedziałem sobie.

Byłem w trakcie układania stogu siana z dwóch tysięcy elementów i kiedy dopasowałem mniej więcej tysiąc pięćset fragmentów, jakoś przestało mnie to bawić. Mówi się, że beczynny mózg jest warsztatem diabła. Najwyraźniej tak samo jest z palcami przy układaniu puzzli. Otworzyłem laptop i w pasek wyszukiwarki wpisałem: „randka”. Ot tak, żeby zobaczyć, co się wyświetli. Z czystej ciekawości otworzyłem pierwszy link. Pokazała się informacja: „darmowy test”. Wstukałem więc moje imię, dodałem stare zdjęcie i odpowiedziałem na sześć głupawych pytań. Kliknąłem na czerwoną ikonkę w kształcie serca. Naprawdę zrobiłem to wszystko z nudy. Zanim udało mi się uzupełnić układankę o kolejnych dwadzieścia elementów w identycznym odcieniu beżu, dostałem już trzy odpowiedzi. Tempo, w jakim się pojawiły, mogłoby sugerować pewną... determinację. Niestety, kiedy przed spaniem myłem zęby, uderzyła mnie jedna rzecz. Wygląd mojej fryzury zgasi nawet największy romantyczny zapal.

– Teraz są w modzie mocno podgolone boki – zauważa Gus.

– Hmm, sam nie wiem.

– Rozumiem – popiera moje wahanie. – Między nami mówiąc, uważam, że wyglądają trochę...

– Sralecko?

– No – przytakuje, poklepując mnie po plecach. – Sralecko. Dokładnie.

– Masz jakiś pomysł?

Kręci głową.

– Jojo wiedziałyby, co robić.

– Kim jest Jojo?

– Geniuszką z nożyczkami. Bez niej byłbym zgubiony.

– Gdzie jest?

Wzrusza ramionami.

– W Australii.

– Może zacznijmy od zera – sugeruję.

– Przecież dopiero się poznaliśmy – odpowiada, ściskając mnie za ramię.

Wyciągam rękę spod pelerynki i zbieram włosy w garść. Gus potakuje do mojego odbicia, wsuwa dłonie w szopę na mojej głowie, przebiera w niej palcami, przepychając się przez plątaninę włosów do skóry.

– Kształtna czaszka – zauważa.

– Dziękuję.

– Jakieś znamiona?

– O ile wiem, nie.

– Kurde, no to sprawdźmy. – Oddala się moonwalkiem po maszynkę do

strzyżenia, wykonuje piruet i wraca takim samym tanecznym ślizgiem.

– Tutejszy? – pyta, patrząc w skupieniu na moją głowę, jakby dumał, od czego zacząć.

– Nie całkiem – odpowiadam.

– Stąd ten północny akcent?

Kiwam głową.

– A skąd?

– Z miejsca, gdzie diabeł mówi dobranoc. – Uśmiecham się przeproszająco, żeby złagodzić tę wymijającą odpowiedź na przyjazne w sumie pytanie. Być może to najdłuższa rozmowa nie o problemach z zębami, jaką odbyłem w ostatnich dwóch miesiącach, i nie chcę go zrazić.

– Fajnie – mówi Gus i wygląda na to, że mi odpuścił. – Ustawić na jedynekę?

– Raz kozie śmierć...

Gus reguluje maszynkę i przytrzymując moją głowę wolną ręką, wystrzyga od nasady szyi aż po czoło koleinę o szerokości jednego cala. – *Country road* – nuci, śmiejąc się – *take me home*.

*To the place I belong* – dośpiewuję w myślach.

– Pracujesz gdzieś w pobliżu?

Gabinet stomatologiczny od Kudłatego Buddy dzieli może jedna mila, lecz w przeciwieństwie do mojej rodzinnej miejscowości, na tym trójkątnym skrawku południowego Londynu roi się od ludzi i jestem tylko jedną z wielu anonimowych postaci.

– Bezrobotny – mówię, co w osiemdziesięciu procentach jest prawdą.

Moja ośmiotygodniowa umowa na White 32 wygasła w piątek, ale młody i niesamowicie nowoczesny tata, którego zastępowałem, zdecydował, że obecnie chce pracować tylko cztery dni w tygodniu i dlatego zaproponowano mi ostatni dzień, czyli piątek. To przyjazny, dobrze zorganizowany gabinet i z radością się zgodziłem, bo to pozwala mi choć częściowo zachować ciągłość mojego nowego życia. Niestety, jeden dzień pracy w tygodniu nie wystarczy na opłacenie rachunków. Mam oszczędności, ale one topnieją, no i muszę znaleźć jakieś zajęcie, żeby wypełnić pozostałe cztery dni. Dodatkową motywację stanowi niezrealizowany czek na kwotę siedemnastu tysięcy sześciuset czterdziestu sześciu funtów. Jakies dwa tygodnie po przyjeździe do Londynu w przerwie na lunch złapałem się na tym, że stoję jak wmurowany przed witryną cukierni ze wzrokiem wbitym w trzypiętrowy weselny tort. Pewnie stałbym tam tak cały dzień, gdyby z zadumy nie wyrwał mnie chichot dochodzący ze środka. Myślałem o tym, ile ojciec April wydał na limuzyny, kwiaty, muzyków, piwo, wino i tort tylko po to, abym zmienił życie jego córki w koszmar. Tego samego dnia wieczorem wypisałem czek i pojechałem aż za Luton, żeby go wysłać z jakiejś wsi. Minęło sześć tygodni, pieniądze nadal są na moim koncie i chociaż wolałbym, żeby tak już zostało, cień niepewności wiszący nade mną ma ciężar kowadła.

– A jaki masz zawód? – pyta Gus, zabierając się za zachodnią półkulę mojej czaszki.

– Jestem fryzjerem – mówię i uśmiecham się na widok jego zdumionej miny w lustrze.

– Żartujesz?

Zaprzeczam ruchem głowy. Nie, serio.

– Dobry jesteś?

– Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, tylko jedna osoba jest lepsza w stopniowanych bobach – odpowiadam.

Gus celuje maszynką w moje odbicie w lustrze.

– Poważnie?

Kiwam głową.

– Poważnie.

– Ty, brzydki – mówi. – Oj, brzydki. Sześćdziesiąt funciaków za dzień albo trzydzieści pięć procent od zarobku, w zależności od tego, co wychodzi korzystniej. I... – zaciera ręce nad ostrzyżoną połową głowy – ...strzyżenie personelu za darmo. Jak tego tu giganta.

– Pikusia – prostuję.

– Kto cię tam wie – śmieje się Gus.

# Zoe

## Wszędzie

Rachel sączy dżin z dietetycznym tonikiem dłużej, niż ustawa przewiduje, a Vicky, zazwyczaj niezmordowana zawodniczka, nakrywa dłonią kieliszek, gdy próbuję jej dolać chardonnay. Drugi wtorek stycznia nie miał być okazją do pijackiej imprezy, niemniej zaczynam żałować, że zapraszając je, zasugerowałam „małego drinka”. Dla mnie to swoista rocznica i nie mam ochoty pić do lustra.

Trzy lata temu Alex przysłał mi esemes, który trzymam w telefonie do dziś.

Samotny poszukuje prawniczki, która chciałaby chodzić na podłe wino, obściskiwać się publicznie, opowiadać pieprzne kawałki i wariacko chichotać. Uroczy uśmiech mile widziany.

Kolejne istotne daty są w drodze; dzień, kiedy się poznaliśmy, nasz pierwszy pocałunek, tamten dzień, gdy zamieszkaliśmy razem, jego urodziny, śmierć. Jest jeszcze mnóstwo innych dat i jeżeli nie będę uważać, zabraknie mi miejsca w kalendarzu. Jednak ten akurat dzień – kiedy wszystko zaczęło się na poważnie – jest dla mnie szczególny. Nie wspomniałam o tym dziewczynom; ciągle traktują mnie, jakbym była ze szkła. Mam chęć wydrzeć się na całe gardło albo pokazać im cycki, żeby wreszcie się otrząsnęły.

– Jak pierwszy tydzień w pracy? – pyta Vicky.

– W porządku – odpowiadam, dolewając sobie wina. – Całkiem dobrze. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby wszyscy nie chodzili koło mnie na palcach... jakby... hmm... mój chłopak dopiero co... no, wiecie...

Vicky jeszcze nie przybiera stosownej miny, ale już przygotowawczo ściąga rysy. Rachel wychyla spory łyk ze szklanki, co stanowi miłą odmianę.

Tamten czas tuż po śmierci Alexa wydawał się mniej niezręczny. Żal był czymś naturalnym, dzieliło się go, mówiło się o nim. Jednak smutek powoli mija, wracamy do normalności i wtedy nie wiadomo właściwie, jak się zachowywać – na ile stosowna jest odpowiedź: „W porządku”.

– Czytam teraz historyjkę o piracie, który chce zostać baletmistrzem – mówię.

Dziewczyny kierują na mnie wzrok. Wyraźnie im ulżyło, że weszłyśmy na pewniejszy grunt, i zaczynają paplać jedna przez drugą.

– Kapitalnie.

– Brzmi superowo.

– Uwielbiam piratów!

– Masz o niebo ciekawszą robotę niż ja.

W pracy powiedzieli, że mogę brać tyle wolnego, ile potrzebuję, ale co niby miałabym robić z czasem? Wszystkie moje koleżanki pracują. Po tygodniu w Alpach w listopadzie i dwóch na wybrzeżu w okolicy Bożego Narodzenia mam dość opieki rodziców i ich zatroskanych min. Wejście w nowy rok stanowiło dobrą okazję do rozpoczęcia procesu powrotu do życia, jakie prowadziłam trzy miesiące wcześniej. Niestety, nie do końca wiedziałam, od czego zacząć. Niemniej praca wydała mi się słusznym punktem wyjścia.

Nigdy nie piłam aż tyle kawy co teraz – wygląda na to, że ktokolwiek przechodzi obok mojego biurka, czuje się w obowiązku zapytać, czy nie chciałabym się czegoś napić, a skrępowanie towarzyszące temu pytaniu sprawia, że nie mam serca odmówić. Dostaję lekkie zadania, i dobrze, bo przez te kawy połowę dnia spędzam w toalecie. Nikt nie nazywa tego „lekkimi zadaniami”, lecz jestem izolowana od wszystkiego, co może stresować lub wymaga większego wysiłku. Głównie trafiają do mnie rękopisy, a ponieważ one rzadko zawierają więcej niż tysiąc słów, staram się czytać powoli.

– Jaki tytuł? – pyta mnie Rachel.

– *Piraci i piruety* – mówię i odruchowo się śmieję, bo brzmi to groteskowo.

Śmiech okazuje się zaraźliwy i dziewczynom robi się łzej, bo mają pretekst, aby dać ujście napięciu. Atmosfera nieco się oczyszcza.

Rachel sięga ponad stołem i nakrywa dłonią moją rękę. Ludzie strasznie często to robią. Ten czuły, wymowny gest wzrusza mnie bardziej niż łyzy, wyrazy współczucia, zaopatrywanie mnie w lazanie i zapiekanki, pełnienie nocnych dyżurów u mnie i obchodzenie się ze mną jak z jajkiem.

Nauczyłam się trzymać emocje na wodzy. Wprawiam się w panowaniu nad sobą oraz w tłumieniu napadów smutku i poczucia winy. Są takie piosenki, sytuacje i miejsca, które przywołują wspomnienia związane z Alexem i z wszystkim, co się z nim łączy. Staram się ich unikać, a kiedy to niemożliwe, biorę się w garść. Do Ala należało wyrzucanie śmieci. Teraz robię to ja. Już wiem, że cały pic polega na tym, aby za dużo przy tym nie myśleć. Nastawiam czajnik i słucham szumu wody, gdy wydaję worek ze śmieciami i zawiązuję go na supeł. Wychodząc na dwór, myślę o kawie: półtorej łyżeczki rozpuszczalnej kawy, mleko na granulki, woda na mleko. I zanim się obejrzę, w koszu jest nowy worek, a ja nie muszę poprawiać makijażu. Łatwo przewidzieć zachowanie otaczających mnie ludzi. Po jakiejś niefortunnej wypowiedzi czy budzącej złe skojarzenia wiadomości w telewizji posapują przez nos i dyskretnie posyłają mi współczujący uśmiech. A ja uśmiecham się w odpowiedzi, kontroluję oddech i szykuję się na słowo, dotknięcie, cokolwiek, co zapewne za chwilę nastąpi. Trzymam się. Tym razem Vicky zaskakuje mnie tym dyskretnym gestem, mówiącym: „Zoe, dobrze widzieć, że dochodzisz do siebie”. Przyływ żalu potwornym ciężarem przygniata mi pierś, w oczach kręcą się nieproszone łzy.

– Och, Zo – wzdycha Rachel i ściska moją rękę, czym wywołuje kolejną falę łez.  
– Zo.

– Hej – odzywa się Vicky i kładzie mi dłoń na ramieniu. – Dobrze się czujesz?

Cofam rękę spod dłoni Rachel, niby chcę wytrzeć łzy, lecz tak naprawdę wiem,



że jeśli pozwolę, żeby one trzymały mnie chwilę dłużej, rozbeczę się na dobre.

Kiwam głową. Tak, tak, nic mi nie jest.

– Czy powiedziałam coś nie tak?

– Nie. To tylko... chwila słabości. Już mi przeszło. Jest dobrze.

– Na pewno?

Przytakuje skinieniem głowy, wachlując dłonią twarz.

Słyszy się historie o ludziach, którzy przez noc posiwili, ale to się tak nie dzieje. Zmiana trwa tyle czasu, ile zajmuje odrastanie włosów. Takiej Sinead O'Connor, jak sądzę, wystarczyłby dzień, może dwa, ale ja mam włosy do ramion. Słaba pociecha; u mnie na prawej skroni pojawił się siwy kosmyk o szerokości trzech palców. W miejscu, gdzie w czasach kompulsywnego wrywania włosów zwykłam nawijać pasmo na palec i szarpać, a więc może sama jestem sobie winna. W tej chwili ten kosmyk ma długość jednego cala, lecz do lata urośnie i będę wyglądać jak czarny charakter z kreskówek Disneya albo wampir z filmów klasy B.

Przegarniam włosy palcami, a Vicky ucieka spojrzeniem w bok.

– Jak idą przygotowania do ślubu? – zagaduję Rachel.

– Bez emocji. – Wzrusza ramionami. – Najbardziej czekam na miesiąc miodowy.

Jak podejrzewam, nie mówi prawdy ze względu na mnie. Całe trzy miesiące przed śmiercią Alexa rozmowy z Rachel najczęściej kręciły się wokół kwiatów, koronek i niebieskich drobiazgów. Teraz, w tych trzech miesiącach po wypadku, ilekroć próbuję porozmawiać z nią o zbliżającym się ślubie, zmienia temat. Jakby się czuła winna, że jej chłopak nadal oddycha. Do wielkiego dnia zostało siedem miesięcy, a ja mam być druhną, lecz znając Rachel, mogę się założyć, że zadrecza się pytaniem, czy nadal wypada mi o to prosić. Nie ma na myśli siebie, tylko moją sytuację. Patrzę, jak usiłuje przybrać odpowiedni wyraz twarzy, i wiem, że albo przebiję się przez tę mgłę, albo się w niej uduszę.

– Migdałam się z kimś w Wigilię. – Słyszę swój głos, zanim zdążę pomyśleć, co robię.

– Och! – wyrywa się Rachel.

– Kurczę. – Vicky z uznaniem kiwa głową.

– Ha – zaczyna Rachel – to... dobrze. – Jej mina subtelnie mówi coś innego: „dziwne”, a może „tak szybko”?

– Prawda? – zwraca się do Vicky.

– No, pewnie – przytakuje Vicky i dla podkreślenia szczerości wydyma wargi. – To przecież zwykłe przytulanki, nie? Boże Narodzenie i takie tam.

Przytulanki to najbardziej niewinna część tego wszystkiego, ale nie sądzę, aby moje przyjaciółki były w tej chwili gotowe na całość.

– Ktoś... kogo znamy?

– Kolega ze szkoły – wyjaśniam. – Co roku w Wigilię nasza stara paczka spotyka się w pubie.

– Aha. – Vicky oddycha z ulgą. – Fajnie.

– No – wtóruje jej Rachel. – Fajnie.

– A więc – zaczynam. – Co z moją suknią druhny?  
Rachel zupełnie mnie zaskakuje, bo zarzuca mi ręce na ramiona i całuje w ucho.

– Och, Zoe! Naprawdę? Nadal... Poważnie?  
– Jasne, no wiesz... suknia za friko.  
– Och, dzięki Bogu. – Sięga po swój drink i zagląda do pustej szklanki. – Nie masz pojęcia, jak... – Urywa i przykładą dłoń do ust. – Zoe, przepraszam, że jestem taką egoistką.  
– Wcale nie. Rany boskie, to twoje wesele! Ciesz się, że jesteś szczęśliwa.  
– Myślałyśmy, że po... – Tym razem, to nie ja, tylko Vicky gdyby mogła, najchętniej cofnęłaby swoje słowa. – Znaczący... nie rozmawialiśmy o..., oj, cholerka, Zo.  
– Nie ma sprawy – uspokajam je. – Naprawdę. Wiem, że to wszystko jest takie dziwne, ale... – Korci mnie, aby wyznać moim przyjaciółkom, że chociaż mój świat wywrócił się do góry nogami, niekoniecznie cierpię z powodu złamanego serca. Biorę łyk wina i tłumię ten impuls.  
– Zrobicie coś dla mnie?  
Obie odejmują dłoń od ust.  
– Oczywiście.  
– Co tylko chcesz.  
– Możecie po prostu normalnie się zachowywać?  
Dwie głowy przytakują niepewnie.  
Unoszę brew.  
– No dobra, jasne – odzywa się Vicky. – Normalnie. – Sili się na uśmiech. – Mam... randkę w czwartek? – Zaciska zęby na końcu zdania, jakby sprawdzała, czy właśnie o to mi chodzi.  
– Świetnie – chwale ją. Na twarzy Vicky maluje się ulga i jednocześnie zaskoczenie. – Znamy go? – pytam.  
Kręci głową.  
– Taki jeden, no wiecie... facet. Prawdopodobnie do niczego.  
Sączymy drinki i kiwamy głowami.  
Kiedy staje się oczywiste, że temat został wyczerpany, Rachel nabiera powietrza w płuca.  
– A ja, ehm... kochałam się dziś w nocy – oznajmia tonem, jakim podaje się nowy przepis.  
– Kochałaś się? – podchwytuję. – Ze Stevem?  
Rachel nieśmiało przytakuje, jakby spanie z narzeczoną było czymś moralnie nagannym.  
– I uważasz, że już zachowujesz się normalnie? – atakuje ją Vicky.  
– Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przepraszam. Myślałam... – przesuwa podkładkę pod szklankę po stole dla zilustrowania swoich słów – że w ten sposób rozruszam rozmowę.  
– Fajnie było? – pytam.  
Rachel wymijająco macha ręką.

– Nie najgorzej jak na poniedziałek.

Wszystkie trzy kiwamy głowami ze zrozumieniem, przechylamy kieliszki i znowu kiwamy.

Vicky dolewa sobie wina.

– Potrzeba nieco praktyki, nie?

– Nie tylko – komentuje Rachel, podnosząc się od stołu. – Trzy tequile?

– No, tak lepiej – mówię. – I chipsy.

Kiedy na stół wjeżdżają świeże szklanki i paczki z chipsami, w wieczór na powrót wkrada się normalność. Vicky rzuca nieco światła na temat zbliżającej się randki (Francuz, przystojny, nauczyciel w podstawówce, triathlonista). Rachel wyjawia, że tak naprawdę bardziej ekscytuje ją myśl o miesiącu miodowym niż sam ślub (słonie, domek na drzewie, wodospad, nurkowanie). Atmosfera robi się cudownie oczyszczająca, szkoda tylko, że nie mogę w pełni się na niej skupić. Nie bez powodu zaprosiłam przyjaciółki na wieczornego drinka w środku tygodnia. Niedługo będą musiały się rozejść i jeżeli, korzystając z tej normalności, nie powiem im teraz tego, co mam do powiedzenia, później może zabraknąć mi odwagi.

– Wybieram się w podróż – rzucam, przerywając Rachel w połowie wyliczanie wszystkich cudów podwodnego życia w regionie Maputaland.

– Jedziesz na urlop? – pyta Vicky. – Fantastycznie. Dokąd?

Rachel nieco szybciej kojarzy.

– W podróż? – szepcze.

Potwierdzam skinieniem głowy.

Vicky przybiera rolę karcącego rodzica.

– Zaraz, o czym ty mówisz? Kto będzie jeździł? Gdzie?

– Ja. – Pokazuję na siebie palcem. – Wszędzie.

Rozumiem dwuznaczność tego stwierdzenia.

Ostatnio miałam niebezpiecznie dużo czasu na myślenie i wielokrotnie, głęboko się zastanawiałam nad swoim życiem. Z pewną dozą pewności doszłam do wniosku, że nie wiem, co robię, dokąd zmierzam, czego chcę i kim jestem. Trzy lata temu uważałam byłą dziewczynę Alexa, Ines, za rozpuszczoną. Nie jestem pewna, czy przypadkiem ze mną nie jest tak samo. Rodzice zawsze zapewniali mi wszystko, czego potrzebowałam, i prawie wszystko, czego chciałam. Pozdawałam egzaminy, zarabiam, ale... nie wiem, czy mogę się nazwać niezależną kobietą.

– Znacie ten banał o „odnajdywaniu siebie” – pytam, pokazując palcami znak cudzysłowu.

Vicky przytakuje bezgłośnie, Rachel robi taką minę, jakby się miała rozpłakać.

– Cóż... nie wiem, jak lepiej to ująć. Muszę się odnaleźć – tłumaczę i wydaję z siebie chrapliwe chrząknięcie, coś pomiędzy śmiechem i szlochem.

– Ale jak? – chce wiedzieć Rachel. – Skąd weźmiesz na to pieniądze?

Ilu dwudziestodzieciolatek ma sporządzony testament? Ani ja, ani Alex. On jedynie opłacał polisę ubezpieczeniową, bo taką politykę miała jego firma, a osobą, którą przed czterema laty uposażył, jest matka. To jej przypadły w spadku jego oszczędności, pieniądze zgromadzone w funduszu emerytalnym

i obligacje premiowe oraz ubrania wiszące w jego połowie garderoby, gdyby je chciała wziąć. Sześć tygodni po pogrzebie brat Alexa, Pat, przyjechał do Londynu pomóc mi w załatwianiu różnych męczących formalności. Spakowaliśmy do kartonów rzeczy dla ich matki: zdjęcia, książki, płyty DVD, kubek piłkarski, którego ani razu nie użył. Pat wziął zegarek i spinki do mankietów, upewniwszy się najpierw, czy nie chce tych rzeczy zachować. Zapytałam go, czy nie wzięłby Xboxa, konsoli dyskdzokejskich oraz winyli, jednak on nie chciał niczego, co mogłoby mu sprawiać przyjemność. Garnitury, ubrania i buty zawieźliśmy do sklepu charytatywnego – worki zostawiliśmy na chodniku, bo zapłakani, nie chcieliśmy z nikim rozmawiać. Resztę rzeczy spakowaliśmy do worków na śmieci, pojechaliśmy na wysypisko i wrzuciliśmy je do odpowiednio oznakowanych kontenerów. Teraz brakuje mi obecności tych przedmiotów i ich sentymentalnego znaczenia; chyba za szybko wyprowadziłam Alexa z domu.

Banki proponują dwa rozwiązania dla wspólnych hipotek. W przypadku twojej śmierci połowa nieruchomości przypada – tak samo jak zegarek, spinki czy kubek piłkarski – osobie wskazanej w testamencie, a gdy takowego brak, beneficjentem zostaje członek rodziny: rodzic, brat lub siostra, dziecko, współmałżonek, a nie partner czy partnerka z wolnego związku. Według drugiej opcji dom przechodzi na własność osoby widniejącej w umowie hipotecznej. Śmiałyśmy się z Alexem nieco zakłopotani tym „śmiertelnym” rozróżnieniem i szybko zdecydowaliśmy się na bardziej romantyczną wersję. Teraz trochę tego żałuję.

Rachel i Vicky wiedzą, że dom jest mój i że nie bardzo mnie stać na spłacanie hipoteki, pokrywanie rachunków i wszelkich kosztów, jakie się z tym wiąże.

– Sądziłam – Vicky ściąga brwi – że Alex nie zostawił cię bez... Myślałam... Czy ty nie jesteś spłukana?

– Goła jak święty turecki – przyznaję.

– Podróżowanie to duży... – Rachel sięga ponad stołem i bierze mnie za rękę. – Zo, na pewno jesteś na coś takiego gotowa?

– Nie całkiem. Ale... wspomniałam wam o banku? Banku Alexa?

Przyjaciółki kręcą głowami, miny mają niewyraźne, przygotowują się na jakąś przykrą wiadomość.

– Poznałaś Pata? – zwracam się do Rachel. – Kiedy tu był i pomagał mi uporządkować sprawy Alexa w różnych urzędach, wybraliśmy się razem do banku, znaczy, do banku Alexa. Poszliśmy anulować jego karty płatnicze. Pat – on jest naprawdę w porządku – mówiłam wam, że on zaproponował mi kasę?

Vicky patrzy na mnie osłupiała i teraz nadeszła moja kolej, aby uspokajająco nakryć dłonią jej rękę.

– Było mu głupio z powodu testamentu, braku testamentu. Powiedział, że gdybyśmy byli z Alem małżeństwem... pieniądze, polisa na życie, to wszystko przypadłoby mnie. I czy chciałabym, no rozumiecie...

– Chciałaś? – Rachel jest poruszona, wydaje się walczyć ze sprzecznymi myślami. Potrząsam głową. – Wiesz przecież, że miał rację, no nie?

Nie, nie miał, odpowiadam jej w myślach. Sądzę, że nigdy byśmy się nie pobrali, na pewno nie powinniśmy się pobrać. I uważam, że te pieniądze należą

się jego matce. Ta kobieta kupowała chleb z kończącym się terminem ważności i prasowała koszule sąsiadom, żeby utrzymać synów. Tak, te pieniądze są jej. I wiem, że mam rację. Ale nie zamierzam wchodzić w szczegóły ani robić z siebie męczennicy. A zresztą to nie dotyczy głównego tematu.

– No i – kontynuuję – Pat poprosił mnie, żebym poszła z nim do banku. Zapewne po części dlatego, że nie miał ochoty iść tam sam, a po części chyba czuł się niezręcznie, jakby miał poczucie, że on to załatwia, nie ja, i jeszcze pomyślę, że on węszy. Sama nie wiem. W każdym razie... poszliśmy do tego banku. A tam oni dają... dają ci...

Jakieś niewidoczne palce ciągną mnie za kąciki ust, za policzki. Czuję ciśnienie za gałkami ocznymi; łzy lecą same, płyną potokiem. Dopijam moje wino, a kiedy Vicky podsuwa mi swój kieliszek, też wychylam spory łyk.

– Boże! Przepraszam was. Dają ci... dają ci wyciąg z konta i wychodzą z pomieszczenia, żebyś mogła na osobności sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Wiecie, jak jest z tymi... wydrukami? Transakcje są zestawione w odwrotnej kolejności. Ostatnie na samym początku.

Wyraz twarzy Rachel i jej szklane oczy mówią, że domyśla się, co za chwilę usłyszy.

– O Boże – szepcze. – Boże, Zoe.

– Ale co? – dopytuje się Vicky. – O co chodzi?

Nabieram powietrza w płuca.

– To dziecinne, wiem. Pierwszą pozycją na wyciągu, ostatnim miejscem, gdzie płacił...

– Były delikatesy – dopowiada Rachel.

– A wcześniej tamta kwiaciarnia na rogu.

– Kwiaty?

Przytakuję skinieniem głowy i, cholera, znowu uderzam w płacz. Vicky znów proponuje mi swoje wino, ale odsuwam kieliszek.

– Dziękuję. Już... już dobrze.

– Biedactwo – wzdycha Rachel.

– Więc my z Patem, och diabli, po prostu złożyliśmy wyciąg na pół i czekaliśmy, dopóki ta kobieta nie wróciła i nie spytała nas, czy wszystko jest „w porządku”. Powiedzieliśmy, że tak, i wróciliśmy do domu kończyć pakowanie rzeczy Ala.

Wszystkie trzy siedzimy w kompletnej ciszy do chwili, gdy Vicky pochyła się nad stołem i odkasłuje.

– Podróżowanie? – przypomina delikatnie.

– No jasne. Przepraszam, zgubiłam wątek. Wiem, że to może naiwnie brzmieć, ale to takie typowe, że Al idzie po zakupy na śniadanie. Tak się składa, że ludzie robią różne rzeczy dla mnie, opiekują się mną – mama, tata, Alex – tachają ciężkie torby, wyrzucają pająki, podają śniadanie. A ja nie potrafię nawet naprawić wtyczki.

– Wtyczki? – dziwi się Rachel.

– Wiesz, o co mi chodzi – mówię. – Jestem rozpieszczona.

Vicky wzrusza ramionami, jakby to było oczywiste i nie miało w sobie nic

złego.

– Jesteś kobietą.

– Racja, siostró – skwapliwie przytakuje jej Rachel.

– Muszę się odnaleźć – powtarzam, kończąc na tym, od czego zaczęłam. Dla mnie w tych trzech słowach kryje się więcej treści niż w długich wywodach.

– Myślę, że to świetny pomysł – odzywa się Rachel, a Vicky popiera ją, kiwając głową. – A kiedy?

– Jeszcze tego nie przemyślałam – wyznaję. – Szczerze mówiąc, ten pomysł narodził się dzisiaj w metrze do domu. On się powoli klaruje; gdzieś w tyle głowy mam tamten wyjazd z rodzicami do Francji, bank, mapkę na ścianie w wagonie metra... sądzę, że... niedługo.

– Chyba nie wyjedziesz przed moim ślubem – odzywa się Rachel, i to wcale nie jest pytanie.

– Boże, nie!

– Czyli po sierpniu, tak?

– Nie chcę być tutaj w październiku – oznajmiam i na szczęście nie muszę tłumaczyć dlaczego. – Pada na wrzesień.

– Zostaje czas na oszczędzanie – orzeka Rachel.

– Za krótko – mówię. – Ledwo mi wystarcza na bilet na metro.

– No to jaki masz plan? Będziesz łapać jakieś fuchy po drodze?

Jednak wypijam łyk wina z kieliszka Vicky.

– Sprzedam dom.

Rachel obrzuca mnie zimnym, niemal gniewnym spojrzeniem.

– Po moim pieprzonym trupie, Zoe. – A kiedy dociera do niej, co właśnie powiedziała, jej twarz zapada się jak namiot spuszczone z linek. – O Boże, Zoe, przepraszam, przepraszam, nie chciałam... Ja nie... ups?

– Okej – bagatelizuję. – Ma być normalnie, pamiętacie?

Rachel skwapliwie kiwa głową.

– W takim razie, Zoe Goldman, okażesz się skończoną idiotką, sprzedając nieruchomości w Londynie na wschodzącym rynku.

– Ma rację – wtrąca Vicky. – Skoń-czo-ną i-diot-ką.

– Nie wiem, jak inaczej to zorganizować. Nie chcę pracować, podróżując, nie dysponuję żadnymi oszczędnościami, hipoteka jest wielką, tłustą świnią, skarboną i... naprawdę nie mam pojęcia, co innego mogłabym zrobić.

– Wynajmij – proponuje radośnie Rachel.

Energicznie kręcę głową.

– Boże, nie. Nie mogłabym. To byłoby... nie, odpada.

– Chwilę. – Rachel podnosi palec do góry i wygrzebuje z torby długopis. Zgina na pół podkładkę pod piwo tak, aby powstał czysty, biały kwadracik. – Ile masz tej spłaty hipoteki?

Podaję kwotę. Doliczam wydatki na rachunki, komunikację, obiady, siłownię, na spłatę karty kredytowej. Szacujemy, ile można dostać za wynajęcie umebłowanego domu, robimy kalkulację kosztów podróży do jakiegoś ciepłego, egzotycznego kraju, uwzględniając wydatki na bilety w kolejne miejsca, noclegi

i skromne wyżywienie. Strasznie dużo jest tego liczenia i Rachel, zanim do końca, zdąży zrujnować trzy podkładki i poplamieć wargę tuszem z długopisu.

– Dobra wiadomość – mówi, zakreślając kółkiem kwotę na jednej z zaimprovizowanych kartek – jest taka, że czynsz wystarczyłby na spłatę rat hipotecznych i rachunków. Zostałoby ci nawet parę funciaków na drobne wydatki.

– A zła?

– Zła – kontynuuje – że musisz uzbierać na bilet, odłożyć nieco kasy na wszelki wypadek i mieć zabezpieczenie, gdyby twój podnajemca dał dyla albo zdewastował ci chatę.

– Poszukam kulturalnych najemców.

– Będziesz musiała zrezygnować z siłowni...

– Tak jest.

– ...jeździć na rowerze do pracy, robić zakupy w Aldi i zabierać do biura lunche z domu.

– Wytrzymam.

– I żadnych ciuchów – dodaje, a Vicky robi cierpiętniczą minę, jakby usłyszała, że muszę sprzedać oko.

– Ciuchy z głowy – obiecuję, podniecona myślą o życiu w szlachetnej prostocie i o nowej Zoe, niezależnej kobiecie.

– Wystaw na e-Bayu torebki i buty.

– Klik – mówię, naciskając palcem na niewidzialną mysz.

– No i... nadal jesteś w czarnej dupie.

– Co?

– Zabraknie ci około trzech tysiąków, chyba że odsuniesz plany o rok.

– A Aldi? Ciuchy? Kanapki z jajkiem?

Rachel kręci głową i puka końcówką długopisu w podkładkę.

– Liczby nie kłamią.

– Posłuchaj – odzywa się Vicky – bez obrazy, jak chcesz, mogę ci pożyczyć...

– Vicky – przechyliłam się ponad stołem i ściskam ją serdecznie – dzięki. Dziękuję, ale... nie mogę.

– Oczywiście, że mo...

– Nie. I na tym polega problem. Muszę załatwić to sama. Bez niczyjej pomocy.

– A więc jednak myślisz o sprzedaży domu?

Spoglądam na Rachel, jakby licząc na jej aprobatę, a ona stanowczo kręci głową.

– To twój dom – stwierdza. – Niestety, jako przyjaciółka muszę cię ostrzec, że według mnie to byłby poważny, wielki błąd.

Jakby nie wystarczała mi wiara w zdanie Rachel, do jej opinii dołącza się mój wewnętrzny głos i wytyka mi brak rozwagi. Cokolwiek by mówić, wielkie błędy to moja specjalność. Vicky chyba odgaduje moje myśli z mowy ciała.

– A więc – mówi – dopiero za rok.

Teraz moja kolej, aby stanowczo potrząsnąć głową.

– Po moim trupie – oznajmiam, lecz nie słyszę wybuchu śmiechu, na co

liczyłam. – Tak czy owak, we wrześniu znikam. Choćbym miała podróżować na gapę.



# Zoe

## *Klik*

Aparat waży więcej niż mała torebka cukru. Ponad pół kilograma pokręteł, dźwignenek i przycisków, które niewiele mi mówią. Podobno to porządny tradycyjny aparat; wisi mi na szyi, waży tyle co cegła, pasek wżyna się w kark.

Przybliżam ten cud niemieckiej precyzji do oka i celuję w Henry'ego, faceta, który obcina Rachel włosy. Reguluję obiektyw (35mm F/2 Summicron, cokolwiek to znaczy) i w polu widzenia pojawia się siniak pod jego lewym okiem. Barwy imponujące – żółta, fioletowa, pomarańczowa. Niestety, w tym kawale żelastwa jest film do czarno-białych zdjęć. Naciskam spust i słyszę metaliczne kliknięcie; odgłos, który tak ekscytował tamtych maniaków z kursu fotograficznego.

Henry ogląda się wyraźnie speszony i odchylając się ode mnie, przycina Rachel włosy rytmicznymi ruchami nożyczek.

Moja przyjaciółka za trzy miesiące wychodzi za mąż i przeżywa coś w rodzaju kryzysu włosów; nadal nie zdecydowała, jaką chce mieć fryzurę i kto ją uczesze. Henry'ego gorąco polecała jej koleżanka z biura. Mówiła: „Gość pracuje w salonie, ale jak chcesz, przyjedzie na rowerze do domu i zetnie rozdwojone końcówki, sypiąc ci nimi na dywan”.

– Odłóż to – prosi mnie Rachel. – Wyglądam jak babsztyl.

– Nie ma filmu – kłamię.

– Więc po co się tym bawisz?

– Lubię odgłos naciąganej sprężyny.

– Jesteś fotografką? – pyta Henry.

Ma ładne oczy, nawet ten siniak nie razi. Nie, to coś więcej – one są interesujące. Jakby niebieskie, ale nie w wyraźnym odcieniu morza czy nieba. Powiększam zbliżenie do momentu, gdy na tęczęwkach dostrzegam zielone, szare i czarne cętki i efekt słabnie. Ważniejszy jest chyba sposób, w jaki on patrzy, kiedy się koncentruje albo kieruje wzrok na ciebie – w jego spojrzeniu odbija się ufność i jednocześnie jakby... rezerwa. Podobno można wiele wyczytać z oczu, lecz w tym wypadku to się nie sprawdza. Byłby modelowo przystojnym facetem, gdyby nie ten złamany nos. A jednocześnie ma coś w sobie. I właśnie to „coś” uruchamia motyle; drżące skrzydełka łopoczą mi w żołądku.

Według Rachel jest gejem, ale motyle mówią mi co innego.

Zaprzeczam ruchem głowy.

– To tylko hobby.

– Wracasz do tego? – pyta Rachel, mając na myśli kurs fotografii.

Toczyliśmy tam dyskusje o przesłonie, czasie naświetlania i czułości ISO –

świętej trójcy fotografii. I nawet gdyby nie dobijał mnie wszechobecny odór niedomytych ciał, wątpię, czybym się w to wkręciła. Po zajęciach dopadł mnie w pubie jakiś facet z okrucami chipsów w brodzie i perorował rozwlekle o „szczeroci kliszy oraz czystoci czerni i bieli”, a ja myślałam o tym, że lepiej, aby zadbał o czystość oddechu.

– Może – mówię. – Nie wiem, to takie...

– Pretensjonalne? – podsuwa Rachel.

– Nie ruszaj się. – Henry kładzie jej dłoń na czubku głowy i odwraca ją z powrotem twarzą do lustra.

Alex, znudzony i rozczarowany pracą, któregoś wieczoru kupił po pijaku ten cud techniki na e-Bayu. „Będę miał hobby” – powiedział. Cały Alex, rzucający się na coś entuzjastycznie, pełen dobrych chęci. Pamiętam jego zawód, gdy odebraliśmy pierwsze wywołane zdjęcia ze Snappy Snaps. Kopertę z cienkiego kartonu z dwudziestoma czterema nieostrymi odbitkami drzew, ceglanych murów, płotów oraz psa. Niezrażony, oznajmił, że najlepiej będzie samodzielnie wywoływać filmy i robić odbitki. Zamówił chemikalia, różne ustrojstwa i skaner do przerabiania negatywów na cyfrowe zdjęcia. Nie byłam zachwycona i nie omieszkałam mu wytknąć – z odpowiednią dozą uszczypliwości – bezsensu wyrzucania ośmiuset funtów na tradycyjny aparat, urządzania ciemni w gościnnej sypialni, rozwieszania ociekających klisz i skanowania negatywów, żeby po cyfrowej obróbce dojść do efektu, który ja mogę osiągnąć, robiąc zdjęcia telefonem. Wtedy posłużył się analogią do wypieku chleba, mówiąc, że można kupić gotowy, upiec w piekarniku albo w automacie do pieczenia chleba. To, co on robi, jest zbliżone do tej ostatniej wersji, „brudząc sobie ręce i korzystając ze wsparcia techniki na końcowym etapie”. Kiedy nadał oponowałam, nazwał mnie malkontentką i poradził, żebym zamiast „mu dopieprzać jak jakaś wredna sucz” znalazła sobie własne hobby. Potem tylko raz wyszedł z domu z aparatem i nigdy nie zabrał się do urządzania ciemni. Chcąc go podbudować, zachęcałam do spacerów w moim i aparatu towarzystwie, lecz leica obrastała kurzem na półce, a skaner stał nierozpakowany w kartonie. Na ostatnie – finalne – urodziny dostał ode mnie voucher na kurs fotograficzny, a później przydarzył się październik.

Odkładałam aparat, biorę pilota i podczas serfowania po kanałach zatrzymuję się na młodej Meg Ryan.

– Uwielbiam ten film – odzywa się Rachel. – Wezmę to, co ona[2].

– Wiedziałyście, że ta pani przy sąsiednim stoliku to matka reżysera? – wtrąca Henry.

– Ha! – Rachel rzuca mi spojrzenie, które mam zinterpretować jako potwierdzenie jej opinii, że Henry to gej. – Nie wiedziałam.

Henry unosi garść jej włosów.

– Może spróbujemy zrobić coś w stylu Albright.

– Alright? – pyta niepewnie Rachel.

– Albright – powtarza Henry, wskazując głową telewizor. – Sally Albright.

– Jasne – ozywiam się. – *All bright* – wszystko jasne. Wcześniej na to nie wpadłam.

– Taa – mruczy Henry. – Dość oczywiste, a... hmm, film niesamowity. I co robimy?

– Jej fryzura jest... trochę w stylu lat osiemdziesiątych – stwierdza Rachel i znowu rzuca mi tamto spojrzenie – a nie mówiłam, że gej?

– Boże, tak. Na początku, kiedy studiuje w college’u. Moglibyśmy je trochę skrócić, rozjaśnić, nic z *Aniołków Charliego*. Tu bym wystopniował – przegarnia włosy ku policzkom – żeby podkreślić kości policzkowe.

– Co myślisz, Zo?

– No – przytakuję. – Trochę Albright. Zdecydowanie.

– Dzisiaj więcej nie skracam – decyduje Henry.

– Słodziak! – Rachel klepie go po ramieniu.

Gdybym jej nie знаła, byłabym gotowa przysiąc, że go podrywa.

Henry kręci głową, jakby nie pierwszy raz zdarzyło mu się coś takiego usłyszeć, a ja się zastanawiam, czy kiedykolwiek miało to dalszy ciąg.

– Zadbamy o te twoje włosy – obiecuje. – Ale radziłbym je trochę podhodować.

– To samo powtarzam mojemu narzeczonemu – prycha nosowo Rachel.

– I masz rację – popiera ją Henry.

– Przepraszam za przyjaciółkę – odzywam się. – To wariatka uwięziona w ciele księgowej. Takie zawsze trochę ponosi, kiedy uwolni je się wieczorem.

Henry wybuchają śmiechem.

– Bywa gorzej – wyznaje, strzepując włosy z ramion Rachel i ostrożnie zdejmując jej pelerynkę.

– Dajcie mi pięć minut, umyję głowę i już się wami zajmuję – mówi do Henry’ego i robi duże oczy, jakby zaskoczona własną obietnicą.

– Nie spiesz się. Mam czas.

– Zoe, dotrzyмай Henry’emu towarzystwa, a ja wskoczę pod prysznic, bo strasznie mnie te włoski łaskoczą. O, i zrób mu kawę. Może nawet znajdą się jakieś herbatniki.

Spoglądam na niego, a on uśmiecha się nieśmiało. Czemu nie.

– Z mlekiem i bez herbatników, jeśli można.

Kiedy wracam do salonu z dwiema filiżankami kawy, Henry siedzi przycupnięty na podłokietniku kanapy ze wzrokiem wbitym w telewizor. Harry i Sally oglądają *Casablankę* – każde u siebie, w swoim łóżku, z telefonem przy uchu.

– Wiesz – zaczynam – nigdy nie widziałam tego filmu.

Henry wskazuje na ekran.

– *Kiedy Harry poznał jak jej tam?*

– *Casablanki* – odpowiadam ze śmiechem.

– A powinnaś zobaczyć. Świetny film. Oglądałem go z mamą... – urywa i spuszcza wzrok na nożyce, które nadal trzyma w dłoni. Spogląda na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, uśmiecha się i kieruje oczy z powrotem na telewizor.

– Ona ma niesamowite włosy – zauważam. – Trochę zanadto napuszone jak na mój gust, ale... – Dmuchięciem unoszę grzywkę znad oczu i wzruszam ramionami. Oprócz oszczędzania na jedzeniu, ubraniach, komunikacji

i rozrywkach od lutego nie byłam u fryzjera i zaczynam wyglądać trochę jak dzikuska. Szczególnie teraz, kiedy siwe pasmo zrównało się z resztą włosów.

Henry obraca nożyczki na wskazującym palcu i pokazuje nimi na moje włosy.

– Chcesz, żebym...?

– Nie, dzięki, jest okej.

– Na pewno? Mógłbym ciut obciąć rozdwojone końce, jeśli chcesz.

– Miły jesteś.

– Masz ładne włosy – ocenia z uśmiechem. – Czy to... – pyta, przeciągając palcami po niewidocznym puklu w miejscu, gdzie osiwiłam – naturalne?

Kiwam głową, czując, że się rumienię.

– Przepraszam, to takie... zboczenie zawodowe. Chodź – zachęca mnie, wskazując krzesło na środku pokoju. – Siadaj.

Słowo „uparty” ciśnie mi się na usta, ale się powstrzymuję. – Dzięki, naprawdę. Niestety, jestem... – udaję, że wywracam kieszenie na lewą stronę – ...spłukana.

– Na koszt firmy – proponuje, wskazując czubkami nożyczek krzesło. – Obiecuję, że za bardzo się nie przyłożę.

– No, lepiej nie – mówię.

A jednocześnie myślę, że wykluczone, aby ten facet był gejem. Nie sądzę, żeby ze mną flirtował, ale też nie powiem, że... nie.

Rachel zdjęła lustro znad kominka i ustawiła je na krześle naprzeciwko tego, na którym teraz siedzę. Obserwuję w nim, jak Henry unosi moje włosy, przesuwa w dłoniach, ocenia ich gęstość. Mrowi mnie skóra na głowie, gdy wsuwa palce w splątane pasma. Zbiera je wszystkie na czubku głowy i puszcza luzem jak zmierzwioną wełnę. Obok krzesła stoi spryskiwacz do połowy napełniony wodą, bierze go bez słowa i zaczyna na wilgotno rozczesywać włosy.

– Jakies szczególne życzenia? – pyta.

– Oddaję się w twoje ręce.

Nie wiadomo dlaczego on zaczyna się śmiać.

– Co w tym śmiesznego?

– Jak ostatnio tak komuś powiedziałem, to... – Przesuwa dłonią po ogolonej czaszce.

– Pasuje ci.

Kiwa głową, raczej nie tyle zgadzając się z moją opinią, co akceptując komplement.

– Dobrze byś wyglądała z mocno wystopniowanym bobem – mówi, układając dłonie za moją głową pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

– Poważnie?

– Masz smukłą szyję.

– A jak kości policzkowe? – pytam.

Porusza dłonią z nożyczkami, co ma znaczyć pół na pół.

– Znaczy, nie najgorzej – mówię. – No to do roboty.

W filmie akurat pokazują jeden z tych przerywników, gdzie sympatyczni starsi państwo opowiadają, jak się przed laty poznali. Pani mówi, że jej mąż – wtedy młody chłopak – podczas zabawy tanecznej przeszedł przez całą salę, żeby jej się

przedstawić. Myślała, że on uderzy do jej koleżanki, bo dotąd zawsze tak się działo, a tymczasem on wybrał ją. Po prostu podszedł i się przedstawił. – „I już wiedziałam” – mówi. – „Tak samo, jak się wie, który melon jest dojrzały”.

– Słodkie – komentuję. – Podobają mi się takie wrzutki.

Henry sceptycznie pomrukuje pod nosem.

– Wiesz, zawsze uważałem, że Harry i Sally są jedną z najbardziej... przekonujących par. Wierzę, że naprawdę zostali dla siebie stworzeni.

Wsuwa palce w moje włosy i grzbietem dłoni naciąga wijące się pasma, a ja czuję miłe napięcie skóry. Potem stopniowo obcina pukle piętami na wysokości przytrzymującej je dłoni.

– W *Casablance* – opowiada – chemia między Bogartem i Bergman jest silniejsza niż między postaciami, które grają. Przynajmniej mnie tak się wydaje.

– Chyba jednak obejrzę ten film – mówię, obserwując w lustrze hipnotycznie płynne ruchy jego dłoni.

– A co do Sally i Harry’ego – ciągnie dalej – myślę, że nigdy nie było bardziej przekonującej pary.

Wymrukuje coś w rodzaju przytaknięcia, kiedy on staje przede mną i zasłania sobą lustro. Wyciąga ręce i obiema dłońmi lekko dotyka kości policzkowych, sprawdzając wysokość i linię cięcia tak, jak malarz mógłby mierzyć horyzont. W chwili, gdy jego palce stykają się z moją skórą, nawiązujemy kontakt wzrokowy, lecz on zaraz ucieka spojrzeniem i skupia się na pracy.

– Te historie o starych małżeństwach – celuje czubkami nożyczek w ekran telewizora – wszystkie są... – nie mruga, kiedy spogląda na mnie, lecz ledwo widoczne drganie policzka można potraktować jak coś podobnego do zmrużenia oka – ...o pożądaniu.

– Tak jak z tym melonem? – podchwytuję.

– Właśnie – przytakuje, niebezpiecznie szybko poruszając nożyczkami. – Małżeństwa trwają całe dziesięciolecia zbudowane na słabym fundamencie chwilowego zauroczenia.

– Wydają się szczęśliwi.

– Wiesz, że to aktorzy, prawda?

– Jasne – kłamię.

– Historie pewnie prawdziwe. Ale grają aktorzy.

– No właśnie. Historie są prawdziwe. Od czegoś muszą się zacząć. Równie dobrze może to być pociąg fizyczny.

Henry uśmiecha się i oddziela kolejną warstwę włosów.

Gdyby za czterdzieści lat od tej chwili jakiś człowiek z kamerą zapytał Henry’ego i mnie, jak się poznaliśmy, powiedziałabym:

„Obcinał włosy mojej przyjaciółce i... wydał mi się pociągający. A potem zaproponował, że mi też obetnie włosy.

Za darmo! – dodaje Henry. Obciąłem je za darmo, pamiętasz?”

Poklepuję go po dłoni, uśmiecham się. „Pamiętam. One nie były wtedy takie białe” – dotykam trwałej ondulacji. „W telewizji pokazywali film”.

*Casablankę* – podpowiada Henry.

Właśnie. Pamięć nas zawodzi, ale przytakuję, abyśmy mówili jednym głosem. „A kiedy obcinał mi włosy, spojrzałam mu w oczy – takie uważne, niebieskie oczy – zaledwie parę centymetrów od mojej twarzy. I pomyślałam, tak, ten chłopak zdecydowanie coś w sobie ma”.

Kiedy Henry poznał Zoe, myślę.

– O co chodzi? – niepokoim się i wtedy widzę, że uśmiecham się pod nosem.

– Nic takiego – odpowiadam, kręcąc głową.

Nie będzie żadnych czterdziestu lat od tej chwili. Za cztery miesiące wsiadam do samolotu i lecę nie wiadomo dokąd. Jedno jest pewne, polecę tam sama.

---

2 Scena w Katz's Delicatessen z filmu: *Kiedy Harry poznał Sally*. Tak mówi do kelnera pani siedząca przy sąsiednim stoliku, gdy Sally udaje orgazm. Grała ją Estelle Reiner, matka reżysera, Roba Reinerja.

# Henry

## *Gdyby ona mi się tak nie podobała*

Ta dziewczyna coś w sobie ma. Ale nie potrafię tego określić. Chyba na moment zaiskrzyło między nami, choć może tak mi się tylko wydaje. Z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu nagle zamilkła i siedzi spięta. Możliwe, że wszystko przez to bzdurzenie o zmysłowej fascynacji.

Wcześniej pragnąłem, aby Rachel dłużej zabawiła w łazience, teraz z ulgą patrzę, jak schodzi z góry, wycierając włosy ręcznikiem. Atmosfera się nieco rozluźnia.

– Rany, Zoe! – woła. – Twoje włosy!

Zoe się marszczy.

– Co? Coś... nie tak?

– Wyglądasz fantastycznie! Super!

– Prawie gotowe – odzywam się. – Nie wierć się.

– Doprawdy – zwraca się do mnie Rachel, wręczając mi zwitek dziesięciofuntowych banknotów – człowiek odwraca się na moment i proszę. Dostanę prowizję? – pyta.

– Jasne. – Mrugam do Zoe i z ulgą widzę, że znów się uśmiecha. – Pięćdziesiąt procent.

– Umowa stoi – zgadza się Rachel. – Robię herbatę. Napijecie się?

– Bardzo bym chciała – mówi Zoe – ale czuję się trochę zmęczona i jeszcze czeka mnie jazda rowerem do domu.

– Henry?

– Też już będę jechał.

– W którą stronę? – chce wiedzieć Rachel.

Tłumaczę jej.

– Zoe, to gdzieś niedaleko ciebie?

Niewinne pytanie, ale ona wydaje się zakłopotana.

– Mniej więcej – odpowiada. – Nie całkiem.

– No, gotowe. – Podchodzę z lustrem, żeby mogła się lepiej zobaczyć, i obserwuję jej reakcję, gdy przygląda się swojemu odbiciu, przechylając głowę pod różnym kątem. Dotyka do białego pasemka na skroni, przesuwając ją między palcami i uśmiecha się, lecz w wyrazie jej twarzy dostrzegam też coś, czego nie umiem odczytać. – Zdarzały mi się lepsze reakcje – mówię jej.

Zoe wraca stamtąd, gdzie była.

– Bardzo mi się podoba – zapewnia, odwracając się do mnie. – Dziękuję. Bardzo fajnie. – I jakby nie ufała własnemu głosowi, powtarza bezgłośnie „dziękuję”.

W kuchni gwizdże czajnik.

– Na pewno nie napijecie się ze mną? – dochodzi nas stamtąd pytanie Rachel.

Czekam na Zoe, a kiedy ona dziękuje, ja mówię to samo. Strzepuję włosy z jej ramion i pomagam zdjąć pelerynkę.

– Jak chcecie. – Rachel wraca do pokoju z parującym kubkiem czegoś pachnącego ziołowo. – Henry, co robisz w sierpniu?

– To znaczy?

– Piętnastego sierpnia, w czwartek.

– Chyba nic.

– To dobrze, bo w sobotę mam ślub, i twoja głowa w tym, żebym wyglądała tak jak Meg Ryan.

Śluby; już na samo wspomnienie o nich zaczynają świerzbic mnie stopy. Myśl, że w jakikolwiek sposób mogę zostać w tę imprezę wkręcony, sprawia, że zaczyna mnie lekko mdlić.

– No dobra. – Zoe przechyla się i otrzepuje włosy nad stertą ścinków. – Będę się zbierać.

– Poprosiłabym, byś przyszedł w sam wielki dzień – ciągnie Rachel, a ja wstrzymuję oddech – ale to będzie we Francji, więc... bez urazy.

– Jasne.

Jest rześki wiosenny wieczór i chociaż muszę nieco zboczyć z drogi, proponuję Zoe, że potowarzyszę jej pod dom. Oboje zmierzamy w tym samym kierunku, nie wypada jej więc odmówić.

Nie bardzo wiem, czy obowiązuje jakaś etykieta podczas pierwszej rowerowej przejażdżki z damą. Słońce już zaszło i ruch zelżał, więc możemy przez większość czasu jechać obok siebie. Staram się nie zostawać w tyle, chociaż chwilami to nieuniknione, bo nie chcę, aby Zoe pomyślała, że taksująco przyglądam się jej pupie. Muszę przyznać, że czy na siodełku, czy na ziemi ta dziewczyna naprawdę dobrze się prezentuje. Nie chcę też wysuwać się przed nią, żeby nie narzucać jej tempa ani konieczności patrzenia na mój tyłek. Jedziemy w tempie pozwalającym na konwersację, lecz poza uwagami na temat niektórych mijanych obiektów, jakichś osobliwości czy kierowców idiotów, niewiele się odzywamy. Podczas gdy ja mam skłonność do wjeżdżania na krawężniki, śmigania slalomem pomiędzy samochodami i lekceważenia zmiany świateł, ona przestrzega zasad, prawidłowo sygnalizuje manewry i zatrzymuje się na żółtym świetle.

Zbliżamy się do rzeki, Albert Bridge migocze ponad wodą, jakby czekał na Boże Narodzenie. Dwa miesiące po dogadaniu się z Gusem kupiłem sobie rower, aby oprócz pracy w małym salonie brać zlecenia poza moim Południowo-Zachodnim Trójkątem. Na pewno wykręciłem już setki mil, przejeżdżając rzekę tam i z powrotem podczas długich ciemnych wieczorów, i muszę przyznać, że po zachodzie słońca wszystkie londyńskie mosty mają w sobie coś magicznego. Jednak najbardziej lubię ten, bo wygląda bajkowo. Moje klientki mieszkają po obu stronach brudnej wody, na wschodzie i na zachodzie, lecz kiedy tylko mogę, kieruję się na Albert Bridge i jadę powoli, wmawiając sobie, że powietrze wcale



nie jest gęste od spalin.

Most wygina się zwodniczo i kiedy wjeżdżamy na jego grzbiet, witają nas konstelacje światła z rozwieszonych lampek, odbijając się w masie szkła i połyskującego metalu. Na drodze za mostem stoi z dziesięć, a może więcej motocykli, wszystkie z chromowanymi cylindrami i potężnymi bakami. W milczącym porozumieniu przestajemy pedałowac i zwalniając, zbliżamy się do tych ostentacyjnych bestii. Motocykliści zgromadzeni wokół maszyn rozmawiają i porównują uszczelki, popijając kawę z pobliskiego vana z burgerami, którego nigdy wcześniej tu nie widziałem.

– Napijesz się kawy?

– Myślisz, że to bezpieczne? – pyta, śmiejąc się Zoe.

– Też mamy jednoślady, nie?

– Jasne – przytakuje, przeprowadzając rower przez jezdnię. – Spróbujmy.

O dziwo, nie sprzedają tu parzącej w palce rozpuszczalnej kawy w styropianowych kubkach. Ku naszemu zdumieniu w tym małym vanie na Albert Bridge mają do wyboru pięć gatunków kawy oraz trzy rodzaje mleka i można zamówić, co tylko się chce, od flat white poczynając, a kończąc na bezkofeinowej mokce z mlekiem sojowym. Bierzymy dwie americano z mlekiem i sączymy je, stojąc przy barierze, żeby patrzeć na światła odbijające się w wodzie.

Zoe zdejmuje kask i przeczesuje palcami włosy.

– Już po fryzurze?

– Umyjesz głowę i będzie jak nowa. Wyglądasz... włosy wyglądają dobrze. Naprawdę dobrze.

Uśmiecha się, odwraca wzrok.

– Jutro znowu kursujesz?

Jutro zamieniam nożyczki na dentystyczny unit; mam poumawianych pacjentów od dziewiątej rano do osiemnastej trzydzieści, w tym trzy leczenia kanałowe i jedno skomplikowane wypełnienie. Jednak nie zamierzam się przyznać; to zbyt zawile. Zbyt dziwne.

– Na zlecenia jeżdżę tylko wieczorami.

– Pracujesz również w salonie?

Przytakuję skinieniem głowy.

– Jesteś pracoholikiem czy co?

– Ha! Niekoniecznie, ale muszę opłacać czynsz.

– Opowiedz mi o nim – prosi. – Ma jakąś – rysuje w powietrzu znak cudzołowu – zabawną nazwę? Ten twój salon?

– Kudłaty Kriszna.

– Dziwaczne. Jakiś buddyjski pomysł?

– Pomysł Gusa. Jest właścicielem.

Niespodziewanie nachodzi mnie chęć, aby opowiedzieć jej o salonie mamy, o błędzie w nazwie i o tym, jak mama uczyła mnie strzyc stopniowanego boba. Być może zaskarbiłbym jej sympatię, może nawet ją rozśmieszył. Zoe ma wypukłe usta i kiedy czeka na odpowiedź, jej uśmiech wydaje się przerysowany,

a jednocześnie bardzo uwodzicielski. Pełne na środku wargi zwężają się ku kącikom i lekko wyginają ku górze, nadając twarzy wyraz kpiącego rozbawienia. W tym uśmiechu jest coś jeszcze; jakaś powściągliwość, a... może nawet smutek. Opowiem jej o Love & Die i co dalej? A jeśli zaczniesz się śmiać i zapytasz, skąd jestem? Jak się tam żyje i dlaczego stamtąd wyjechałem? Co powiem, gdy rozmowa zbroczy w tę stronę? Może i zaryzykowałbym, gdyby ona mi się tak nie podobała.

– A ty? – zagaduję. – Czym się zajmujesz?

Wzrusza ramionami.

– Książeczkami dla dzieci.

– Piszesz?

– Nie, nie. Jestem redaktorką. Ale... miałam pomysł na jedną historyjkę.

– Opowiesz?

Chyba się zastanawia, bo przechyliła nad barierką, wpatruje się w czarną wodę. Lekka bryza burzy jej włosy i dziewczyna otrząsa się z zamyślenia. Zdejmuje plecak i wyciąga aparat.

– Jedno do albumu?

– Myślałem, że nie ma tam filmu.

Wzrusza ramionami i robi przepraszającą minę.

– Jest, ale tylko czarno-biały. – Nakierowuje na mnie obiektyw.

– Tylko wybierz korzystną stronę – proszę, czując się lekko zażenowany banalnością tego stwierdzenia.

– Czyli którą?

– Taką, żeby nie eksponować nosa.

– W takim razie – mówi zza aparatu – chyba masz pecha. Właściwie... on dodaje ci charakteru.

– Dobra. To jak mnie chcesz? – pytam, mając nadzieję, że umknie jej niezamierzona dwuznaczność tych słów.

– Po prostu postaraj się zachowywać normalnie – mówi, śmiejąc się. – Pij kawę i patrz na rzekę.

Robię, co każe. Słyszę głośne kliknięcie, kiedy mnie obchodzi, szukając najlepszego ujęcia.

– Co ci się stało w oko? – rzuca pytanie.

– Hydraulik mi przyłożył.

– Serio?

– Dostaję od niego co tydzień – wyjaśniam, cały czas patrząc na Tamizę. – Boksuje się.

– Ha, twardziel, co? – naśladuje akcent, który zapewne ma brzmieć z nowojorska.

– No, to ja.

– Pokaż mi twarz twardziela – prosi, podchodząc bliżej z aparatem.

Gdy parszam śmiechem, słyszę pstryknięcie migawki.

Zoe chowa aparat, nakłada kask i wsiada na rower. Podążam za nią po krzywiźnie mostu. Jestem zaskoczony, gdy niespodziewanie wjeżdża na chodnik

i skręca w lewo, ku Battersea Park.

– Myślałem, że pojedziesz prosto.

– Zmiana kierunku – oznajmia, jadąc ścieżką wzdłuż wschodniego brzegu rzeki.

– Dokąd jedziemy?

– Do Japonii.

– To chyba trochę nie po drodze?

– Tak – przyznaje, rzucając mi uśmiech przez ramię. – Ale tylko trochę.

Jestem zagubiony w dosłownym i przenośnym sensie tego słowa, ponieważ jednak nie mam nic lepszego do roboty, pedałuję tam, gdzie prowadzi mnie Zoe. Po niecałej minucie mający przed nami sylwetka budowli; kanciasta, wielopoziomowa i wysoka prawie jak drzewa.

– Pagoda pokoju – wyjaśnia Zoe, okrążając budowlę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. – Czasem rano, jeśli przyjedzie się odpowiednio wcześnie, można tu spotkać mnicha.

Po mniej więcej dwudziestu naciśnięciach na pedały okazuje się, że do środka można wejść z trzech stron po, na oko, dwunastu stopniach. Front zdobi okazała, biała kolumna i trzy wnęki wzrostu człowieka z ornamentami lub postaciami połyskującymi złotawo w ciepłym świetle latarni.

– Co on robi? Ten mnich?

– Chodzi, bębni. No wiesz, to, co zazwyczaj robią mnisi. Przejeżdżam tędy rano, jeżeli muszę być wcześnie w pracy, ale tylko raz na niego trafiłam.

– Piękne miejsce.

– Myślałam, że będziesz zadowolony. Ta praca u buddyjskiego fryzjera i w ogóle. – Uśmiecha się przekornie.

– Jestem.

Po trzecim okrążeniu Zoe zawraca ku ruchliwym i gwarnym o tej porze ulicom Londynu. Ja jeszcze raz objeżdżam pagodę i podążam za nią.

W ciągu ostatnich czterech miesięcy zaliczyłem więcej randek niż w całym moim wcześniejszym życiu. Niektóre kończyły się w łóżku, jedna miała łzawy finał, a w jednym czy dwóch przypadkach doszło do krótkiej kontynuacji. W większości to były pewne siebie, ambitne, zabawne i atrakcyjne kobiety, ale z żadną nie stanąlbym przed ołtarzem. Wracając do domu z tych spotkań, wielokrotnie zastanawiałem się, czy siedem miesięcy temu, tam, w zimnym zamku, nie cierpiałem na coś w rodzaju niedożywienia synaps. Podczas ostatnich dwóch godzin w towarzystwie tej zabawnej, małowównej i zagubionej redaktorki bawię się lepiej niż podczas tamtych wszystkich randek i seksualnych ekscesów po alkoholu. Może dlatego, że to nie randka; żadnego szpanowania i zero oczekiwań.

Po dziesięciu minutach spokojnej jazdy Zoe powoli wyhamowuje.

– Ja tam – mówi, ustawiając kierownicę w kierunku długiej, bocznej ulicy ginącej w świetlnym punkcie zbiegających się latarni.

– Okej. – Zatrzymuję się obok niej. – Chcesz, żebym...

– Nie ma potrzeby. I dzięki za... – Podnosi oczy na kask.

- Nie ma za co. Dbaj o nią w moim imieniu.
- Dobrze – obiecuje.
- Jakies plany na weekend? – pytam trochę gorączkowo.

Zoe wzdycha głęboko i powoli wypuszcza powietrze.

- Nic szczególnego, pracuję.
- Książki?

Kręci głową.

- Pub. The Duck and Cover – rzuca nazwę, ustawiając kierownicę w taki sposób, że światło z reflektora pada teraz na cichą, główną ulicę. – Muszę opłacać czynsz – cytuję moje wcześniejsze słowa.

- Sam się nie zapłaci – stwierdzam idiotycznie, żeby zyskać na czasie i przedłużyć tę chwilę.

Kwituję moje słowa uprzejmym śmiechem.

- A ty? Mówię o weekendzie.
- Ja, ehm... Ja jakby jestem umówiony w sobotę.
- Jakby? – podchwytuje.
- No, mógłbym... odwołać?

Zoe się krzywi. Autentycznie się krzywi; zwiniera zęby, mruży oczy i odchyła głowę może o dwa centymetry ode mnie.

- Przepraszam – mówię skruszony. – Ja tylko... – nie ma prostego zakończenia tego zdania, więc zamykam oczy i usiłuję zniknąć. Kiedy otwieram je z powrotem, ona nadal tu jest, ale przynajmniej teraz się uśmiecha.

- Nie – odzywa się – nic się nie stało, ja... – Rusza głową na boki, jakby w myślach ćwiczyła jakąś kwestię. – Ja wybieram się w podróż.

- W ten weekend? Sądziłem, że pracujesz.
- We wrześniu – mówi i się śmieje.
- To wakacyjny wyjazd czy taka podróż podróż?
- To drugie. – Uśmiecha się przepraszająco. – Tak więc... no, wiesz.
- Brzmi fantastycznie. – Zmuszam się do uśmiechu. – Dokąd?

Kręci głową.

- Jeszcze nie zdecydowałam.
- Wyjeżdżasz na długo? Przepraszam... to wygląda jakbym cię przepytawał. Śmieje się.

- Nie. W porządku. Może na rok? Może krócej, sama... nie wiem.
- Okej... Cha, chyba lepiej... będę uciekał.
- Założę się, że mówisz tak wszystkim dziewczynom.

Moje zamiary są skromne, gdy przechylam się ku Zoe, nie planując niczego ponad cmoknięcie jej w policzek. Ponieważ tkwimy przycupnięci na rowerach, przeginam się powoli i ostrożnie, bo ten manewr wymaga równowagi i koncentracji. Przykładam dłoń do jej policzka. Ten dodatkowy kontakt zdaje się poprawiać naszą stabilność; ona wychyla się ku mnie, przez co wzrasta nacisk jej policzka na moje wargi. Gdy moja dłoń opada na jej kark, odwraca ku mnie głowę i wtedy, sunąc ustami po jej policzku, trafiam na jej usta.

Dwie sekundy, może dziesięć... i Zoe – powoli – się wycofuje.

– Powinam wracać. Muszę... wracać.

Kusi mnie, żeby zapytać, czy jest tego pewna, ale wyraz jej oczu wystarczy za odpowiedź.

– Do zobaczenia... – mówię ze śladowo pytającą intonacją.

– Uhm – odmrakuje. – Udanej randki.

## Zoe

### *Miła niezręczność*

Udanej randki? A niech to.

Podczas ostatnich dwustu metrów do domu odtwarzam w myślach końcówkę tego dziwnego wieczoru. Miła niezręczność, powolny, konformistyczny pocałunek. I moje protekcyjnie brzmiące pożegnanie: Udanej randki.

Czemu nie poszłam na całość i nie życzyłam mu udanego życia? Biorąc pod uwagę mój wielki plan – zgodnie z którym podróżuję, odnajduję siebie, staję się niezależna i zyskuję głęboką opaleniznę na całym ciele – to pewnie bez znaczenia. A jednak nie mogę uwolnić się od spekulacji, jak wszystko mogłoby wyglądać, gdybym poznała go za dwa lata, licząc od dziś. Co ta nowa, odmieniona Zoe pomyślałaby o Henrym i jego oczach mówiących „nie wypytuj mnie”. Jak odebrałaby tamten pocałunek?

Minęło siedem miesięcy, odkąd utraciłam Alexa, i mały dom nadal wydaje mi się za duży, kiedy wprowadzam rower przez frontowe drzwi. Cisza napawa mnie strachem, chodzę od pokoju do pokoju, zaglądam za drzwi, do szaf i pod łóżko, sprawdzam, czy nikt się tam nie czai. Czasami budzę się w środku nocy i powtarzam ten rytuał, ściskając w ręce tralkę z poręczy, której jakoś nigdy nie udało nam się wstawić z powrotem.

Na wycieraczkę leżą listy. Podnoszę je z tą moją nową obawą. W większości to reklamy, lecz jest również pocztówka od rodziców, którzy chyba w każdym miesiącu zwiedzają inne europejskie miasto. W tym roku zdążyli już zaliczyć Rzym, Madryt i, jak wynika z kartki, Zagrzeb. Za każdym razem mnie namawiają, ale na razie jakoś nie mam ochoty przyjąć zaproszenia.

Dziś przyszedł jeden list do Alexa. Mogłabym raz na zawsze zamknąć sprawę jego korespondencji; wystarczy wypełnić kilka formularzy i dołączyć jedną z fotokopii aktu zgonu, które mi jeszcze zostały. Jednak odczuwam perwersyjną przyjemność, kiedy przychodzą te oferty niskoprocentowanych kart kredytowych, zaproszenia do klubów miłośników wina albo jak dzisiaj, propozycja ubezpieczenia mojej nieruchomości od szkód powstałych w wyniku awarii magistrali wodnej. Dokładam ten list do niewielkiej kupki kopert na półce obok wejścia, zrzucając plecak i wieszam kask. Rower przeważnie na noc zostawiam w domu, w końcu nikomu to nie wadzi.

Mam w telefonie wiadomość od Rachel; chce wiedzieć, czy bezpiecznie dotarłam do domu. Wysyłam jej esemes z informacją, że żyję, lecz szczegóły zostawiam dla siebie.

Wchodząc na górę, zatrzymuję się przed zdjęciem zrobionym w dniu

przeprowadzki; śmieję się tam z jakiejś uwagi Alexa. Dotykam palcem jego twarzy...

Dobranoc, Alex.

W poświęcicie księżycyca sączącej się na schody przez otwarte drzwi do łazienki dostrzegam ślady palców na szkle. Zetrę je w niedzielę, gdy Henry będzie się budził obok swojej wybranki i zastanawiał, czy ta noc była pomyłką, czy nie.

Osobiście nic mi do tego, ale kiedy oglądam w lustrze mojego nowego, stopniowanego boba, liczę, że uzna ją za pomyłkę.

Usuwać makijaż, myję zęby, przebieram się w piżamę i kładę do łóżka. Rano, kiedy się budzę, miewam, chociaż ostatnio coraz rzadziej, wrażenie, że Alex leży obok mnie. W takie dni przetaczam się na jego połowę materaca i czuję chłód prześcieradła w miejscu, gdzie powinno być ciepło. Czasem się wtedy popłaczę, a czasami nic nie czuję. Zdarza się, że przebudzeniu towarzyszy świadomość, że go już nie ma, i wtedy dopada mnie poczucie winy, bo nie tęsknię za nim tak, jak powinienam.

W tej chwili przesuwam się na jego połowę łóżka, otwieram szufladę w nocnej szafce i wydaję iPad. Włączam go z takim samym niepokojem, jaki budzi we mnie widok sterty listów na wycieraczkę. Dzisiaj jest nawet gorzej, bo matka zawsze pisze do niego mail w pierwszym tygodniu każdego miesiąca.

Oboje z Alexem mamy w tym iPadzie konta pocztowe, w sumie więc nie wtykam nosa w nieswoje sprawy. Obecnie do jego skrzynki trafia głównie spam, elektroniczny odpowiednik kopert, które wpadają do domu przez szparę na listy – kody na przeceny, specjalne oferty, reklamy koncertów. Od czasu do czasu przychodzi poczta od jego dawnych współpracowników czy znajomych pragnących odnowić kontakt. W odpowiedzi wysyłam im wiadomość z gotową (kopiuj, wklej) informacją o tym, co stało się w październiku ubiegłego roku.

Dopiero w lutym, cztery miesiące po śmierci Alexa, zebrałam się na odwagę (a może to była determinacja) i przejrzałam wstecz jego pocztę. Nie zauważyłam tam wiadomości do albo od kochanki; żadnych śladów mówiących o zdradzie, jak się obawiałam. Nie znalazłam niczego, co potwierdzałoby niewinność Alexa – może zaliczał się do ostrożnych – ale również niczego, co świadczyłoby o jego winie. Jediną kobietą, do której w miarę regularnie pisywał, była jego matka.

W pierwszych dniach każdego miesiąca przysyłała synowi mail o tym, co dzieje się w domu, co słyhać u rodziny i przekazywała miejscowe plotki. A Alex w odpowiedzi pisał do niej długie, ciepłe i zabawne listy o swojej pracy, o piłce nożnej, opowiadał o lunchach albo streszczał śmieszne sny. Wspominał także o mnie. Z uczuciem i satysfakcją, co przykro kontrastuje z moimi wątpliwościami na jego temat. Przeczytałam ich maile od najstarszych do najświeższych. Najpierw tamte, które wymienili w lipcu, potem te z sierpnia i września, a skończyłam na ostatnim, który Alex napisał w październiku. Opowiadał w nim, jak pokłóciliśmy się o tapety, i żałował, że zachował się jak „skończony jełop”. Wyznał matce, że zrekompensuje mi swoje zachowanie w Boże Narodzenie. Niestety, nie obeszliliśmy Świąt.

Zdecydowana usunąć konto mailowe Alexa, przewijam pocztę z listopada i grudnia. Same reklamy. Docieram do stycznia i mój wzrok, leniwie ślizgając się po nagłówkach, wyławia jeden, który przyprawia mnie o drżenie serca. Dwa krótkie akapity; pożegnanie matki z nieżyjącym synem. Píše o bólu, o stracie, o niepojętym okrucieństwie losu i obiecuje, że niedługo znowu będą razem. W lutym odkrywam kolejny, nieotwarty i nieprzeczytany list. Sprawdzam marzec i też znajduję wiadomość. Następna ma datę z początku kwietnia. Moje przygnębienie pogłębia świadomość, że dziś jest piąty maja i serce podchodzi mi do gardła, gdy klikam na znajomy nagłówek: „Witaj, Synku”.



# Maj

5 maja 10.04

Od: Audrey [audreywilliams56@mymail.net]

Do: Alex Williams

Witaj, Synku.

Dziwnie mi się pisze te dwa słowa; smućą mnie, a zarazem sprawiają, że jestem tak blisko Ciebie. Wystukując je, mam wrażenie, że widzę Twoją twarz, a jednocześnie czuję małą piąstkę w mojej piersi. Nic w tym dziwnego, jeśli pomyśleć, że Ty i Twój brat jesteście częścią mnie w możliwie najbardziej oczywistym sensie. A więc kiedy ta piąstka zaciska się we mnie, wiem, że to jesteś Ty w jakiejś formie czy postaci.

Jest środek wiosny, a może jej koniec? Zaczynają kwitnąć róże w ogrodzie, chociaż w tym roku mieliśmy inwazję mszyc. Ściąłam kilka najładniejszych i wstawiłam je do wazonu przy Twojej urnie. To ten niebieski wazon, który dostałam od Ciebie i Zoe w prezencie gwiazdkowym; patrząc na niego, zawsze myślę o Was jak o parze.

Do Zoe też pisuję. Ona nie zawsze ma czas, żeby mi odpowiedzieć, ale przecież każda z nas inaczej radzi sobie ze smutkiem, prawda? Myślę, że jej przyjaciółki troszczą się o nią, a poza tym pracuje i jest zajęta. Dobrze wiedzieć, że wraca do życia. Taka wspaniała dziewczyna. Wierzę, że tam znalazłeś kogoś dobrego, ale to wielka szkoda, że Wam dwojgu nie było dane ułożyć sobie razem życia. Zapraszałam Zoe, żeby odwiedzała mnie, kiedy tylko zechce, lecz od pogrzebu się nie pokazała. To pewnie dla niej za daleko, no i cel podróży niezbyt przyjemny.

Niedawno oglądałam Twoje stare medale piłkarskie i potwornie rozboleło mnie serce. Tak mnie to zaskoczyło, że musiałam na chwilę się położyć. Alex, będę z Tobą szczerą, najchętniej przeleżałabym tak cały dzień, ale trzeba wziąć się w garść, bo życie toczy się dalej, prawda?

Dziś wieczorem idę z Maureen do klubu brydżowego. Jest kochaną, w tych ostatnich miesiącach serdecznie się mną zajmuje. Tak między nami, ona w kółko gadałaby o tym samym, gdyby jej na to pozwolić. Jakby nikt przed nią nie miał operacji stawu biodrowego!

Synku, cały czas jestem myślami i modlitwą przy Tobie.

Bardzo mi Ciebie brakuje. Kocham Cię całym sercem.

Mama xx

# Henry

## *Wszystciutkie nowe*

Oglądanie zepsutych zębów to moja praca. Znaczący, w piątki. A jednak muszę się kontrolować, gdy Jenny Tseung szeroko otwiera usta. Może straciłem odporność, pracując w gabinecie tylko jeden dzień w tygodniu, lecz widok tych chwiejnych brunatnych pieńków i luk w uzębieniu naprawdę robi przygnębiające wrażenie.

Jenny ma stosunkowo gładką cerę. Jej skóra, cienka i delikatna, zdaje się ciasno opinać niezwykle wydatne kości policzkowe. Według tego, co wyczytuję z jej karty, ma siedemdziesiąt dwa lata, a od jej ostatniej wizyty u dentysty upłynęło ich dziewięć. Wyraźnie zdenerwowana, kiedy rozmawiamy, trzyma mnie obiema dłońmi za rękę. Jenny posługuje się łamaną angielszczyzną z mocnym obcym akcentem i ma zwyczaj zasłaniać usta dłonią. Trudno zrozumieć, co mówi, natomiast nietrudno dostrzec, że jej pewność siebie jest równie chwiejna jak nieliczne zęby.

– Ha! Nie wygląda jak dentysta – stwierdza. – Mój syn też goli głowę, wiesz?

– Stylowy gość.

– Mnie się nie podoba – wyznaje. – Na nim głowa wygląda jak... *kei ji gwo*.

– Ki... co, Jenny?

– *Kei ji gwo*, jak wy mówicie. To... owoc. Takie... – Jenny przechodzi, zdaje się, na kantoński, potem kończy po angielsku – ...kosmate jajko, ha, ha! Zielone.

– Ach, kiwi!

– No, tak. Głowa jak zielony owoc. A ty ma zgrabną głowę. Pasuje ci ta głowa.

Asystentka rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Dziękuję, Jenny. To co dziś robimy?

Moja pacjentka poklepuje mnie po rękę. Ma powykrzywiane palce z artretycznie spuchniętymi kostkami.

– Tak – odzywa się, zasłaniając usta dłonią. – Ty ma dziewczynę?

Nie wiem, czy z powodu zagubienia, skрэpowania, stresu czy też samotności pacjenci, szczególnie tacy w podeszłym wieku, lubią sobie pogadać. Zauważyłem, że dobrze im na to pozwolić, zanim sami dojdą do sedna.

– Emmm... nie. Ale jutro mam randkę.

Udanej randki, usłyszałem wczoraj wieczorem od Zoe.

Jakby wytyczyła granicę po mojej niezgrabnej próbie flirtu. A jednak – wielokrotnie odtwarzałem w myślach tamtą sytuację – mam wrażenie, że wytyczyła ją niechętnie.

– Ja mężata czterdzieści siedem lat – informuje mnie moja pacjentka.

– Ojej.

– Ojej, ha, ha! Tak, ojej. Ja kiedyś być bardzo ładna, wiesz? Może ty nie wierzy, ale...

– Założę się, że byłaś – zapewniam ją i mówię to z przekonaniem.

Jenny ma włosy sięgające do ramion. Są trochę przerzedzone, ale zachowały kolor. Szeroko rozstawione oczy z zażółconą białkówką patrzą bystro, widać w nich życzliwość i poczucie humoru. Och, tak, na pewno w swoim czasie ta kobieta zawróciła wielu w głowach. Przeszła forma mojego zapewnienia wisi w powietrzu i mam ochotę je skorygować – Jesteś, Jenny, jesteś – lecz to zabrzmiałoby protekcjonalnie, a poza tym, nie sądzę, aby jej na tym zależało.

– A więc... co z zębami?

Kiwa głową i znowu klepie mnie po ręce. – Za późno naprawić?

– Nie, wcale. Bołą?

– Bardzo – przytakuje. – Ale ty zrobi mi nowe zęby. Czyściutkie.

– Czyściutkie?

– Wszyściutkie nowe – wyjaśnia z naciskiem, wskazując palcem wnętrze ust. – Wszyściutkie nowe i białe.

– Jenny, to ogromna robota.

– Mam pieniądze, wie? To kosztuje, nie?

– No, tanio nie będzie. I czeka nas... mnóstwo pracy.

Robię zdjęcia rentgenowskie i wyciski. Kilka zębów należy usunąć, a te, które jeszcze się trzymają, zeszlifować i zaopatrzyć w korony. Po paru tygodniach i kilku wizytach Jenny będzie bogatsza o dziewięć tytanowych implantów i o dwadzieścia osiem kawałków porcelany. Dla mnie to jest wyzwanie, dotąd nie wykonywałem tak skomplikowanego zabiegu – kto więc bardziej się denerwuje – ja czy Jenny – hmm, niech rozstrzygnie rzut monetą.

– Jenny, to wszystko na dziś. Wychodząc, podejź do recepcjonistki, niech cię zapisze na następną wizytę tak za dwa do czterech tygodni.

– Dobrze, dobrze – odpowiada, wygrzebując się z fotela. – Udanej randki.

# Zoe

## *Skompaktowana*

Boję się, że robię się skompaktowana.

A może prawidłowe słowo to: skondensowana; trudno powiedzieć. W piątkowe wieczory cały świat się bawi, a ja siedzę tutaj, zajęta... tym.

Moje oczy nawet za tysiąc lat nie przywykną do takiej ciemnicy. Zabawne, jak można mówić o „kompletnych” ciemnościach, skoro tak naprawdę to absolutna pustka. Jeżeli gdzieś tu zapętał się choć jeden foton, to jest on bardzo zdeterminowaną minicząsteczką. Czas się stąd wydostać – zrobiłam, co miałam, a powietrze jest ciężkie od mego zrecyklingowanego oddechu. Z drugiej strony ten przytulny kokon z kołdry sprzyja dryfującym myślom.

Kiedy pracujesz wraz z pięciuset innymi osobami w globalnej firmie prawniczej, uodparniasz się na korporacyjny nonsens. Wdychasz i łykasz takie słowa jak „diagonalność” i „intelektualny”, nawet nie dostając wysypki, nie mówiąc już o puszczeniu pawia. Myślałam, że zostawiłam to wszystko za sobą i przeniosłam się do odległego świata: „Dawno temu była sobie raz...”, ale jak widzę, działalność wydawnicza też stanowi niezłą pożywkę dla absurdu. Mniej więcej raz w miesiącu mamy „szkolenia przy lunchu” – jakaś ważna figura z branży opowiada przez godzinę o zapaści księgarni, wzroście rynku wydań cyfrowych, wykorzystaniu siły mediów społecznościowych i o różnych takich tam. Wysłuchiwanie tych bzdetów to cena za „darmowy” lunch. Bierzesz notes, udajesz, że słuchasz i pochłaniasz tyle kanapek, tortilli i muffinek, ile zdążysz, zanim ludzie zaczną ci się dziwnie przyglądać. Dzisiaj ceną za uczestnictwo była wlokąca się godzina poświęcona „Dostosowaniu formatu książeczki obrazkowej do ograniczeń narzucanych przez cyfryzację”, czyli, jak to ujął nasz prelegent: „kompaktualizacji”. Darowałabym sobie tę nasiadówkę, gdyby nie to, że po ostatniej wypłacie pozostało mi tylko wspomnienie i w portmonetce widać dno. Tak więc zajęłam miejsce w pobliżu kanapek i udając, że robię notatki, skupiłam się na analizie kiepskiego stanu mojego budżetu, mimo że oszczędzam, sknerzę i zaciskam pasa.

Dziś rano w drodze do pracy zaszłam na pocztę i wysłałam paczkę owiniętą w brunatny papier; to była ostatnia z moich w miarę przyzwoitych torebek. Szczęśliwie łowczyni okazji ze wszystkich części kraju paradują w moich butach od Kurta Geigera, Alexa McQueena i w sandałkach od Pedra Garcii. Te kobiety noszą klucze i pomadki w torebkach marki Mulberry, Moschino i Max cholernej Mary, których się pozbyłam. Za te pieniądze kupię turystyczne buty, plecak i sporo biletów, a więc zrobiłam dobry interes. W pracy nikt nie wie, że wybieram

się w podróż, ale wkrótce będę musiała im o tym powiedzieć. Licząc od przyszłego tygodnia, za trzy pełne miesiące wsiądę do samolotu, sama nie wiem dokąd.

Vicky i Rachel wybierają się wieczorem do chińskiej knajpy na dim sum, a ja, ponieważ do końca tygodnia muszę czekać na wypłatę, zjem gorący kubek spaghetti w sosie pomidorowym. Kolejny raz. Właściwie to polubiłam. Nie tyle sam produkt Heinza, co tę dyscyplinę oszczędzania. Wiem, że dotarcie na miejsce – lot samolotem do nie wiadomo dokąd – stanowi istotną część tej przygody. Czerpię satysfakcję z małego aktu samozaparcia, tej mojej kompaktualizacji.

Co pomyślałyby moje przyjaciółki, gdyby zobaczyły mnie pod namiotem z kołdry z nożyczkami, otwieraczem do butelek i z koreksem firmy Paterson? A Henry? Zapewne uznałyby, że szczęśliwie uniknął kłopotów. Cały dzień zastanawiałam się, czy nie powinnam mu pozwolić się odprowadzić – dawno nikt nie szedł ze mną do domu. W końcu do czasu, kiedy stewardesy zamkną drzwi samolotu, zostało mi sto dwadzieścia siedem dni. I tylko Bóg wie, że w niektóre noce to łóżko wydaje mi się okropnie duże. Teraz, gdy siedzę w tym kokonie z grubej kołdry, nie mam takiego wrażenia.

Do wywoływania filmów wcale nie potrzeba ciemni. Wystarczy pięć minut w jakimś ciemnym miejscu, bo tyle czasu zajmuje przełożenie filmu z aparatu do koreksu – pojemnika mniej więcej wielkości shakera do cocktailli czy, powiedzmy, urny. Są też takie specjalne woreczki – podobne do tych, w jakich iluzjoniści chowają króliki, kwiaty i jedwabne apaszki – lecz Alex nic takiego nie kupił. Wszystko inne tak, a woreczka nie. On zamierzał zasłonić okna w gabinecie (pokoju dziecięcym) czarnym brystolem i jakimś cudownym sposobem zakleić taśmą szparę pomiędzy framugą i drzwiami. Nigdy się do tego nie zabrał, nie wywołał ani jednego filmu po tym, jak wyśmiałam jego podejście do zabawy w fotografa.

Na spotkaniach grup wsparcia dla wdów radzą, żeby znaleźć sobie „jasne miejsce”. Taką szczęśliwą chwilę dzieloną z drogim zmarłym, do której można wracać myślami. Wiele kobiet wspominało ślub, miesiąc miodowy, oświadczyzny czy narodziny dzieci. My nic takiego nie przeżyliśmy. Może dlatego ich żal wydawał mi się bardziej prawdziwy niż mój. Uczestniczyłam w tych spotkaniach, czytałam poradniki i blogi, wchodziłam na fora. Kłamałam w sieci, opowiadając, że byliśmy dwa lata po ślubie. Z im większym i szerszym współczuciem się spotykałam, tym bardziej dręczyło mnie poczucie winy, że mijam się z prawdą. Na zajęcia z terapii grupowej miałyśmy przynieść zeszyty; nawet to mi nie wyszło jak należy. Dwanaście pań zaopatrzyło się w bruliony w kolorowych okładkach w kwiatki, tylko ja przyszłam z czarnym – jakbym zbyt skwapliwie chciała odgrywać swoją rolę. Spisywałyśmy w nich dobre i złe momenty, nasze postanowienia, przyzwolenie na uśmiech i na akceptację tego, co się stało. Podczas trzeciej sesji zanotowałam: „Nigdy więcej tu nie przyjdę” – i dotrzymałam słowa. Kartki mojego zeszytu są wypełnione liczbami, nazwami najróżniejszych miejsc oraz bazgrołami przedstawiającymi koty, krokodyle i pingwiny.

Kiedy wyjmie się film z aparatu, należy udać się w jakieś zaciemnione miejsce i tam otworzyć kasetkę. W sklepach są specjalne gadzety służące do tego celu, ale równie dobrze sprawdza się otwieracz do butelek. Następnie odcina się rozbiegówkę i – na ślepo, kierując się wyłącznie dotykiem – wkłada się błonę fotograficzną o długości jednego metra i czterdziestu centymetrów do koreksu. Po dokładnym dokręceniu wieczka mogę już zejść na dół i dodać odczynniki. Zmagania z pierwszą rolką w namiocie z kołdry zajęły mi ponad pół godziny i jakaś część mnie miała nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie. Jeżeli prześwietle film, nie będę musiała oglądać ostatnich zdjęć, które Alex zrobił tym porąbanym niemieckim aparatem.

Oczywiście jego nie ma na żadnym ze zdjęć, bo on był fotografem. Natomiast znalazłam dwadzieścia jeden klatek z witrynami sklepów, górami śmieci, rozpadającymi się płotami i przekrzywionymi słupami bram – wariacje na temat miasta w rozkładzie, jak sądzę. Niestety, ujęcia są bez polotu, a zdjęcia mdłe i nijakie.

Na samym końcu filmu odkryłam trzy moje zdjęcia. Siedzę na ławce na skwerze i patrzę w dal. (Nie pamiętam już, czy nie wiedziałam, czy udawałam nieświadomą, że Alex strzela te fotki). Czy byłam wtedy szczęśliwa, wie tylko tamta dziewczyna.

W koreksie siedzi teraz film z kolejnymi dwudziestoma czterema czarno-białymi fotografiami nieznanymi ludzi, cieni i faktur. Jest też Rachel w trakcie podcinania włosów i Henry zapatrzony na Tamizę. A może właśnie w tamtej chwili zbierał się na odwagę, żeby mnie spytać, co robię w weekend? Gdybym umiała czytać w jego myślach, gdybym wiedziała, na co się zanosi, może inaczej bym odpowiedziała. Ale nie wiedziałam, tak samo jak tamta dziewczyna na ławce nie wiedziała, co stanie się z Alexem.

# Henry

## *Za moje grzechy*

Dotąd nie znałem żadnej Kirstine, do dzisiejszego wieczoru nie miałem pojęcia, że takie imię w ogóle istnieje, i moje usta uparcie układają się do fonetycznej korekty. Zdążyłem już przekręcić Kirstine na Kirsten, Kristy i Christine. Moja towarzyszka reaguje na te przejęzyczenia tolerancyjnym śmiechem. Na szczęście to ona dominuje w rozmowie, więc nie muszę zbyt często przestawiać kłopotliwych sylab. Kirstine jest inteligentna, pewna siebie i ma gotowy plan na życie.

– ...a potem, może po roku, powinnam dostać awans na dyrektora średniego szczebla. Chyba niezły moment na dziecko. Ha! Ha! Nie panikuj, dopiero się poznaliśmy. Ale poważnie, dzieci są u mnie w rozpisce i gdyby się tak zdarzyło, że pojawią się przed moim przejściem na wyższe stanowisko, to nie sądzę, aby ograniczyły...

Mojej rozmówczynie przykleił się jarmuż do zębów. Pierwszy raz jadłem go dopiero w Londynie, widocznie muszą tutaj mieć nadmiar tej zieleniny, bo ostatnio, ilekroć otwieram menu, znajduję ją w karcie przynajmniej w dwóch miejscach. W trzech, jeżeli doliczyć zęby Kirstine. Nie jestem pewien, jakie zasady obowiązują w takich okolicznościach; jeżeli jej o tym powiem, poczuje się zażenowana, jeśli nie, będzie później się wstydzić. Już w tej chwili wiem, że „później” mnie w pobliżu nie będzie, tak więc czuвам, aby nasze kieliszki były pełne, i pozwalam jej mówić. Ona ma ładne zęby, białe i równe (lewy siekacz jest lekko wyszczerbiony) i o ile dobrze widzę ze swojego miejsca, starannie o nie dba.

Kelner przynosi desery i Kirstine – tak jak wcześniej przy przystawkach i głównym daniu – wyjmuje telefon, robi zdjęcie talerza, po czym wrzuca je na Facebook.

– Jesteś na fejsie? – pyta, pukając pomalowanym paznokciem w komórkę.

– Jestem cyfrowym odludkiem.

Moja towarzyszka śmieje się całkiem przekonująco dokładnie dwie sekundy.

Nigdy nie byłem entuzjastą mediów społecznościowych, a po niedoszłym ślubie moje zainteresowanie nimi dramatycznie spadło. Zdecydowanie skończyłem z wchodzeniem na Facebook, co ma swoją dobrą stronę, bo nie muszę więcej oglądać zdjęć puddingów moich znajomych.

– Gdzie twoje włosy? – Kirstine gestem ręki rysuje fryzurę, jaką mam na zdjęciu na swoim profilu. Tę po ostatnim strzyżeniu mamy.

– Nie wiem – mówię. – Wszędzie ich szukałem.

– Szkoda. – Nie wiem, czy mój nieudolny dowcip jej nie rozbawił, czy raczej go nie chwyciła. – Do twarzy ci było. A więc... fryzjerstwo?

– Za moje grzechy.

Za moje grzechy? O ile pamiętam, nigdy nie uciekałem się do autoironii dla podtrzymania konwersacji, a zrobiłem tę wrzutkę wyłącznie dlatego, że nic oryginalnego nie przychodziło mi do głowy. Jednak, kiedy analizuję te słowa, widzę, jak żenująco trafnie pasują do mojej sytuacji.

– Opląca się?

– Nie, jeżeli nie masz własnego salonu.

– A masz?

– Emmm... nie.

– Och.

Gdyby nie leczenie zębów w piątki, nie wiem, jak bym się w tym mieście utrzymał. Pewnie zamieszkałbym na kupie z jakimiś Australijczykami, jadłbym mniej mięsa, piłbym mniej wina, rzadziej chodził na randki. Co – może z wyjątkiem Australijczyków – wyszłoby mi na dobre. W ostatnich kilku miesiącach nieraz się zastanawiałem, co by było, gdyby ktoś z salonu zjawił się w gabinecie albo odwrotnie. Oczywiście nie ma nic nielegalnego w obcinaniu włosów i jednocześnie leczeniu zębów, jednak niektórym ludziom mogłoby się to wydać dziwne. W takiej sytuacji zostałyby mi chyba dwa wyjścia: albo wmówić, że mam brata bliźniaka, albo stanowczo się wyprzeć. Zresztą za bardzo się tym nie przejmuję. Gdy obcinam włosy, ludzie, co prawda, widzą mnie w lustrze, ale są skupieni na własnym odbiciu, a kiedy leczę zęby, oni patrzą w sufit, a ja mam maseczkę. Nie mówiąc już o tym, że pracuję w renomowanej przychodni i w podrzędnym zakładzie fryzjerskim, a więc szanse krzyżowania się tych dwóch światów są raczej mizerne. Niemniej, jeżeli udaje mi się dotrzeć do trzeciej, czwartej czy też dwudziestej czwartej randki, ten temat w końcu wypływa, a wtedy jedno odkrycie prowadzi do drugiego i konsekwentnie do okrzyku: „No co ty!”. Jednak jakoś mi się nie wydaje, abyśmy z Kirstine mieli się spotkać dwadzieścia cztery razy. Będę zdziwiony, jeżeli uda nam się dobrnąć do zamknięcia restauracji o dwudziestej drugiej.

– Ehm... – zagaduję – jak twoje ciasto daktyłowe w karmelu?

– Pychota. A twoja deska serów?

– Super. Naprawdę cheddar-owa! – mówię i zastanawiam się, jak trudno byłoby odgryźć sobie język.

W przychodni zatrudniamy dwie recepcjonistki, dwie higienistki i pięć asystentek stomatologicznych. Połowa z nich to singielki i wszystkie potrafią wysyłać esemesy z zamkniętymi oczami. Co tydzień wysłuchuję kilka podobnych wersji tej samej historii. Jeżeli randka się nie klei, te kobitki dyskretnie wyjmują telefon z kieszeni lub z torebki albo spod uda i pod stołem wysyłają wcześniej napisaną wiadomość do umówionego wybawcy. Dwie sekundy później dzwoni telefon i osoba na drugim końcu linii informuje, że uciekł kot, spalił się dom, wybuchła babcia. Mnie nie ma kto ratować i dlatego, żując ser, czekam, kiedy kelner znajdzie się w zasięgu mojego głosu, abym mógł poprosić o rachunek.



Dzwoni komórka Kirstine.

– Oj, to moja. Przepraszam, odbiorę.

– Nie krępuj się.

– No, cześć! – mówi do telefonu. – Co tam? Nie. – Podnosi dłoń do ust. – Żartujesz... obie nogi!... To straszne... Nie, wcale, już jadę.

## Zoe

### *Tylko ten wieczór*

Wszyscy mówimy o inwencji, lecz to potrzeba jest matką wynalazku, w tym desperacji, pokory i pragmatyzmu. Jak inaczej wytłumaczyć moją obecność za tą wąską, lepką dechą? Jestem pewna, że gdyby zanosło mnie przed ten pub w bocznej uliczce, nie otworzyłabym drzwi, nie mówiąc już o podejściu do kontuaru. A może, co bardziej prawdopodobne, rozejrzałabym się wokół, rejestrując widok tandetnego wystroju oraz niechętnie patrzących na mnie twarzy, po czym wyjęłabym komórkę, przyłożyłabym ją do ucha z miną, która mówi: „Muszę odebrać”, i wymaszerowałabym na zewnątrz, żeby poszukać mniej osobliwego przybytku. Tymczasem jestem tutaj, nalewam duże piwa i serwuję fistaszki.

Stali klienci są naprawdę fajni, nawet jeżeli z wyglądu przypominają obsadę serialu kryminalnego z epoki wiktoriańskiej produkcji BBC2. Połowa z nich bez skrupułów zwinęłaby ci portfel i przepuściłaby pieniądze na drinki dla kumpli i dla ciebie też, o ile przypadkiem byłabyś w pobliżu. Jest też dodatkowa zaleta; nikt tu nie wie, że zmarł mój chłopak. Ci faceci opowiadają przy mnie pieprzne kawały, natrzęsają się ze mnie, że jestem singielką, pytają: „Hej, kto ci umarł?”, gdy mam podły humor, lub powarkują na mnie, gdy sami są nie w sosie. Oni traktują mnie jak normalną osobę. Ich zachowanie poprawia mi samopoczucie i bije na głowę pieczenie kruchych ciasteczek przez wdowy z grupy wsparcia, gdzie czułam się jak oszustka.

Mimo wszystko nadal nie jestem przekonana, czy właśnie w tym miejscu chciałabym trwonić swoje zarobki. (Tak na marginesie: dostaję wypłatę w gotówce pod koniec zmiany). Bez tych pieniędzy mogłabym zapomnieć o planach podróży na wrzesień. Pub Duck and Cover, oprócz źródła nieopodatkowanej „górkii”, stanowi dla mnie pożądaną odmianę. Stali bywalcy mnie zaakceptowali. Dla Winstona, właściciela tego przybytku, jestem „reprezentacyjną laseczką z wyższych sfer”. Nadal z trudem do niego dociera, że nie wypada mnie poklepywać po tyłku („Jezdem wytworem swoich czasów, księżniczko”), ale chęci ma dobre i czynimy postępy.

Kolejną zaletą pracy w Duck and Cover jest darmowy posiłek w trakcie zmiany. „Cokolwiek z tego, co jest w karcie, słońce”. Legenda głosi, że na tym wyplamionym kawałku kartonu swego czasu poleciano takie egzotyczne wymysły jak grillowany ser halloumi, kurczę cajun i paszteciki, lecz po „niespodziewanym napływie alfonsów, gejów i takich różnych artystek” szef kuchni (bratanek Winstona) wrócił do standardowego zestawu – kupowanych hurtowo burgerów

i cynaderek z wołowiną zapiekanych w cieście, bo „piękne dzięki bardzo, pub dobrze przedzie dzięki tradycyjnym potrawom”. Co prawda bardziej wyrafinowani klienci są tu więcej niż mile widziani, ale Winston („Będę z tobą szczerą, księżniczko”) nie ma ochoty wysłuchiwać pretensji, jeśli sałata rzymska okaże się nieco przywiedła.

Tym burgerom daleko do doskonałości, jednak z serem, bekonem i z furą musztardy dają się jakoś zjeść. Za to frytki są cholernie dobre. Z porcją surówki coleslaw mój sobotni posiłek spokojnie zawiera z tysiąc pięćset kalorii i zazwyczaj obywam się bez jedzenia do następnego wieczoru. Zjadam wtedy talerz zupy i grzankę. Bóg jeden wie, jaki mam poziom cholesterolu. W tygodniu przejeżdżam około osiemdziesięciu mil na rowerze i od świąt Bożego Narodzenia chodzę w ciuchach o jeden rozmiar mniejszych. Nie spodziewam się, że taką dietę zacznę w najbliższym czasie promować Narodowy Fundusz Zdrowia, natomiast mnie ona służy.

Winston rozpoczyna quiz od pytań muzycznych („W jakim zespole Stuart Sutcliffe grał na gitarze basowej?”), a to oznacza, że zostaje mi siedem minut na dokończenie posiłku, zanim zawodnicy odłożą długopisy i rzucają się hurmem do baru. Razem z Winstonem serwujemy około pięćdziesięciu drinków w dziesięciominutowej przerwie i naprawdę w takiej chwili przydałaby się dodatkowa para rąk, a tymczasem Janice zadzwoniła, że jest chora, no i nie ma kto jej zastąpić. Czeka mnie harówka, ale widzę też jasną stronę – przynajmniej nie muszę wysłuchiwać utyskiwań Janice na jej chłopaka z wyliczanką żali z całego tygodnia. Poza tym, kiedy skończy się gorączka przy barze i wszyscy wrócą do swoich arkuszy quizowych, zostanie mi tylko wycieranie szklanek i kufla. Uważam, że to nie jest dobry wieczór na organizowanie quizów, jednak Winston odkrył, że w środku tygodnia te konkursy przyciągają za dużo „cholernych studentów, wykształciuchów i innych mądrali, bez obrazu, kochana”. Według jego teorii młodzi ludzie, żeby studiować, biorą ogromne pożyczki i potem tacy pieprzeni jajogłowi źle znoszą przegraną z drużyną budowlańców, hydraulików, kasjerów czy sprzedawców – a to prowadzi do niepotrzebnych awantur i rozwalonych warg. Stąd te gumowate hamburgery, quizy w sobotnie wieczory i „wszyscy są zadowoleni, skarbie”.

Dokładnie w chwili, gdy zmagam się z wyjątkowo twardym kęsem, w drzwiach staje Henry. Waha się. Chłonie wystrój pubu, wygląd klientów i pytanie Winstona „Kto napisał słowa do *Islands in the Stream*?”. Zanim mnie dostrzeże, prawie dławię się burgerem z Duck and Cover.

Zostaje mi tylko odwrócić się i wypluć wszystko do kubła. Boże, błagam, niech on tego nie zauważy. Wystarczy, że jestem w złachanych dzinsach i tak spranej koszulce, że trudno określić jej kolor. Uderza mnie myśl, że mogę mieć ketchup na ustach, kucam więc za kontuarem i wycieram wargi poślinionym palcem.

Co on, do diabła, tu robi?

– Cześć, przybyszu – silę się na nonszalancję, wyskakując spod baru. – Co słychać?

– Byłem... no wiesz... w okolicy – tłumaczy się. Nie wiem, czy naprawdę jest

stremowany, czy tylko udaje, w każdym razie to jego zagubienie jest urocze. – Chyba nie masz mi za złe?

– Jasne, że nie. Ale... – Przechylałam się ponad barem i odgrywałam pantomimę, udając, że szukam czegoś na jego drugim końcu. – Zdaje się, że byłeś umówiony na randkę?

Uśmiecha się z zakłopotaniem.

– Ona, ehm... fotografowała dania.

Niech to szlag, wybucham tym moim śmiechem, przechodzącym w pochrząkiwanie.

– Ha! Szkoda, że tutaj jej nie przyprowadziłeś. Tu nikt nie fotografuje jedzenia.

– Och, przepraszam. – Henry wskazuje mój niedojedzony hamburger. – Przeszkadzam ci w kolacji?

– Co? Ach, to. Nie. Już skończyłam, jestem trochę, no wiesz... – Klepię się po żołądku.

Henry wsuwa się na stół i przechyla do mnie.

– Aretha Franklin – mówi szeptem.

– Słucham?

Skinieniem głowy wskazuje zawodników skrobiących na kartkach. „Której z pieśniarek soulowych ścieżki dźwiękowe pojawiają się w dwóch częściach *Bridget Jones?*”.

– Arethy?

– Franklin. *Respect* w pierwszej, w drugiej *Think*. Chyba.

– Bardzo filozoficzne.

Henry śmieje się w odpowiedzi.

– Czy... wolno mi postawić ci drinka?

– Boże, pewnie. Poproszę dużą lampkę czerwonego.

U Winstona przysługuje pracownikom jeden darmowy drink podczas zmiany. Ja wyszczyłam swój przed końcem serii pytań o naukę i przyrodę. Nalewam hojną porcję czerwonego wina z ostatnio otwartej butelki i przechylałam kieliszek do Henry'ego, zanim wypijam pierwszy łyk.

– Jest szansa, że też coś dostanę? – pyta, udając, że podnosi kieliszek.

– Och, przepraszam, Zoe, twoje maniery!

– Dobre to wino?

Kręcę głową.

– Nie, ale nabiera smaku, jak się odpowiednio dużo wypije.

– W takim razie, niech będzie butelka.

Odgłos wyciąganego korka przypomina wystrzał z pistoletu startowego.

Zaciskam zęby, gdy pięćdziesiąt krzeseł równocześnie odsuwa się od stolików, i szykuję się na atak.

– Powodzenia – życzy Henry, odchodząc z butelką i kieliszkiem do stolika w narożniku.

Wyobraźcie sobie apokaliptyczny najazd zombie, podczas którego nienasycone truposze, zachowując resztki cywilizowanej natury, są gotowe zapłacić, zanim wygryzą ci kawał płatu czołowego. Tak wygląda skok na bar podczas przerwy

w połowie sobotniego quizu; pięćdziesięciu spragnionych graczy przewieszonych przez kontuar, ze szklanym, błędnym wzrokiem wykrzykuje zamówienia, machając pieniędzmi przed moją twarzą. Mam wrażenie, że jeśli któryś z nich pochwyci mnie za nadgarstek, już nigdy nie odzyskam ręki. Zmagania z tymi oszołomami wymagają koncentracji, koordynacji i kondycji. Nie mam pojęcia, jak wyglądam po tej krótkiej mordędze, nie sądzę jednak, aby w najbliższym czasie zdjęcie kogoś o takim wyglądzie trafiło na okładkę „Cosmopolitan”.

Kiedy ożywieńcy, powłócząc nogami, oddalają się do swoich stolików, Henry wraca na stołek. Stawiam pusty kieliszek na ladzie, a on w milczeniu nalewa mi wina. Odzywa się dopiero, gdy pociągam porządny łyk.

– Jak ci poszło?

– Nie będę za tym tęsknić, gdy stąd zniknę – mówię i natychmiast żałuję aluzji do bliskiego wyjazdu.

Henry uśmiecha się niepewnie.

– We wrześniu, tak?

– Taki jest plan.

– W którym filmie z Bondem – do rozmowy wcina się głos Winstona – Donald Pleasance grał czarny charakter?

– *Żyje się tylko dwa razy* – szepcze Henry.

– Boże, jakie to wkurzające.

– Przepraszam, ja tylko...

– Nie, nie chodzi o ciebie, tylko o film. Ty mnie nie wkurzasz, naprawdę. Wiem, że świruję i że nie należy traktować tego dosłownie, ale mnie to cholernie złości. Żyje się raz i na tym koniec. Denerwuje mnie, gdy ludzie nie doceniają tego, co... Boże, gadam jak potłuczona. Przepraszam, chyba jestem dziś trochę nie w sosie. Chcesz zagrać w scrabble?

Henry patrzy na mnie – i trudno mu się dziwić – jakbym miała pianę na ustach.

– Tak – zaczyna niepewnie – jeśli chodzi o scrabble. A co do... gadania jak potłuczona... to...

– Brakuje kilku płytek – informuję go, wyciągając scrabble spod pudeł z grami Monopol, Buckaroo, Spadające Małpki, Jenga i paroma innymi planszówkami. – To wprowadza element tajemniczości.

Po ostatniej rundzie pytań i kolejnym apokaliptycznym nalocie zombie na planszy leży mnóstwo płytek i ku mojemu zdumieniu znajomy fryzjer wyprzedza mnie o pięćdziesiąt punktów. Ot, i tyle pożytku z chodzenia do prywatnej szkoły.

– Kat – mówię, dokładając dwie płytki. – Pięć punktów.

– Fajne. – Mój przeciwnik kiwa głową z udawanym podziwem, jakbym ułożyła przynajmniej takie słowa jak: „skatować”, „kation” czy „brokat” zamiast tej trzyliterowej miernoty. – „Wakat” – ogłasza Henry i kładzie dwie płytki, patrząc mi w oczy. Otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, zmienia zamiar i z uśmiechem odwraca wzrok.

Nie wiem, czy można to nazwać randką, lecz jeśli tak, uznałabym nasze spotkanie za udane. Rozmawiamy, śmiejemy się beztrąsko bez szczególnego powodu, przeskakujemy z tematu na temat, losowo wybierając słowa na planszy

jako odpowiedzi.

„Bić”: Jak Henry dorobił się blizny na czole.

„Gra”: Mój ulubiony film.

„Nutki”: Jego ulubiona piosenka.

„Bajarz”: Moja pierwsza książeczka obrazkowa.

Przeszło mi przez myśl, że jeśli kiedyś zacznę się z kimś regularnie spotykać, to prędzej czy później będę musiała opowiedzieć o Alexie i jak to wtedy rozegrać? Henry nie wydaje się zainteresowany standardowym zestawem pytań na pierwszą randkę w rodzaju, gdzie studiowałaś, co ukończyłaś, dlaczego wybrałaś ten zawód. Brodzimy w nurcie płytkiej konwersacji, unikając wszelkich głązów, zawirowań i głębszych regionów. Nieważne, o czym mówimy; istotne jak ta rozmowa się toczy. Większość mężczyzn lubi opowiadać o swojej pracy, samochodach, planach, „tamtym jedynym razie, kiedy”, tymczasem Henry, poza jakąś anegdotką czy nawiązaniem do słów na planszy, nie mówi o sobie. To jest ożywcze, zabawne i – jak scrabble z brakującymi literami – niepozbawione elementu tajemniczości.

Henry przechyla butelkę nad swoim kieliszkiem, ale wina już nie ma.

– O której kończysz? – pyta.

– Zależy, jak szybko pozbiera szklanki, wytrze stoliki i poznosi talerze – odzywa się Winston, wyrastając obok.

Zerkam na zegarek; skończyłam zmianę pięć minut temu. Pub jest prawie pusty. Kilku maruderów powoli dopija swoje drinki, jakaś para obściskuje się w kącie, przy jednym ze stolików stałych bywalców toczy się zażarta dyskusja o piłce nożnej z marną szansą na szybki finał.

– Cholera, przepraszam, Winnie. Straciłam poczucie... no wiesz.

Winston uśmiecha się ironicznie.

– Zauważyłem. Nie zostaliśmy sobie przedstawieni – zwraca się do Henry’ego z wyciągniętą ręką. – Jestem Winston, właściciel lokalu.

– Henry. Jestem...

– Moim fryzjerem – dopowiadam. – On jest moim... fryzjerem.

– Miło mi – mówi Henry, ciągle potrząsając dłonią Winstona.

– Fryzjer? Znaczy, takie... rzeczy z włosami?

Henry przytakuje ruchem głowy i naśladuje palcami ruch nożyczek.

– No i dobrze. – Winston wzrusza ramionami, co zapewne ma znaczyć „co kto lubi”.

– Słuchaj – Henry zwraca się do mnie – mogę ci pomóc.

– Zmykajcie – poleca Winston, otwierając okienko do wydawania posiłków. – Dzisiaj sam się tym zajmę.

– Na pewno, Winnie? Poradzę sobie.

– Zmywajcie się stąd, zanim zmienię zdanie – mówi. – Masz u mnie dług.

Całuję Winniego w wąsiska, a on daje mi klapsa w pupę, gdy wychodzę z baru.

– Rączki, Winston.

– Wybacz, księżniczko, to silniejsze ode mnie. Miło było cię poznać – zwraca się

do Henry'ego. – A tak nawiasem mówiąc, do twarzy jej z tą fryzurą.

– Prawda? – podchwytuje Henry i zanim zdąży się zorientować, jesteśmy sami, na zewnątrz.

Całujemy się.

To on mnie pocałował czy ja jego?

Na trzecim spotkaniu załamanych wdów miałam na szyi otarcie po zaroście. Wieczorem tamtego dnia napisałam w moim czarnym brulionie: „Nigdy więcej bezsensownego seksu”.

Ten pocałunek w żadnym wypadku nie jest bez sensu i czuję, że dokądś prowadzi.

– Nie powinniśmy – mówię.

– Wiem – szepcze on, nie odrywając ust.

– I nie możemy tutaj stać całą noc – protestuję, chociaż szczerze mówiąc, najchętniej bym tu została.

– Odprowadzić cię do domu?

Wcześniej bywali u mnie mężczyźni, jednak z żadnym z nich nie zamierzałam spotkać się po raz drugi. Dlatego nie przejmowałam się, gdy pytali, kim jest ten facet na zdjęciach. Mogłam nakłamać, uderzyć w płacz, zbyć to pytanie śmiechem albo je zignorować. Natomiast nie wiem, co powiedziałabym Henry'emu, i nie potrzebuję wcale się tego dowiedzieć.

– Mam bałagan – wykręcam się.

Coś przyciąga uwagę Henry'ego. Odchyła się ode mnie, podnosi rękę. Podjeżdża taksówka.

– Gdzie jedziemy? – pyta taksówkarz.

# Henry

## *To wszystkich bajka*

Gus obserwuje mnie kątem oka. Bardziej skupia się na mnie niż na swojej klientce, a z kolei ona, zajęta jakąś grą w komórce, w ogóle tego nie zauważa.

– Zdarzyło ci się obciąć komuś ucho? – zaczepiam go.

– Tylko raz – odpowiada.

Widzę w lustrze, jak klientka na moim fotelu wytrzeszcza oczy.

– To jak? – zaczyna Gus. – Randka się udała?

Teraz obie panie wraz z Gusem patrzą na mnie wyczekująco.

– No i? – zachęca mnie ta z komórką.

Kiwam głową z uśmiechem.

– Fajnie – podsumowuje Gus. – Spotkasz się z nią jeszcze?

Mój uśmiech znika.

Gus wzrusza ramionami.

– Jak uważasz.

– Mężczyźni – wzdycha dziewczyna z telefonem, wracając do gry.

– W takim razie – ciągnie Gus – jak rozumiem, masz czas wieczorem?

– Sam nie wiem, raczej...

– Nie wymiguj się.

– Bo, widzisz... to chyba nie moja bajka.

– Henrique, to wszystkich bajka.

Dostajemy poduchy wypełnione gorczycą oraz koce.

– Czy wszystkim jest wygodnie? – pyta Gus melodyjnym głosem hipnotyzera.

Powietrze w pokoju nad salonem Kudłaty Kriszna jest przesycone zapachem kadzidła. W mroku migoczą płomyki świec, z głośników płynie relaksacyjna muzyka, poducha miękko się ugina. Ale nie powiedziałbym, że jest mi wygodnie. Gus oprócz obcinania włosów raz w tygodniu skrzykuje grupę medytacyjną. Z tego, co mi mówił, prowadzi te godzinne sesje na podstawie częściowo zgłębionych zasad buddyzmu, nocnych programów telewizyjnych i przekazu instruktorki jogi, z którą był w przelotnym związku. Leżymy na podłodze, zakutani w koce i wsparci na poduchach. Jest nas pięcioro; to wysoka frekwencja na „Wtorkowych Relaksacjach Gusa”.

– Teraz się odprężymy – ogłasza nasz guru, rozciągając słowa, co wywołuje bardziej komiczny niż relaksacyjny efekt. – Rozluźnijcie palce u stóp... Czy wasze palce są rozluźnione?

– Uhhh... – odpowiada parę niewidzialnych osób.



– Henrique, jak tam twoje paluszki?

– Ta, znaczy...

– Świetnie. A teraz kostki u nóg.

Potem przychodzi kolej na kolana, uda, lędźwie („Heraldo, rozluźniłeś tył?”), na brzuch, ramiona, dłonie, palce, szyję i twarz. Rzeczywiście, odprężam się, co prawda przeszkadzają mi trochę komendy Gusa, ale, tak, jestem zrelaksowany.

– Czas na wasze zwoje – obwieszcza mistrzu, przeciągając słowa. – Jeżeli męczą was jakieś myśli, coś was nurtuje... Henry... otwórz świadomość na swój problem.

Zoe. Twarz Zoe w lustrze, gdy obcinam jej włosy. Smutny uśmiech Zoe. Zoe w podróży.

– I jak, jesteście tam? – intonuje Gus.

– Hmm, hmm.

– A teraz wyobraźcie sobie baaloon, nieważne, jakiego koloru, byle byłby to baaloon.

– Uhm, no...

– Przywiążcie te ciężkie myśli do waszego balonu. Mój jest czerwony. I pozwólcie balonowi odlecieć z tymi miazmatami.

Wszyscy milczymy przez minutę. Mój balon unosi się z Zoe uczeponą sznurka. Ale ja nie chcę, żeby on odleciał. Podaję rękę Zoe i ściągam ją z powrotem ku sobie.

– Jak wam idzie? Uwolniliście się od waszych osadów?

– Aha, hmm...

– Henrique?

– Ehm, uhm...

– Suuuper.

# Czerwiec

6 czerwca 20.43

Od: Audrey [audreywilliams56@mymail.net]

Do: Alex Williams

Dzień dobry, Synku.

W tym tygodniu dużo o Tobie myślałam.

Tak naprawdę prawie nie schodzisz mi z myśli. Czasem te myśli, przyczajone gdzieś w tyle głowy, są jak radio cicho grające w drugim pokoju, a czasami atakują niespodziewanie i bolą. W zeszłym tygodniu zaszłam do supermarketu Morrison's, bo mieli tam borówki amerykańskie w specjalnej cenie. „Bublówki”, mówiłeś na nie w dzieciństwie. Poczułam, że muszę natychmiast stamtąd wyjść. Zostawiłam wózek z zakupami w alejce i ruszyłam do drzwi. A potem długo szłam przed siebie bez celu aż do zmroku.

Widzę Cię w myślach w wielu postaciach. Od niemowlęcia po postawnego, dorosłego mężczyznę. Nie wiem, może dlatego, że zbliża się lato (bardzo lubiłeś te długie letnie wakacje!), to ostatnio, gdy zamykam oczy, staję przede mną chudy jedenastoletek z patykowatymi nogami i strupami na kolanach. W tamtych czasach ciężko mi było bez pomocy waszego ojca, ale obaj z Patem byliście dobrymi dziećmiakami – chociaż czasami dawałeś mi popalić! Bywało, że wyczerpana zasypiałam na kanapie – pewnie spędzałam na niej tyle samo nocy, co w łóżku. Ale nie narzekam, Synku. Cieszyła mnie Twoja energia, radość i żywiołowość i wcale nie chciałam, żebyś się zmienił. Do dzisiaj są wyżłobienia na tamtej poręczy, po której zjeżdżaliście z bratem, mimo że setki razy prosiłam, byście tego nie robili! Kilka razy była malowana, a jednak ślady na drewnie pozostały. Kiedy czuję je pod dłonią, to jest prawie tak, jakbym dotykała Ciebie. Nie, nie chcę, żeby zniknęły.

Cóż, czas szykować się do snu. Słońce obudziło mnie dzisiaj po piątej rano i zaczynają opadać mi powieki. Co roku myślę, żeby zmienić zasłony na grubsze, lecz z jakiegoś powodu tego nie robię. Może jutro rozejrzę się za jakimś materiałem, bo jak ludzie mówią, nie należy niczego odkładać na później.

Ty niczego nie odkładałeś, żyłeś teraźniejszością, i cieszę się, że tak było. Niestety, za krótko, skarbie, o wiele za krótko.

Śpij spokojnie, mój słodki chłopcze.

Jestem całym sercem przy Tobie

Mama xx

## Zoe

### *Zdecydowanie drugie miejsce na liście rankingowej*

- Na pewno nie chcesz? Zafunduję ci – kusi mnie Rachel.
- Nie tyle nie chcę – odpowiadam – ile myślę, że nic z tego nie wyjdzie.
- Niech pokaże – zwraca się do mnie manikiurzystka, władca Tajlandka, budząca skojarzenia z groźnymi nauczycielkami.
- Naprawdę – wykręcam się. – Ja sobie popatrzę.
- Według informacji na plakietce kobieta ma na imię Molly.
- Dłoń – rozkazuje, wyciąga do mnie rękę i wykrzywiając usta, cmoka z dezaprobatą. – Obgryzione.
- O kurde – dziwi się Rachel. – One są...
- W zaniku. Wiem. Pomalowane jeszcze gorzej wyglądają – jak dłonie dziecka.
- Pedicure – mówi Molly, wskazując fotel ze sztucznej skóry obok stolika.
- Świetny pomysł – chwali Rachel.
- Nie, naprawdę, dzięki.
- U nóg nie obgryza? – upewnia się manikiurzystka.
- Nie. Skąd.
- Molly stanowczym gestem poklepuje fotel i prztyknięciem palcami przywołuje koleżankę, a ta natychmiast do niej podbiega.
- A więc – zaczyna Rachel, gdy Molly zabiera się do jej paznokci – jak ci się podoba mój fryzjer?
- Nie jesteś z nim w kontakcie, prawda?
- Moja przyjaciółka postukuje palcem w zegarek.
- Jestem zarobioną kobietą. Całe popołudnie siedzę na zebraniu, a jeszcze muszę dogadać sprawę kwiatów, załatwić zespół, fotografa i suknie dla druhen. No to... jak on ci się podoba?
- Jest... oj! Co to?
- Fotel – wyjaśnia moja specjalistka od paznokci, opryskliwa dziewczyna z włosami ściągniętymi na czubku głowy w koczek. – Wibruje.
- O rany! – cieszy się Rachel. – Mogłabym kupić taki do domu i spławić Steve'a. Ale do rzeczy, Henry, mówiłaś...
- Jest dobry – odpowiadam z lekkim drżeniem w głosie.
- Przyjaciółka wydyma wargi, dając w ten sposób do zrozumienia, że taka odpowiedź jej nie zadowala.
- Sympatyczny.
- Rachel robi wymowny dzióbek.
- W soboty zagląda do pubu, gadamy, gramy w scrabble... – Dzióbek ani trochę

się nie zmniejsza – ...pojawiało się trochę... prywatnych żartów, jak sądzę.

– Prywatne żarty to fajna sprawa.

– Moje mieszkanie czy u mnie – mówi i wtedy idziemy do niego.

– Jak jest?

– Hmm, dziwnie mieszka; w takim zapyziałym starym pensjonacie. Robi wrażenie... nie wiem... czegoś chwilowego. Zajmuje duży pokój na ostatnim piętrze, ma własną kuchenkę i prysznic. To coś w rodzaju kawalerki. Schludnie, ale bez wygód. Może oszczędza na własne mieszkanie. To by tłumaczyło, dlaczego tak dużo pracuje. Aha, i on układa puzzle, trochę to dziwaczne, ale nawet dość seksowne. Kiedy się koncentruje, tak zabawnie marszczy czoło.

– Fascynujące – kwituje ironicznie Rachel. – Pytałam, *jak* jest. No, wiesz... – Porozumiewawczo unosi brwi.

– Jest... – Przyjaciółka znowu ściąga usta w dzióbek; znak, że nie przyjmuje wykrętów.

Uśmiecham się.

– Zdecydowanie drugie miejsce na liście rankingowej.

– O kurczę! Niezupełnie ten, jak mu tam... – strzela palcami – Ken, Ken Wood! Ha!

– Nie całkiem – przyznaję. – Ale Ken to wybryk natury.

– Kolor? – pyta opryskliwa ta z koczkiem na czubku głowy.

– Słucham?

Dziewczyna ruchem podbródka wskazuje próbnik kolorów na moich kolanach.

– Och, no tak. Hmm... czerwony?

– Dojrzała Wiśnia, Rubin, Czerwone Jabłko, Diabelska Czerwień, Czer...

– Ona weźmie tę diabelską – decyduje za mnie Rachel. – Znaczy, on ci się podoba?

Przytakuję ruchem głowy.

– Wie, że masz zamiar podróżować?

Ponownie kiwam głową.

– Skomplikowane.

– Tak, to prawda.

– Powiedziałaś mu o... Alexie?

– Nie.

– Zoe!

– Wiem. Powinna była na samym początku, ale jakoś trudno... sama rozumiesz, jak wrzucić coś takiego do rozmowy?

– Niełatwo. – Odwraca się. – Dla mnie ten lakier Satsuma o Północy – rzuca do Molly.

– On chce, żebyśmy ze sobą chodzili – wyznaję. – Jak prawdziwa para.

– Komplikacja.

– Wiem, ale jeśli będę się migać, zrobi się trochę...

– Byle jak?

– Niezręcznie. A jeżeli się zgodzę, to...

– Kicha?

- No, ...raczej.
- Skoro już o tym mowa...
- Tak?
- Hmm, po powrocie z miesiąca miodowego mieliśmy ze Stevem zacząć się starać o dziecko.
- W porządku.
- Jestem na pigułce od piętnastego roku życia. Kawał czasu. Podobno należy odstawić tabletki kilka miesięcy wcześniej, żeby te tam przydatki i cycki się uspokoiły i były gotowe.
- Rachel?
- No, okazało się, że już jestem gotowa. Bardzo gotowa.
- I?
- I wczoraj minął dziesiąty tydzień, w dwudziestym przemaszeruję z brzuchem przez kościół.
- Jasny gwint, Rachel. Ja... chrzanię.
- Właśnie, tydzień mi zajęło, zanim się skapnęłam.
- Cieszysz się?
- Wiesz, miesiąc miodowy mam trochę z głowy. Raczej nie będę nurkować ani nie skoczę na bungee, a już na pewno odpada piña colada... ale, tak, jestem zadowolona. Właściwie szczęśliwa. Dzieciaku, ty płaczesz?
- Troszeczkę. Ze wzruszenia. Czyli – rysuję ręką wypukłość na brzuchu – dwudziesty tydzień?
- Sprawdziłam w necie: od niewielkiego zaokrąglenia po widoczny „o mój Boże, panna młoda w ciąży” brzuch. Jak znam swoje szczęście, właśnie to mnie spotka.
- Suknia?
- Dobra wiadomość to taka, że do tego czasu powinny mi urosnąć przyzwoite cycki. A więc ładny rowek w głębokim dekolcie, a dalej – Rachel zakreśla szerokie „A” poniżej linii biustu – suto.
- Kurczę pieczone.
- Lubisz ciastka, nie?
- Co?
- Dotrzymasz mi towarzystwa?
- Jasne.
- Świetnie. Przy okazji wytłumaczysz mi tę bzdurę z puzzlami.

# Henry

## *Nie powinniśmy*

To był długi dzień. Rano parę prostych zabiegów i całe popołudnie z Jenny. Łatwiej by mi szło przy pełnej narkozie, lecz mam do czynienia z osobą wątlą i w podeszłym wieku, dlatego zagrożenie przewyższa korzyści. Podałem jej łagodny środek uspokajający i umieściłem dziewięć tytanowych implantów w miejscowym znieczuleniu.

– Jenny, na pewno nie ma kto po ciebie przyjechać?

Dla mnie to były cztery godziny wytężonej pracy, dla niej ciężkie przeżycie. Jutro szczęka będzie ją potwornie boleć, na razie działa lignokaina. Niemniej ręce jej się trzęsą, biedaczka przeszła gehennę. Muszę przyznać, że nawet z tymi tymczasowymi koronami akrylowymi jej uśmiech wygląda o niebo lepiej.

– Wszyscy są zajęci – powtarza. – Nic mi nie jest. Wrócę taksówką.

– W takim razie odczekajmy jeszcze pół godziny i potem ci ją wezwę, zgoda?

– Dobry z ciebie chłopiec. – Jenny poklepuje mnie po dłoni. – Bardzo dobry.

– Wcale nie – mówię. – Po prostu nie mam nic lepszego do roboty.

I chociaż to szczerą prawdą, Jenny, śmiejąc się, karcę mnie pacnięciem po nadgarstku. Nie mam dziś więcej pacjentów, moja asystentka wyjechała na weekend, jesteśmy z Jenny sami w przychodni.

– A jak twoja dziewczyna? – pyta.

Zoe, oprócz pracy na pełnym etacie, bierze zmiany w Duck and Cover. Z tego, co widzę, sobotnie wieczory mają już swoją rutynę; od trzech tygodni grzeją stołek po drugiej stronie kontuaru. Zaliczyliśmy, jak sądzę, trzy randki. Wypijamy na spółkę butelkę wina, odpowiadam na niektóre pytania w trakcie quizu, gramy w scrabble, w kerplunk, w węże i drabiny. Potem podczas długiego spaceru do mnie wyludnionymi ulicami trzymamy się za ręce, rozmawiamy o błahostkach, śmiejemy się, myśląc o tym, co będzie.

W niedzielny poranek po naszej pierwszej wspólnej nocy poszedłem kupić gazety i słodkie pieczywo. Ustawiliśmy dwa krzesła w wykuszowym oknie i wypiliśmy dzbanek kawy przy szeleście przewracanych kartek w jasno oświetlonym pokoju. Podczas tych dwóch dziwnych godzin powietrze wokół nas wydawało się składać z niewidzialnych kieszeni; niektóre były ciężkie od niezręcznego napięcia, a inne lekkie, bo wypełniały je intymność i dobry humor. W oparach tej atmosfery nasyconej emocjami znowu zaczęliśmy się całować, lecz gdy pocałunek stawał się gorący i zawzięty, Zoe odsunęła się ode mnie z tymi samymi słowami co wczoraj: „Nie powinniśmy”.

Razem wyszliśmy z domu; Zoe wracała do siebie, przebrać się przed niedzielną

zmianą, a ja ruszyłem do Kudłatego Kriszny złapać za nożyce. Mowę ciała Zoe – sposób, w jaki mnie pocałowała, dotknięcie dłonią do policzka, uścisk ręki – odebrałem jako subtelne napomnienie. Gdy zniknęła mi z oczu, poczułem się jak oszust i głupiec. Chciałem pobiec za nią, jednak nie mogłem oderwać nóg od ziemi. Tak czy owak ona za kilka miesięcy wyjeżdża.

W następną sobotę wszedłem do Duck and Cover, akurat gdy Winston rozdawał arkusze quizowe. Zaplanowałem, że zamówię drinka, wybadam atmosferę i wtedy albo szybko się zmyję, albo dłużej tam posiedzę.

– Cześć, przybyszu – przywitała mnie Zoe, kiedy usiadłem przy barze. – Co słychać? – zapytała, wyjmując scrabble spod lady.

Kiedy skończyła pracę, szliśmy pieszo czterdzieści pięć minut do mojego domu, trzymając się za ręce, całując się, to zwalniasz, to przyspieszasz, walcząc z napięciem i poddając się oczekiwaniu, które narzucało nam szybsze tempo.

– Nie powinniśmy – powiedziała Zoe z uśmiechem błakającym się wokół ust.

To samo usłyszałem od niej tydzień wcześniej; to taki nasz prywatny żart, który za każdym razem, kiedy wybrzmi, psuje humor i obnaża prawdę. Rano pocałowaliśmy się na pożegnanie pod ponurym niebem, powiedzieliśmy sobie „do zobaczenia”, nie robiąc żadnych planów i niczego sobie nie obiecując. Wymieniliśmy się nawet numerami telefonów, ale nasze komórki milczą. Z góry wiem, że jutrzejszy wieczór spędzę w Duck and Cover na stołku przy barze, grając w jakąś planszówkę, sącząc kiepskie wino i świetnie się bawiąc przy rozmowie o niczym. „Moje mieszkanie czy u mnie?”, zapytam, a Zoe będzie się chwilę zastanawiać, zanim wybierze „u mnie”. Potem czeka nas spacer do domu, znajomy, a jednocześnie zaskakujący seks i dziwaczny ekosystem niedzielnego poranka.

Im dłużej to trwa, tym gorzej znoszę tę chwilę rozstania z Zoe. Niech to się ciągnie jak najdłużej i rani mnie tak, jak na to zasługuję.

Po drugim razie – randce czy jakkolwiek to nazwać – miałem telefon od Rachel. Chciała umówić się na podcięcie za parę tygodni. Zapytała, co u mnie słychać, i pogadaliśmy chwilę o tym i owym.

– Słuchaj... – zaczęła, zanim ustaliliśmy datę. – Zoe... wspomniała, że... się spotkaliście. Parę razy.

Dotąd nie zastanawiałem się, czy Zoe powiedziała o nas przyjaciółkom, a jednak mnie to zaskoczyło. Zaskoczyło i ucieszyło.

– Wiesz, że ona wybiera się w podróż?

– Tak, mówiła.

– Oczywiście to nie moja..., ale musisz wiedzieć, że Zoe jest moją najlepszą przyjaciółką, więc to chyba jednak moja sprawa, tylko... och, wybacz, zakałapuśkałam się, nie chcę, żeby to zabrzmiało jakoś...

– W porządku, rozumiem.

– Dzięki, ja... bądź miły, co?

– Będę się starał.

– Stań na wysokości zadania, Henry – prosi, śmiejąc się zakłopotana. – Po prostu... bądź miły.

– Będę.

– Dobrze. Lepiej, żebym nie musiała cię zadźgać twoimi własnymi nożyczkami. W takim razie do zobaczenia za dwa tygodnie.

Bóg raczej wie, o co tu chodzi. Zapytałbym, jednak uważam, że Zoe, gdyby chciała, miała dość okazji, żeby sama mi o tym powiedzieć. Podejrzewam, że w grę wchodzi mężczyzna. Może ją oszukiwał albo porzucił, a może było odwrotnie. Założę się, że ona nie bez powodu pracuje w dwóch miejscach, aby zbierać na bilet.

– Wybiera się w podróż – wyznaję Jenny. – Ta dziewczyna.

– Dokąd?

– Tu i tam. Chce zwiedzić świat.

– Indie! – wykrzykuje moja pacjentka, celując krzywym palcem w niebo. – Tam niech jedzie. Ładnie jest.

Zawsze ostrożnie podchodzę do spekulacji na temat kraju czyjegoś pochodzenia; bardzo łatwo w takich chwilach wyjść na ksenofoba i rasistę. Miałem dość niezręcznych sytuacji z Aussie, jak wołają na Australijczyków, i z Kiwi, czyli z Nowozelandczykami, nie mówiąc już o całej Azji.

– Ty nie jesteś...? – Gestykuuję bezładnie, pilnując się, aby mimo woli nie wykonać jakiegoś gestu, który Jenny mogłaby niewłaściwie odczytać.

– Tak, jestem Chinka – potwierdza. – Ale mój mąż z Indii. Jadę tam w październiku.

– Do Indii? Brzmi ciekawie.

Jenny kiwa głową.

– Tak. Rozsypać popiół.

– Masz na myśli... prochy...

– Męża, tak. On umrzył. – Po tych słowach jej oczy wypełniają się łzami.

Mówi się, że w boksie najbardziej boli cios, którego się nie spodziewamy, i rzeczowy ton tej informacji zupełnie mnie zaskakuje.

– Jenny, bardzo mi przykro. Kiedy to się stało?

– W marcu. Dwa tydzień przed urodzinami.

– Jego?

– Moimi. Miał mnie zabrać do teatru. Tego z tańczącym chłopcem.

– Na musical *Billy Elliot*?

– Pogrzeb w ten dzień i bilet zmarnowany.

Szukam w jej oczach choćby śladu wesołych iskierek, ale widzę jedynie powagę.

– No to zamiast zrobiła zęby.

– Zamiast *Billy'ego Elliota*?

Jenny parska śmiechem i poklepuje mnie po ręce, jakbym powiedział coś zabawnego.

– Rodzina męża nigdy mnie nie lubiła. Chinka, wiesz. Bardzo gniewali, kiedy się ożenił, i nigdy tam nie pojechał.

– A ty zawieziesz jego prochy.

Jenny skwapliwie kiwa głową.



- Obiecała. Kiedy dostał raka. – Przykłada dłoń do brzucha. – Obiecała.
- Jest tam jeszcze jakaś jego rodzina?
- Tylko siostry. Miłe, piszą listy, kartki.
- I dlatego tu przyszedłeś? Z powodu Indii?
- Dobrze mieć ładne zęby.

Według mojej oceny Jenny miała zęby w fatalnym stanie od przynajmniej dziesięciu lat, a może nawet o wiele dłużej. Fakt, że dopiero teraz – po śmierci męża – się nimi zajęła, szokuje.

– Nic się nie przejmuj – uspokajam ją. – Twoje zęby będą wyglądać idealnie. Jenny kiwa głową.

– Kocha ją?

Mimo woli nie panuję nad śmiechem.

– Trochę na to za wcześnie.

Moja pacjentka zdecydowanie kręci głową.

– Ja wiedziała zaraz. Mąż bardzo przystojny chłop, wiesz.

– Nie wątpię.

– Ja pracowała w szpitalu, w Chennai. Jak moje imię, co nie? I co dzień chodziła do piekarni po słodką babeczkę.

– Jenny, od słodyczy psują się zęby.

– Tak, ale ty widzi, piekarz bardzo miły człowiek. Mówi do mnie: śliczny uśmiech za babeczkę, pieniądze nie.

– Ach, rozumiem.

– No to brała słodką babeczkę do pracy co rano. Wiele tygodni. Jednego dnia – ciastka pakują w takie kwadratowe pudełka – ja otwieram pudełko i nie ma babeczki. Tylko płaski placek, a na nim mała pani i pan. Jak na ślubnym torcie.

– Żartujesz!

– On idzie za mną na dwór i mówi: „Ty za mnie wyjdź”. Nawet nie znała jego imienia.

– I wyszłaś za niego?

– Nie – śmieje się. – Piekarz gruby, włochaty nos. Ja jadła babeczkę w szpitalu z przystojnym lekarzem. On kupował herbatę, ja przynosiła babeczkę. A potem on jedzie do Anglii. To pojechała z nim, wyszła za niego, miała dzieci.

– Rany, Jenny, ty jesteś pełna niespodzianek.

– To wiadomo od razu.

– Może i tak jest.

– Czemu ty nie pojedzie z dziewczyną?

– To nie takie proste.

– I nie takie trudne. – Wzrusza ramionami. – Ja już w porządku. Zawoła taksówkę?

– Jasne. Tylko pamiętaj, dzisiaj nie jedz nic twardego. I żadnych słodkich herbatników, słyszysz?

Śmieje się i poklepuje mnie po ręce.

Kiedy sięgam po telefon, żeby zadzwonić po taksówkę, widzę nową wiadomość. Od Zoe.

Co robisz wieczorem?

## Zoe

### *Pobieramy się*

– Powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy? – pyta Henry, gdy pociąg rusza z Victoria Station. Jest sobotni poranek, zamieniłam się zmianą w Duck and Cover, mamy więc całą dobę dla siebie.

– Do Surrey.

Henry puka w bilet na stoliku.

– No, tyle sam się domyśliłem.

– Pobieramy się.

Kolor schodzi mu z policzków, jakby ktoś odkręcił kran na karku.

– To taki żarcik, co?

– Boże, Henry, ty naprawdę wiesz, jak uszczęśliwić dziewczynę.

– Wybacz... śluby mnie trochę...

– Wyluzuj, jedziemy na degustację wypieków.

– Wypieków?

– A dokładnie ślubnego tortu i przyrzekam, że ci się nie oświadczę.

– Bo ja... – zaczyna, lecz proces formowania pytania zdaje się prowadzić do dziewięciu następnych i odchodzi mu chęć do ich zadawania.

– To przysługa dla Rachel. Ona... potrafisz dochować tajemnicy?

– Tak. Oczywiście. – Kiwa głową z powagą.

– Ona inkubuje.

Henry wygląda przez okno, patrzy na mijaną scenerię.

– Inkubuje?

– No wiesz... zaskoczyła, jest...

– W ciąży! A co z weselem? Jak bardzo jest w ciąży?

– Z tego, co wiem, w ciąży się jest albo nie jest... Do ołtarza pójdzie w dwudziestym tygodniu. W suuteej, zwiewnej kiece.

– O kurczę, będę musiał pomyśleć o odpowiedniej fryzurze.

– No, lepiej. Może coś w stylu sporego bocianiego gniazda.

– Czyli... tort?

– Sam mówiłeś, że chcesz pójść na randkę.

– Myślałem raczej o czymś w rodzaju kina.

– Rachel jest ostatnio trochę rzygliwa, więc... lepiej poluzuj pasek.

Henry ma bardzo ujmujący uśmiech. Opada na oparcie i z powrotem kieruje wzrok na widok za oknem.

– Jak oceniasz tort? – pytam Henry'ego.

– Hmm... – Podnosi palec, kończy przeżuwać, polyka. – Zdecydowanie na siedem.

– Nie na osiem?

– Osiem dam za puchatość – decyduje, dziabiąc ciasto widelczykiem. – Ale pyszota na siedem. Średnia siedem i pół.

– Na czym polega różnica?

– Pyszota to smak, puchatość to...

– Tekstura, kochana – wtrąca Janice, nasza Szerpa przeprowadzająca nas przez górę ciast. – To faktura i konsystencja. A pyszota, no, wiecie, to obłędny smak.

Henry puszcza do mnie oko.

– A łańes? – zwraca się do Janice.

– Atrakcyjny wygląd – stwierdza. – Wszyscy westchną „łał”, kiedy te dwa gruchające gołąbki – czubkiem palca dotyka do jego policzka, a drugą ręką szczypie mnie w policzek – wykroją pierwszy klinek.

– Przypomnij mi datę – prosi Henry’ego, a on, mimo że zrobiłam mu wykład w trakcie jazdy pociągiem, wyraźnie się wije.

– Sierpień... gdzieś... w połowie?

Janice chichocze, jakby jego wahanie stanowiło uroczą manifestację męskiego zagubienia.

– Siedemnastego – podpowiadam. – Prawda, Bobasku?

Kiedy nasza Szerpa odwraca uwagę ode mnie, Henry unosi brwi i powtarza bezgłośnie: „Bobasku”?

– Słodkie – komentuje Janice. – Mam do czynienia z mnóstwem par i wierście mi, ja swoje wiem. – Znowu szczypie mnie w policzek. – No, dobrze, teraz zostawię was samych, moje gołąbki, i pójdę po kolejne torty. Tylko bądźcie grzeczni!

Henry wyraźnie otrząsnął się z szoku i już odprężony coraz lepiej się odnajduje w okolicznościach tego dziwnego dnia. Zręcznie odpowiada na pytania o oświadczyzny, o miesiąc miodowy i o to, co się stało z moim pierścieniem zaręczynowym (jest u jubilera, żeby dobrać obrączkę do kompletu).

Gdybym poznała go sześć, trzy, a nawet dwa miesiące temu, nie wiem, czy byłabym gotowa na to coś, co się w tej chwili dzieje. A co, gdybym spotkała go cztery lata wcześniej, zanim jeszcze poznałam Alexa? Czy nadal bylibyśmy razem? Nie, nie, wcale mnie nie ponosi – po prostu degustuję dziś sporo ślubnych tortów. Kto wie, czy gdybyśmy poznali się przed czterema laty, nie planowalibyśmy teraz naszego, a nie Rachel, wielkiego dnia.

– No, to jestem! – woła Janice. – Ten wybór nazwałabym tortami z polewą, bo... ha, ha!... Proponujemy tu dosłownie osiem rodzajów lukrów i liczę, że, jak się to mówi, macie jeszcze ochotę na coś na ząb.

Po ostatniej paterze z włoskim śmietanowcem, kawową delicyją, tortem cytrynowo-makowym oraz dyniową rozkoszą dzinsy cisną mnie w pasie, a język przypomina kawał mięcha wybity tłuczkiem, wykulany w cukrze i przyszyty z powrotem do góry nogami. Wszystko smakuje tak samo, oceniam wypieki bez namysłu, z góry wiedząc, że zdecydujemy się na tort z warstw migdałowo-

makowego biszkoptu, przekładany świeżymi owocami i polany brzoskwiniowym lukrem. Zanim wyjdziemy, Janice obdarowuje nas figurkami z cukru; Henry dostaje zarumienioną pannę młodą, a ja pana młodego w cylindrze.

– Wszystkiego najlepszego i możecie na mnie polegać – mówi na pożegnanie, osuszając kącik oka teatralnym gestem. – Jesteście dla siebie stworzeni.

Henry przesypia większą część drogi powrotnej do Londynu z głową opartą o szybę, za którą przesuwaną się krajobraz traci ostrość i barwy. Być może sprawia to ta nasza niepełnowymiarowa i tymczasowa relacja, że w wyrazie jego twarzy nieodmiennie widać lekkie napięcie. Jakby nigdy do końca się nie rozluźniał i cały czas trzymał gardę. Teraz, gdy patrzę, jak drzemie z półuśmiechem na ustach, dopada mnie poczucie winy i towarzyszące mu zagubienie, wątpliwości i frustracja. Gmatwanina emocji sięgająca wstecz do Alexa i do przodu, do dnia, kiedy zostawię Henry'ego, emocji powiązanych ze sobą, gdzie każda z nich ciągnie w inną stronę, deformując to, co mogłoby być proste i nieskomplikowane. Ten niepokój, który oboje wyczuwamy, opuszcza Henry'ego we śnie, a ja, gdybym mogła cokolwiek zmienić w dzisiejszym dniu, sprawiłabym, aby ten pociąg przejechał przez Londyn i toczył się w nieskończoność.

– Wsiadka! – Gładzę Henry'ego po policzku, gdy zatrzymujemy się na Victoria Station.

– Już? – dziwi się, przecierając oczy nadgarstkami.

– Ano.

– W takim razie – uśmiecha się – do mojego domu czy do mnie?

Przechyliłam się ponad stolikiem i całuję go. Pasażerowie zdejmują bagaże z półek i wychodzą na korytarz, a ja mocno całuję Henry'ego, niczym się nie przejmując.

– Za co to było?

– Nie mam prawa o cokolwiek cię prosić, ale... myślisz, że przez następnych dwanaście tygodni... kiedy jesteśmy razem, możemy być tylko ty i ja?

Henry ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie w czoło.

– Sądziłaś, że jest ktoś jeszcze?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Bo widzisz, nie jesteśmy... – Zamiast dokończyć, raz jeszcze unoszę ramiona.

– Tak – zapewniam mnie. – Tylko ty i ja.

– W takim razie... mogę cię o coś jeszcze poprosić?

– Jasne, strzelaj.

– Pojechałbyś ze mną na ślub Rachel?

## Lipiec

4 lipca 15.14

Od: Audrey [audreywilliams56@mymail.net]

Do: Alex Williams

Witaj, Synku.

No cóż, Twoja mama właśnie skończyła sześćdziesiąt lat. Przyjechali do mnie na weekend Pat i Aggy i strasznie mnie rozpieszczali. Dostałam od nich bon podarunkowy na wizytę w spa, a Pat namawiał mnie na masaże. Boże, Synku, już na samą myśl, że miałabym leżeć gdzieś w samej białźnie, oblewam się rumieńcem. Aggy mówi, że dają ręcznik, ale mimo wszystko... Nie, raczej zdecyduję się na jakiś zabieg kosmetyczny na twarz. Chociaż na cuda nie liczę!

Zawsze myślałam, że po sześćdziesiątce zacznę sobie odejmować lat, a teraz zmieniałam zdanie. Starzenie się jest przywilejem – który Ciebie, Synku, nigdy nie będzie dotyczył. Tak więc mówię wszystkim, których spotykam, ile mam lat, i nawet noszę taką plaketkę (wielkości wieczka od słoika z dżemem).

Pod łóżkiem w pudełku od butów trzymam wszystkie kartki urodzinowe, które dla mnie robiłeś w dzieciństwie. Kilka z nich ustawiłam na komódce w sypialni. Na jednej jest kwiat namalowany palcami. Sześć czerwonych płatków w miejscach, gdzie przyciskałeś paluszki do papieru. Myślę, że w tym tygodniu dam tę kartkę oprawić i powieszę ją w holu. To będzie taki mój urodzinowy prezent od samej siebie.

Kocham Cię całym sercem i całuję

Mama xx

PS Nareszcie się zmobilizowałam! Kupiłam zasłony. Chyba całkiem gustowne – w niebiesko-białą kratę. Prawie zupełnie odcinają światło i ostatnio o wiele lepiej sypiam. Dawno należało o tym pomyśleć.

Mama xx

# Henry

## *Unosimy się?*

– Wszyscy wyluzowani?

– Hmm. Ummm.

Absolutnie nie, myślę.

Tym razem zamiast szumu fal słuchamy w kółko jakiejś melodii granej na wiolonczeli. Przypomina mi się kwartet smyczkowy, który zamówiliśmy z April na nasz ślub.

– Świetnie. Rozluźnijcie palce u stóp.

Najchętniej nigdy więcej nie usłyszałbym tego słowa na „w”, tymczasem Zoe poprosiła mnie, żebym na weselu Rachel wystąpił w charakterze osoby towarzyszącej. Ostatnim razem ta osoba dała dyla.

– Kolaana – podpowiada Gus.

Dziewczyny popłyną razem promem w piątek, w przeddzień ślubu. Mnie się nie spieszy i dlatego w piątek będę jeszcze pracować i polecę w sobotę porannym samolotem. Nawet już kupiłem bilet. Potrzebny mi tylko paszport. Ten ważny kwit leży w przedniej kieszeni walizki, którą osiem i pół miesiąca temu zostawiłem u April w pokoju. Zakładam, że wypakowała nasze sandały, okulary przeciwsłoneczne i spray na komary. Jeśli chodzi o moje rzeczy, zapewne cisnęła je do krateru najbliższego wulkanu. Byłoby o wiele gorzej, gdyby nierozpakowana walizka firmy Samsonite nadal stała w holu naszego nowego domu, obrastając pajęczynami jak tort weselny panny Havisham<sup>[3]</sup>. Nie wiem, czy April zniszczyłaby złośliwie urzędowy dokument, uważam, że raczej nie. Naturalnie mógłbym wystąpić o nowy paszport, ale wyszedłbym wtedy na tchórza. No i odwlekłbym tylko to, co nieuniknione.

– Aaaaa, rozluźnijcie mięśnie twarzy, wygładźcie czoło.

Mówi się: „stawić czoło”. Właściwie nie wiem, jak to rozumieć, czemu ma to służyć? Nie nadstawisz czoła, gdy ktoś rzuca cegłówkami albo przecina opony. Już lepiej pasuje „złapać byka za rogi”, chociaż spotkanie z tym zwierzęciem to pryszcz w porównaniu z przyjęciem, jakiego mogę się spodziewać w swoim rodzinnym miasteczku. Odkąd porzuciłem April, ominęły mnie święta Bożego Narodzenia, moje urodziny i urodziny obojga rodziców. Na początku sierpnia wypada ich czterdziesta rocznica ślubu i bardzo chciałbym ją z nimi obejść. Tata, pomimo swojej gburowatej natury i otwartej niechęci do wszystkiego, co romantyczne, nigdy nie zapomniał o życzeniach i kwiatkach dla mamy w ten dzień. W tym roku podnosi stawkę i chce się szarpnąć na jakiś biżuteryjny drobiazg z rubinami; od jakiegoś czasu wydzwania do mnie dwa razy w tygodniu,

kiedy mamy nie ma w domu, i radzi się, co ma kupić – pierścionek, naszyjnik czy może kolczyki. Jeżeli chcę wziąć udział w ich jubileuszowym przyjęciu, muszę najpierw stawić czoło i nadstawić twarz, przygotowany na to, że ktoś w nią coś wykrzyczy albo ją opluje czy obije. Kto wie, czy nie stracę też paru zębów. I to wcale nie będzie poetyckie.

– A teraz sprawdźcie, czy widzicie balony – mówi Gus. – Ja w tym tygodniu mam żółty, ale wy możecie wybrać dowolny kolor. Ważne, aby się uniosły.

Za kilka tygodni Zoe jedzie do Brighton na wieczór panieński Rachel. Kiedy przyszła panna młoda będzie paradować po plaży w welonie i z przyczepioną tabliczką z literą „L”<sup>[4]</sup>, ja wezmę kurs na północ, żeby złapać byka za rogi, stawić mu czoło i odzyskać paszport.

– Unosimy się? – pyta Gus.

Mój paszport nie może ważyć więcej niż parę uncji, ale mały, niebieski balon ma z nim poważny problem.

---

3 Postać z powieści Charlesa Dickensa *Wielkie nadzieje*, przeł. Karolina Beylin.

4 Zwyczaj na wieczorach panieńskich. „L” – *learner*, jak na samochodach nauki jazdy.



# Zoe

## *P jak palant*

W alfabecie są trzydzieści dwie litery; wychodzi trzynaście rozkładówek *Elfabetu*. A jak aniołek, B jak bombka, C, a niech to, jak choinka. Do świąt jeszcze pięć miesięcy, jednak ze względu na mozolny przebieg całego procesu, ta książeczka musi iść do druku przed końcem tego miesiąca i dlatego wszyscy razem – ja, moja szefowa, autor, ilustratorka i kierowniczka artystyczna – przeglądamy projekty rysunków, planujemy opracowanie graficzne i наносimy poprawki. Do Ś najlepiej pasuje śnieg. Od czternastej siedzimy stłoczeni wokół stolika i jak dotąd dla U wymyśliliśmy jedynie „upierdliwy”, co doprowadziło do różnych osobistych wycieczek i wymuszonych chichotów.

Na początku znajomości spotykaliśmy się z Alexem tak często, że ludzie zaczęli nas nazywać Kompletem od A do Z. Udawałam, że mnie to wkurza, ale po cichu się cieszyłam, że jestem połową kompletnej, zjednoczonej całości. Powstał wtedy taki nasz prywatny żart. Alex mówił: „Zoe, jesteś moim końcem”, a ja odpowiadałam: „A ty moim początkiem”. Dziś jest rocznica naszego poznania i myślę o nim znacznie częściej niż w minionych tygodniach, szczególnie odkąd poznałam Henry’ego.

Zerkam na komórkę; wpół do piątej, a Henry jak dotąd się nie odezwał. To taka nasza, prymitywna, piątkowa gra; straciłam rachubę, czyja kolej się ugiąć.

Posprzeczałam się w niedzielę. Mało brakowało, aby Henry otwarcie nazwał nas przyjaciółmi od łóżka i chociaż poczułam się dotknięta, uznałam, że danie upustu frustracji tylko wyjdzie mu na zdrowie. Nawet miałam ochotę mu to powiedzieć, ale moment raczej nie był odpowiedni.

Z jak zima; będę ją spędzać gdzieś na plaży.

W przerwie na lunch kupiłam bilet na samolot. Po prostu weszłam do takiego staromodnego biura podróży na jednej z głównych ulic i wydałam czterysta czterdzieści dziewięć funtów i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów na przelot do Bangkoku. I kłamka zapadła. Pracownik biura radził się wstrzymać do sierpnia albo jeszcze lepiej do września, bo wtedy wyszłoby taniej, ale ja czułam, że muszę to załatwić teraz, dzisiaj, w tej minucie. Im więcej łączy mnie z Henrym – a z tygodnia na tydzień coraz bardziej do niego się przywiązuję – tym bardziej słabnie moja determinacja. A może powinnam odwlec ten wyjazd o miesiąc, o dwa miesiące, odłożyć na przyszły rok. Dobrze wiem, że to strach przeze mnie przemawia. Zbyt długo żyłam w związku z Alexem; po części z poczucia winy i z wdzięczności, lecz przede wszystkim trzymał mnie przy nim lęk. Lęk przed nieznanym, przed samotnością. Byłam przerażona, kiedy wymyśliłam tę podróż

i dlatego wiedziałam, że to właściwy krok. Owszem, Henry mnie pociąga, jednak jeśli nie zrobię tego teraz, istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że już nigdy się nie zdecyduję. I będę mieć do siebie pretensję. Dlatego wzięłam głęboki oddech i podałam pracownikowi biura podróży kartę kredytową, a on wręczył mi bilet. Albo coś, co obecnie za niego uchodzi. Nie ma już sztywnych kartoników ze złożonym brzegiem, wypełnionych starannym, pochyłym pismem z moimi danymi oraz celem podróży; teraz dostaje się wiotki świstek formatu A4 z kodem graficznym QR na dole. Najważniejsze, że z tym kawałkiem papieru dotrę tam, gdzie chcę.

Henry nadal się nie odzywa. Dam mu jeszcze pięć minut, a potem przeproszę wszystkich, wyjdę do toalety i napiszę esemes: Co robisz wieczorem? A może pojednawczo dorzucę mały żarcik: Wygrałeś! Do zobaczenia o dziewiętnastej.

– Czy tylko ja jedna mam problem z Bożym Narodzeniem, od kiedy zastępuje się je słowem Gwiazdka? – zastanawia się Maggie, наша ilustratorka, drobna, skromna dziewczyna, która z tego, co widzę, przy dziewięćdziesięcioprocentowym wkładzie pracy w ten projekt zarobi pięćdziesiąt procent tego, co powinna dostać.

– Mam taką nadzieję – mówi autor, śmiejąc się gburowato. – W końcu to świąteczna książeczka.

– No właśnie – podchwytuje Maggie, bawiąc się długopisem. – Nie macie wrażenia, że w tym wszystkim znika gdzieś Jezus?

Charles, nasz autor, wzdycha.

– Mówisz poważnie?

Boże, jak mnie wkurza nazywanie tego nadętego bubka autorem. Te jego wypociny składają się z trzydziestu dwóch liter i dwudziestu siedmiu słów, wliczając Pudding Śliwkowy.

– Dla mnie to istotne – odpowiada ilustratorka.

– Mogłaś powiedzieć, zanim podpisałaś umowę na tę pieprzoną książkę.

– Wydawało mi się, że mówiłam.

– W pewnym sensie się zgadzam z Maggie – włącza się Sunni, kierowniczka artystyczna.

– Claire? – Charles zwraca się do mojej szefowej, mimo że to ja prowadzę ten projekt.

– Zoe? – pyta mnie Claire, a już liczyłam, że odpuści.

Słyszę własne westchnienie, zaczynam więc gładzić podbródek, udając, że ten głośny wydech był oznaką głębokiej zadumy. Jednocześnie zastanawiam się, po jaką cholere w ogóle się tym przejmuję. – Może dla Ż dajmy żłóbek? – podsuwam. – Żłóbek jest bardzo bożonarodzeniowy, no nie?

Charles prychnął głośno przez nos, jakby wciągnął smarki.

– Ale banał!

– Co?! – oburzam się. – A dekoracje, łańcuchy czy chrzaniona jemiola?

– Już dobrze – odzywa się Claire stanowczym głosem szefowej. – Wyluzujmy wszyscy. Zoe?

– Jasne. – Kiwam głową. – Nie ma problemu.

– Charles?

Nasz autor, który dotąd wpatrywał się we mnie zszokowany, z na wpół otwartymi ustami odwraca się do Claire.

– Gwiazdka... – zawiesza głos i wiedzie spojrzeniem po naszych twarzach, dając do zrozumienia, żeby mu nie przerywać – ...jest bezwyznaniowa. Nie wyklucza muzułmanów i takich różnych tam. – Skupia uwagę na Sunni. – Wiesz, o co mi chodzi?

Kierowniczka artystyczna uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– Jestem ateistką, ale uważam, że powinno zostać Boże Narodzenie.

– Jezu Chryste – mruczy Charles.

– A może – wcinam się – dla litery K wrzucimy ksenofoba?

Claire podnosi się z krzesła.

– Zoe, pozwól na słowo.

Mogłoby się wydawać, że dyrektorka wydawnictwa powinna urzędować w gabinecie z dębową boazerią, tapicerowanymi skórą meblami i ze ścianami po sufit założonymi książkami, tymczasem biuro Claire jest urządzone bardzo skromnie, wręcz ascetycznie, a z fotela wystaje wypełniacz. Natomiast w dolnej szufladzie biurka zawsze stoi butelka szkockiej; czy to jest ukłon w stronę pewnej konwencji czy terapeutyczne wsparcie, tego nikt nie wie, lecz obecność butelki, która w tej chwili wjeżdża na stół, nie stanowi dla nas tajemnicy.

– Lepiej?

– Zdecydowanie – przytakuję, podnosząc szklankę.

Mogłabym powiedzieć Claire, że dziś jest rocznica dnia, kiedy poznałam Alexa, ale chyba byłby to objaw słabości. Zresztą wcale nie z tego powodu naskoczyłam na Charlesa.

– Claire, przepraszam za tamto. Mam tyle spraw na głowie. Oczywiście, to żadne usprawiedliwienie, niemniej...

– P jak palant – odpowiada z uśmiechem.

– I, zdaje się, jak profesjonalizm.

– O matko – wzdycha. – Chyba zamieniłyśmy się rolami. U ciebie wszystko w porządku?

– Tak. Jak najbardziej.

– Na pewno?

Przytakuję ruchem głowy.

– Na pewno. Ja... planowałam powiedzieć ci o tym za kilka tygodni, ale skoro już siedzimy tutaj...

– Co takiego?

– R jak rezygnacja.

– Och, Zoe, kochana. – Moja szefowa zrywa się z fotela, obejmuje mnie i całuje w policzek. – Powiedz coś więcej, oświeć mnie.

Opowiadam jej o dniu, kiedy poznałam Alexa, o wieczorze, gdy spotkałam Henry'ego, o kawie na Albert Bridge, scrabblach w Duck and Cover.

Kiedy staje się jasne, że nasza rozmowa potrwa dłużej niż pięć minut, Claire wyskakuje z gabinetu ustalić z Charlesem, że dla Ż ma zostać żłóbek, dla K

ksenofob, a jak mu się nie podoba, to niech się W – wali. Dwie minuty później wraca ze zdobycznym talerzem muffinek. Mówię jej o domu, o hipotece, o sporze o tapetę, skrzypiącej podłodze i o bilecie w jedną stronę do Tajlandii. Zanim dojdę do oskarżania autora o ksenofobię, wysuszamy butelkę, zjadamy muffinki i zużywamy prawie całe pudełko jednorazowych chusteczek.

# Henry

## *Całkiem białe*

Wszystko jest tymczasowe.

Tymczasowe zęby, tymczasowy partner.

Implanty Jenny przyjęły się idealnie i dzisiaj szlifuję trzynaście zębów, które jej jeszcze zostały, aby tak samo jak na tytanowe implanty nałożyć na nie porcelanowe korony. Usunięcie akrylowych koron tymczasowych, oczyszczenie implantów z cementu oraz pobranie wycisku i na koniec dopasowanie całego kompletu tymczasowych koron tak, aby pacjent mógł normalnie funkcjonować, zanim w laboratorium protetycznym zrobią porcelanowe zęby, jest żmudną robotą i zajmuje sporo czasu.

Jenny rozplakała się, kiedy zobaczyła pełne usta co prawda białych, lecz dość topornych, tymczasowych zębów. Musiałem ją uspokoić, aby na pewno do niej dotarło, że czeka ją jeszcze jedna wizyta. Zazwyczaj dopasowuje się kolor protetycznych koron do odcienia pozostałych zębów, lecz w przypadku Jenny to nie wchodzi w rachubę, bo u niej żadnych własnych nie będzie widać.

– Białutkie, co nie? Mówię ci, biały uśmiech.

– Popatrz tutaj. – Pokazuję jej kolornik z licówkami od hollywoodzkiej bieli po bardziej przytłumione odcienie, które producenci farb zapewne nazwaliby Waniliowym Kremem czy coś w tym guście.

Jenny zatrzymuje artretyczny palec na hollywoodzkim siekaczu.

– To nie będzie dobrze wyglądać – tłumaczę jej.

– Białe. Wygląda białe.

– Jenny, z wiekiem zęby się przebarwiają. Może raczej takie. – Wiodę jej palcem po rzędzie siekaczy. – Wyglądają bardziej naturalnie.

Jenny przesuwając palec z powrotem na Hollywood.

No, cóż, jej pieniądze, jej zęby, jej uśmiech.

– Białe jak twaróg, ale twoja wola.

– Ha, ha! Jaki żart! Całkiem białe. Jak twaróg, ha, ha!

Śmieję się razem z nią, bo jakim prawem ktoś taki jak ja, dupek, wyrzutek, facet, który wystawia narzeczoną do wiatru dzień przed ślubem, będzie pouczając innych, jak mają żyć.

Od degustacji tortów i obopólnej obietnicy tymczasowej monogamii częściej się widzimy. Obecnie Zoe pojawia się w piątki z ubraniem na zmianę w plecaku i zostaje do niedzieli wieczorem. Oglądamy filmy, chodzimy na długie spacerki, gramy w planszówki w Duck and Cover. Praktycznie jesteśmy razem czterdzieści osiem godzin i coraz gorzej znoszę nieuchronne rozstania. Być może to tłumaczy

moje pragnienie zaproszenia jej na coś, co można by nazwać bardziej konwencjonalną randką. Ponawiam te propozycje, a ona za każdym razem odmawia. Zoe odkłada pieniądze na podróż i obraca w dłoni każdy funt, a jednocześnie jest, jak przypuszczam, zbyt... dumna, żeby pozwolić mi zapłacić. W niedzielę znowu spróbowałem.

– Wyjdźmy gdzieś. Proponuję niedzielną kolację z butelką wina.

– Dostanę wypłatę dopiero w przyszłym tygodniu.

– Ja stawiam.

– Nie chcę, żebyś mi stawiał, źle bym się z tym czuła.

– Wolę zapłacić za nas oboje, niż nigdzie nie pójść. Jestem samolubem, rozumiesz. Sprawisz mi przyjemność.

– Nie możemy po prostu... pobyć razem?

– Cały czas nic innego nie robimy. Nie jesteś znudzona?

Głupia odzywka – myślę.

– Co? A ty jesteś? – Słyszę w jej głosie wzburzenie.

– Wiesz, że nie o to chodzi. Pozwól mi się gdzieś zaprosić.

Wzdycha ciężko.

– Jesteś kochany, naprawdę, ale... chyba lepiej nie.

– Dlaczego?

– Bo... no dobra... to dla mnie ważne.

Powinienem na tym zakończyć tę rozmowę.

– A ja? Co z tym, co dla mnie ważne?

– Nie wiem, Henry. Skąd mam to wiedzieć? Nic o tobie nie wiem.

– Wiesz, gdzie mieszkam, a ja nawet tyle nie mogę o tobie powiedzieć.

– Daj spokój. Proszę cię... nie możemy zwyczajnie cieszyć się tym, co mamy, dopóki...

– Co? Dopóki trwa?

Znowu wzdycha i zamiast odpowiedzieć wymownie ściąga brwi: No cóż, tak wygląda sytuacja. Dzięki, że ty to powiedziałaś.

– Zoe, ja się staram... cieszyć, ale...

– Ale co?

– Nie chcę, abyśmy byli tylko...

Celowo nie spuszcza ze mnie wzroku, jakby dokładnie wiedziała, co chcę powiedzieć (naturalnie, że wie) i była ciekawa, czy naprawdę będę na tyle głupi, żeby to wyartykułować. Ludzie używają bardzo jednoznacznego określenia do opisywania takiego układu jak nasz i to określenie kołacze mi się w głowie od tygodni. Może wypięłem za dużo wina, może jestem niewyspany albo oglądałem za dużo zepsutych zębów, ale mam to określenie teraz na końcu języka i czuję jego ohydny smak.

– Już nic – mówię. – Zostawmy to.

Zoe przysuwa się do mnie i kładzie mi głowę na ramieniu. Nie wiem, czy to mają być przeprosiny czy gest przebaczenia, na wszelki wypadek zamykam ten temat i spokojnie spędzamy resztę dnia. Zostały nam dwa miesiące i nawet gdybym mógł cokolwiek zmienić, nie wiem, czy powinienem. Zoe wyraźnie coś

leży na sercu i ta podróż jest dla niej istotna. Może powinienem być zadowolony, że wyjedzie, zanim nadarzy się okazja, aby się dowiedziała, kim naprawdę jestem. „Do zobaczenia”, powiedzieliśmy sobie, kiedy wychodziła w niedzielę wieczorem, i jak zwykle nie doszło do żadnych konkretnych ustaleń.

Zazwyczaj jest tak, że któreś z nas dzwoni w piątek po południu i parę godzin później Zoe przyjeżdża z zapasową parą majtek w plecaku.

Tym razem wstrzymuję się z dzwonieniem, chcę sprawdzić, czy Zoe się ugnie, lecz, niestety, ona jest lepsza ode mnie w tej grze i puszczają mi nerwy.

– Ona zadzwoniła wiadomość? – pyta Jenny, a ja po raz siódmy sprawdzam komórkę.

– Jeszcze nie.

– Może ma innego chłopca, ha, ha!

– Wiesz co, Jenny, jesteś dzisiaj strasznie zabawna.

– Dobry dowcip, co nie?

– Mam nadzieję, że to dowcip, bo inaczej moje dwadzieścia osiem funciaków za klapki poszło się bujać.

# Zoe

## *Kicha do kwadratu*

O osiemnastej chwiejnym krokiem opuszczam gabinet Claire; przed oczami mam mroczki, wydaje mi się, że powinien już zapaść zmierzch, a tymczasem jest jasny lipcowy wieczór i muszę osłonić dłonią ekran telefonu. Jest jedna wiadomość od Henry'ego:

Zobaczymy się dziś? Zadzwoń – mam niespodziankę.

Mam wrażenie balansowania na krawędzi emocjonalnej otchłani i ostatnią rzeczą, jakiej mi potrzeba, są niespodzianki. Nie wiem, czy dziś zniosłabym jakiegokolwiek czułe gesty. Uderza mnie myśl, że obściskiwanie się z Henrym na kanapie w rocznicę poznania Alexa byłoby czymś wielce niewłaściwym. Wystukuję lakoniczną odpowiedź; szara czcionka odzwierciedla mój nastrój, który musiałabym ukrywać w bezpośrednim kontakcie.

Muszę wziąć zmianę w D & C. Sorki, jutro zadzwonię x

Niewinne kłamstwo, dziś jak najbardziej usprawiedliwione.

Mój telefon sygnalizuje nadejście wiadomości.

Nie ma problemu. Niespodzianka poczeka x

Nie mogę jechać na rowerze, bo za dużo wypięłam. Wieczór jest ładny, a mnie się wcale nie spieszy do domu. Wczoraj znowu przyszedł mail do Alexa, jeżeli dziś znajdę kolejny, mogę wrócić do wyrywania włosów. Wysyłam Henry'emu całusa, wyłączam dźwięk w komórce i ruszam przez Soho. Omijam wylewających się z pubów podpitych piątkowych imprezowiczów, roześmianych, wrzaskliwych i chętnych do flirtu. Przecinam ciche, eleganckie ulice z ogromnymi kamienicami i ogrodami otoczonymi murem, aż wreszcie dochodzę do Albert Bridge. O tej porze nikt nie sprzedaje tu kawy, a tysiące żarówek rozbłyśnie dopiero za kilka godzin. To jeszcze czas wibracji miasta; na moście tłoczą się samochody, panuje zgiełk, a powietrze jest ciężkie od spalin. Jeżeli zaniósł mnie tu z powodu odrobiny nostalgii – kto wie, czy tak nie jest – to okazałam się głupsza, niż sądziłam.

Do domu docieram po trzech godzinach z małym okładem. Gdybym była bardziej przewidująca, wzięłabym inne buty. Jestem zgrzana, bolą mnie nogi, przepecone włosy kleją się do głowy. Najpierw mnie ssało w żołądku, potem zapomniałam o głodzie, chcę tylko poleżeć w ciepłej kąpieli i pospać dwanaście godzin. W poczcie nie ma maila do Alexa. Wchodząc na piętro, przystaję na stopniu przy jego zdjęciu, posyłam mu całusa i naśladuję tamto jego zabawne kiwanie głową. Nigdy mi to zgrabnie nie wychodziło. Na widok swojego odbicia w oszklonej ramie wybucham śmiechem i zaraz uderzam w płacz. To nic, tak



chyba powinno być, nawet robi mi się źlej.

– Cześć, skarbie – szepczę, dotykając palcem do jego twarzy, i idę napuścić wody do wanny.

W lodówce stoi na wpół wypita butelka wina. Kiedy woda leje się do wanny, napełniam kieliszek i wracam z nim oraz z trzema świeczkami do podgrzewaczy i zapalkami na górę. Wanna zdążyła się napełnić, jednak z miejsca się orientuję, że coś tu nie gra. W łazience jest chłodno, poza tym ani na lustrze, ani nad wodą nie widzę pary. Wkładam rękę do wody: ma temperaturę mojego chardonnay.

Bojler, ta świnka, odmówił posłuszeństwa. Kombinuję z przyciskami, majstruję przy pokrętkach, zaglądam do instrukcji. Nic. Absurdalność tej sytuacji wywołuje u mnie atak histerycznego śmiechu; akurat dzisiaj mój bojler musiał wysiąść. Wychyłam wino jednym łykiem, ściągam książkę z półki i kładę się do łóżka.

W sobotę po południu biorę się do czyszczenia starego górskiego roweru Alexa. Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby ta robota wymagała więcej wysiłku, tymczasem rower Ala jest zaskakująco czysty. Na oponach ani śladu błota, trawy, piachu czy sarnich odchodów. Prawie dwa lata temu kupiliśmy sobie nawzajem rowery w prezencie gwiazdkowym. Mieliśmy wykręcać na nich setki mil, odkrywać zielone tereny i ukryte ścieżki w naszym mieście, może kiedyś wyskoczyć do Brighton, a jak się okazało, nie wychyliliśmy nosa poza granice południowego Londynu. No i tyle, jeśli chodzi o plany. W pierwszy weekend wybraliśmy się na przejażdżkę, potem przejechaliśmy się tu czy tam ze dwa, może trzy razy. Kupiliśmy nawet taki specjalny piknikowy plecak, ale nigdy go nie użyliśmy.

Za dwuletni rower Kona Fire Mountain dostanę na e-Bayu około dwustu funtów.

Daleko do tysiąca ośmiuset pięćdziesięciu na nowy bojler, bo ten, jak zapewnił mnie hydraulik, nie nadaje się do naprawy. „Szczęście, że nie wybuchł i nie rozwalił całego domu, kochanieńka”.

Przeszło mi przez myśl, że może lepiej odpuścić; te dziesięć tygodni zimnych pryszniców zahartuje mnie przed wyjazdem, ale z drugiej strony będę mieć wystarczająco dużo okazji do hartowania charakteru w trakcie podróży, bo taki przecież jest cel. Poza tym nie znajdę chętnego do wynajęcia domu z zepsutym bojlerem.

Pięć minut po wyjściu hydraulika zadzwoniłam do Winstona i powiedziałam, że jestem gotowa brać więcej zmian. Zapytał, czy dziś zamiast na dziewiętnastą mogłabym przyjść na szesnastą. Zmniejszy to mój deficyt o osiemnaście funtów.

Według tego, co widzę, na ostatnio obserwowanych aukcjach za dwa gramofony Technics 1210MK3 powinno mi wpaść jakieś sześćset siedemdziesiąt pięć funtów. Kolejne dwieście trzydzieści mogą dostać za czterokanałowy mikser.

Na wzmacniaczu firmy Marantz i parze głośników Dali Zensor powinnam zarobić odpowiednio dwieście i sto funtów, ale niewykluczone, że pójdą za mniej.

Po utracie płyt w Tajlandii Alex zaczął odbudowywać zbiór. Doszedł prawie do setki czarnych krążków, które przy odrobinie szczęścia wzbogacą mnie

o pięćdziesiąt funtów. Być może gdybym sprzedawała te płyty pojedynczo w specjalistycznych sklepach, dostałabym za nie kilka setek, ale chyba nie mam na to ani ochoty, ani energii.

Za słuchawki Pioneera, w tej chwili już vintage, jakiś amator dałby pewnie od siedemdziesięciu do stu funtów, lecz zostały zniszczone, gdy w Alexa uderzył samochód. Za tamten skaner, który kupił i ani razu go nie użył, dostałabym z dziesięć funciaków, jednak szkoda zachodu, bo ten przedmiot budzi we mnie poczucie winy.

Został jeszcze Xbox 360 w dobrym stanie i siedem gier, razem wyciągnę jakieś siedemdziesiąt pięć funtów.

Wszystko razem, przy pomyślnych układach, wyniesie tysiąc pięćset trzydzieści funtów. Nadal brakuje mi kilku setek na zakup bojlera i instalację.

Sprawną Leicę M3 mogłabym sprzedać za ponad pięćset, a może nawet za osiemset funtów, czyli za tyle, ile dał za nią Alex. Zostałoby mi wtedy nieco kasy na bikini, jedzenie, no i może na parę biletów do kina. Bez najmniejszych oporów pozbędę się rowerem, adapterów, płyt i innych rzeczy Alexa, bo one nigdy mi się nie przydadzą, nie mówiąc już o tym, że należało pomyśleć o naprawie przekłętego bojlera, kiedy on jeszcze tu był i brał gorące prysznice. Tyle samo w tym winy biednego, starego Ala, co mojej. Poza tym poczuję ulgę, gdy obecność tych przedmiotów, nawet jeżeli leżą ukryte w schowku, przestanie mi ciążyć. Natomiast trudno mi będzie rozstać się z aparatem. Bawi mnie, że kupił go w pijanym widzie pod wpływem głupiej zachcianki, a smuci, że nigdy porządnie tego sprzętu nie wykorzystał. Jeżeli miałabym cokolwiek zatrzymać, na pewno zostawię aparat.

Po wieczornej trzygodzinnej wędrówce do domu i dzisiejszym dniu, prawie w całości spędzonym na czyszczeniu roweru, wyciąganiu rzeczy Ala ze schowka i fotografowaniu każdej sztuki przed wystawieniem na e-Bayu, jestem spocona, umazana smarem i oblepiona pajęczynami. Kolejny przykład fatalnego planowania. Hydraulik zainstaluje nowy bojler dopiero w przyszłym tygodniu, piszę więc esemes do Henry'ego:

Hej, jesteś tam? Przydałby mi się gorący prysznic...

Celowo dorzuciłam wielokropek – miał kusić i intrygować. Przynajmniej tak mi się wydawało, lecz sądząc po odpowiedzi, zupełnie nie trafiłam.

Przykro mi, nie ma mnie w domu.

Po lodowatym prysznicu dostaję takiego kopa, że mam ochotę nałożyć tenisówki i udać się na przebieżkę, lecz potem musiałabym ponownie wejść pod prysznic i wróciłabym do punktu wyjścia. Biorę się do roboty; przenoszę rzeczy na aukcję do zapasowej sypialni, sprzątam dom, zmieniam pościel i sama nie wiem czemu, wrzucam pocztową makulaturę zaadresowaną na Ala do szuflady oraz zdejmuję wszystkie jego zdjęcia, oprócz tego jednego na schodach.

Przed wyjściem do pracy po raz ostatni wystukuję esemes do Henry'ego.

Szanowny panie, jesteś mi winien niespodziankę. Odezwij się x

– No, kochana, jak tam prysznic?

– Lodowaty.

– Hmm, służy ci, księżniczko – stwierdza Winston. – Do twarzy ci z tymi rumieńcami.

– Urocze.

– A właśnie wczoraj wieczorem zajrzał tu twój chłopak. Nie zatrzymał się, jak zobaczył, że ciebie nie ma.

– Henry?

– A ilu ich masz, złotko?

– Tutaj?

– Nalało ci się zimnej wody do uszu? Tak, Henry. Zaczekaj, on coś dla ciebie zostawił.

Cholera! – przeklinam w duchu.

Winston znika na zapleczu i wraca z reklamówką dyndającą na palcu. Są w niej dwie paczuski owinięte starannie w prezentowy papier. Na zawieszce napis: *Żebyś wiedziała, gdzie byłaś*, a w środku mapa świata i komplet pinesek z kolorowymi łebkami. W drugim pudełku z napisem *Żebyś wiedziała, dokąd się kierujesz*, znajdują jaskrawe klapki. Są w moim rozmiarze, a na podeszwach mają wytłoczone strzałki skierowane do przodu.

Kicha do kwadratu!

# Henry

## *Kupa tego czegoś w tym czymś*

W sobotnie przedpołudnia zawsze jest spokój, dopiero po szesnastej zaczyna się szturm. Gus nazywa to „sobotnim stroszeniem piór”. Klubowicze, imprezowicze i randkowicze, oglądając się w lustrze, absolutnie nie są zachwyceni tym, co tam widzą. Mnie też przydałoby się strzyżenie, ponieważ jednak w planach na wieczór nie mam niczego bardziej ekscytującego od układania lasu z tysiąca pięciuset elementów, to, jak wyglądam, nie ma większego znaczenia.

– Jakiś taki nieswój jesteś – rzuca Gus.

– Nic mi nie jest. Czuję się zmęczony.

W odpowiedzi wzrusza ramionami, jakby mówił: „Skoro tak...”.

– Jak tam ehm...? – Unosi brwi, co zapewne ma znaczyć, że pyta o postęp w moim życiu uczuciowym.

Kręcę głową.

Klepie mnie po ramieniu.

– Kurde, chłopie.

– No.

– Kupa tego czegoś w tym czymś – podsumowuje.

– Wiem, co masz na myśli.

Słyszę piknięcie komórki w kieszeni. I zaraz kolejne. Powtarzające się piknięcia przypominają dźwięk okrętowego radaru.

Pik.

Guz potrząsa palcem w uchu.

– Albo mi szumi w uszach, albo ktoś próbuje się z kimś połączyć.

# Pik

Halo...

...

Przepraszam.

...

Dziękuję za klapki.

...

I za mapę.

...

Nie chcę się kłócić.

...

Nigdy od nikogo nie dostałam kłapek.

...

Ani mapy.

...

Wszystko wyjaśnię.

...

To skomplikowane.

...

Henry?

...

Nie rozłączę się, dopóki mi nie odpowiesz albo nie padnie bateria.

Jak sobie chcesz.

Możemy porozmawiać?

Jak sobie chcesz. Może wyjdzie na dobre.

Nie dąsaj się, to do ciebie nie pasuje.

...

Bogart się nie dąsał.

Dyskusyjne.

Johnny Steward nie strzelał fochów.

Jimmy.

Ha! Przecież wiem.

Wierzę.

Zobaczymy się dziś w Duck?

No, ciekawe.

Możemy pograć w Buckaroo.

Pani Goldman, czy próbuje mnie pani uwieść?

Przy Buckaroo? O czym ty mówisz?

Przepraszam, poniosło mnie.

Zobaczymy się wieczorem?

Myślisz, że to dobry pomysł?

Chyba nie.

Na pewno cię tam znajdę?

Clark Gable się nie boczył.

Do zobaczenia o dwudziestej.

Buckaroo!

## Henry

*Super*

- To ona? - chce wiedziec Gus.  
Kiwam glową.
- Problem rozwiązany?
- No.
- Super.

# Henry

## *Jakby wdowa*

Siedzimy przy stoliku w rogu. Zoe przynosi swój wieczorny posiłek – cheeseburger z podwójnym bekonem, frytkami i krążkami cebuli.

– Gdzie ty to mieścisz?

– W tygodniu niewiele jem – tłumaczy się. – Oszczędzam na... wiesz co. – Wysuwa nogę spod stolika i kiwa stopą w czerwonym klapku – Dziękuję. Czy już to mówiłam? Podziękowałam ci?

– No, kilkakrotnie.

Kiedy wszedłem, była w ciągłym ruchu; nalewała piwo, otwierała butelki, zbierała szklanki. Obserwując ją, zatęskniłem za domem. Złapałem się na tym, że myślę o tym, co będzie ze mną, gdy ona wsiądzie do samolotu.

Zająłem stół przy barze, Zoe przeprosiła mnie, przechyliła się ponad kontuarem i pocałowała mnie, co wzbudziło entuzjastyczne pohukiwania i gwizdy stałych bywalców. Biegając od jednego końca lady do drugiego, komunikowała się ze mną nagłówkami: „Nakrzyczałam na autora”, „Złożyłam wypowiedzenie”, „Bojler mi wysiadł”. Dopiero teraz mamy okazję spokojnie porozmawiać.

– Kupiłam bilet – mówi i patrząc na mnie spod grzywki, sprawdza, jak zareaguję. – Do Tajlandii.

– Musisz być podekscytowana.

– Byłeś tam?

Kręcę głową.

– W sumie nigdzie nie byłem. Może parę razy we Francji. W Amsterdamie. I tyle tego.

– Chyba mogę już wbić pierwszą pineskę.

– Kiedy wylatujesz?

– Piętnastego września. Terminal piąty. Dziesiąta pięćdziesiąt pięć.

– Zostało...?

– Dziesięć tygodni. Licząc od dziś.

Dziesięć sobót i będzie po wszystkim. Od początku wiedziałem, że to... coś... biegnie ku końcowi, odkąd się zaczęło, a jednak ten konkretny termin uderza mnie jak otrącenie. Mam wrażenie, że dopiero się poznajemy – bo tak właśnie jest – lecz w kalendarzu pojawia się data zaznaczona bezwzględny „X”.

Zoe spogląda na klapki, chce kolejny raz mi podziękować i rezygnuje.

Czubkiem buta trącam jej stopę.

– Cieszę się – mówię. – Nie czuję się z tego powodu szczęśliwy, ale..., no wiesz,



cieszę się ze względu na ciebie.

– Sama jestem trochę pogubiona, jeżeli cię to pociesza.

Podnoszę kciuk i wskazujący palec i rozsuwam je może na centymetr: trochę.

Zoe z uśmiechem naśladuje mój gest, całuje palce i przytyka je do moich.

– To coś, co muszę zrobić – mówi.

– Wiem. Znaczący, nie wiem, skąd ta konieczność, ale rozumiem. Każdy ma... swojego mola.

Zoe kiwa głową, uśmiecha się.

– Mola.

Wyraźnie się zastanawia, czy poprzestać na tym, czy powiedzieć więcej, i niespodziewanie smutnieje. Wyławia kostkę lodu ze szklanki i rozgryza ją, krzywiąc się przy tym.

– Powinnaś zrobić przegląd zębów – radzę.

Kręci głową.

– Nie. To tylko zimno.

Winston przechadza się pomiędzy stolikami z mikrofonem w dłoni. Jest w trakcie rundy sportowej. Mijając nasz stół, zakrywa mikrofon.

– Dziesięć minut, księżniczko – mruczy do Zoe. Do mnie puszcza oko i rzuca pytanie do graczy: – Który brytyjski bokser rzucił na deski Cassiusa Claya?

– Henry Cooper – odpowiadam szeptem.

– Racja, przecież ty lubisz trochę się... – Zoe podnosi pięści do góry.

– Mój tata był zawodowym bokserem.

– No co ty!

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Clive „Duże Buty” Smith. Dwadzieścia pięć zwycięstw, trzynaście przegranych i jedna walka nierozegrana. Synowi nadał imię po...

– Henrym Cooperze?

– Należy się punkt bonusowy. – Przechyliłam się nad stolikiem i całuję ją.

– Duże Buty?

– To z piosenki Presleya, mój tata wyglądał trochę jak on. Jak Elvis.

Zoe przygląda mi się z udawaną uwagą.

– Jakoś tego nie widać.

Kiwam głową.

– Pozbierałam wszystko po mamie.

Parska śmiechem.

– Mam nadzieję, że to żart.

– Mama była śliczna. Jest fryzjerką.

– To od niej nauczyłeś się fachu?

Przytakuję skinieniem głowy.

– Jej zakład nazywa się Love & Die.

– Zabawne.

– D-I-E – literuję. – Jak umrzeć. Czyli miłość i śmierć.

Zoe robi minę, którą trudno rozszyfrować.

– Aha, trochę to... ponure.

– Doszło do nieporozumienia. Szyldziarz zrobił błąd – tłumaczę, denerwując się trochę, a jednocześnie odczuwam ekscytację, bo opowiadam o swoim domu i nieważne, że to, co mówię, jest mało istotne.

Zoe przygląda mi się, jakby sprawdzała, czy przypadkiem nie zmyślam.

– Ponure – powtarza.

– Widzisz. – Kładę płasko dłonie na stole. – Zarzucałaś mi, że nigdy o sobie nie mówię, to teraz... już coś o mnie wiesz.

Zoe nakrywa moje dłonie swoimi. Ma brud pod paznokciami i czarne wżery w zmarszczkach na kostkach.

– Podobno nie masz ciepłej wody? – zmieniam temat.

– Rany, czyżbym... – Przechyliła głowę ku pasze.

– Nie, nie, twoje paznokcie.

– Sprzątałam w... – Splata palce z moimi palcami. – Sprzątałam..., nie wiem, jak to powiedzieć... – Mocno ściska moje dłonie, jakby zbierała się na odwagę. – Powiem to zwyczajnie.

– Dobra.

– Jestem... jakby wdową.

Czujnie obserwuje wyraz mojej twarzy, gdy to poważne wyznanie zawisa między nami. Otwieram usta, chcę coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem co, więc tylko podnoszę szklankę i pociągam długi łyk.

– Mój ostatni chłopak zmarł.

– Zoe...

Kiwa powoli głową.

– Przepraszam, nie wiem, jak inaczej miałabym ci to...

– Dajesz sobie jakoś z tym radę?

– Przeważnie tak. Czasami, jak wczoraj, nie bardzo. A... dom, to był nasz dom, mój i Alexa. Znaczący... – zaczyna pochlipywać – ...formalnie on był właścicielem.

– Zo, nie wiem, co powiedzieć.

– Przepraszam, Henry. Ja... zrozumieć, jeżeli zechcesz odejść.

Mam zamęt w głowie. Rodzi się we mnie bunt, lecz wypiera go poczucie winy, jest mi smutno, a zarazem czuję ulgę, która powoduje kolejną falę wyrzutów sumienia. Gdybym wiedział to wszystko na samym początku, wiele tygodni temu, nie przyszedłbym tutaj, żeby spotkać się Zoe. A z drugiej strony, cieszę się, że tak się stało. Nawet jeżeli nam nie wyjdzie, jedno przynajmniej wiem w tej chwili na pewno – April nie była właściwą osobą. Owszem, kochałem ją, ale nigdy nie czułem się przy niej tak, jak teraz czuję się z Zoe.

Kręcę głową.

– Nie chcę się wycofać.

Zoe wyciera oczy i z powrotem wsuwa palce pod moje dłonie.

– To dobrze – szepcze.

– Kiedy to się stało?

– W październiku. Wpadł pod samochód.

– Tak mi przykro, bardzo ci współczuję.

Milkniemy na chwilę.

Szturcham stopą klapek Zoe.

– To stąd ten pomysł...

Przytakuje skinieniem głowy.

– Częściowo. Przede wszystkim. – Pociąga nosem, uwalnia dłoń, ociera łyżę z policzków. – No, to teraz znasz mój najczarniejszy sekret – mówi. – Powinnam powiedzieć ci wcześniej, ale...

Słowa „najczarniejszy sekret” szarpią moje sumienie.

– Wszystko w porządku, księżniczko? – Winston kładzie rękę na jej ramieniu. – Co jest? – zwraca się do mnie, zwiężając oczy w szparki.

– Winnie. – Zoe wyciera nos wierzchem dłoni. – Przepraszam, jestem dziś... w kiepskim nastroju.

– To on ci go popsuł?

Uśmiecha się.

– Nie, wręcz przeciwnie, raczej poprawił.

– No, to w porządku. – Uspokaja się. – Tak powinno być.

Zoe zamyka usta i zaciska powieki, a jednak łyżę dalej toczą się po policzkach.

– Jaki numer znajduje się naprzeciw szóstki na tarczy do rzutek? – pyta Winston do mikrofonu.

– Jedenaście – mruczę pod nosem. Winston odwraca się do mnie i unosi brwi. – Dorastałem w pubie – wyjaśniam.

Zoe podnosi na mnie oczy.

– Jesteś pełen niespodzianek – mówi i ta chwila nieuwagi uwalnia kolejną falę wstrzymywanych łez.

Winston nakrywa dłonią mikrofon.

– Słuchaj, skarbie, może powinnaś dziś wcześniej skończyć?

– Winnie, to nic takiego – zapewnia go zaniepokojona.

– Aha, akurat. Bierz tyłek w troki i...

– Przysięgam, że...

– Zapłacę ci – mówi, burząc jej włosy. – Ale, cholerka, płaczące barmanki psują interes, mała. Dojedz hamburgera i spadaj.

Zoe skwapliwie kiwa głową i wymrukuje podziękowanie.

– A ty się nią zaopiekuj, capisce? – Winston zdejmuje dłoń z mikrofonu i wraca na środek sali. – Komu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku Mike Tyson odgryzł kawałek ucha?

– I jak tam? – zwracam się do Zoe.

Zdmuchuje grzywkę z oczu i głośno czyści nos w papierową serwetkę.

– Lepiej. – Odsuwa talerz, bierze mnie za rękę i się uśmiecha.

– W moim domu czy u mnie? – pyta.

# Henry

## *Jakby dentysta*

– To z tego dnia, kiedy się wprowadziliśmy – wyjaśnia.

Zdjęcie wisi na ścianie w połowie ciągu schodów. Zoe i jej były chłopak Alex. Ona się śmieje – jak podejrzewam, prycha po swojemu – z czegoś, co mówi on. Z uwagą rejestruję szczegóły; góry kartonów, jego ramię opasujące ją w talii, ryzykownie stojąca butelka szampana. Tworzą ładną parę. Sprawiają wrażenie szczęśliwych.

– Przystojniak – stwierdzam.

Wygląda lepiej ode mnie – myślę sobie.

– No, był przystojny – przytakuje z uśmiechem.

– Widziałaś *Drapieżne małżeństwo*?

Kręci głową.

– Nie.

– Wygląda jak Cary Grant – mówię. – Bez brylantyny.

Zoe ze śmiechem przykłada palec do zdjęcia.

– Niech ci tylko, mój panie, woda sodowa nie uderzy do głowy.

Schodzę za nią po schodach i zaglądamy do kuchni, żeby sprawdzić wodę.

Woda w czajniku się zagotowała, w najmniejszym z czterech garnków też już wrze, a pozostałe trzy mają opóźnienie proporcjonalnie do pojemności. W takim tempie napełnienie wanny do połowy zajmie nam ze cztery godziny. Woda, którą już wnieśliśmy na górę, zdążyła ostygnąć, a kursowanie po schodach z wrzątkiem staje się coraz bardziej ryzykowne, proporcjonalnie do ilości wypijanego alkoholu. Ten daremny trud pomógł Zoe rozproszyć uwagę, gdy zapoznawała mnie z domem i z duchem Alexa. Jego rzeczy: gramofony, płyty, gry będą zalegać w zapasowej sypialni, dopóki ich nie sprzeda.

Potrącony przez samochód – wyskoczył rano po mleko i nigdy nie wrócił. To wiele tłumaczy; a właściwie wszystko.

– Do rąbka – mówi Zoe, dolewając mi wina.

– Dziękuję. – Sprawdzam temperaturę wody w największym garnku.

– Kiepsko, co? – pyta.

Szybciej byłoby przyjść do mnie, wykąpać się i wrócić. Kiwam głową, a Zoe wzrusza ramionami i jeden po drugim wyłącza palniki.

– I tyle z romantycznego wieczoru – podsumowuje.

– Zatkam nos – obiecuję.

Zoe bierze mnie za rękę i prowadzi do ogródka za domem. Przynosi dwa leżaki ze składziku i ustawia je tak, abyśmy mogli oglądać końcówkę zachodu słońca.

Niebo znaczą miękkie złote i liliowe smugi, robi się chłodniej. Nieruchomą ciszę zakłóca świergot ptaków, w tle słychać stłumione odgłosy ulicy. Błyszczący rower stoi oparty o krzywy płot dzielący posesje. Przestrzeń przed składzikiem zajmują starannie poustawiane stare puszki z farbą, papierowe worki i kartony.

– Przepraszam za bałagan – odzywa się Zoe.

– Miałaś pracowity dzień.

– Pracowity tydzień – powtarza zadumana. – A tobie jak minął?

– Ja... hmm. Ja opowiadałem jednej z moich... – odwracam się do Zoe, żeby zobaczyć jej minę – ...pacjentek o tobie.

– Pacjentek?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Tak. Jestem jakby dentystą.

Ściąga brwi.

– Jakby... kim?

– W piątki – dodaję, chociaż to niewiele wyjaśnia. – Byłem... nadal jestem, dentystą. Chyba mnie to trochę... znudziło?

– Dentysta?

– No, niestety. Zrozumiem, jeśli zechcesz odejść.

Na szczęście Zoe wybucha śmiechem i z niedowierzaniem kręci głową.

– A co z... – Naśladuje palcami ruch nożyczek.

– Nazwij to kryzysem wieku średniego.

Pochyla się i bierze mnie za rękę.

– Mam nadzieję, że nie – pociesza mnie z samotną łzą w kąciku oka. – Czemu nic nie mówiłeś?

– Uwierzyłybyś, gdybym powiedział, że to długa historia?

– Chodzi o dziewczynę, tak?

Serce mi przyspiesza, bo to pytanie jest czymś w rodzaju kostki domina, która balansując, doprowadzi do opowieści o porzuceniu narzeczonej przed ołtarzem. Zoe wydaje się w lepszym humorze, odkąd poznała mój sekret, a mnie aż skręca w środku z chęci dopowiedzenia reszty. Jednak czy to nie byłoby z mojej strony czysty egoizm, czy nie zrobiłbym tego bardziej dla siebie niż dla niej?

– Przepraszam – reflektuje się, speszona długą ciszą. – Nie chcę węszyć.

– Nie przepraszaj.

– A więc – zmienia temat – opowiesz o mnie swoim – śmieje się – pacjentom?

– Jenny, tak.

– Powinam być zazdrosna?

– Ma siedemdziesiąt dwa lata i zero zębów.

– To pewnie ułatwia ci pracę.

Waham się, czy kontynuować opowieść, bo historia Jenny mówi o stracie, a z drugiej strony nie brakuje w niej optymistycznych, zabawnych momentów w stylu wstawek w *Kiedy Harry poznał Sally*. A zresztą jeżeli nie teraz, to kiedy? Opowiadam więc Zoe o Jenny, o jej mężu i o planie podróży do Indii, żeby tam rozsypać jego prochy. Kiedy kończę, niebo jest już ciemne; w gasnących smugach światła dostrzegam łzy na policzkach Zoe.

– Ładna historia – mówi półgłosem.  
Mały ptak przysiada na płocie i kwili w mroku.  
– Pewnie się zgubił – szepczę.  
Zoe śmieje się cichutko.  
– Czy wszyscy nie jesteśmy zagubieni?  
– To zdaje się szpak.  
– A teraz z kolei ornitolog?  
– Nie, tylko...  
– Ptasi maniak?  
– Ha! Nie. Gdy człowiek dorasta na prowincji, poznaje...  
– Ja dorastałam na wybrzeżu i ledwo odróżniam mewę od gołębia.  
– Cała chmara tych ptaków – opowiadam, zataczając ramieniem łuk w powietrzu – dosłownie miliardy...  
– Szpaków?  
– Tworzą niesamowity widok, na niebie powstaje coś w rodzaju żywej chmury.  
– Żywa chmurka, to dobry tytuł książeczki dla dzieci – zauważa.  
– To żarłoczne małe gnojki. – Odwracam się do niej twarzą. – Potrafią siać spustoszenie.  
– Co? Coś sugerujesz?  
– Tak sobie opowiadam.  
– A jednak jesteś ptasim maniakiem.  
– Może trochę. Z Brianem, moim najlepszym kumplem, w domu robiliśmy domki dla ptaków i sprzedawaliśmy je turystom.  
Szpak odzywa się ponownie i podrywa się z płotu.  
– Zrobisz taki dla mnie? – pyta Zoe.  
– A masz piłę?  
– Powinna gdzieś tam być. – Pokazuje głową na składzik.  
Podnoszę się z leżaka i sprawdzam sztachety w chwiejnym płocie. Jedna deska jest zbutwiała u podstawy. Wyciągam ją jednym zdecydowanym szarpnięciem.

## Zoe

### *Zrobił mi domek dla ptaków*

Moje posiwiące pasemko po ostatnim strzyżeniu zrównało się z resztą włosów i sięga od cebulek po same końce. W drodze powrotnej z jego mieszkania do mnie weszliśmy do przychodni, w której Henry pracuje raz w tygodniu. Otworzył drzwi gabinetu zapasowym kluczem i lakierem fluorkowym wypełnił mi szczelinę na powierzchni zęba. Mój fryzjer leczy mi zęby. Mój dentysta przycina mi włosy.

– Czy ktoś już ci mówił, że masz kształną czaszkę? – pytam.

Henry parska śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

– Nie wierć się – proszę go. – Pierwszy raz coś takiego robię.

– Tak – przyznaje. – Gus tak powiedział na samym początku naszej znajomości.

– Kudłaty Kriszna?

– Ten sam.

Po tym, jak Henry podciął mi rozdwojone końce, wyrównał grzywkę i skorygował stopniowanie boba, uparłam się, że w rewanżu go ostrzyżę. Przesuwam maszynką po jego głowie, wyrównuję włosy i strząsam kłaczki na podłogę, gdzie mieszą się z moimi puklami. Wczoraj wieczorem Henry zrobił domek dla ptaków z luźnej sztachety, a potem razem pomalowaliśmy go resztką Oberżynowego Marzenia ze starej minipuszki z próbką.

Ulżyło mi, gdy powiedziałam mu o Alexie; myślę, że teraz rozumie, skąd wziął się pomysł podróży. Nie sądzę, aby poprosił, żebym nie wyjeżdżała, albo zaproponował, że pojedzie ze mną. A gdyby nawet, co bym mu powiedziała? Czuję, że między nami coś się zaczyna i im więcej dowiaduję się o nim oraz im bardziej sama się odsłaniam, tym bardziej chcę... więcej. Nie mam ochoty się z nim rozstawać, a z drugiej strony po to wyjeżdżam na rok, żeby się odnaleźć i odpowiadać sama za siebie – nie jestem pewna, czy można to osiągnąć, gdy się jest trzymanym za rękę.

– Dlaczego wybrałaś stomatologię? – rzucam pytanie.

– Nie miałem ochoty oglądać starych ludzi bez ubrania.

– Co takiego?

– Lekarze – podpowiada. – Przyznam, że zdarza mi się widywać okropne rzeczy, ale to pikuś w porównaniu z lekarzami. Boże, te wszystkie miejsca, w które oni muszą wtykać palce.

– W takim razie albo lekarz, albo dentysta?

Wzrusza ramionami.

– Wiem, że to zabrmi banalnie: zawsze chciałem pomagać ludziom.

– Jasne, jeżeli mówisz to takim tonem.

Jakby na potwierdzenie moich słów Henry wydaje z siebie odgłos przypominający prychnięcie.

– Sam nie wiem. Problem w tym, że kiedy podejmuje się takie decyzje, na dobrą sprawę jest się jeszcze dzieciakiem. Byłem dobry z biologii i z chemii, miałem zdolności manualne, dentyści dobrze zarabiają.

– I nie musisz oglądać tyłków starych ludzi.

– No właśnie. Znasz pojęcie determinizmu?

– No, pewnie! Zgłębiłam temat. Nie, nie mam bladego pojęcia.

– Na przykład imiona; dajesz dzieciakowi na imię Walter i bardzo prawdopodobne, że wyrośnie ci na mięczaka. Albo...

– Każda Trixie w przyszłości zapewne zostanie striptizerką.

– Właśnie. W szkole miałem ksywę Dentysta.

– No co ty!

– Wybiłem koledze ząb i...

– Co?! Tylko mi nie mów, że byłeś jednym z tych zadziornych łobuzów.

– Nie znosiłem bójek. Niestety, nie zawsze można ich uniknąć. W każdym razie...

– Dentysta – powtarzam zamyślona. Cmokam Henry’ego w potylicę i natychmiast tego żałuję, bo do warg przyklejają mi się krótkie włoski. – Tfu!

– Jasne, że nie dlatego zostałem dentystą, jednak... być może coś w tym jest.

– Kto wie? Czyli – dotykam garbka na jego nosie – wtedy to się stało?

– Ha, nie. Najgorsze, co mi się przytrafiło na podwórku, to podbite oko. Tego się dorobiłem w klubie bokserkim. Mój staruszek mnie tam zaprowadził. Miałem nauczyć się bronić.

– Czyż to nie ironia losu?

– Żebyś wiedziała. A ty? Dlaczego akurat wydawnictwo?

– Tak naprawdę byłam prawniczką.

– Poważnie?

– Poważnie. Siedź spokojnie, nie chcę zaciąć cię w szyję.

– Czemu akurat prawo?

– Szczerze mówiąc, sama do końca nie wiem. Chyba... rany, to głupio zabrzmiało; znasz *Ally McBeal*?

– Ten serial telewizyjny?

– Oczywiście wiedziałam, że nie będzie nasiadówek w Starbucks, ani Roberta Downeya Juniora, lecz jak mówiłaś, byłam dzieciakiem.

– Dlatego zrezygnowałaś? Z braku Robertów Downeyów?

Nie od razu odpowiadam; skupiam się na wodzeniu maszynką po topografii zgrabnej czaszki Henry’ego. Na dobrą sprawę skończyłam robotę cztery minuty temu, ale chcę się nacieszyć tym bliskim, swobodnym kontaktem.

– I co, jesteś zadowolona?

– Tak – odpowiadam. – Jestem zadowolona.

– Czy zostało mi jeszcze trochę włosów? – pyta Henry po chwili milczenia.

– Nie. Zero. Co powiesz na wspólny prysznic?



- To mała kabina.
- Wiem. A potem możesz mi postawić niedzielny lunch.

# Henry

## *Złap byka za rogi*

Po raz pierwszy jadę do domu z innego kierunku.

Gdy w piątkowe wieczory wracałem z zajęć na uniwersytecie, najpierw pędząc autostradą, a potem tocząc się godnie zapuszczonymi bocznymi drogami, wyobrażałem sobie, że moje serce zwalnia rytm. Niezależnie od pory roku opuszczałem szybę, oddychałem swobodnie i zwalniałem uścisk na kierownicy. Teraz, kiedy jadę z Londynu w ostrym lipcowym słońcu, widok wybujałych krzaków budzi we mnie wręcz przeciwne emocje. Rozrosłe w lecie żywopłoty nacierają na drogę, gałęzie szorują po karoserii, jakby chciały mnie dopaść.

Złap byka za rogi, Henry.

Musisz odzyskać paszport.

– Pewnie powinniśmy się ciebie spodziewać około północy – powiedziała mama.

– Przyjadę na lunch – zapewniłem ją.

Zoe do tej pory na pewno zdążyła dotrzeć do Brighton; trzy godziny temu pocałowaliśmy się na pożegnanie, a ja już tęsknię za jej niemądrym poczuciem humoru, za niezbyt eleganckim śmiechem i za dotykiem. Vicky ułożyła bardzo napięty grafik; plaża, drinki, restauracja, klub, striptizer.

– Życz mi szczęścia – powiedziała Zoe, kiedy wychodziliśmy z domu dziś rano. O mało nie poprosiłem jej o to samo – życz mi szczęścia – ona zapewne myśli, że największym wyzwaniem, jakie czeka mnie w ten weekend, jest salon pełen rozdwojonych końców włosów i nierównych grzywek.

Samochód, nadal z głębokimi rysami na obu bokach, anonsuje mój powrót każdemu, kto przypadkiem go zauważy. Niedługo kot wydostanie się i z wrzaskiem ruszy ulicami. Chcę zdążyć wypić drinka z rodzicami, zanim ludzie zaczną ciskać we mnie przedmiotami. Dlatego decyduję się na dłuższy dojazd do Black Horse, omijając środek wsi i ruchliwsze odcinki drogi. „W dobrą pogodę słabo idą interesy”, zwykł mawiać tato, nic więc dziwnego, że w to ciepłe, bezchmurne popołudnie parking przy pubie jest prawie pusty. Stawiam samochód w głębi wysypanego szutrem podwórka, liczę do dziesięciu i wysiadam. Nie rozgrzeszyłem się z tego, co zrobiłem April, lecz upływ czasu i odległość sprawiły, że to wszystko zaczęło mi się wydawać jakby mniej realne. Teraz, kiedy tutaj stoję, rzeczywistość – rzuciłeś ją przed ołtarzem! – powraca zimna i niewybaczalna. Towarzyszy jej strach. Od bocznego wejścia do Black Horse dzieli mnie jakieś dwadzieścia kroków, lecz drzwi zdają się ode mnie oddalać niczym zapadnia w jakimś horrorze.

Wiem od mamy, że rozmawiała z April, uprzedziła ją o moim przyjeździe, żeby, jak to ujęła, „złagodzić szok tej biednej dziewczyny”. Nie spytałem, jak ta informacja została przyjęta, jednak idę o zakład, że nie spotkała się z życzliwym uśmiechem. Poważnie się zastanawiam, czy nie wsiąść z powrotem do samochodu, gdy głos mamy atakuje mnie z okna na piętrze.

– Na miłość boską, wchodź do środka!

– Ładne przywitanie! – wołam do niej ze schodów.

– A czego się spodziewałeś? Orkiestry dętej i kwiatów?

Zarzucam jej ramiona na szyję i czuję, jak napięcie w jej ciele znika, gdy obejmuje mnie i przytula.

– Tęskniłam za tobą – szepcze. – Ty głupi, głupi... Brakowało mi ciebie.

Całuję ją w czubek głowy, wdychając znajomy zapach lakieru do włosów.

– Ja też za tobą tęskniłem.

– Coś ty, do diabła, zrobił z włosami?

– Maskuję się – odpowiadam.

– Nie dowcipkuj, Henry. – Oczy mamy zwięzają się w szparki, na policzki wypływa rumieniec. – Lepiej niech cię nie ponosi.

Tata wkracza do pokoju, zamyka za sobą drzwi i trzyma mnie długo w niedźwiedzim uścisku.

– A to co? – pyta, przejeżdżając dłonią po mojej głowie.

– Jesteś fryzjerem?

Powtarza ojciec chyba po raz czwarty, matka też upewniała się kilkakrotnie, trudno więc zliczyć, ile razy padło to pytanie. W głosie matki słyszę dumę i zaskoczenie, w ustach ojca te dwa słowa są podszyte podejrzliwością.

– Tak, fryzjerem.

Opowiedziałem im, jak doszło do tego, że obcinam włosy w salonie Kudłaty Kriszna („kuriozalna nazwa”) i zapewniłem, że tak do końca nie porzuciłem stomatologii. Mimo wszystko trochę czasu upłynie, zanim to do nich dotrze.

Ojciec ze ściągniętymi brwiami zмага się z jakąś myślą.

– Nie jesteś... – Unosi dłoń jak do przysięgi i zgina ją miękko w nadgarstku... – ...no, wiesz.

– Na litość boską, Clive, to, że chłopak odnalazł swoje... – Oczy matki zatrzymują się na moich włosach i oburzenie zmienia się w panikę. – Synu – zaczyna – czy dlatego porzuciłeś April? Żeby nie żyć w kłamstwie? Zdaje się, tak to się określa. Och, Henry!

– Nie jestem gejem.

– No, dzięki Bogu – wzdycha ojciec. – Dzięki Bogu.

Mama nadal lustruje mnie z gniewną uwagą.

– Ale masz kogoś, tak?

– Co? Nie... żartuj.

– Imię?

– Czyje?

– Henry, jestem twoją matką, znam tę twoją głupią gębę na wylot i wiem, że coś

ukrywasz. Jak ma na imię?

– Zoe.

– Och – mówi i uśmiecha się nieszczercze. – Rozumiem. Zoe, tak?

– Sheila, daj mu...

– Nie przywiozłeś jej ze sobą, hę? Nie przywiozłeś Zoe.

Matka zrywa się z fotela, Duże Buty wychodzi jej naprzeciw i staje między nami.

– Czy ona wie? Ta... Zoe?

W jej ustach imię mojej dziewczyny brzmi jak synonim zbrodni, upadku i wszelkiego zła: morderczyni, oszustka, dziwka.

– Mamo, proszę.

– Jedną chwilę, jak długo jesteś...

– Od kilku tygodni, to nie ma nic wspólnego ze mną i z...

– Z kim? Z April? Co z tobą? Teraz nie potrafisz wymówić jej imienia?

– Sheila, usiądź.

Mama wraca na miejsce i zrezygnowana opada ciężko na fotel.

– Ona jest dla mnie jak córka.

– Wiem. A ja, mamo? Co z tym, czego ja chcę i przez co przechodzę?

Matka wygląda tak, jakby dostała w twarz, lecz zamiast wpaść w złość wydaje się skruszona.

– Powiedziałam „jak”. Że jest dla mnie jak córka.

Tata przysiadła na oparciu fotela, bierze dłoń mamy i kładzie ją sobie na udzie. Cieszy mnie ten niezwykle czuły gest. Być może moja głupota i przymusowe wygnanie zbliżyły ich do siebie. Wiem, nie zasługuję na choćby iskierkę nadziei, jednak o ile to dobry znak, z radością go witam.

– Ciężko było, synu – odzywa się tata. – Nam wszystkim.

– Jak ona? – pytam. – April?

Matka ma rację, jej imię z trudem przechodzi mi przez usta.

Rodzice spoglądają na siebie znacząco.

– Co takiego?

Oboje opuszczają wzrok na dłonie, mama opiera głowę na piersi taty.

– Chodzi z kimś?

Matka posyła mi poirytowane spojrzenie.

– A co, liczyłeś, że będzie na ciebie czekać?

– Nie.

– Po tym, co zrobiłeś tej biednej dziewczynie?

– Powiedziałem „nie”.

– Bo widzisz...

– A więc – wchodzi jej w słowo ojciec – jaki masz plan?

Kręcę głową.

– Nie mam żadnego.

– Hmm, też mi niespodzianka – obrusza się mama i wyrывa dłoń z uścisku taty.

Dom czekał gotowy trzy miesiące przed datą ślubu, teraz, w lipcu, stuknął mu

rok. Może właśnie dzisiaj przypadają jego urodziny. Zdarzało mi się do niego zaglądać, oboje z April tam chodziliśmy, lecz nigdy razem – ktoś, być może ja, uznał, że to przyniosłoby pecha.

Widok tego betonowego klocka nie budzi we mnie żadnych emocji. Ani żalu, ani poczucia straty, ani myśli, że to jest miejsce, gdzie powinienem być. Stoję na początku krótkiego podjazdu przed zamkniętą bramą i gapię się na zasłonięte okna.

April wybrała wykładziny, tapety, firany, farby, fronty kuchennych szafek i wszystko, co się za nimi kryje. Owszem, dyskutowaliśmy; albo raczej ona myślała na głos, sprawdzając, jak w jej ustach brzmią nazwy najróżniejszych urządzeń czy akcesoriów. Kiedy spytała, w jakim kolorze widziałbym frontowe drzwi, poczułem pustkę w głowie, zszokowany, że się ze mną konsultuje. Powiedziałem niebieskie, tylko dlatego, że akurat w tym kolorze miała paznokcie. Wyraźnie zniecierpliwiona, rozłożyła próbnik z paletą odcieni tego jednego koloru, a ja stuknąłem palcem mniej więcej w środek wachlarza.

Teraz drzwi są czarne. Mój skromny wkład został unicestwiony, zniknął pod warstwą farby.

Stoję tak od pięciu minut, a uczucie paniki jak dotąd nie zelzało ani na jotę. Podejrzewam, że nic by się nie zmieniło, nawet gdybym tkwił tu cały dzień. Gdy wyciągam rękę do bramki, otwierają się frontowe drzwi i niewiele brakuje, bym wziął nogi za pas. Tylko szok nie pozwala mi oderwać stóp od ziemi, bo w wejściu do mojego byłego przyszłego domu widzę byłego przyjaciela. Jest opalony, chyba zgubił kilka kilogramów, ma dobrze ostrzyżone włosy. Zaskakująco dobrze się prezentuje, nawet w tych jaskrawo pomarańczowych kapciach.

– Brian?

– Herbaty? – Trzyma w dłoniach dwa niebieskie kubki. Towarzyszyłem April, gdy je kupowała.

– Nie masz nic mocniejszego, co?

Parska śmiechem.

– Nie, nie przed osiemnastą.

Siada na stopniu przed wejściem, a ja dołączam do niego.

– Ładne kapcie – zauważam.

– Dziękuję. Och, odpieprz się.

– Zdrówka – mówię i stukam kubkiem w jego kubek. – Dobrze cię widzieć.

Brian kiwa głową: No.

Przez chwilę milczymy i sącząc herbatę, wymieniamy ukradkowe spojrzenia i półśmiechy.

– Cieszę się, że to ty – przerywam ciszę.

– No, ja też. Nie wybijesz mi kolejnego zęba, co?

– Nie, o ile ty mi tego nie zrobisz.

Brian śmieje się pod nosem.

– Dentysta.

– Pamiętasz nasze domki dla ptaków?

Przytakuje ruchem głowy.

– W okolicy nadal brakuje sztchet w wielu płotach.  
Niszczy się coś, żeby coś innego stworzyć – myślę.

– Przepraszam, że cię w to wkręciłem – odzywam się. – Wtedy..., w zamku.

– Nie mnie powinieneś przeproszać – wymrukuje, oglądając się przez ramię na dom.

– Jak ona?

Odpowiada skinieniem głowy: Dobrze.

– Wiedziałem, że do siebie nie pasujecie – mówi. – Ty i April.

– Dlaczego nie pomyślałeś, żeby mi to powiedzieć?  
Wzrusza ramionami.

– Nie moja broszka. A poza tym, czy byś posłuchał?  
Możliwe, bardzo, bardzo możliwe – dopowiadam w duchu.

– No więc, co tu robimy? – pytam, wskazując na nas, przycupniętych na stopniu niczym dwóch małych chłopców.

– Chciałem najpierw sam z tobą pogadać. Załatwić jedną sprawę, zanim przyjdzie czas na drugą.

– Dzięki.

Brian bierze głęboki oddech, jakby chciał przewentylować płuca.

– Chyba powinniśmy wejść.

– Jest już szósta?

Obaj wiemy, że do szóstej jeszcze daleko, niemniej Brian z namysłem spogląda na zegarek.

– Trochę brakuje. Gotowy?

– Nie.

Mój przyjaciel otwiera drzwi.

– Wchodzi pierwszy.

Nie pamiętam, abym przez te wszystkie lata, kiedy z nią byłem, widział ją nad książką. Teraz czyta.

Siedzi na kanapie, plecami do mnie, z jasnymi włosami zebranymi na czubku głowy w koński ogon. Zamyka książkę, odkłada ją na stolik, nieruchomieje na dwie sekundy, a może na osiem tysięcy lat i odwraca się do mnie. Podobnie jak Brian promienieje zdrowiem. Jest opalona, ma świeżą cerę i błyszczące oczy. Wygląda olśniewająco.

– Spóźniłeś się – wita mnie.

W mojej strategii założyłem, że wysłucham obelg z wdzięcznością i z pokorą, po czym poproszę ją oraz ewentualnie obecnych członków rodziny o wybaczenie. Opanowanie April i brak napadu furii całkowicie zbijają mnie z tropu.

– To... niezłe powitanie.

Przechyla głowę z wystudiowaną gracją aktorki pantomimy.

– No cóż, miałam dość czasu na ochłonięcie, prawda?

– Przepraszam – mówię. – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

Rysy jej twardeją.

– Jezu Chryste, Henry. Od czego mam zacząć? Jak można zrobić coś takiego osobie, którą podobno się kocha? Komuś, kto... – Podnosi dłoń do oka, powoli

wciąga głęboko powietrze i odzyskuje panowanie, jakby siłą woli nakazując sobie, że nie uрони ani jednej łzy. – Czy ty wiesz, jak ze mną postąpiłeś?

Z ubolewaniem kręcę głową, bo nie mam nic do powiedzenia.

– Jeżeli nie chciałeś się ze mną ożenić, dlaczego się oświadczyłeś? Po co to było, Henry?

– Chciałem. Ale...

– Uważasz się za kogoś lepszego ode mnie?

– Nie. Absolutnie.

– A mnie się wydaje, że tak właśnie myślisz. Jestem jaka jestem, Henry. Lubię siebie i miejsce, z którego się wywodzę. A ty mnie potraktowałeś... nie wiem nawet, jak to nazwać.

– Kochanie... – interweniuje Brian. – Spokojnie, bez nerwów.

April przymyka powieki, rozluźnia twarz.

– Coś ci podać? – pyta ją.

Otwiera oczy i kiwa głową.

– Tak, którąś z tych herbatek – mówi i uśmiechając się do Briana, puszcza do niego oko. Odprowadza go spojrzeniem, w którym widać szczere uczucie.

Ona nadal siedzi na kanapie z głową odwróconą w bok, żeby mnie widzieć w drzwiach. Postanawiam zaryzykować i wchodzę głębiej do pokoju. Docieram do fotela, lecz zanim zdążę usiąść, April powstrzymuje mnie potrząśnięciem głową.

– Nie sądzę.

– Racja. Przepraszam. Nigdy nie uważałem się za lepszego od ciebie – tłumaczę się. – Byłem w tobie zakochany.

– Zakochany. Jesteś tchórzem, wiesz o tym?

– Tak.

– Och, zamknij się! Tak. Powinieneś był mi to powiedzieć. Prosto w oczy, a nie w tym głupim... – Podnosi ze stolika poskładaną kartkę, zgniatą ją w dłoni i ciska we mnie. Nie muszę jej podnosić, żeby wiedzieć, że to tamten list, który zostawiłem rano w dzień ślubu.

– Podnieś – rozkazuje. – Zabierz to ze sobą. Czytałam go już wiele razy.

Posłusznie spełniam polecenie i wpycham kulkę papieru do kieszeni.

– „Byliśmy dziećmi, kiedy się poznaliśmy” – cytuję, krzywiąc się ironicznie.

– April, proszę...

– „Zawsze będziesz zajmować specjalne miejsce w moim sercu”. Boże, nie płonąłeś ze wstydu, pisząc to... gównu!

– Powinienem był z tobą porozmawiać.

– Tak, kurwa, powinieneś. Przynajmniej na tyle powinno było cię stać. Wiesz co? Cieszę się, że tak wyszło.

Patrzy na mnie, jakby czekała na odpowiedź, lecz oboje wiemy, że żadna nie padnie.

– Chcesz wiedzieć, czemu jestem zadowolona?

– Tak, dlaczego?

– Z dwóch powodów, Henry. Po pierwsze jesteś bezdusznym, słabym,

chimerycznym skurwysynem. Dobrze, że to wyszło na jaw, zanim sprawy bardziej się skomplikowały. Na myśl, że mogłabym mieć z tobą dziecko, robi mi się niedobrze.

Wbija we mnie wściekły wzrok i czeka na reakcję, kiwam więc głową i wymrukuje pod nosem „przepraszam”.

– A po drugie? – ciągnie. – Po drugie, jestem teraz szczęśliwa. Z Brianem. Szczęśliwsza niż kiedykolwiek z tobą. I wcale nie mówię tego, żeby się lepiej poczuć. Mówię, bo taka jest prawda.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

– Pewnie powinnam ci podziękować..., ale tego nigdy nie zrobię.

Dopiero gdy April podnosi się z kanapy, dostrzegam wypukłość. Potężną wypukłość.

– O Boże – mówię, wskazując palcem na jej brzuch, i mimo zakazu opadam na fotel. Z dołu ten brzuch wydaje się jeszcze większy, czym prędzej więc zrywam się z fotela. – O mój Bo..., zaraz, jaki miesiąc teraz mamy?

– Jest lipiec, Henry.

– Kie..., kie...

– W październiku – podpowiada. – Mieliśmy się pobrać w październiku.

Zaczynam liczyć na palcach:

– Październik, listopad, grudzień, sty...

– Dziewięć – przerywa mi. – Dziewięć miesięcy temu.

Książka na stoliku odwrócona okładką do góry ma tytuł *501 imion dla dzieci*. Trudno powiedzieć, na której dokładnie stronie jest otwarta; z grubsza biorąc, mniej więcej na środku – może na M albo N; co zresztą niczego nie wyjaśnia.

– Jesteś w ciąży. – Próbuję odzyskać równowagę, stwierdzając oczywisty fakt, lecz na niewiele się to zdaje.

– Jak widać.

Ponownie wskazuję palcem wypukłość, która nie mogła przecież powiększyć się w ciągu ostatnich trzydziestu sekund, niemniej zdaje się rosnać mi w oczach. – Czy to...?

– Tak? – podchwytuje April.

Kieruję palec na siebie.

– Czy to...?

– Moje – dochodzi mnie zza pleców głos Briana. Niesie małą, okrągłą tacę, czerwoną w białe kropki, którą, o ile dobrze pamiętam, kupiliśmy w Trafford Centre mniej więcej przed rokiem. – Proszę... – Podaje ziołową herbatę April, a potem mnie szklankę z whiskey. Opróżniam ją jednym haustem.

– Gratulacje – wyduszam z siebie. – Który... to...?

– Wyluzuj – odzywa się Brian. – Zdecydowanie moje.

– Ósmy miesiąc – dorzuca April z nieco wyzywającą miną.

– Znaczy, wy...

Mój przyjaciel wzrusza ramionami.

– W listopadzie – wyjaśnia April, patrząc na moje dłonie, a do mnie dociera, że ponownie liczę miesiące na palcach.



– Gratulacje.  
– No, już to mówiłeś.  
– Jeszcze jeden? – Brian wyciąga rękę po moją szklanę.  
– Henry już wychodzi – interweniuje moja niedoszła żona.  
Podajemy sobie z Brianem dłonie, a potem się ściskamy.  
– Potrzeba czasu – szepcze mi do ucha, poklepując mnie po plecach.  
Miałem przenieść April przez próg tego domu. Tymczasem to ona odprowadza mnie do drzwi, ona w ciąży z moim najbliższym kumplem.  
– Cieszę się ze względu na ciebie.  
– Jak podejrzewam, ulżyło ci, co?  
– Nie wiem. Może trochę.  
– Nie myśl sobie, że ci wybaczyłam, bo tak nie jest. Za cholere, Henry, nic z tego.  
– Wiem.  
– Przez ciebie zawsze już będę tą dziewczyną. Dziewczyną, którą...  
Ruchem głowy wskazuję na dom.  
– A Brian, dziecko?  
– Brian jest niesamowity. – Twarz jej się ożywia, gdy wymawia jego imię. – I będzie wspaniałym ojcem – dodaje. – Ale to nie zmienia...  
– Przykro mi. Strasznie mi przykro.  
Kiwa głową.  
– Taak, wiem. I jak tam – krzyżuje ramiona na piersi – spotykasz się z kimś?  
– W... pewnym sensie.  
Kręci głową z niedowierzaniem.  
– „W pewnym sensie”? Zdumiewasz mnie, Henry.  
– To skomplikowane. Ona ma...  
– Wiesz co, Henry? Nie mam ochoty tego słuchać. Po prostu... Naprawdę, wierzę, że w końcu się ogarniesz. Mam nadzieję, że ty i ta, jak jej tam na imię, dziewczyna odnajdziecie wspólny język i się w sobie zakochacie...  
– Dziękuję.  
– I mam nadzieję, że potem ona wystawi cię do wiatru przed ołtarzem.  
– I słusznie.  
– Taak, słusznie. No i częściej dzwoń do matki.  
– Dobrze.  
– Weź to sobie do serca. Ona za tobą tęskni, Henry. Duże Buty tak samo.  
– Wezmę. Dziękuję. – Chcę ją uściskać, lecz ona cofa się o krok.  
– Przepraszam. W takim razie... cóż, było mi... było miło was zobaczyć. Oboje. Całą trójkę.  
April kiwa głową i – chyba wbrew woli – się uśmiecha.  
Pamięć powraca mi dopiero, gdy jestem przy bramce. Oglądam się, April stoi na progu, czeka.  
– Tak?  
– Pewnie nie masz mojego paszportu?  
Śmieje się.

– Pamiętasz, gdzie mieszkają moi rodzice?

Ruszam, a w głowie odzywa się *Sweet Home Alabama*. Nucę w zwolnionym tempie, ciągnąc nogi, lecz to nie wydłuża odległości.

April musiała ich uprzedzić, bo gdy skręcam za róg, jej staruszek czeka na mnie na schodkach. Przy nogach stoi poturbowana walizka Samsonite – reklamują je jako niezniszczalne, a wygląda tak, jakby ktoś sprawdzał na niej wiarygodność reklamy. Obudowa powgniatana i porysowana, wyciągany uchwyt pogięty, a zamek zepsuty. Niemniej całość jakoś jeszcze trzyma się w pionie.

Powłócząc nogami, zbliżam się podjazdem. Ojciec April milczy z kamiennym wyrazem twarzy. Może córka zapomniała wspomnieć, że stary skubaniec zmarł pół roku temu i od tamtej pory stoi tu wypchany, żeby odstraszać włamywaczy? Niestety, gdy wchodzę w zasięg ciosu, słyszę jego sapanie i widzę, jak włoski w nosie drżą mu przy każdym wydechu.

– Derek – odzywam się i skłaniam głowę.

Szczęki mu się zaciskają, zarysowują mięśnie żuchwy, dłonie zwijają w pięści.

– Wybacz – zaczynam.

W odpowiedzi bardzo powoli porusza głową na boki; przekaz jest jasny jak słońce: „Zamknij się!”. Czubkiem buta przesuwam walizkę, a ta niebezpiecznie się chwieje.

– Jasne – dukam. – Ja...

Kolejne potrząśnięcie głową.

– Nie zmuszaj mnie, żebym złamał słowo, które dałem córce. Dość się wycierpiała.

Aby podnieść walizkę, będę musiał się schylić i wtedy moja szczeka znajdzie się sześć cali od jego stopy. Nie wiem, czy dziś pracował, w każdym razie ma na nogach robocze buciorzy. Ponownie trąca nosem buta walizkę.

Zginam się w pasie, wyprężam do przodu i łapię za wysuwany uchwyt, który zostaje mi w dłoni, a walizka dalej stoi w tym samym miejscu, kolebiąc się na kółkach. Ponawiam próbę. Pochylam się niżej, bo teraz potrzebuję obu rąk, żeby wyciągnąć ją poza zasięg nogi Dereka. Niedoszły teść nie kopie mnie w twarz.

– Dziękuję – mówię. – Mój paszport jest w...

Wypuszcza powoli powietrze przez rozdęte nozdrza i odwraca się w stronę domu.

– Serdeczne pozdrowienia od George’a – rzuca przez ramię i trzaska mi drzwiami przed nosem.

Dopiero gdy wychodzę za narożnik, przysiadam na murku i otwieram walizkę. Kąpielówki są przecięte w kroku, nowe, lniane spodnie plażowe straciły nogawkę, okulary przeciwsłoneczne oba zauszniki, a na środku mojej ulubionej koszuli jest wycięta dziura. Kapelusz, bielizna, skarpetki, buty, sandały, co do sztuki poniszczony. Z książki, którą spakowałem na wakacje, zostały luźne kartki. Na dodatek wszystko zostało wymazane mleczkiem do opalania z przedziurawionej butelki i lepi się od pasty do zębów z wyciśniętej na siłę tubki. W przedniej części walizki jest przegroda zamykana na zamek. Znajduję tam nasze nieruszone, niewykorzystane, przeterminowane bilety. A także mój

paszport, w jednym kawałku, ze wszystkimi kartkami. Nikt nie potraktował go nożyczkami czy opalarką. Nikt nie dorysował mi okularów, sztyletu wbitego w szyję ani kutasa na gło...

– Cholerny gnojek!!!

Hamburger trafia w mój tors. Centralnie. Trudno o stuprocentową pewność, gdy się ma musztardę w oczach, lecz tył oddalającego się samochodu przypomina forda cortinę George'a.

– Nie pomyślałaś, żeby mnie uprzedzić? – mówię do matki.

– Oczywiście, pomyślałam. Ale to nie moja sprawa, skarbie. Masz tu... – ślini palec i przeciąga mi nim po brwi – ...musztardę.

– I tak miałaś szczęście – zauważa ojciec. – Ja bym rozwalił ci łeb.

Mama obdarza go czułym uśmiechem.

Nad drzwiami do pubu jest mała, podłużna plakietka z nazwiskiem właściciela i z numerem licencji. Wypisana białymi literami na czarnym tle. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, tata dodał tam mnie. Od tamtej pory napis głosi: CLIVE SMITH & SYN. PUB MA LICENCJĘ NA SPRZEDAŻ NAPOJÓW ALKOHOLOWYCH DO KONSUMPCJI W LOKALU ORAZ NA WYNOS.

Jak na człowieka bez szczególnej predylekcji do sentymentalnych zachowań to był wiele mówiący gest. Nie tylko anonsował moje wejście w wiek męski, ale również świadczył o dumie ojca z syna. Stawiał nas na równi. Dlatego przeżyłem szok, gdy wchodząc do pubu godzinę temu, zobaczyłem, że zostałem zamalowany.

– Czyli – zaczynam – straciłem licencję na sprzedaż napojów alkoholowych?

Tata marszczy brwi, zdezorientowany.

– Nie kapuję, synu.

– No, ta plakietka – podpowiada mama. – Naprawdę, Clive, niepokoi mnie twój brak pamięci.

– Racja – odpowiada, unosząc pięści. – Wyprowadzałem cios zamiast zrobić unik.

– Robiłeś unik zamiast wyprowadzić cios – dopowiada matka i znowu się uśmiecha.

– A więc – wracam do tematu. – Co z plakietką?

– Ach, widzisz, synu. Nie jesteś mile widziany we wsi.

– Zdecydowanie – przytakuje mama.

– Widzisz, chłopcze, ktoś złapał za pędzel.

– Clive Smith & Skurwiel – cytuje matka. – Pub ma licencję i tak dalej, i tak dalej.

– Odwalili kawał dobrej roboty, nie, Sheila?

– Oj, tak. Musiało upłynąć kilka tygodni, zanim się połapaliśmy.

– W każdym razie, synu, pomyślałem, że najprościej będzie... – Ojciec zamaszystym gestem niby zamalowuje „skurwiela”.

– Dzięki.

– W takim razie teraz nie masz już wymówki, żeby nie przyjechać na naszą

rocznicę – zmienia temat mama.

- Pomijając fakt, że nie jestem mile widziany we wsi.
- Smith i Skurwiel – przypomina tata ze śmiechem.

Mama wzrusza ramionami.

– Czas leczy rany. W niektórych przypadkach wolniej, w innych szybciej, ale leczy.

– Kiedy dokładnie przypada? – pytam, narażając się na potępiające spojrzenie matki. – No co? To nie moja rocznica.

– Dziewiątego sierpnia – informuje tata. – Jak widzicie, szare komórki jeszcze działają.

Mama przechyla się nad barem i całuje go w policzek.

– Co się z wami porobiło?

– Nie co roku obchodzi się rubinowe gody – stwierdza mama.

– No, to jest jakiś argument – przyznaję. – A więc, co planujecie?

– Pomyśleliśmy, żeby tutaj coś urządzić w sobotę – mówi tata. – Dla rodziny i przyjaciół.

– Jak rozumiem, zostałem wliczony. April też będzie?

– Oczywiście, skarbie. Ona jest...

– ...dla ciebie jak córka. Wiem. Jednak ona, ja, Brian, ich cholerne dziecko...

– Czas zapomnieć o przeszłości, Henry. April to wie.

– Tak czy owak – wtrąca tata – nie sądzę, aby długo zabawiła na imprezie w swoim stanie.

– Poczyszczając. Prawdę mówiąc, to nie nią się przejmuję.

Tata zwiesza się nad barem, oparty całym ciężarem na dłoniach.

– Nie musisz się nikogo obawiać. Wszyscy wiedzą, czym jesteś synem.

Nie mam wątpliwości, co powinienem teraz zrobić. Również przechyliam się nad kontuarem i całuję go w policzek, a on niezbyt przekonująco udaje zażenowanie.

– Przyjadę – obiecuję.

– Może przywiózłbyś tę Zoe? – sugeruje mama.

Wybucham głośnym śmiechem.

– Jesteś pewna? Jeszcze parę godzin temu to imię nie chciało ci przejść przez usta.

– Cóż, nie mogę mieć do niej pretensji za grzechy mojego syna, prawda? To nie jej wina, że jesteś skurwielem.

Tata ze śmiechem odchodzi na drugi koniec baru obsłużyć klienta.

– Dzięki, mam, ale... to chyba nie najlepszy pomysł.

– Przemyśl to. W parze byłoby ci raźniej.

– Dobrze – kłamię. – Zastanowię się.

## Zoe

### *Helikopterowanie*

Odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju przeszkadzają w oglądaniu filmu. Nie jest szczególnie zajmujący i trudno się na nim skupić, lecz musimy jakoś zagłuszać hałas. Uporczywe plaskanie mężczyzny o Vicky i Vicky o materac.

– Dałabym mu najwyższą ocenę za kondycję.

– To chyba wchodzi w zakres obowiązków.

– Co, posuwanie klientek?

– Nie, to dodatkowa korzyść.

Powinam być teraz w dwuosobowym pokoju obok, z Vicky, ale ona zaciągnęła tam striptizera, a ja wylądowałam u Rachel.

– Dobrze się dzisiaj bawiłaś?

– No, fajnie. Pewnie byłoby jeszcze lepiej, gdybym się ubzdryngoliła.

– Miałabyś większy luz.

– Hmm. A jak... idzie ci z Henrym?

Zastanawiam się, czy nie zdradzić jej sekretnej tożsamości Henry'ego jako wyrwizęba, jednak zrobiło się późno, sprawa jest skomplikowana, no i wlałam w siebie za dużo pimm'sa. Powiem jej jutro w pociągu.

– Zrobił mi domek dla ptaków.

– Dla ptaków?

– No, w ogródku. Zepsuł płot, bo potrzebował deskę, niemniej...

– Jakie to romantyczne – wzrusza się Rachel.

– Wiem, wiem, ale... – wzdycham ciężko – ...co z tym wszystkim?

Przyjaciółka otacza mnie ramieniem i całuje w skroń.

– Będzie dobrze – pociesza mnie. – Cokolwiek się wydarzy.

Łomot w sąsiednim pokoju osiąga crescendo.

– Te wacki – odzywa się Rachel – trochę głupio wyglądają, nie?

– Jedne bardziej, inne mniej.

– Pamiętasz, jak on to nazwał? – Przyjaciółka kręci młynka nadgarstkiem, imitując końcowy numer programu naszego Manacondy[5].

– Helikopterowanie.

– Został mi ślad? – pyta, dotykając policzek.

– No, przypomina odcisk penisa, tylko jakby większy.

– Żartujesz!

– Jasne. To spokojnie da się zapudrować. Aha, dochodzi.

Manaconda osiąga maksymalną prędkość, testując wytrzymałość konstrukcji łóżka.

– Cholerka, coś takiego może człowieka na dobre zniechęcić – zauważa Rachel po spektakularnym finale w sąsiednim pokoju.

---

5 Slang. Mężczyzna hojnie obdarzony przez naturę.

# Henry

## *Cicho, jak to na wsi*

Parę minut po drugiej budzi mnie brzęk tłuczonego szkła. Nie kufla czy szklanki do whiskey, tylko czegoś dużego. A potem ktoś wrzeszczy:

– Skurrrwieel!

Hałas obudził również rodziców; zbieramy się w holu, mama chowa się za tatą, a on w jednej ręce ściska kij baseballowy, a w drugiej trzyma latarkę. Z ulgą widzę, że nałożył spodnie.

– To gdzieś w domu? – pyta mama.

– Według mnie na parkingu – mówię.

Jestem pewien, że to robota George’a.

Mama czeka na górze, a ja zostaję z ojcem. Nie jest już tak sprawny jak dawniej, poza tym obaj wiemy, kto stoi za tym bałaganem. W barze pusto, frontowe i boczne drzwi są zamknięte. Tata otwiera kluczem drzwi od podwórka i wychodzimy na zewnątrz.

Jest cicho, jak to na wsi; gdzieś pohukuje ptak, coś małego szeleści w krzakach, powiewy wiatru podkręcają atmosferę. Żadnego warkotu silnika, odgłosu śmiechu czy trzasku kurka w strzelbie.

Tata snopem światła z latarki omiata parking i ściany domu, sprawdza okna.

– Poświeć tam – mówię mu, wskazując miejsce, gdzie postawiłem samochód.

Trzeba oddać George’owi, że nie poszedł na skróty. Ten popapraniec nie ograniczył się do wrzucenia kubła do auta przez przednią szybę. Najpierw naładował do niego cegiel.

– Cała nadzieja, że nie spadnie deszcz – komentuje tata.

– No, nie wiem.

– Raczej nie. Chodź, postawię ci drinka na lepszy sen.

## Zoe

### *Być może, być może*

I tyle na temat różnych historii.

Trzy tygodnie temu złożyłam wypowiedzenie i Claire z dnia na dzień odstawiła mnie na boczny tor; nie sporządzam arkuszy kalkulacyjnych, nie uczestniczę w zebraniach finansowych i oczywiście nie spotykam się z autorami. Wróciłam do lekkich zadań; otwieram koperty, czytam opowiadania. Wszyscy teraz piszą; każdemu się wydaje, że ma jakąś historię do opowiedzenia – niektóre są godne uwagi, inne nie. W tygodniu przychodzi do wydawnictwa od pięćdziesięciu do stu przesyłek wypakowanych nadzieją. Czytam wszystko, jak leci. Rymowanki z aliteracją o aligatorach, wydrach i duszkach, ich kłopotach, dylematach, niedociągnięciach i konfliktach. Pożeram je, jakby każda z nich zawierała odpowiedź, a przynajmniej wskazówkę, jak postępować uczciwie, nie kłamać, wystrzegać się smoków, być naiwnym, odważnym, być sobą.

Rozum i doświadczenie podpowiadają, że w większości to śmieci; pomysły z kosmosu, niezdarne rymy, nietrafione metafory, pokrętna logika. Nie na darmo nazywamy je „kupą makulatury”. Standard to jedna dobra historia na miesiąc; jeden godny uwagi tekst na mniej więcej czterysta nadesłanych. A jednak moja właściwa tacka jest praktycznie pusta, za to na biurku rośnie stos kartek, który pod koniec dnia sięga niemal do wiszących nad blatem lamp. Czytam te przesyłki po kilka razy, przekładam na różne kupki: tak, być może tak, być może nie, być może, być może. Jeżeli te opowiadania mogą nas czegokolwiek nauczyć, to niewątpliwie tego, że każdy z nas ma potencjał. Każdy może. Moją misją jest doprowadzenie którejs z nich do szczęśliwego końca, zanim odejdę z wydawnictwa za niecałe dwa miesiące. Czasu zostało niewiele.

W piątkowe popołudnia, gdy wieża z kartek zaczyna urągać przepisom BHP, wybieram z dziesięć manuskryptów z kupki na „tak”, wrzucam je do torby i czytam kolejny raz podczas weekendu. Robię to przy śniadaniu, w wannie, w ogródku i za barem w Duck and Cover. Słucham, jak czyta je Henry, gdy kroję cebulę, myję głowę albo leżę w łóżku z głową na jego piersi.

Nie wszystkie są o smokach i o wianuszkach ze stokrotek.

Czasami wieczorem puszcza filmy, te same, które Henry oglądał z matką: *Spotkanie*, *Niezapomniany romans*, *Rzymskie wakacje*, *Dziewczyzna Piętaszek*. Historie o miłości, której staje na drodze nieodpowiedni czas, duma, polityka, rodzina, pieniądze i najróżniejsze okoliczności. Opowieści z dwoma tylko zakończeniami, które łatwo z góry przewidzieć: żyli/ nie żyli długo i szczęśliwie.

Nasz krótki związek kończy się za siedem tygodni. Na pewno popłyną łzy i już



wiem, jak będzie wyglądać końcowa scena – oglądaliśmy taką razem, śmiejąc się z melodramatu rozgrywającego się w czerni i bieli. Natrzęsaliśmy się z głupiej intonacji, przestarzałych dialogów, okropnych fryzur, jakbyśmy chcieli się znieczulić przed nieuchronnym pożegnaniem. Henry tłumaczy się z tych filmów, jakby to on je nakręcił, a mnie podoba się ich prostota, brak kosztownych efektów specjalnych i niewydumane emocje. Mam wrażenie, że one zbliżają mnie do niego, że dzielę z nim kawałek jego życia. Nie doczekamy razem do końcowych napisów, ale tak powstanie nasza własna historia. W ciągu tych siedmiu tygodni jeszcze wiele może się zdarzyć, mówię więc sobie: Zamknij się, wyluzuj i ciesz końcową sceną.

## Henry

### *Jak daleko posunąć się w tej szczerości?*

Zostaję wystawiony na próbę i daję ciała.

Po pokazaniu Zoe tamtych wszystkich bożyszczy kobiet z lat trzydziestych i czterdziestych, pewnych siebie facetów z kwadratową szczęką, ona dała mi złotą okazję do odegrania obiektu damskich westchnień. Niestety, nie wykazałem się.

Co prawda mamy środek lata, ale na południowo-zachodnim wybrzeżu Anglii niebo dziś jest zasnuwane chmurami i wieje silny wiatr. Rodzice Zoe wyjechali na weekend do Kopenhagi i w ich zaadaptowanym wiejskim domu z ceglanyścianami i z wysokimi sufitami jest zimno jak w psiarni. Naturalnie moglibyśmy nałożyć dodatkowe swetry, ale gdzie tu romantyzm?

Zoe wysłała mnie na dwór, żebym narąbał drewna. Pewnie oczekiwała, że w białym podkoszulku będę łupał polana z brutalną precyzją. Tak postąpiłby Clark Gable czy Cary Grant. Nie mam białego podkoszulka i w życiu nie dotknąłem siekiery. Musiałem raczej wyglądać jak Benny Hill, a nie Errol Flynn, gdy machając siekierą, nie trafiałem w bierwiono, ledwo unikając amputacji palców. To Zoe zajęła się przygotowaniem drewna do kominka, a ja w tym czasie usuwałem drzazgi z dłoni. Potem, gdy ogień po raz trzeci mi zgasł, ponownie wkroczyła do akcji, zlecając mi pokrojenie warzyw i odkorkowanie wina.

Nie potrafię nawet puszczać latawców.

Zoe zamieniła się na zmiany w Duck and Cover; pracowała w czwartek i w piątek wieczorem, żeby wyjechać na ten spontaniczny weekendowy wypad. Wyruszyliśmy dziś bladym świtem i pięć godzin później dotarliśmy na kornwalijskie wybrzeże, gdzie pogoda ciągle nie mogła się wyklarować. Do domu jej rodziców idzie się plażą ze stacji pół godziny. Goldmanowie są właścicielami wiejskiej chaty pomalowanej w biało-niebieskie pasy, jakby żywcem wyjętej z pocztówki. Zoe wśród leżaków, pajaków i sflaczałych plażowych piłek znalazła czajnik, kubki oraz słoik z rozpuszczalną kawą. Piliśmy ją czarną, obserwując dzielnych surferów, którzy wchodzili w morze i czekali tam na wysokie fale tylko po to, by z powrotem wrócić na brzeg. Zoe, śmiejąc się, robiła im czarno-białe zdjęcia, a ja w tym czasie rozłożyłem na piasku latawiec i cofając się, rozwijałem sznurek. Zanim zdążyłem puścić się biegiem, żeby poderwać latawiec pionowo w górę, wiatr odwrócił go spodem na wierzch i miotał nim po plaży, przy okazji oplątując mi sznurek wokół nóg. Zoe, zanim zdecydowała się interweniować, przyglądała się tej farsie dobre dziesięć minut. Musisz, tłumaczyła, trzymać go blisko, aż poczujesz, że złapał wiatr, i dopiero potem powoli popuszczasz sznurek do chwili, gdy czerwone i żółte kwadraty zmaleją do rozmiaru znaczka

pocztowego na szarym niebie. Niewątpliwie płynie z tego jakaś nauka. Może ktoś powinien o tym napisać książeczkę dla dzieci. *Lola i latawiec*. O tym, kiedy należy odpuścić, a kiedy twardo trzymać.

– Wygodnie ci? – pyta Zoe.

Mówię, że tak, i wcale nie kłamię. Dzięki mojej dziewczynie ogień w kominku buzuje; a dzięki jej ojcu nalewamy czerwone wino z kryształowej karafki. Czy to poprawiło jakość sikacza, trudno powiedzieć, lecz wytworne naczynie zdecydowanie robi wrażenie.

Zoe wyciąga nogi i opiera je na moich kolanach.

– W takim razie zaczynam – oznajmia tonem wytrawnej bajarki: – Hipochondryk wygrzebał się ze swojego błotnego łoża i zięeeewnąął. Chciałbym umieć ziewać jak ty, powiedział Niezgułosłoń. Jesteś chyba najlepszym ziewaczem w całym Porańcu.

– Zdaje się, że czytaliśmy to już w pociągu – zauważam.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

– Nie zapomniałbym Niezgułosłonia.

– Wybacz. Nudzę cię?

Potrząsam głową, ale nie jestem w stanie stłumić ziewnięcia.

– Morskie powietrze – usprawiedliwiam się. – Rąbanie drewna.

– Cholerka, a jednak. Jestem okropnym nudogutangiem.

– Nie pamiętam nudogutanga.

– Taki żarcik – mówi Zoe.

– Zabawny. Czy nie wspominałaś – wtedy na moście – że myślałaś o tym, żeby coś napisać?

– To było wieki temu.

– Most czy myśl o pisaniu?

– Chyba jedno i drugie. – Ociera policzki. Widzę, że ma w oczach łzy.

– Wszystko w porządku?

– Uhm – przytakuje. – Coś mi się przypomniało.

– Alex?

Kiwa głową.

– Tamtego dnia... rano przyszedł mi do głowy taki pomysł na książeczkę, głupi pomysł na historyjkę dla dzieci. Stwierdziłam; dobra, zajmę się tym później. No i wtedy...

– Tęsknisz za nim.

Przytakuje ruchem głowy.

– Czasami. Był... Mieliśmy dobre chwile. – Podnosi rękę do włosów i nawija siwe pasmo na dwa palce. – Mówiłam ci, jak wylądowałam w wydawnictwie?

– Nie.

– Wiesz, że byłam prawniczką, prawda? Czułam się w pracy okropnie. Nie znosiłam jej. Z powodu stresu dorobiłam się egzemy na nogach, a potem... jakby się odbiłam. Pojawił się Alex i... – Zoe czyni taki gest, jakby łapała przed sobą powietrze. – Po prostu kurczowo się go trzymałam. Nie zrozum mnie źle. Był zabawny, troskliwy i... widziałeś jego zdjęcie.

– Przystojny.

Zoe kiwa głową.

– Ty też jesteś przystojny, oczywiście.

– Oczywiście.

– Bardzo szybko zamieszkaliśmy razem – ciągnie dalej. – Utrzymał mnie, gdy rzuciłam prawo i wdrażałam się w pracę w wydawnictwie. To było jak podanie liny ratunkowej.

– Wygląda na to, że był porządnym facetem.

– Był. Nikomu dotąd o tym nie mówiłam – wyznaje, patrząc w ogień – ja nigdy go nie kochałam. Może na początku, ale... nie tak naprawdę. To była... – Kręci głową, cicho popłakując.

– Wiedział?

– Nie sędzę.

– Hmm, może... no, wiesz to...

Jasna strona tego, co się stało, chcę jej powiedzieć, lecz rezygnuję, bo zabrzmiałoby to trywialnie i nieszczerze. Niemniej Zoe wie, co mam na myśli.

– Wcześniej byłam wdzięczna losowi, że mu tego nie powiedziałam, ale... teraz nie jestem tego pewna. Mam takie wrażenie, że on umarł w kłamstwie i... i... źle się z tym czuję. Gdybym mu powiedziała, może...

– Nie było w tym twojej winy.

– Jest jeszcze coś. Gdybym mu powiedziała, prawdopodobnie nie byłoby tej podróży za siedem tygodni. Może wcale byśmy się nie poznali? I...

Mógłbym powiedzieć, że ją rozumiem, czy wziąć za rękę, pozwolić jej się wypłakać. Ale to są łatwe i puste gesty bez większego znaczenia. Czy w tej sytuacji odwzajemnienie się Zoe szczerością, pokazanie, że rozumiem jej poczucie winy oraz rozterki nie byłoby najlepszym wyjściem? Jedynym wyjściem?

– Przed przyjazdem do Londynu – zaczynam – byłem zaręczony.

Zoe prostuje się, wyciera oczy i patrzy na mnie spokojnie.

– Miałeś się żenić?

Przytakuję ruchem głowy.

– Tylko że...

– Nie ożeniłeś się z nią?

– Z April. Nie, nie ożeniłem.

– Bo?

– Nie kochałem jej – wyznaje.

Zoe uśmiecha się smutno i – mam wrażenie – trochę jak ktoś winny podobnego przestępstwa.

– Fatalnie.

– Uhm.

– Ładna?

Kiwam głową. Zoe wymierza mi kopniaka.

– Jasne, przepraszam. Ty też jesteś ładna, oczywiście.

– Oczywiście. A więc co się wydarzyło?

Jak daleko mam posunąć się w tej szczerości? Zostało nam siedem tygodni

i nużą mnie te sekrety, to udawanie kogoś, kim nie jestem. Z drugiej jednak strony, ile prawdy wystarczy, a ile może okazać się za dużo dla kogoś na jeden raz?

– O co chodzi? – pyta Zoe, jakby czytając mi w myślach.

– Odwołałem ślub.

– Tak po prostu?

– Hmm, nie poszło tak gładko jak z oświadczeniami...

Zoe się śmieje, a ja nienawidzę siebie, bo obróciłem w żart to, co zrobiłem April.

– I...?

– Zналиśmy się od dziecka – tłumaczę. – Chodziliśmy do tej samej szkoły. To mała wieś. Bardzo mała.

– Rozumiem. Więc... – Zoe porusza kciukiem w bok. – Wyjechałeś?

– Coś w tym rodzaju.

– Wybacz, nie chcę cię... ale to musiało być straszne. Boże, ta biedna dziewczyna. Ja... uch, Boże!

– Wiem. Jednak... gdyby doszło do tego ślubu, nie poznałbym ciebie, no nie?

– Cieszę się, że nie doszło. Wiesz, w pewnym sensie.

– No – przytakuję. – W pewnym sensie.

## Zoe

### *Jednak coś się dzieje*

Przez cały ten seks, morskie powietrze i wino odeszła mi ochota na sen.

Udało mi się upłynnić wszystkie rzeczy Alexa, oprócz aparatu fotograficznego. Rower, gramofony, nawet płyty. Wpadło mi za to parę setek mniej, niż liczyłam, ale z pieniędzmi za dodatkowe zmiany w Duck and Cover i z ekwiwalentem za urlop z wydawnictwa dam sobie radę i zmieszczę się w budżecie. Nadal potrafię zostawić Henry'ego, nie popadając we frustrację. Henry natomiast przyjmuje to wszystko ze szlachetnym stoicyzmem. Nie, to nie jest szlachetna postawa, raczej wkurzająca. Nie zaszkodziłaby odrobina przygnębienia, jakieś „proszę Cię, nie jedź”.

W pewnym sensie, powiedział.

Cieszę się, że cię poznałem... w pewnym sensie.

No dalej, Henry. Chcę tylko usłyszeć cztery małe słowa.

Będę za tobą tęsknił.

Przecież nie proszę go, aby wyznał, że mnie...

Jednak coś się dzieje; coś wzajemnego, coś, co w grze w scrabble zarobiłoby więcej punktów niż LUBIĆ. Być może, rezygnując z tego, okaże się kompletną idiotką. Kto wie, czy prawdziwym powodem mojej bezsenności nie jest przypadkiem obawa, że siedem tygodni dzieli mnie od popełnienia poważnego błędu.

Na dworze wyje wiatr od strony wybrzeża, bramka szczęka metalicznie, a linka do bielizny jęczy jak potępieniec. Zazwyczaj odgłosy surowej pogody działają na mnie kojąco, a dzisiaj ta kakofonia zmienia mnie w wystraszone dziecko.

Henry śpi jak niemowlę.

Zależy mi, aby nasz szybko kurczący się czas miał znaczenie, dlatego kiedy mama zaproponowała, abym pojechała z nimi do Kopenhagi, podziękowałam. A tymczasem Henry oznajmił mi dzisiaj, że za parę tygodni wybiera się w swoje rodzinne strony. Nie jestem zaproszona. Co prawda nie powiedział tego wprost, ale też nie usłyszałam: „Hej, ponieważ ty pokazałaś mi dom, gdzie dorastałaś, dlaczego nie miałbym zrewanżować się tym samym”. Przeszło mi przez myśl, że mogłabym się wprosić, lecz, powiedzmy, z powodu dumy chcę, żeby to wyszło od Henry'ego. Owszem, próbowałam go aluzyjnie naprowadzić: „A co ja będę robić w weekend? Nigdy nie byłam w tej części Anglii. Uwielbiam wędrówki po wzgórzach”. Haczyk nie został połknięty.

Podmuchy wiatru zdają się ciskać żwirem o szybę, trzaśnięcie bramki, tym razem znacznie głośniejsze, budzi Henry'ego.

– Ummm, soto?

– Sztorm – wyjaśniam. – Duchy marynarzy.

Kolejny trzask, taki metaliczny, a po nim...

– To chyba drzwi wejściowe!

– Cholera, Henry! Ja... ja nie wiem... może.

Bez wahania zrywa się z łóżka, naciąga bokserki, pokazuje mi, że mam być cicho i nie ruszać się z miejsca.

# Henry

## *Wymowne głuche stuknięcie*

Szkoda, że Zoe nie grała w szkole w hokeja albo w palanta, w golfa czy choćby w snookera. W jej sypialni jedyną rzeczą, która może posłużyć do obrony, jest rakieta do badmintona z pozrywanymi żyłkami. Z czymś takim da się najwyżej zaatakować wiatr, ale Zoe jest naprawdę wystraszona, a ja mam szansę zmyć plamę po porażce z rąbaniem drewna.

Schody skrzypią pod moimi stopami, na szczęście hałas zagłusza wycie wiatru. Drzwi wejściowe są zamknięte.

Dokładnie w chwili, gdy rozluźniam uchwyt na rakiecie, wyłapuję jakiś odgłos dochodzący z pomieszczenia na buty na tyłach domu.

Głuche stuknięcie i męski głos miotający przekleństwa. Uaktywniają mi się wszystkie zmysły. Moja pierwsza myśl – Walnięty George namierzył mnie na wybrzeżu i przyjechał dokończyć porachunki. Druga – niedobrze, bokserki to słaba ochrona. Przy drzwiach stoi parasol. Gdy kombinuję, co lepiej posłuży mi do obrony: parasol czy rakieta, odgłos zbliżających się kroków zmusza mnie do działania.

– Spieprzaj stąd! – wrzeszczę. – Mam broń!

Krzyk kobiety i szum wiatru zlewają się w świdrującą w uszach kakofonię.

– Nie strzelaj! – woła mężczyzna. – Proszę, nie strzelaj.

Ponownie piskliwy kobiecy głos.

Przez oddalający się szurgot nóg przebija się opanowany głos mężczyzny:

– My... wychodzimy, już wychodzimy. Nie zrób czegoś głupiego, zachowaj spokój, już nas nie ma.

– Rodney! – woła kobieta. – Wychodź!

Zoe zatrzymuje się w połowie schodów.

– Tata?



## Zoe

### *Henry i ja*

– Hmm – odzywa się mama. – Miło... mi.

Prezentacja dokonana, broń odłożona, ciała przyodziane. Poduchy z kanapy nadal leżą rozrzucone na podłodze i nie potrzeba panny Marple, aby wydedukować, że wieczorem wzięło tu kogoś na amory przed kominkiem.

– A więc – zaczyna tata – dentysta?

– Zgadza się – odpowiada Henry. – Za moje... grzechy. Przepraszam za... – naśladuje wymach rakieta do badmintona.

– Przynajmniej nie była naładowana – mówi ze śmiechem mama.

– Och! Proszę, nie strzelaj! – parodiuje ich, udając przerażenie.

– No wiesz, Zozo, cholernie nas to zaskoczyło. Podobno miałaś być zajęta.

Ruchem głowy wskazują Henry'ego.

– Zajęta, zajęta – powtarzam, nie wiadomo czemu. – Podobno mieliście wrócić w poniedziałek.

– Przepraszamy za kłopot – odzywa się mama, dając jasno do zrozumienia, że żartuje. Ujmuje w dłonie moje policzki i patrzy na mnie badawczo, jakby chciała czytać mi z twarzy. Nie pierwszy raz tak robi; oczy ma przekrwione, jakby płakała albo piła. W sumie jest to nieco denerwujące.

– Komuś dolewkę herbaty? – pyta Henry, poklepując imbryk. Ma krzywo zapiętą koszulę.

Jest druga nad ranem, siedzimy i pijemy herbatę, jakby to był niedzielny poranek. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, jest już niedziela rano.

– Poproszę, Henry. – Mama wyraźnie czuje sympatię do mojego nowego przyjaciela. Może sprawił to jego widok w bokserkach, w bojowej pozie.

– Musieliśmy wrócić na... – Tata zerka na mamę.

– Na zebranie – dopowiada mama. – W poniedziałek rano. Więc... – ponownie spogląda na Henry'ego – ...miło się składa.

– Wybaczcie, że nie pojechałam z wami do Kopenhagi – usprawiedliwiam się. – Ja i Henry...

– Henry i ja – poprawia mnie tata.

– Henry i ja... uhm... miałam wam wkrótce powiedzieć, ale...

Rodzice nieruchomieją, napięcie na ich twarzach wyraża coś pomiędzy lękiem i wyczekiwaniem.

– Nie, nie – uspokajam ich. – Nic z tych rzeczy. Zamierzam... wybrać się w podróż.

– Na urlop? – Chce wiedzieć tata.

– W podróż – powtarzam, kręcąc głową.  
– Aha.  
– Dobrze.  
– Dokąd?  
– Kiedy?  
– Tu i tam – odpowiadam. – We wrześniu? – zawieszam głos, jakbym pytała o zgodę.  
– Zoe, uważam, że to świetnie. – Mama jest pełna entuzjazmu. – Po prostu cudownie.  
Tata jej przytakuje. Zdaje się, że mój sentymentalny staruszek ma łzę w oku.  
– A ty? – zwraca się do Henry’ego. – Też... jedziesz?  
Henry zaprzecza ruchem głowy.  
– Nie, ja...  
– To przyjaciel – przypominam. – On jest moim przyjacielem.  
Mama spogląda na porozrzucane poduchy przed kominkiem, na Henry’ego i na koniec na mnie. Kiwa głową, uśmiecha się.  
– Cieszę się, że jedziesz – mówi i też ma mokre oczy.  
– Dobrze się czujesz? – zwraca się do niej ojciec. Wychwytyuję lekki niepokój w jego głosie.  
– Tak.  
– Mamo? Tato? Czy o czymś nie wiem?

# Henry

## *Poważniejszy problem*

W ciągu następnej godziny dowiadujemy się, że matka Zoe cierpi na zapalenie błony naczyniowej oczu. Czasem udaje się je wyleczyć, czasem prowadzi do całkowitej ślepoty, a w przypadku Julie Goldman nie wiadomo, co jest bardziej prawdopodobne. Diagnozę postawiono mniej więcej pół roku temu, lecz Julie postanowiła nic nie mówić pogrążonej ostatnio w smutku córce, przynajmniej do chwili, gdy będą znane rokowania. Rodzice czekali na odpowiedni moment na rozmowę z Zoe i chociaż ta noc nie stanowiła najlepszej z możliwych okazji, wszystko wyszło na jaw przy kuchennym stole. Powodem wcześniejszego powrotu z weekendu wcale nie było zebranie. Zapalenie błony naczyniowej może być objawem „poważniejszego problemu” i Goldmanowie są umówieni z neurologiem, który przeprowadzi badania w kierunku stwardnienia rozsianego. Wizyta wypada dopiero we wtorek, jednakże po pięciu dniach przebywania na ostrym słońcu, ból oczu stał się tak nieznośny, że Julie praktycznie nie wychodziła z hotelu i dlatego wsiedli w pierwszy dostępny samolot do domu.

– Czerwonooka – zażartowała pani Goldman. Już wiem, po kim jej córka odziedziczyła poczucie humoru.

Zoe jest przygnębiona, zdenerwowana i targają nią wątpliwości.

– Nie powinnam wyjeżdżać.

Leżymy w łóżku. Po dobranockowych uściskach i całusach na schodach nie doszło do niezręcznej dyskusji, gdzie ja (przyjaciel Zoe) będę spał. Musztarda po obiedzie, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Może będzie dobrze.

– A może nie. Możliwe, że da się to zaleczyć, ale grozi nawrót, sam słyszałeś, co mówili.

– Przecież już kupiłaś bilet.

Zoe kręci głową, jakbym to ja irytował ją bardziej niż fakty.

– A jeśli straci wzrok? A jeżeli to rzeczywiście SM i skończy na wózku? Co wtedy, Henry? Naprawdę czasem mam takie wrażenie, że czekasz na mój wyjazd.

– Czemu tak mówisz?

– A dlaczego nie? Poważnie, czemu nie miałabym tak mówić.

– Bo to nieprawda, Zoe. Absolutnie nie.

– Hmm, nie jestem tą... no wiesz...

– Jasnowidzką?

Prycha śmiechem. Biorę ją za rękę. Obejmuję ramieniem.

– Opowiadałem ci o wypadku mojego taty?  
Kręci głową.  
– Pogruchotane oba nadgarstki, pęknięte żebro i odma opłucnowa.  
Zoe siada i przeciera oczy.  
– W walce?  
Śmieję się.  
– Chciał zataszczyć zwędzone beczułki z piwem do piwnicy po sporej ilości whiskey.  
– Nie!  
– Zleciał pierwszy i załatwił nadgarstki. Beczki potoczyły się za nim i dokończyły dzieła.  
– Kurde!  
– No, kurde. Obie kości w nadgarstku – pokazuję na swoją lewą rękę – przebiły skórę. To wyglądało... porażająco.  
– Znaczą, te wystające przez skórę kości, tak?  
– Przez prawie dwa miesiące miał na tym nadgarstku coś w rodzaju rusztowania, chyba z dziesięć metalowych sztyftów powtykanych na wskroś, które miały trzymać wszystko w kupie. – Zoe wydaje z siebie odgłos przypominający puszczenie pawia. – Żebyś wiedziała. A teraz wyobraź sobie, co można zrobić z dwoma rozwalonymi nadgarstkami. Nie był w stanie sam jeść, myć się, golić... nie muszę mówić dalej.  
Zoe przytakuje ponuro, marszcząc nos, jakby coś brzydko jej zapachniało.  
– Ale doszedł do siebie?  
– Jest silny jak tur. Nikomu tego nie mówiłem, ale kiedy to się stało, miałem propozycję pracy w Australii.  
– Co?  
– No, nie mówiłem, bo to była świeża sprawa, planowałem wyjechać za cztery tygodnie.  
– I wtedy...  
– I wtedy tata się połamał. Nie stać ich było na wynajęcie dodatkowego personelu, tata wymagał opieki, więc...  
– Nie pojechałeś?  
– Odłożyłem wyjazd o miesiąc, a potem wywiązała się u ojca infekcja w płucu, która o mało go nie zabiła. Kolejnych sześć miesięcy rekonwalescencji, no i przez ten czas... świat nie stoi w miejscu, jak wiesz.  
– Czyli zgadzasz się ze mną? Uważasz, że powinnam zostać?  
– Bardzo chciałbym, żebyś została. Ale... według mnie, powinnaś jechać.  
– A twój tata? Mówiłeś, że mało brakowało...  
– Wtedy pracowałem i mieszkałem w Sheffield, przyjeżdżałem do domu pomagać w weekendy. To nie ja go znalazłem, kiedy spadł ze schodów. Tylko... ktoś inny.  
Zoe wpatruje się we mnie i powoli do niej dociera.  
– Ona?  
– Tak, April. Uratowała mu życie.

- O Boże, to... – Trzęsie głową, jakby zrzucała z włosów pajęczynę.
- Twoja mama nie jest śmiertelnie chora – przypominam jej.
- Ale może stracić wzrok. Wylądować na wózku inwalidzkim.
- Czy będziesz tutaj, czy nie. Jeżeli wydarzy się coś tragicznego, tyle samo będzie z ciebie pożytku w Londynie, co w Tajlandii. No, chyba że zamierzasz tu się przeprowadzić. A ja ci... cóż, nie mnie o tym decydować.
- Żałujesz, że nie wyjechałeś do Australii?
- Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Posłuchaj, jeżeli wyjedziesz, a liczę, że tak... będzie mi ciebie brakować.
- Bardzo mi będzie ciebie brakować.

## Zoe

### *Wiele rzeczy może się zdarzyć*

Jednym z objawów u mamy jest zmęczenie, u mnie natłok myśli. Wstajemy z Henrym przed rodzicami, sprzątamy w kuchni i wychodzimy na długi spacer plażą. Przeważnie milczymy. Chłód przenika aż do kości, chociaż na dworze jest pięknie. Człowiek chętnie budziłby się każdego dnia w taką pogodę.

Gdy wracamy, tata smaży kiełbaski.

– Dzień dobry – wita nas. – Ponownie. Głodni?

– Jak wilki – mówi Henry. – Pomóc w czymś?

– Możesz nakryć stół – proponuje tata, a sprośny głos w mojej głowie szepcze: Skoro już nakryłeś moją córkę.

– Mama wstała?

– Niech jeszcze sobie pośni. Pomyśleliśmy, że moglibyśmy wybrać się razem na lunch, zanim wyjedziecie.

– Z chęcią – mówię. – Dziękuję.

– Jutro pracujesz? – Tata kieruje to pytanie do Henry’ego.

– Tak, i czeka mnie sporo roboty – odpowiada, a widząc moją minę, nie wdaje się w szczegóły. Wiadomość o podróży to jedna sprawa, poznanie „przyjaciela” to druga, lecz rewelacja o dentyście parającym się fryzjerstwem to jak na jeden raz za dużo.

– Świetnie. Może być jajecznicza?

– Jasne – odpowiada Henry. – Super, dzięki.

– Tato, tak sobie myślę...

– O czym, ptaszku?

Ptaszku, powtarza bezgłośnie rozbawiony Henry.

– Że zrezygnuję z wyjazdu.

Nie widzę jego reakcji, bo odwrócony plecami rozbija jajka nad miseczką, natomiast Henry’emu uśmiech spełza z twarzy.

– Bzdura – orzeka tata.

– Ale, ja...

– Zozo, skarbie, matka wiedziała, że coś takiego wypłynie. I jest jak najbardziej za. Jeżeli nie wsiądziesz do tego samolotu, zmienimy zamki w drzwiach.

– Myślę, że...

– Jak rozumiem, wybierasz się do Australii?

– Właściwie jeszcze... tak, chyba tak.

– Bardzo dobrze. Mama zawsze chciała zobaczyć Sydney Harbour Bridge. Spotkamy się tam, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Najlepiej, gdzieś w trakcie

ich zimy.

– A jej oczy? Słońce?

– Ptaszku, to jeszcze kawał czasu. Wiele rzeczy może się zdarzyć.

– Słuchajcie, zaszalejemy i podsmażymy chleb na patelni?

Henry spogląda na mnie pytająco: Co ty na to?

– Jasne, czemu nie?

# Zoe

## *Różowa koperta*

W ostatnich dwóch dniach spędziliśmy chyba dwanaście godzin w pociągach. Tamten spacer po plaży wydaje się czymś bardzo odległym. Sprzeczne, nieustępliwe myśli dudnią mi w głowie jak kamyki i żwir wirujące w suszarce bębnowej. A jednak, mimo wszystko, jestem w lepszym nastroju.

Henry przygotowuje sos bolognese, ja biorę prysznic. Potem on wchodzi pod strumień gorącej wody, a ja gotuję makaron i dla zabicia czasu bawię się na wpół ukończonymi puzzlami z ogromnym stadem zebr.

Gdy zaczynam już od tego zezować, ktoś puka do drzwi. Na głowie mam turban z ręcznika, jestem w samych figach i w podkoszulku Henry'ego, na wszelki wypadek nieruchomieję ze wstrzymanym oddechem. Pukanie się powtarza, tym razem towarzyszy mu cichy głos:

– Haloo? Henry, kochany!

Ten wysoki głos brzmi nieśmiało, więc brawurowo uchylam drzwi na kilka centymetrów.

– O, cześć, kochana. Zoe, prawda?

– Eee, tak.

Kobieta jest drobna i nieuzbrojona, mogę otworzyć drzwi na oścież.

– Henry jest pod prysznicem, mogę w czymś pomóc?

– Wprowadziłaś się, tak? Henry nie wspominał, że ktoś u niego zamieszka. Znaczący, nie mam nic przeciwko, o ile nie będziecie za bardzo... hałasować.

– Przepraszam, czy my ci przeszkadzamy?

– Jestem właścicielką, kochana. Dorothy. Mów mi Dot.

– Dobrze, Dot. Nie, nie wprowadziłam się. Jestem po prostu... przyjaciółką Henry'ego.

Dorothy spogląda na moje włosy owinięte ręcznikiem, na gołe nogi, na podkoszulek Henry'ego i natychmiast sobie uświadamiam, że jestem bez stanika.

– Bo ten... – Wyciąga do mnie rękę z różową kopertą. – Przyszła poczta, kochana.

– Och, dziękuję.

– Widzisz – mówi, wskazując moje imię połączone z imieniem Henry'ego wyczelowanym znakiem &. Henry i Zoe.

– Dam mu ten list – obiecuję.

– Oczywiście. I pozdrów go ode mnie. Przypomnij mu, że jesteśmy umówieni na wtorek. – Podnosi dłoń do włosów.

To, co Henry ma na głowie, trudno nazwać włosami, a i tak sterczy pod



prysznicem dwa razy dłużej niż ja. Minęła dwudziesta druga, gdy wynurzył się z łazienki. Trochę za późno na ciężki posiłek, a ja, na szczęście, jakby przewidująco przypaliłam makaron.

– Jesteś czarnym koniem – mówię mu.

Ogląda swój nagi tors i świeże białe bokserki.

– Nie rozumiem.

– Poznałam twoją gospodynię.

– Dot?

– Dot.

– I jak?

– Myślała, że się tu wprowadziłam.

Henry wybucha śmiechem.

– Ona jest niemożliwa.

– I ma dobrą fryzurę.

– Ma dobrego fryzjera. – Całuje mnie w czoło i siada obok w wykuszowym oknie. – Nie będzie spaghetti?

– Trochę za późna pora.

Kiwa głową na zgodę – niech ci będzie – i nabiera na widelec sos bolognese.

– Myślałam, że jestem twoim grzesznym sekretem.

– Teraz to już całkiem się pogubiłem. O czym mówisz?

Kiwnięciem głowy wskazuję rozdartą kopertę i kartkę stojącą na wpół ukończonym stadzie zebr. Na kartce są namalowane domowym sposobem dwa kieliszki do szampana, a pod nimi napis *40 Cholernych Lat*.

– A to co? – Henry celuje w nią widelcem, jakby była wypisana krwią.

– Przepraszam, być może nie powinnam otwierać, ale koperta była zaadresowana do nas.

– Do nas?

– Zaproszenie – informuję go radośnie. – Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć?

– Powiedzieć... co?

– Rany, jak ty lubisz się droczyć.

Podnosi kartkę, otwiera ją i czyta na głos:

*Drodzy Henry i Zoe, nie możemy się doczekać, kiedy do nas zawitacie. Koniecznie nałóżcie coś czerwonego. Buziaki. Pozdrawiamy, mama i tata... Sheila i Clive.*

Henry czyta kartkę ponownie, tym razem po cichu, poruszając ustami.

– Ty naprawdę jesteś czarnym koniem.

– No – przytakuje. – W naszej rodzinie to dziedziczne.

# Henry

## *Doh je*

Wygląda na to, że wszechświat byłby rozczarowany, gdyby przynajmniej jedna kobieta w promieniu pięciu stóp od Henry'ego Smitha w swoim czasie nie uderzyła w płacz. Jenny chlipie już pół godziny, ściskając w jednej ręce chusteczkę, a w drugiej małe lusterko. Nie mam pojęcia, jakim cudem ona cokolwiek widzi przez łzy.

Instalacja jej nowego uśmiechu zajęła mi niecałe dwie godziny, natomiast same przygotowania znacznie dłużej. Puzzle z dwudziestu ośmiu białych elementów, których układanie rozpoczyna się od zębów trzonowych w szczęcie i w żuchwie na zmianę, a kończy na siekaczach. I nie ma gwarancji, że te wszystkie elementy będą pasować, dopóki nie wmontuje się ostatniego. Pasują! I wyglądają, muszę uczciwie przyznać, olśniewająco.

– *Doh je, doh je*, Henry.

– *Mh sai haa hei* – odpowiadam. – Cała przyjemność po mojej stronie.

W języku kantońskim znaki składające się na „dziękuję” to staranne, niemal pedantyczne połączenie twardych krawędzi i ostrych łuków, które zdają się przeczyć miękkim, wdzięcznym sylabom – *doh je*.

Jenny, pomiędzy chwilą skupienia podczas oglądania swoich nieziemsko białych zębów w lusterku i kolejnym atakiem łez, wręczyła mi mały zwój obwiązany purpurową wstążeczką. Patrząc na jej powykręcane artretycznie dłonie i nie mogę się nadziwić, jakim cudem spod tych boleśnie zniekształconych palców wyszło takie precyzyjne i eleganckie kaligraficzne dziełko.

W języku kantońskim, jak mi wyjaśniła, słowo „dziękuję” ma dwa różne brzmienia w zależności od tego, czy dziękujemy za podarunek, czy za przysługę.

– *Doh je*, podarunek – powiedziała. – To – pokazała na swoje zęby – prezent.

Pomyślałem, czy przypadkiem nie powinienem wspomnieć, że ciągle jest mi winna parę tysięcy funtów, ale zrezygnowałem, bo zabrzmiałoby to trywialnie w tej tak nabrzmiałej od emocji chwili.

– Teraz mogę się uśmiechać, rozrzucając prochy – cieszy się Jenny, cały czas wylewając na policzki strużki słonej wody.

Po huśtawce emocjonalnej przeżywanej przez Zoe w ostatnich tygodniach od wyjazdu z Kornwalii nie widziałem jej zapłakanej. Spotykamy się co wieczór, coraz bardziej ubywa nam dni i nocy, kurczy się przydzielony czas. Zoe będzie tu jeszcze do połowy września. Na razie musimy rozwiązać drobną kwestię rocznicy ślubu moich rodziców. Perspektywa spotkania z moimi rodzicami budzi u niej taką ekscytację jak, nie przymierzając, widok sklepu z włóczkami u małego kotka.

Nie mam pojęcia dlaczego. Z pewnością nigdy nie opisywałem ich w świetlanych barwach. Widzę też, że się denerwuje. Wie, że będzie tam April (zdarzają się wcześniejsze porody i Bóg mi świadkiem, że się o to modłę), a także Brian oraz cała reszta, która ma na mój temat nie najlepsze zdanie. Przy każdej nadarzającej się okazji usiłuję ją przekonać, że impreza będzie kiepska i niewykluczone, że w ruch pójdą kufle i szklanki, lecz ona takie uwagi kładzie na karb mojego cynicznego poczucia humoru. Wcale nie ironizuję, zapewniłem ją, na co usłyszałem, że to tylko potwierdza jej tezę.

– Dlaczego twoi rodzice mieliby nas zapraszać, gdyby się obawiali rozróby?

– Bo są niemądrzy?

– Naprawdę, Henry, ale z ciebie dziwak. Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś taki porąbany!

W poniedziałek rano, jak tylko Zoe wyszła do pracy, zadzwoniłem do matki.

– Tobie potrzeba lekkiego kopa, skarbie.

– Mamo, nie życzę sobie mieszania się w moje sprawy. Niepotrzebnie robisz zamieszanie.

– Rzeczywiście, Henry. Niepotrzebnie robię zamieszanie? Och, dobre sobie.

– Mamo...

– Widzę, że masz krótką pamięć, Henry Smisie.

– Mamo, poważnie, nie chcę. Jak myślisz, do cholery, co April...

– Ty mi tu, Henry, nie choleruj. Rozmawiałam z April.

– Rozmawiałaś?

– Nie słyszałeś, co powiedziałam? Tak, rozmawiałam.

– I...

– To sprawa zamknięta. Należy do przeszłości.

– A z Georgem też rozmawiałaś? Zadzwoniłaś do niego, żeby spytać, czy przyniesie kolejny kubeł z cegłami na imprezę?

– Henry, nie podoba mi się twój ton.

– Mamo, posłuchaj, ja...

– Rozmawiałam z April, a ona pogada z Georgem. Załatwione, skarbie.

– Ale, mamus...

– Henry, kochanie, nie możesz całe życie uciekać.

– Wiem, tylko że Zoe..., to skomplikowane.

– Henry, wiadomość z ostatniej chwili: życie jest skomplikowane. Pokonujesz problemy, idziesz dalej.

– Ale...

– Henry, chcę, żebyś był z nami, tata też tego chce i jeżeli jest w twoim życiu ktoś, kto się liczy, to również jest u nas mile widziany.

– ...

– Henry?

– Dobrze.

– Grzeczny chłopiec. I nałóż coś czerwonego.

Jakaś minicząstka mnie niemal pragnie tego, co nieuniknione. Albo się uda, albo nie – wóz albo przewóz – i będzie z głowy. Zostało osiem dni.

Delikatnie prostuję palce Jenny zaciśnięte na lusterku.

– Przez jakiś czas będziesz odczuwać pewien dyskomfort, okej? Twoje zęby muszą się odnaleźć, zaprzyjaźnić ze sobą i to może potrwać kilka dni.

– Mogę jeść?

– Tak, naturalnie. Ale odpuść sobie na razie steki czy też krówki ciągutki. – Jenny błyska w uśmiechu kompletem nowiutkich zębów i kiwa głową na znak, że rozumie. – Dam ci mój numer telefonu – mówię. – Jeżeli pojawią się jakieś problemy, jakiegokolwiek, dzwoń do mnie, dobrze?

– Przyjaciele.

– Tak jest, przyjaciele.

– *Doh je*. – Jenny ujmuje moją twarz w dłonie i szybko całuje mnie w usta. – *Doh je*.

– *Mh sai haa hei* – odpowiadam ponownie. – Gdzie się tego nauczyłaś? – pytam, wskazując na zwój.

– Nauczyłam?

– Kaligrafii – wyjaśniam, pisząc w powietrzu. – Piękna.

– Ha! Nie kaligrafia. Kupiłam na Amazonie, pięć funtów, dobry interes, co nie?

## Zoe

### *Krzykacze o wykrzywionych wściekłością twarzach*

Henry będzie pracować jeszcze godzinę, a ja siedzę w mojej ciemni z kołdry. Nie wywołuję filmu, oglądam w komórce nagrania ludzi, którzy na jakiś czas rozstali się z rozumem. Wystarczy wpisać do wyszukiwarki hasło „świrowanie” i pojawia się ponad milion filmików z takimi sytuacjami. Ponadto jest dziewięćset tysięcy przypadków agresji drogowej, a kobiet, które „wpadły w szal” aż ponad szesnaście milionów. Krzykacze o wykrzywionych wściekłością twarzach, furiaci z pianą na ustach. Nic dziwnego, że te zjawiska rozprzestrzenia się w Internecie. Wściekłość i upokorzenie wrzucane do sieci cieszą się ogromną liczbą wyświetleń. Milion osób obejrzało atak hysterii jakiejś mamuśki, bo ktoś zajął jej miejsce na parkingu. Sto tysięcy lajków dostał filmik z emerytem, który spieniony usiłuje wrzaskiem wymóc szacunek na śmiejących się z niego nastolatkach. W sumie nie ma w tym nic zabawnego. Któregoś dnia to możesz być ty.

W przerwie na lunch całe nasze biuro wylądowało w pubie, a ja poszłam do poradni medycyny podróży na Tottenham Court Road, żeby się zaszczepić przeciw żółtej febrze, tyfusowi i kawałkowi alfabetu żółtaczk. Być może to miało jakiś wpływ na mój mózg; czyta się różne rzeczy na temat szczepionek.

Kiedy wracałam do biura, zobaczyłam, jak facet w baseballowej czapeczce i ze słuchawkami na uszach zbacza z chodnika, zmuszając samochód do ostrego hamowania.

W przyszłym tygodniu Alex skończyłby trzydzieści lat.

Kierowcy, który go potrącił, zasądono mandat w wysokości sześćdziesięciu funtów oraz trzy punkty karne za brak należytej uwagi. Znajomi, słysząc o tym wyroku, nie kryli gniewu i oburzenia: „To skandal. Powinni temu kierowcy odebrać prawo jazdy, wsadzić go do więzienia”. W rzeczywistości to Alex wszedł mu pod koła. Wszyscy taktownie pomijają fakt, że w tej sytuacji kierowca nie miał szans. Nie jechał szybko, nie rozmawiał przez telefon, był trzeźwy. Czuję się winna, kiedy myślę o tym w taki sposób, a z drugiej strony jest mi tego człowieka zwyczajnie żal.

Na Tottenham Court Road kierowca trzykrotnie nacisnął na klakson. Facet ze słuchawkami uniósł daszek baseballowej czapki, bezgłośnie powiedział: „Wal się!”. I dla podkreślenia wdzięczności pokazał środkowy palec.

Niewiele myśląc, ruszyłam do niego, wrzeszcząc jak opętana:

– Patrz, gdzie leziesz! Mogłeś zginąć!

Popatrzył na mnie, zaśmiał się lekceważąco i odwrócił na pięcie. Ale ja nie odpuściłam i deptałam mu po piętach.

– Hej, ty, mówię do ciebie. Nie ignoruj mnie. Co z tobą?  
– Odpieprz się, dobra?  
– Odpieprz się? Mam się odpieprzyć, tak? Kto wie, czy w tej chwili nie wzywałabym karetki. Rany boskie, mogłeś zginąć!  
– Ale nie zginąłem, nie? Spadaj!  
– Spadaj?!  
– No. – Przystanął i patrzył na mnie wyzywająco, zadzierając podbródek. – Spieprzaj!  
Uderzyłam go z całej siły, zrzucając mu czapkę z głowy. Zszokowany, zamarł na sekundę, po czym z wykrzywioną gniewem twarzą postąpił krok naprzód.  
– No, dalej! – krzyknęłam. – Uderz mnie! – wrzasnęłam.  
Zdażyła nas otoczyć grupka przechodniów, dwie, może trzy osoby trzymały telefony komórkowe i nagrywały filmik.  
– Pierdzielona psycholka – mruknął chłopak, podnosząc czapkę z ziemi. Miał szczęście, że to powiedział, już się wycofując.  
– I co tak patrzycie? – rzuciłam do półkola gapiów. Idiotyczne pytanie, świetna puenta mojego występu, jeśli nagranie trafi do szerszej publiczności.  
Nie wątpię, że już ktoś je ogląda, i życzę powodzenia przy szukaniu filmiku z rozjuszoną babą. Najlepsze, że podobnych kawałków są w sieci tysiące i człowiek, oglądając je, czuje się prawie normalny.

# Henry

## *Ten balon ani drgnie*

– Pamiętajcie – szepcze Gus – nie jesteście swoimi myślami. Wy jesteście... hmm, sobą, oczywiście.

– Hmm, hmm.

A ja czuję się, jakbym był wyłącznie myślami; skłębionymi, dokuczliwymi i walczącymi ze sobą.

Dzisiaj w tle leci nagranie śpiewu wielorybów, lecz dla mnie te dźwięki to sabat demonów.

Wczoraj przyszedł wyciąg z banku; z rachunku zniknęło siedemnaście tysięcy sześćset czterdzieści sześć funtów. Wykluczone, aby ojciec April kiedykolwiek wybaczył mi porzucenie swojej jedynaczki, natomiast to dowód, że jego nienawiść ostygła na tyle, że był gotów wziąć ode mnie pieniądze. Niestety, wpływ tego faktu na moje sumienie nie okazał się tak zbawienny, jak na to liczyłem.

– Teraz przywiążcie swoje problemy do balonów. Ja dziś chyba wybiorę pomarańczowy. Albo nie, lepiej różowy. Wyślijcie w powietrze to, co was dołuje.

Bez sensu. Nic z tego.

W koszu ogromnego balonu wypełnionego nagrzanym powietrzem stoją Zoe, April, Brian oraz nerwowa położna; Walnięty George coś tam kombinuje przy zaworze gazu; rodzice Zoe, April i moi przedstawiają się sobie wzajemnie. Strasznie tu ciasno. Wszyscy popatrują na mnie zniecierpliwieni, czekają, aż coś zaczniesz się dziać, tymczasem balon ani drgnie.

# Sierpień

5 sierpnia godz. 0.31

Od: Audrey [audreywilliams56@mymail.net]

Do: Alex Williams

Witaj, Synku.

Z obawą myślałam o nadejściu tego miesiąca. Dzisiaj skończyłbyś trzydzieści lat – dokładnie za parę godzin. Tak młodo odszedłeś, skarbie. To wydaje się takie niesprawiedliwe. A także nierealne.

Poród był ciężki; jestem pewna, że wielokrotnie Ci o tym mówiłam. Miałeś pępowinę owiniętą wokół szyjki i przez chwilę wyglądało to groźnie. Pewnie wszystko nie trwało dłużej niż kilka minut, lecz mnie wydawało się wiecznością, a lekarze mieli zmartwione miny. Rankiem po Twoich narodzinach zaniiosłam Cię do kaplicy podziękować Bogu za Twoje ocalenie. Gdy klęczałam, mocno Ciebie tuląc, Twoja główka opadła mi ciężko na ramię. Krzyknęłam wtedy przeraźliwie, jakbym chciała obudzić wszystkich świętych, bo, głuptaska, nie poznałam, że Ty po prostu zasnąłeś. Byłeś moim pierworodnym, niewiele wiedziałam.

Tamta sytuacja daje do myślenia. Poszczyściło mi się, że w ogóle Ciebie miałam, i każdy rok był dla mnie darem. Wybacz, kochanie, nie mogę dłużej pisać.

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mój Syneczku.

Mama xx



## Zoe

### *Przecież nie rzuciłaś jej przed ołtarzem*

Pociąg wlecze się prawie dwie godziny do targowego miasteczka we wschodniej części Peak District w środkowej Anglii. Kolejne dwie godziny zajmie nam pokonanie o połowę mniejszej odległości do wioski, gdzie dorastał Henry. On jest dzisiaj bardzo cichy i z każdą mijaną stacją coraz rzadziej się odzywa. Siedzi zapatrzony w okno, jakby zahipnotyzowany widokiem strug poziomo zacinającego deszczu. Wczoraj wieczorem oglądaliśmy *Absolwenta* na DVD. Henry milczał jak zakłęty, niemal żałowałam, że nie wzięłam dodatkowej zmiany w pubie. Zostało nam zaledwie pięć tygodni i to, co ewentualnie zarobię w Duck, nie ma już wpływu ani na plan, ani na czas podróży. Teraz pracuję tam bardziej z przyzwyczajenia niż ze względu na sześć funtów za godzinę i cały ten cholesterol, który w tym czasie mogę pochłaniać. Tak w ogóle to chcę być z Henrym, nawet jeżeli niewiele się ostatnio odzywa. Może chłopak się denerwuje, a biorąc pod uwagę wszystko, co mi powiedział, potrafię go zrozumieć.

Jest parę minut po piętnastej, a my już sączymy dzin z tonikiem numer dwa. Henry co prawda popiera moje plany, ale kto wie, czy jego ponury nastrój nie wynika z myśli o zbliżającym się wyjeździe. Jeśli tak rzeczywiście jest, wolałabym, żeby mi to powiedział.

Dla mnie najlepsze sceny w *Absolwencie* to te z Dustinem Hoffmanem i Anne Bancroft; widać między nimi chemię. Niczego takiego nie wyczuwam w kontaktach Bena z córką pani Robinson. Według mnie te całe rozterki Hoffmana, smęcenie i bieg do kościoła są mocno naciągane, bo absolutnie nie rozumiem, co on widział w drętwej Elaine. Niemniej sekundowałam mu, kiedy ścigał ją po kraju, tropił na kampusie i walił pięściami w okna kaplicy. Rozbeczałam się, gdy odjechali razem autobusem; ona w ślubnej sukni, a on rozchełstany i nareszcie uśmiechnięty. Myślałam wtedy sobie: my mamy znacznie więcej niż oni, więc dlaczego on tak łatwo pozwala mi wyjechać?

Nie jest mi lekko. To pytanie uparcie dźwięczy mi w głowie i nieraz muszę się ugryźć w język, żeby coś mi się nie wymknęło. Tak, chyba czekam, kiedy Henry powie, poprosi, zażąda: „Zabierz mnie z sobą”. No właśnie, co bym odpowiedziała? Chciałam podróżować samotnie, żeby „odnaleźć siebie”. Czy to możliwe, gdy ktoś ci towarzyszy? Podejrzewam, że wszystko zależy, kim jest ten ktoś.

– Podniecony? – zagaduję Henry’ego.

Powoli, wręcz z ociąganiem, odkleja się od okna. Sprawdza, czy wypił drinka

do końca, potrząsa puszką. – Chcesz coś z bufetu?

– Porozmawiaj ze mną – proszę, ściągając na siebie spojrzenie kobiety siedzącej obok Henry'ego, na ukos ode mnie. Sięgam ponad stolikiem i nakrywam dłonią jego ręce. – Denerwujesz się?

– Tak – przyznaje. – Trochę.

– To tylko rocznica. Nie musisz wygłaszać mowy czy coś w tym rodzaju – tłumaczę z lekkim śmiechem, bezskutecznie próbując go rozbawić.

Pasażerka naprzeciwko ma słuchawki na uszach, manipuluje teraz przy telefonie, niewątpliwie ścisza dźwięk.

– Chyba jeszcze nie urodziła?

– Moja matka? – pyta Henry z uśmiechem.

– Wiesz kto... ta, której imienia nie wolno wymawiać.

Kręci głową.

– Nawet jeśli, nikt mi o tym nie doniósł. Kto niby miałby to zrobić? – Patrzy na mnie z napięciem, które wydaje mi się przesadne w stosunku do wagi tego stwierdzenia.

– Obleje cię drinkiem? – pytam. – Rany, to ci dopiero będzie akcja. Szturchnij mnie, gdyby się na to zanosilo.

Henry, w przeciwieństwie do mnie, nie widzi w tym nic zabawnego.

– Słuchaj, wiem, że byliście zaręczeni. – To ostatnie słowo wymawiam szeptem.

– Ale, hmm – wracam myślami do *Absolwenta* – przecież nie rzuciłeś jej przed ołtarzem czy coś w tym guście.

# Henry

## *To była głupota*

I tak los wyciąga do mnie rękę. Albo raczej podchodzi ukradkiem i z całej siły wali mnie między łopatki.

– Przecież nie rzuciłeś jej przed ołtarzem – mówi Zoe.

Już nie ma odwrotu. Do tej pory mogłem to nazywać przemilczeniem, półprawdą, pominięciem potencjalnie wstrząsających szczegółów w dobrych intencjach. W tej chwili znalazłem się pod ścianą; jeżeli pozostawię to czysto retoryczne stwierdzenie bez odpowiedzi, bezczelnie oszukam Zoe. Skoro już mowa o uczciwości, nie udawajmy, że dopiero teraz stać mnie na szczerość. Pierwszy krok uczyniłem, wyjawiając Zoe, że jestem dentystą. Drugi, gdy wspomniałem o narzeczeństwie. Wczoraj mogłem wrzucić do odtwarzacza jakikolwiek film, ale wybrałem *Absolwenta*. Zoe popłakała się podczas ostatniej sceny, kiedy Elaine ucieka z Benem sprzed ołtarza. Niestety, jak już wcześniej parokrotnie mi się zdarzało, słowa, które cisnęły mi się na usta, także tym razem wyhamowały na zębach.

Zoe nie zadała pytania; ona beztrąsko rzuciła ten wist i z uniesionymi brwiami czekała, że potraktuję go jak dobry żart i skwituję śmiechem. Tymczasem ja potulnie zacisnąłem usta. Widziałem, jak uśmiech, zaczynając od oczu, schodzi jej z twarzy. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, lecz zrezygnowała i odwróciła się do okna.

– Zoe. – Przechyliłem się nad stolikiem i wziąłem ją za rękę, a ona wyszarpnęła je, cofając się na oparcie.

– Czy... – Rozejrzała się, jakby próbując ustalić dopuszczalną temperaturę sceny w tej ograniczonej przestrzeni. – Czy to prawda? – wycedziła przez zaciśnięte zęby, jakby tylko w ten sposób mogła pohamować gniew.

– Zoe, wytłuma...

– Miałeś na to całe tygodnie, miesiące.

Ruchem głowy wskazuję współpasażerkę i ściągam brwi, dając do zrozumienia, że powinniśmy zachować kulturę.

– Co, Henry? Wprawiam cię w zażenowanie?

– Nie, oczywi...

– Bo to jest żenujące. Pomyślałeś o mnie? Zamierzałeś bez ostrzeżenia wpakować mnie w środek tego bałaganu?

– Ja... chciałem ci powiedzieć. Ale to nie jest, no wiesz... coś, co mówi się mimochodem.

– Co, że rzuciłeś narzeczoną przed... Boże, Henry. Ja pierniczę!

- Zoe, proszę, to..., tak, jak ty mówiłaś o Alexie. Nie byliśmy dla siebie...
- Przestań! – Zniknęły wszelkie pozory dobrych manier. – Ani się waż! Nie mieszaj do tego Alexa.
- Wybacz. Rzeczywiście głupio palnąłem. Ja tylko...
- Ani słowa więcej – wysyczała.

Splata i rozplata ramiona, wyraźnie dusząc się w ciasnej przestrzeni. Zbiera puste kubki, puszki oraz butelki po toniku, zsuwa się z ławki i idzie korytarzem w stronę bufetu. Kobieta obok mnie, która dotąd udawała, że słucha muzyki, pozbawiona dalszej części spektaklu, podkręca fonię i wraca do czytania magazynu.

Prawda wyszła na jaw, jest jak zła diagnoza, która wymaga omówienia. Wszystko musi zostać wyjaśnione i przetrawione. Przed nami jeszcze dwie stacje, zanim przesiądziemy się do podmiejskiego pociągu, który będzie nas wiozł kolejne dwie godziny pośród wzgórz, pól i wsi Peak District. Koniec sekretów. Wyznam i wytłumaczę wszystko, co wydarzyło się między mną i April. Powiem Zoe, ile dla mnie znaczy, jak cholernie przygnębia mnie świadomość, że mamy dla siebie zaledwie parę tygodni i że nie chciałem, aby cokolwiek zepsuło ten krótki czas, jaki nam jeszcze pozostał. Nie liczę, że uda mi się do końca oczyścić atmosferę, choć wierzę, że Zoe mnie zrozumie. Nie jestem naiwny, ale kto wie, może dostrzeże w tym wszystkim choć odrobinę komizmu. Przecież oboje śmialiśmy się jak wariaci, kiedy Ben walił pięściami w okno kościoła i krzyżem odpierał atak rodziny Elaine. Owszem, u Zoe śmiech przeszedł w pochlipywanie, ale to były łzy szczęścia. Miłość pokonuje wszelkie przeszkody i wszystko usprawiedliwia. Czy nie tak?

Pociąg wjeżdża na przedostatnią stację tego odcinka podróży. Deszcz się nasilił, ludzie wysiadają i skuleni, z płaszczami naciągniętymi na głowy, biegną pod zadaszenie nad kasami biletowymi.

Wszyscy oprócz Zoe.

Ona stoi bezwolna w strugach siekącego deszczu, z torbą u stóp. Wyjmuje z włosów spinki z czerwoną różą i wrzuca je do kosza na śmieci.

Kolejarz daje znak gwizdkiem, głos z megafonu informuje, że pociąg jest gotowy do odjazdu i podaje nazwę następnej stacji. Walę pięścią w szybę i wołam Zoe, ale ona albo nie słyszy, albo zwyczajnie udaje. Okno się nie otwiera, próbuje więc jeszcze raz, czując, jak szyba drży pod moją pięścią.

– Zoe! Zaczekaj! Zoe!

– Ostrożnie – odzywa się kobieta obok mnie. – Wybije pan okno.

Gdybym mógł, pewnie bym to zrobił. Po raz trzeci łomoczę w szybę i tym razem ona podnosi wzrok. Zupełnie jak Elaine w *Absolwencie* patrzy na mnie w katatonicznym osłupieniu, lecz w przeciwieństwie do tamtej, nie rusza w moją stronę. Odwraca się i powoli idzie do kasy.

Z trudem wydobywam się z mojego miejsca, mimo że pasażerka odwraca się bokiem, głośno protestując, gdy przeciskam się obok niej. Pociąg już rusza i zanim docieram do końca wagonu, nabiera prędkości. Naturalnie drzwi są zablokowane, za to okno się otwiera. Wołam Zoe, ale już nie widzę jej na peronie.

Zostałem porzucony.

Trzy godziny później wysiadam z następnego pociągu w znajomej niecce pomiędzy wzgórzami. Chmury zdają się podążać za mną z Londynu, zimny deszcz odbija się od gruntu i wypełnia powietrze aromatem trawy, ziemi i otwartej przestrzeni. Biorę głęboki oddech i ruszam w drogę. Wysłałem kilka wiadomości: Przepraszam. Możemy porozmawiać? Wszystko wytłumaczę. Nawet gdybym potrafił cokolwiek wyjaśnić, Zoe nie otwiera esemesów.

Dzwonię do Rachel.

– Henry, co za niespodzianka, słuchaj, nie mogę z tobą teraz rozmawiać, bo mam zawieszoną rozmowę z moją najlepszą przyjaciółką. Jej chłopak okazał się debilem.

– Jak ona?

– Kurwa, Henry, nie, nie czuje się okej.

– Jest bezpieczna?

– Jezu Chryste, nie pochlebiaj sobie. Czy jest... topi cholerne rozczarowanie i poniżenie w dżinie i płacze do słuchawki w zatłoczonym pociągu. Czyli wszystko gra. Nie ma powodu do paniki.

– Poprosisz ją, żeby do mnie przekreśliła?

– Nie. I kazała przekazać, że masz przestać się do niej dobijać. A teraz, poważnie, byłbyś tak dobry i zostawił ją w spokoju?

– Powiesz jej...

Rachel się rozłącza.

Docieram do pubu zmęczony, przygnębiony, z przemoczonymi nogami. Podobno malwersanci i cudzołóżnicy odczuwają coś w rodzaju ulgi, kiedy prawda wreszcie wychodzi na jaw. Ja nic takiego nie czuję, bo ciężar, który spadł mi z ramion, zdaje się zalegać w sercu i w trzewiach. Z góry było wiadomo, że wszystko między nami się skończy, ale nie tak i nie teraz. Gdybym mógł wszystko cofnąć za jeszcze jeden miesiąc z Zoe, zrobiłbym to bez wahania. Prawda mnie nie wyzwoliła; jedynie przyspieszyła wyrok.

Pub jest przystrojony łańcuchami z czerwonego papieru, czerwonymi serpentynami i mnóstwem czerwonych baloników – zakładam, że czterdziestoma. Smithów ani śladu. Nigdy wcześniej nie widziałem tej barmanki, która patrzy na mnie jak na przybłędę, kiedy pytam o Clive'a i Sheilę.

– Jestem Henry – wyjaśniam.

– Ten chłopak – odzywa się z lekkim wschodnioeuropejskim akcentem.

– Ich syn, tak.

– Ten, co – przebiega palcami po barze – ziuuu?!

– To chyba ja.

Ta dziewczyna, pewnie z dziesięć lat młodsza ode mnie, sznuruje usta i kręci głową z politowaniem, jakby wszystko było dla niej oczywiste i przewidywalne.

– Matka jest na górze – informuje mnie, potwierdzając to ruchem głowy.

Znajduję mamę na kanapie. Ogląda *Spotkanie*. Film jest mniej więcej w połowie, podobnie jak butelka wina i ogromne korytko twarożku. Mama robi

kanapki; na talerzu leży niewiele nierównych trójkątów, czyli otworzyła wino, zanim zaczęła smarować chleb.

– Głodna? – pytam.

Podnosi wzrok, zaskoczona moim widokiem.

– Synuś – odzywa się głosem nasączonym uczuciem i chardonnay. – Chodź tu, daj mamie buziaka. A potem umyj ręce.

– Czemu tutaj siedzisz?

– Buziak – powtarza, wymachując nożem oblepionym twarożkiem. Na kuchennym stole piętrzą się megapaczki chipsów, słoiczki z dipami i pudełka orzeszków w najróżniejszych smakach.

– To na dzisiejszy wieczór?

– April i Bri przyniosą jedzenie na ciepło – wyjaśnia. – Łódeczki z ziemniaków, paszteciki z kiełbaskami, satay z kurczaka.

Na ekranie Laura z doktorem Harveyem płyną łódką po jeziorze; lada chwila Harvey wpadnie do wody i Laura zanieś się ostrym, nieprzekonującym śmiechem, kiedy on będzie wyzymał wodę z szerokich nogawek tweedowych spodni.

– Jesteś mokry – zauważa mama, kiedy siadam obok niej na kanapie i napełniam kieliszek.

– Wpadłem do jeziora.

Zdziwiona spogląda na mnie spod uniesionych brwi, nie od razu chwytając aluzję.

– Bardzo śmieszne.

– Wcześniej nie wydawał mi się taki przystojny. – Ruchem podbródka wskazuję gościa w telewizorze.

Wzrusza ramionami.

– Powiedziałabym, że jest wyrazisty. No, a... – odwraca się do mnie – ...gdzie Zoe?

– Nie ma.

Wzdycha i kieruje wzrok na ekran.

– Co się stało?

– Powiedziałem jej prawdę.

– Masz nauczkę. Bierz, ja będę smarować masłem, a ty twarożkiem.

– Masz ogórki?

– Posłuchaj Mistrza Lahdedaha. Nie, od ogórków chleb rozmaka.

– Gdzie tata?

Bardzo ostrożnie odstawia kieliszek; jakby się bała, że może wyfrunąć jej z ręki.

– Co? – pytam.

Piorunuje mnie wzrokiem, jak gdyby wszystkie moje grzechy skumulowały się w ciągu ostatnich dwóch sekund.

– Jaki ojciec, taki syn. Nie tak się mówi?

– Gdzie on jest?

– Cóż, synu, to pytanie za milion pieprzonych dolarów.

- Jezu, mam, co się stało?
- Co się stało? Ty mnie pytasz?
- Pokłóciliście się?

Mama atakuje masłem kawałek chleba z taką zawziętością, że rozsmarowując je, robi w nim dziurę.

- Można tak to ująć. - Składa uszkodzoną kromkę na pół i odgryza kęs.

W tej chwili Laura i Harvey wyznają sobie miłość. „Jak to śmiesznie brzmi”, mówi ona, a ja słuchając ich sztucznego, sztywnego dialogu, muszę się z nią zgodzić.

Mama podnosi kieliszek, najwyraźniej już spokojna, że nie ciśnie nim o ścianę.

- Wiele rzeczy może się zdarzyć w ciągu czterdziestu lat - zauważa.

- Rzeczy?

- Nikt nie jest idealny - dodaje, ucinając mój ewentualny sprzeciw. - Każdy z nas popełnia błędy. Zdarzają się po obu stronach łóżka.

Nie wiem, czy to kolokwializm, skrót myślowy czy może stwierdzenie faktu, jednak znam moją mamę i potrafię odgadywać jej myśli.

- Mam, ja... co... kiedy to...

- Synu, czterdzieści lat to kawał czasu. Różne rzeczy się zdarzają, zarówno na piętrze, jak i na parterze, i albo idziesz dalej, albo odchodzisz, rozumiesz?

- Tak sądzę, ale naprawdę, nie chcę...

- Wybaczasz i zapominasz albo przynajmniej próbujesz. Może jest takie imię, którego się nie wymawia, miejsce, piosenka, kolor, które pomija się milczeniem.

- Kolor? Ile błędów ci się przydarzyło?

- Popatrz na ten głupi film. - Gwałtownym gestem ręką z kieliszkiem wskazuje doktora Harveya, przy okazji rozchlapując wino. - Ona wraca do męża, prawda?

- Tak.

- A on wie, lecz niczego jej nie wyrzuca. Mówi...

- Dziękuję, że do mnie wróciłaś.

- Właśnie, mój drogi chłopcze. Bo on chce z nią być za wszelką cenę i nieważne, jakie błędy mogła popełnić.

- Mam, czy ty... masz coś na sumieniu?

Wzdycha poirytowana, bo nie nadążam za tą zakamuflowaną spowiedzią czy też oskarżeniem.

- Wyobraź sobie, Henry, że twoja żona - o ile znajdziesz kobietę, która zechce za ciebie wyjść, co, szczerze mówiąc, jest raczej wątpliwe - wyobraź sobie, zaczynasz dostrzegać, że ona spędza za dużo czasu, powiedzmy, z malarzem.

- Artystą?

- Albo dekoratorem. Zresztą nieważne, ale niech będzie, że z dekoratorem.

- Okej.

- Ze względu na dyskrecję i harmonię rodzinną twoja żona prawdopodobnie nie będzie później naciskać na odmalowanie korytarza. No, chyba że ściany są rzeczywiście w okropnym stanie. W takim wypadku będzie przez kilka tygodni wysyłać subtelne sygnały, a kiedy fachowiec zjawi się w domu, postara się go unikać.

Mama znów smaruje chleb; teraz rozprawia masło starannymi, równymi ruchami noża.

Laura wraca pociągami do rodziny. Zapatrzona w okno, w momentach rozterki oczyma duszy widzi doktora Harveya w smokingu i siebie w sukni balowej z diademem na głowie. Brylanty na jej szyi migoczą, gdy tańczą razem pod kryształowymi żyrandolami. Wyobraża sobie, jak siedzą w operze, płyną gondolą w Wenecji, pędzą sportowym samochodem z opuszczonym dachem, stoją pod palmą na plaży w tropikach. Podejrzewam, że Laurze podróż upływa przyjemniej niż teraz Zoe. Jeżeli ona w ogóle wraca do mnie myślami, to zapewne pojawia się w nich co najmniej jedno ostre narzędzie.

– Mamo, mogę to wyłączyć?

– Masz rację. – Wyłącza telewizor. – On ma takie ciosane rysy. Mógłby grać psychopate, ale... o czym to ja mówiłam?

– Zdaje się coś o sobie i dekoratorze.

– Przykładowo – podkreśla, kontemplując idealnie posmarowaną kromkę, po czym przesuwa ją ku mnie, żebym nałożył twarożek. – W każdym razie to stare dzieje, a czterdzieści lat w małżeństwie to szmat czasu.

– Gdzie jest tata?

Mama napełnia kieliszek.

– Mówił ci, co planuje?

– Kiedy? Nie.

– Na naszą rocznicę.

Pokazuję palcem kanapki na stole.

– Czy my nie...

– Pojechaliśmy wczoraj do miasta – opowiada. – We dwoje.

– Miłe.

– Tak, było miło. Ogolił się, nałożył koszulę, jadł widelcem...

– I co się stało?

– No, wyobraźmy sobie, że ty i ta... – przytyka palcami w powietrzu – ...Zoe.

– Mamo, nie ma czegoś takiego jak ja i Zoe.

– O tym później. Wyobraźmy sobie, że ona znajduje koło kanapy, na przykład, kolczyk należący do innej kobiety.

– Mamo, co ty mówisz?

– Umiemy to sobie wyobrazić, Henry? – Podnosi głos i rękę trzymającą nóż.

– No, dobra.

– Dziękuję. To powiedz mi, co byłoby ostatnią cholerną rzeczą, jaką mógłbyś kupić Zoe na rubinowe gody?

– Nie wiem.

– Zgadnij, Henry.

– Kolczyki?

– Dziękuję. Pierdzielone kolczyki z rubinami. Nie pierścione, nie bransoletkę, nie jakiś chrzaniony wisiołek, ale właśnie kolczyki, Henry.

Teraz sobie przypominam. Tata szepcze w słuchawkę telefonu, pyta, czy ma kupić mamie pierścione, bransoletkę czy wisiołek? A ja doradzam...



- W piątek? – pytam. – Chcesz powiedzieć, że nie ma go od wczoraj?
- Boże, nie, gdzie miałyby się podziać? W każdym razie wczoraj nic nie mówiłam; nie chciałam zepsuć dnia. To cz...
- Tak, czterdzieści lat.
- Poza tym, no wiesz, człowiek ma... oczekiwania w swoją rocznicę.
- Mamo, proszę!
- A co, myślisz, że tylko młodym należy się odrobi...
- Mamo! Rozumiem, wszystko jasne.
- Dobrze. I, Henry, nie licz, że będę przepraszać, że jestem kobietą.
- Czyli – podejmuję wątek po, powiedzmy, subtelnej pauzie. – Dzisiaj na niego naskoczyłaś, tak?

Wzrusza ramionami, nabiera na palec twarózek z rygienki i wsuwa opuszek do ust.

- Chciał wiedzieć, dlaczego nie nałożyłam kolczyków. No to mu wyjaśniłam.
- Cudownie.
- Nie tym tonem, Henry. Ostrzegam cię, zmień ton.
- Mamo, zastanawiasz się czasem... czy ty i tata...
- Dziecko, cały czas się zastanawiam. Ale – celuje nożem w martwy ekran telewizora – widzisz mnie z kimś takim jak jej mąż, z wąsami i w garniturze w prążki?
- Parskam śmiechem.
- Nie, absolutnie, nie.
- No właśnie.
- A co z dzisiejszym wieczorem? – pytam. – Chcesz odwołać imprezę?
- Kochanie, ludziska zadbali o włosy.
- Więc...?
- Więc smaruj chleb.

Oczywiście zamówili karaoke.

April śpiewa *Sweet Home Alabama*, Brian wyrykuje *Living on a Prayer*, ja, w zastępstwie męża mamy (gdziekolwiek on się podziewa), wykonuję z nią w duecie *Islands in the Stream*. Z racji kontroli urodzeń (naturalnej czy planowanej) moi rodzice oprócz syna jedynaka nie mają rodziny. Ale w pubie jest tłoczno od przyjaciół; stałych bywalców i okolicznych mieszkańców; atmosfera jest gorąca, muzyka głośna. Brak taty, który ewentualnie mógłby ostudzić entuzjazm, hojnie rekompensuje obecność kilku skrzynek różowego prosecco i góry pasztecików z kielbaskami. Nawet mama zdaje się dobrze bawić, a kiedy pytam ją, czy nie powinniśmy zacząć się martwić, szepcze mi do ucha, że tata potrafi o siebie zadbać.

– Uprzedzam – mówi – jeżeli wkrótce się nie pojawi, będzie miał ze mną do czynienia i gorzko pożałuje.

– A więc – zaczepia mnie April. – Gdzie jest ta tajemnicza dziewczyna? Zoe, jeśli się nie mylę.

Siedzenie przy jednym stole z mamą, Brianem i z byłą narzeczoną

w zaawansowanej ciąży okazuje się mniej krępujące, niż przypuszczałem.

– Nie dała rady.

– Chyba nie wystawiłeś jej do wiatru?

– Okrutne – wtrąca Brian.

– Wcale nie – zaprzecza mama. – Jeżeli chcesz mówić o okrucieństwie, mój drogi...

– Prawdę mówiąc – zwracam się do April – powiedziałem jej o tobie.

Zdziwiona unosi brwi.

– Hmm, głupio zrobiłeś.

Brian przytakująco kiwa głową.

– Szkoda – dodaje April.

– Dziękuję.

– Bo wiesz – kontynuuje – czekałam, żeby zobaczyć twoją minę, kiedy sama jej to powiem.

Mama parska śmiechem i szturcha ją łokciem w bok.

– Boże, mogę to sobie wyobrazić.

April patrzy prosto przeze mnie i powoli kiwa głową.

No, ja też – myślę.

Ja również próbuję to sobie wyobrazić. Kto wie, czy w gwarnej atmosferze pubu, w otoczeniu ożywionych i pogodnych uczestników imprezy Zoe nie przyjęłaby tej wiadomości lepiej niż w pełnym ludzi pociągu. Może nawet by się roześmiała. A może nie. Jak zwykle mam problem z wyborem czasu i oceną sytuacji. Wbrew zakazowi Rachel przed wieczorną biesiadą wysłałem jeszcze jeden esemes do Zoe – z ostatecznymi przeprosinami i prośbą o rozmowę. Nie zadzwoniła, nie odpisała.

## Zoe

### *Ostatnia butelka szampana*

Znowu wrywam włosy; dobrze znane wrażenie powraca niczym stary przyjaciel. Siedzę w wannie, wmasowuję odżywkę, łapię włosy w garści i mocno szarpię.

Osiem godzin spędzonych w pociągach i na zimnych peronach tylko po to, żeby wrócić do Londynu bez chłopaka, który wcale nie był moim prawdziwym chłopakiem. Miałam mnóstwo czasu na rozmyślania, być może nawet za dużo, jednak nadal mam taki sam zamęt w głowie jak kilka godzin temu, gdy zrobiłam zdecydowany w tył zwrot. Wydaje mi się, że moją czaszkę wypełnia kłęb splątanego sznurka. A szampan wcale mi nie pomógł. Czy przesadnie zareagowałam? Może. Nie jestem pewna. Zresztą jakie to ma znaczenie? Jeszcze pięć tygodni i tak byłoby po wszystkim. Czymkolwiek to wszystko było. Nadal tego nie wiem. Zdecydowanie nie mogę go zabrać ze sobą na ślub Rachel – nie powinnam kusić losu.

Rachel chciała, żebym przyjechała do niej, ale u niej bawi teraz rodzina Steve'a – co miałabym tam robić? Powiedzieć: „A więc państwa syn się żeni. Och, musicie być podekscytowani. Dziwna rzecz mi się dzisiaj przydarzyła”.

Nie, dziękuję.

Rachel nalegała, a kiedy odmówiłam, zaproponowała, że w takim razie ona przyjedzie do mnie. Nie kłamałam, mówiąc, że chcę zostać sama, i chyba musiała to wyczuć z tonu mojego głosu. Po wejściu do domu znalazłam pocztę do Alexa. Dwa listy: katalog sprzętu dla didżejów oraz ofertę darmowej wyceny nieruchomości. *Mamy chętnych na zakup domów w waszej okolicy*. Może jednak należało sprzedać dom, byłabym teraz w połowie podróży dookoła świata. Tak czy owak, nie sądzę, abym po przyjeździe chciała tu dalej mieszkać.

Jak można rzucić kogoś przed ołtarzem? I o co chodzi z tym *Absolwentem*? Zupełnie jakby mnie przygotowywał i manipulował moimi emocjami. Rany boskie, ona, ta April, miała tam być! No, super!

Po wywołaniu rolki czarno-białego filmu pocięłam ją na kawałki po sześć klatek i powkładałam do plastikowych koszulek, żeby później każdą klatkę zeskanować, skadrować, powiększyć i ewentualnie pobawić się nimi komputerowo. Jednak nie zrobiłam odbitek i już ich nie zrobię. Siedem kopert, siedem rolek filmów wylądowało w koszu na śmieci wraz z cukrowym panem młodym i panną młodą z tortu oraz z pocztą do mojego nieżyjącego chłopaka z ostatnich dziesięciu miesięcy.

Nie miałam w domu wina, a koniecznie musiałam się napić. Na półeczce stała

ostatnia butelka szampana, chłodząc się tam od dłuższego czasu. Pewnie zamierzałam wypić go z Henrym, a ponieważ to nie wchodzi w grę, wyciągnęłam korek i poszłam z butelką na górę, zrobić sobie gorącą kąpiel.

Może trochę targa mną zazdrość. Henry zrobił coś, na co mi nigdy nie wystarczyło odwagi. Nieważne, jak się do tego zabrał, ale wyplątał się z czegoś, co, jak zakładam, było kiepskim związkiem. Poszczyło mi się; nigdy nie musiałam wybierać pomiędzy powiedzeniem „tak” a powiedzeniem „nie”.

Butelka jest pusta, opuszki palców mam pomarszczone, woda z mojego nowego bojlera zdążyła wystygnąć. Mrowi mnie skóra na głowie, gdy owijam pasma włosów wokół pięści, jednak na razie za nie nie szarpię. A więc chyba jest jakiś postęp. Hurra, brawo dla Zoe!

Patrząc na siebie w lustrze, mam wrażenie, że widzę tam obcą osobę. Twarz jakby zapadnięta, pionowa kreska między oczyma, kwaśna mina. Gdy niezadowolona ze swojego odbicia, ściągam brwi, zmarszczka pogłębia się i wydłuża. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś mógł nazwać tę dziewczynę Radosną Zoe. Wydłużony bob, dzieło Henry’ego, zwisa w strąkach. To też nie ja. W szafce w łazience są nożyczki, może nieidealnie nadają się do tego zadania, ale co tam. Wydzielam pasmo włosów i obcinam je pięć centymetrów od głowy. A potem następne i kolejne.

## Henry

### *Walka, której nie można wygrać*

Mówi się, że są bokserzy i są zabijaki. Ci drudzy w gryzają się w ochraniacz na szczękę, idą jak taran i młóć pięściami na osłep. Bokserzy robią uniki, zadają i odparowują ciosy oraz odpowiednio pracują nogami; walczą technicznie, prowokując przeciwnika i starając się go zmęczyć. Tata był bokserem – nazywał to „słodką tajemnicą sztuki” – jednak słabnącą kondycję i sprawność zaczął nadrabiać odwagą i wiarą w siłę prawej pięści, co niewątpliwie doprowadziło do większej liczby kontuzji w trakcie ostatnich sześciu walk niż w całej jego wcześniejszej karierze. Duże Buty do dziś zachował pewne umiejętności z ringu.

O jego powrocie, nieco po dwudziestej pierwszej, dowiadujemy się dzięki Keithowi od karaoke, który ustawia mikrofon na naszym stoliku i ruchem podbródka wskazuje na małą prowizoryczną scenę. Pierwsze takty *I Got You Babe* Sonny’ego i Cher dudnią z pudełkowatych głośników i tata przechyla mikrofon w stronę swojej żony. Może on kiedyś rzeczywiście przypominał pewnego wykonawcę ballad z Memphis, ale te nędzne resztki podobieństwa kończą się na wyglądzie, bo o strunach głosowych nie da się tego powiedzieć. Tata może nie tyle nie umie, co nie próbuje śpiewać. Modułując słowa – *mówią, że jesteśmy młodzi i nie wiemy* – odpowiednio melodyjnie i żarliwie, wychodzi poza melorecytację. Skalę ma wąską, ale głos pasuje do tego faceta – jest chropawy, szczery i nieco zużyty jak on sam. Mama idealnie się włącza, przejmując część wykonywaną przez Sonny’ego. A ona potrafi śpiewać. Przy słowach: *and baby I got you* podchodzi do taty i bierze go za rękę. Kręci przy tym głową z mieszaniną miłości, rezygnacji i potępienia. Tata odpowiada wzruszeniem ramion i naraz, bez wcześniejszych ustaleń rodzice płynnie zamieniają się rolami – ona przejmuje partię Cher, a on Sonny’ego. Mama martwi się o czynsz, on wiosną kupuje jej kwiaty. Jediną rzeczą, jaka powstrzymuje mnie od płaczu – a Bóg mi świadkiem, że jestem bliski łez – jest udzielający mi się niepokój Briana o April, która chlipie teraz niemal na granicy hiperwentylacji, co grozi wywołaniem porodu. Podczas finalnego *Babe* obaj trzymamy ją za ręce, mama daje ojcu dwa siarczyste klapsy w baczki, a staruszek w odpowiedzi delikatnie ujmuje w masywne dłonie jej twarz i całuje tak, jak zapewne to robił przed czterdziestu laty. April uwalnia rękę z mojej dłoni, a ja uważam, aby nie spojrzeć ani na nią, ani na Briana, dopóki matka wraz z depczącym za nią ojcem nie wrócić do stolika.

– Popatrz, kogo przyniosło, kogo przywłókł tu kot – mówi do niego moja była narzeczona.

– Kogo nazywasz kotem? – Tata niepewnie zerka na mamę, a ona uśmiecha się

słabo, nadal gotowa wybuchnąć.

– Synu. – Ojciec kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Tato.

– Hmm – mruczy, omiatając stolik spojrzeniem. – Trochę to... no, wiesz...

– Dziwne? – podsuwa Brian.

– W rzeczy samej. Znaczący... tylko my, tak?

– Rzuciła go – informuje ojca April, nie bez satysfakcji.

– Naprawdę?

– Na to wygląda – przyznaje. – Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, co? Tata zerka na mamę, która od powrotu na miejsce nie odezwała się słowem.

– Może powinniśmy... – Brian zaczyna podnosić się z krzesła.

– Jesteśmy teraz rodziną – mówi mama, kładąc mu dłoń na kolanie.

Brian zerka na mnie: To prawda?

Wzruszam ramionami: Pewnie tak.

– No i co? – pyta moja rodzicielka, wbijając wzrok w ojca.

On kładzie na stole podłużne pudełeczko.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, moja piękna.

Mama spogląda na pudełko, na ojca i z powrotem na pudełko. Otwiera je, zamyka i zaczyna płakać.

– Co to? – Chce wiedzieć April.

Matka podsuwa pudełko dziewczynie, w której coraz bardziej widzę jej córkę, a ona unosi wieczko.

– Nie jakieś tam pieprzone kolczyki – mówi tata, puszcżając oko.

– Ładna bransoletka – komentuje Brian.

Mama zarzuca ojcu ramiona na szyję i daje mu całusa.

– Śliczna!

– A jakże! – przyznaje z dumą staruszek.

Jeden biżuteryjny drobiazg przypomina mi o innym.

– April? – Odwracam się do byłej narzeczonej.

– Znasz tamto pole za domem rodziców? – pyta, domyślając się, o co mi chodzi.

– Taaak.

– Jeżeli do przyszłej wiosny nie obrodzi brylantami, to sama nie wiem, co powiedzieć.

Jest już po drugiej nad ranem, gdy Duże Buty wyprawia ostatnich gości za drzwi. Mniej więcej pół godziny wcześniej zaholowaliśmy mamę na górę i położyliśmy do łóżka. Ja zdjąłem jej buty, tata delikatnie odpiął bransoletkę z rubinami i umieścił ją z powrotem w pudełeczku wysłanym czarnym aksamitem.

Po tym, jak matka po południu zrobiła mu awanturę, pojechał do Manchesteru i z „pewnymi kłopotami” wymienił kolczyki na coś bardziej bezpiecznego. Rodzice tańczyli, całowali się, troszeczkę sprzeczali i odśpiewali w duecie jeszcze: *Babe, It's Cold Outside, It Takes Two* oraz nieco szokująco *Ebony and Ivory*. Brian z April odstawili w miarę udaną parodię Johna Travolty z Olivią Newton-John,

a ja przesadziłem z różowym prosecco.

W pustym już barze ciągle dźwięczą mi w uszach rozmowy, śmiechy i fałszywie wyrykiwane piosenki. Ojciec godzinę temu zwolnił personel, stoły są zastawione szklankami, podłoga i bar lepią się od porozlewanych drinków.

– Powtórka za rok? – zwracam się do taty.

– Powinniśmy częściej urządzać coś takiego – odpowiada ze śmiechem.

– Może wcześniej byś się odnalazł.

Tata żartobliwie kuksa mnie w szczękę.

– A ty? Co? Ciągle będziesz pozwalał kobietom wymykać się z rąk?

– Chcesz, żebym pomył szklanki?

– Prawdopodobnie byś je potłukł. Nie ma potrzeby, kilka dziewczyn ma przyjść tu rano. – Siada na stołku przy barze. – Postawisz swemu starszemu drinka? – pyta, poklepując blat.

Nalewam whiskey do dwóch szklanek, siadam obok i mówię mu wszystko, co wiem o Zoe. Opowiadam o Alexie, o Tajlandii i Kornwalii, o Duck and Cover, o siwym paśmie włosów i o tym, jak ona prychnęła, kiedy się zanoszą śmiechem. Szkoda, że nie poznałem jej dwa lata wcześniej, wyznaję.

– No – przytakuje ze śmiechem. – Zaoszczędziłybyś nam wszystkim kłopotów. I... co zamierzasz z tym zrobić?

– Nie wiem, czy w ogóle da się cokolwiek zrobić. Poza tym nawet gdyby... to ona wyjeżdża w przyszłym miesiącu. Może tak będzie lepiej.

– Uhm, kiepska sytuacja.

Rozpłaszcza dłonie na blacie i wbija wzrok w wystające, artretyczne kostki palców. Na prawym nadgarstku nadal widoczne są blizny po drutowaniu.

– Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie je kupiłem – wyznaję.

– Co, gdzie kupiłeś?

Podnosi na mnie wzrok, oczy ma smutne i przygaszone.

– Kolczyki – wyjaśnia. – Wyszedłem ze sklepu taki zadowolony, nie wziąłem ani torebki, ani paragonu. Same kolczyki w czarnym pudełku, bez nazwy firmy na wieczku. To było zaledwie przed tygodniem, a nie potrafiłem sobie przypomnieć miejsca, gdzie je kupiłem.

– Dlatego tak późno się zjawiłeś?

– Obszedłem chyba wszystkich jubilerów w Manchesterze.

– Aż dziw, że nie trafiłeś do aresztu. Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Wzrusza ramionami.

– Klucze, imiona, po co zszedłem do piwnicy. Głowa jak sito, synu.

– Wszyscy tak mamy.

Poklepuje wierzch lewej dłoni i dostrzegam tam małą trójkę napisaną czarnym flamastrem.

– Miejsce na parkingu – wyjaśnia.

– Aż tak źle?

Odwraca dłonie i zaciska je w pięści.

– Do walki potrzeba serca i rąk. Wiesz to, prawda?

Potwierdzam skinieniem głowy.

Uderza się w pierś.

– Nosisz walkę głęboko w sobie. Ale... prędzej czy później dochodzi do pojedynku, którego nie możesz wygrać. Nie trzymasz gardy, nie przewidujesz nadchodzących ciosów, nie trafiasz. Obrywasz, jesteś obijany i odnosisz kontuzje. I każdy bokser wie, chociaż większość głośno tego nie powie, że czas to przerwać.

– Otwiera pięści i patrzy mi prosto w twarz. – Wystarczy tylko opuścić nieco wiodącą rękę i wystawić podbródek... i jest po wszystkim.

– Zrobiłeś tak?

– Problem w tym, synu, że jestem upartym skurczybykiem. Te blizny tego dowodzą. – Oblizuje palec i ściera nim cyfrę na dłoni. – Cieszę się, że skończyłeś z boksowaniem – mówi. – Jestem z ciebie dumny. Wiesz, prawda?

– Tak, wiem.

Wyciąga rękę jakby chciał mnie wytargać za ucho, lecz zamiast tego obejmuje moją głowę ramieniem i całuje mnie.

– Mówiłeś mamie? – pytam, dotykając palcem do skroni. – O... no, wiesz.

– Jeszcze nie, chociaż ona się chyba domyśla. Pomyślałem, że najpierw to odbębniemy. Udana impreza, co?

– No, w sumie wszystko dobrze wyszło.

– Taa, czasem tak się zdarza.



## Zoe

### *Au revoir, 'enry*

Wiatr niczym lodowata łapa mocno wali mnie w pierś, trzyma w równowadze moje przygięte ciało. Gdyby nagle ucichł, kto wie, czy nie przyłożyłabym zębami o reling albo, co gorsza, nie wpadłabym do kanału La Manche. Rachel i Vicky stoją po moich bokach, obie pochylone w kierunku Francji.

– Za bardzo schudłaś – zauważa Vicky.

– Nie gadajcie ze mną o wadze – rzuca Rachel, kolejny raz zerkając na zegarek.

– Aha... i... *ping*. Zostały mi dokładnie dwadzieścia cztery godziny w panińskim stanie.

Ciąża jest już widoczna i żadna ilość białego jedwabiu jej nie zamaskuje. Na szczęście moja przyjaciółka chyba się z tym pogodziła.

Vicky wychyla łyk z piersiówki i podsuwa ją mnie.

– Fajnie – mówi. – Wasze dziecko będzie na waszym ślubie.

– Byłoby fajniej, gdyby niosło kwiaty zamiast rujnować mi figurę. Daj – prosi, wyciągając rękę po piersiówkę.

– Chyba nie będziesz pić? – pytam, wykręcając się na boki dla utrzymania równowagi.

– Oczywiście, że nie, ale wolno mi chociaż powąchać, co?

– No to – zaczyna Vicky – na czym stanęliśmy?

– A musimy o tym gadać?

– Zoe, to jest terapia. W takim razie, co tu mamy? Złamany nos – wylicza, prostując kciuk dla zaznaczenia numeru jeden na liście wad Henry'ego Smitha.

– Ogolił głowę – dorzuca Rachel.

– Podoba mi się jego nos – protestuję.

– Nie pomagasz, Zoe. No, racja, to dentysta, zdecydowanie, minus.

– Układa puzzle – podpowiadam, uśmiechając się na wspomnienie Henry'ego nad planszą.

– Popaprane – komentuje Vicky.

– Zdecydowanie – wtóruje jej Rachel. – Poza tym kiepsko się ubiera.

– Tak jest – zgadza się z nią Vicky. – Te bezkształtne dzinsy. Chociaż... tylek całkiem zgrabny.

– Prawda – przytakuje Rachel. – Taki zwarty.

– Rzucił narzeczoną przed ołtarzem – odzywam się, przejmując piersiówkę. – Koniec listy.

– Ja bym go, kurwa, zabiła – oznajmia Rachel. – Przysięgam na Boga. Ciachnęłabym mu to i owo.

– Szkoda – wzdycha Vicky. – Wiem, że to gnojek, ale... go lubiałam.  
– Ja też – przyznaję.  
– Ale wiecie co... – Vicky odbiera mi piersiówkę – ...to i tak lepsze od zachowywania pozorów, żeby się w końcu rozwieść po roku, nie?  
– Mówisz poważnie? – dziwi się Rachel. – Gdyby mnie ktoś zostawił przed ołtarzem? Obciąłabym mu małego.  
– Szczerze mówiąc... – wtrącam, unosząc brwi.  
– Zoe! – Vicky puka mnie w ramię. – O czym tu mówimy? – Rozsuwa stopniowo dłoń, coraz szerzej otwierając oczy.  
– No, cóż, Manacondą to on nie jest – mówię, a przyjaciółka zakrywa twarz rękami. – Ale... nie narzekam.  
Rachel markuje palcami ruch nożyczek, po czym wyrzuca obcięty penis za burtę.  
– Au revoir, 'enry.  
– Au revoir.  
– Czyli – zaczyna Rachel, zrywając mi wełnianą czapkę – mamy to z gło... o, ja chrzanię, Zoe!  
Vicky cofa się o krok, jakby mogła się zarazić moją fryzurą.  
– Coś ty zrobiła? Co – cię – napadło?  
Pozostaje mi tylko wzruszyć ramionami.  
– Podoba się zmiana?  
– Rany boskie, Zoe. Ufarbuj się na czerwono albo wepnij kokardę, nie wiem...  
Boże, co z cholernymi fotkami?  
– Przykro mi. Zasłonię się kwiatami. Stanę z tyłu.  
– A żebyś wiedziała – mówi, wdychając głęboko opary whiskey z piersiówki. – Masz to jak w banku.  
– Może da się coś z tym zrobić... – Vicky z uwagą ogląda moją głowę, jakbym była czymś na wpół żywym leżącym na poboczu szosy.  
– Przysięgam na Boga – syczy Rachel, poruszając niewidzialnymi nożyczkami. – Jeżeli kiedykolwiek zobaczę tego faceta...

# Henry

## *Liczy się element zaskoczenia*

Liczy się element zaskoczenia.

Wiem o tym z *Absolwenta*. Gdyby Ben zadzwonił do Elaine, wysłał jej list, stanął z bukietem na progu, zostałby odesłany z kwitkiem. To samo widzimy w *Niezapomnianym romansie* i w *Kiedy Harry poznał Sally*. Zaskoczenie. Tak właśnie facet zdobywa dziewczynę.

O ile, oczywiście, dziewczyna da się zdobyć.

Tata mówił, że zazwyczaj wiadomo, kiedy należy się wycofać, a kiedy nie odpuszczać. Ja nie jestem gotów zrezygnować. To, co jest między Zoe i mną, limituje czas i los, ale nie ma mowy o końcu, dopóki ona nie wsiądzie do samolotu. Albo nie roześmieje mi się prosto w twarz za jakieś trzy godziny od tej chwili. Nie ma co dumać, tak czy owak, nie mam nic lepszego do roboty.

Londyn ciągle jeszcze przeciera zaspane oczy, znużonej obsłudze lotniska nie udziela się mój dziarski nastrój, ale ja od czwartej rano wlewałem w siebie mocną kawę i nie obchodzi mnie ich obojętność – wyruszam na misję. Silniki buczą i wibrują, czerń za oknem przechodzi w fiolet, a później zmienia się w bursztyn. Po końcowej procedurze załoga rozchodzi się na swoje miejsca. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, wylądujemy w Paryżu o siódmej trzydzieści. Żeby dostać się do winnicy w Bois de Saint-Benoît, muszę najpierw przejechać kawałek metrem, potem dwoma pociągami, a na koniec wziąć taksówkę. Powinienem się tam znaleźć mniej więcej w południe miejscowego czasu. Mogę też za jakieś sto pięćdziesiąt euro pojechać taksówką prosto z lotniska pod hotel Zoe, zanim jeszcze ona wstanie z łóżka. Kupię *pain au chocolat* na lotnisku.

## Zoe

### *Muszę kogoś odnaleźć*

Christophe porusza się we śnie, kępki gęstych czarnych włosów nadal mu sterczą na sztorc. Ręce kleją mi się od jego żelu do włosów. Czuję wyłącznie totalny chaos.

Wszystkiemu jest winna Vicky i jej piersiówka. Boże, żeby tylko przyjaciółka mnie nie nakryła; narobiłam wystarczająco dużo zamętu, przyjeżdżając taka obsmyczona.

– Jak *lutin...*, ehm.... – Christophe prztyka palcami – ...elf, no wiesz, chochlik. Paryski szyk.

To miłe z jego strony, biorąc pod uwagę, że wyglądam jak rekonwalescentka po chemioterapii. Niemniej, tak, jest *tręś* miło usłyszeć taki komplement z ust tego przystojnego Francuza. Wygląda lepiej niż Henry? *Peut-être; peut-être pas*. Ale jako kochanek mu nie dorównuje. Nie można nic zarzucić jego... technice, że tak to ujmę, i z pewnością nie brakuje mu kondycji, jednak... coś jest nie tak ze zgraniem. Z rytmem i z synchronizacją.

Nie wiadomo, dlaczego popłakuję.

Nic dramatycznego, to tylko taka zapowiedź łez; wrażenie napięcia mięśni policzków i wilgoć zbierająca się pod powiekami. Dość odświeżająca po nużącej drzemce w stanie odwodnienia. To w ponury sposób zabawne, ale ta zdrada – o ile to w ogóle jest zdrada – przywodzi mi na myśl Alexa. Staram się do tych spraw nie wracać, jednak czasem myśli zjawiają się nieproszone. W tamtych tygodniach przed śmiercią Alex nie był do końca sobą... wydawał mi się taki... nieswój. To wspomnienie się zaciera, podobnie jak jego twarz, jeśli nie wesprę się zdjęciem. Pamiętam, jak się bałam, że on mnie zdradza, lecz teraz tamte podejrzenia wydają mi się niedorzeczne, może nawet paranoiczne. Albo wręcz niesprawiedliwe. Wynikały raczej z mojego braku poczucia bezpieczeństwa czy rozczarowania związkiem niż z zachowania Alexa. Nigdy się tego nie dowiem, ale to już nie ma znaczenia i niczego nie zmieni.

Podobnie jak pieprzenie się z tym Francuzem.

Jakie to ma znaczenie?

Tak właśnie powiedziałam sobie wczoraj wieczorem, lecz według trzeźwej Zoe (*tręś* skacowanej Zoe) to już nie takie błahe. Żałosna sytuacja. Nie mam problemów z przygodnym seksem, czasem bywa naprawdę gorąco, jednak to spocone zderzenie z nieznanym nie miało w sobie nic z przygody; było beznamętne, pozbawione radości i może trochę wynikało z chęci zemsty. Ech, nie mam zamiaru się biczować. W końcu nikogo nie zdradzam.

Zsuwam się z łóżka i idę do łazienki zmyć z rąk żel do włosów, wyszczotkować

zęby, wyszorować ciało i umyć to, co zostało z moich włosów. Jestem sobą rozczarowana, a jednocześnie czuję się spokojna – jakby opuściły mnie wszelkie obiekcje. Podróż jest moim pierwszym dobrym pomysłem od niepamiętnych czasów i za niecały miesiąc go zrealizuję.

Kiedy wychodzę spod prysznic, jest prawie dziewięta. Mam dla siebie całe dwie godziny. Za terenem należącym do hotelu widać las i winnice. Bardziej od jedzenia, wody czy aspiryny potrzeba mi dużej dawki samotności.

Przede wszystkim muszę pozbyć się z mojego pokoju pewnego Monsieur; najchętniej w dyskretny sposób. Siedzi teraz w łóżku i pali e-papierosa – żalodne i groteskowe i w pewnym sensie symbolizuje całe to fiasko.

Wyciąga do mnie rękę z plastikowym petem, a ja wybucham głośnym śmiechem.

– *Pardon?*

– Nie, nic, wybacz, nadal jestem trochę... – potrząsam głową... – zamroczona.

– Zamroczona?

– Naprana. Wstawiona, ubzdryngolona, przepraszam... – Śmieję się jak wariatka. Śmieję się tak, że zaczynam chrząkać i pokwikiwać.

Christophe, co oczywiste, nie widzi w tym śmiechu nic uroczego. Jednak to nie odbiera mu ochoty na jeszcze jeden numerek.

– Jest wcześniej – mówi, odginając róg pledu.

Kręcę głową.

– Przykro mi.

– Szydzieści minut?

– Nie. Muszę kogoś odnaleźć.

– Kogo?

– Ma na imię Zoe.

Unosi brew.

– Bardzo dziwne. Zoe? – powtarza. – Jak ty?

– Mniej więcej.

Odpowiada takim wzruszeniem ramion, jakiego chyba muszą uczyć małych Francuzów w szkole podstawowej.

– *Ř bientôt.*

Usiłuję odwzajemnić się podobnie nonszalanckim gestem, ale wrażenie rujnuje mój kolejny atak głupawki.

# Henry

## *Podróżnik w czasie*

Przy urzędnicze z kontroli paszportów w Paryżu niemrawy personel z lotniska w Londynie to cheerleaderki. Ta kobieta przejrzała mój paszport strona po stronie, a teraz po raz drugi bacznie przypatruje się zdjęciu, mrużąc oczy, jakby chciała odtworzyć cielesną wersję twarzy z tej minifotki.

– Włosy – odzywam się, gładząc się po szczecinie na głowie.

– *Pardon?*

Sama wygląda tak, jakby obcięła sobie włosy nożem do chleba, przechylając przy tym głowę pod różnym kątem, żeby efekt wypadł ciekawiej.

– Ja, znaczy. Moje... włosy. Inaczej niż na zdjęciu – tłumaczę, wyciągając rękę po paszport.

Kobieta ogląda dokument pod światło.

– *Qu'est-ce que c'est? Ici?*

– Przepraszam, mój francuski jest... *mal?*

– *Il y a un trou. Ici.*

– Proszę wybaczyć, naprawdę nie rozumiem.

Urzędniczka kładzie paszport na ladzie, obraca go o sto osiemdziesiąt stopni i puka palcem w zdjęcie bez wyrazu.

– *Sur les yeux.*

– Tak – potwierdzam. – To ja.

Kobieta kręci głową.

– *C'est troué. Regardez.* – Wskazuje oczy, najpierw jedno, potem drugie. Ponownie przyglądam się mojej twarzy i muszę przyznać, że dostrzegam w jej wyrazie pewną martwość.

– Dziury – mówi i przewraca kartkę ze zdjęciem, odsłaniając dwie wypukłości na wysokości oczu. Dla ostatecznego wyjaśnienia sprawy odgina tylną okładkę i przykłada zdjęcie do szyby. Słońce prześwieca przez dwa otworki w zdjęciu, zmieniając mnie, Henry'ego Smitha, w złowieszczego androida.

– Ach – mówię. – Podziurawione.

Pamiętam, jak przeglądałem paszport w poszukiwaniu graffiti, śladów nożyczek czy przypalania jeszcze przed domem rodziców April. Chwilę później George trafił mnie hamburgerem w tors. Mogłem nie zauważyć mikroskopijnych dziurek w gałkach ocznych, w które April, jak podejrzewam, postanowiła wbić szpilki. Pamiętam ten jej śmiech, gdy zapytałem o paszport. Brawo, April. Brawo.

– Niedobry – oświadcza urzędniczka, zamykając dokument.

– Nie, jest dobry, to ja.

- *Mais, c'est troué.*
- To był taki żart.
- Śmieszny? – Nie wygląda na rozbawioną.
- Nie, naturalnie, że nie.
- Ty to zrobiłeś?
- Ja? Boże! Nie!
- Kto to zrobił?
- Ha, prawdopodobnie moja dziewczyna. Ehm, właściwie narzeczona.
- Ach! Narzeczona, z którą będzie ślub, tak?
- Nie, nie będzie. Zerwaliśmy ze sobą.
- Zerwaliśmy?

Drę niewidzialny kawałek materiału, naśladowując odpowiedni efekt dźwiękowy.  
– Och.

Kiwam głową. Urzędowy głos kobiety mięknie, kiedy wreszcie zaczynamy rozumieć się nawzajem.

- Tak – mówię. – Ona się na mnie... – Robię wściekłą minę.
- Urzędniczka z ubolewaniem kręci głową i podnosi słuchawkę.

Jestem podróżnikiem w czasie.

Najbliższy samolot powrotny odlataje z Paryża o siódmej wieczorem. W Londynie ląduje mniej więcej o tej samej godzinie. To niesamowite, ile dżinu z tonikiem można w siebie wlać w mgnieniu oka, szczególnie gdy zamawia się potrójne drinki. Nie mam pojęcia, czy podróż w czasie potęguje działanie alkoholu, jednak kiedy wstaję z fotela na Heathrow, mam wrażenie, że samolot wylądował na skrawku ziemi w stanie turbulencji. Pewnie jest już gdzieś praca doktorska na ten temat. W przypadku odkrycia zniszczonego paszportu nie ma mowy o pobłażliwości. Miejscowe władze wsadzają cię do pierwszego samolotu do domu, linia lotnicza dostaje po kieszeni, a tobie wymierza się karę w jednostkach czasu – krótkich wyrokach odbytych w hali odlotów, w klasie ekonomicznej i w miejscu odbioru bagażu. Podjechałem pod lotnisko czternaście godzin temu, no może szesnaście, biorąc pod uwagę różnicę czasu. Można dyskutować, czy teraz przyjechałem, czy raczej wróciłem. Jakkolwiek na to patrzeć, jestem zbyt pijany, żeby iść prosto, nie mówiąc już o jeździe samochodem do domu w londyńskim ruchu. Ale i na to podróżnik w czasie potrafi znaleźć sposób. Dziesięć miesięcy temu, niemal co do dnia, wynająłem pokój w Hiltonie na lotnisku w Manchesterze po ucieczce od narzeczonej w dniu ślubu. Mniej więcej trzysta dni później biorę pokój w Hiltonie na Heathrow po porzuceniu innej dziewczyny w dniu innego ślubu.

To wystarczy, żeby zakręciło się w głowie.

Wystarczy, żeby puścić pawia.

## Zoe

### *Wielki romantyczny gest*

Przechodzimy przez wyjście z napisem NOTHING TO DECLARE i przygryzam wargę, żeby zapanować nad tym moim głupkowskim śmiechem. Potrzeba mi tylko, żeby celnicy zatrzymali mnie do kontroli. Vicky jest w ciemnych okularach, a kwaśny zapach wina oblepia ją niczym zatęchła peleryna. Nie powinnam się czuć dumna z siebie (szczególnie, gdy niecałe dwie doby wcześniej wskoczyło się do łóżka Francuzowi), ale muszę przyznać, że w sumie jestem zadowolona, bo udało mi się uniknąć kaca. Zaliczyłam już pięć czy sześć wesel i pozostało mi po nich jedynie mgliste wspomnienie kwiatów i tańców oraz bolesnych poranków. Tym razem poza kieliszkiem szampana w ramach toastu przetrwałam wesele na kawie i soku pomarańczowym. Niesamowite, ile się widzi, gdy wzrok zachowuje ostrość. Grasujące single, zblazowane małżeństwa, zakochane pary. Mimo wszystko brakowało mi Henry'ego. Jakaś częśćka mojej istoty zastanawiała się, czy byłoby go stać na wielki romantyczny gest, by zjawić się na weselu niespodziewanie jak bohater z tamtych jego starych filmów. Kto wie, może jest zadowolony, że uwolnił się od tego bałaganu. Nie zdziwiłabym się. Jeśli mam być szczerą – a moje najnowsze postanowienie brzmi: szczerść i tylko szczerść – poczułam się rozczarowana, że nie przecisnął się przez automatyczne drzwi wagonu, gdy głośno wołał moje imię. Zaledwie tydzień po śmierci mojego chłopaka przespałam się z jego najlepszym przyjacielem. Bzykałam się z przypadkowym gościem weselnym tydzień po rozstaniu z Henrym, a dokładniej, kiedy teraz o tym myślę, po tym, jak go rzuciłam. Jakie więc mam prawo kogokolwiek osądzać? Ceremonia i przemowy wzruszyły mnie do łez, szczęśliwych łez, wywołanych widokiem szczerego i prostego uczucia pomiędzy Rachel i Stevem. I może troszeczkę zazdrością, ale, do cholery, gdzie łatwiej rozculić się nad sobą niż na weselu? Christophe poprosił mnie do pierwszego tańca, jednak kiedy zdjęłam jego rękę z mojego tyłka, poszedł szukać szczęścia gdzie indziej. No i dobrze. Vicky migdałowała się z kimś z kompletnie innej parafii, a ja wylądowałam w łóżku przed północą.

Dziś rano, gdy reszta gości odsypiała kaca, spacerowałam i rozmyślałam, korzystając z ciszy. W głuszy francuskiego lasu dumałam nad przyszłością i przeszłością, przenosiłam się w czasie i poruszałam w alternatywnych rzeczywistościach. Myślałam o wyborach, decyzjach, przypadkach i zbiegach okoliczności; o przeszłości i przyszłości. Zastanawiałam się nad rozumem i nad emocjami oraz dzielącą je różnicą. I myślałam, zresztą nie po raz pierwszy, że za dużo myślę.



Skupiona na wzorach ze światła przesiewanego przez liście nad głową, otulona ciepłem wszechobecnej zieleni, szłam, o niczym nie myśląc.

Vicky szarpie mnie za rękaw.

– Czy to nie ten gnojek?

W tłumie czekających rodzin i kierowców taksówek stoi Henry. Podobnie jak taksówkarze trzyma prowizoryczną planszę – kartkę formatu A4 z jednym słowem: PRZEPRASZAM.

Kiedy się uśmiecha, czujność znika z jego oczu i cała twarz mu się zmienia. Markotne wycofanie, które na początku tak mnie u niego pociągało, zastąpiła otwarta, pogodna szczerłość. I to działa. Pragnę jedynie rzucić się mu w ramiona, jak w filmach. I tak właśnie robię.

# Henry

## *Skomplikowana historia*

Zoe podbiega do mnie i zarzuca mi ramiona na szyję, o mało nie urywając mi głowy. Mam wrażenie, że lada moment trzaśnie mi kręgosłup, ale napór tulącego się do mnie, wybaczonego ciała to coś, na co nie liczyłem, coś, na co nie zasługuję, a więc trwam, choćbym miał to przypłacić kalectwem.

– Tęskniłem – wyznaję, zamykając ją w ciasnych objęciach i przy okazji odciążając kręgosłup.

– Tak – odpowiada, chyba nie dostrzegając tremy w moim głosie. – Ja też.

– Wynajmij pokój.

Vicky patrzy na mnie sponad okularów przeciwsłonecznych; trudno odczytać wyraz jej przekrwionych oczu; chyba jest w nich niechęć pomieszana z rezygnacją.

– Wynająłem – rzucam do niej znad ramienia Zoe.

– Co proszę?

– Skomplikowana historia – mówię.

Zoe rozluźnia uścisk na mojej szyi i opuszczam ją na ziemię.

– Wszystkiego można się po tobie spodziewać – mówi, nie przestając się jednak uśmiechać.

Nie miałem czasu jej się przyjrzeć, zanim się na mnie rzuciła, teraz widzę, że się ostrzygła. Niefachowo.

– Wyglądasz... ehm, ciekawie – zauważam, przeczesując palcami jej włosy.

– Skomplikowana historia – odpowiada.

– A jak się udało wesele?

Nie było jej w kraju tylko dwie doby, a już mnie zbywa tym galijskim, a jednocześnie uroczym wstrząśnięciem ramion.

– Nigdy więcej nie tknę alkoholu – odzywa się Vicky. – To pewne.

– Dobrze cię rozumiem – przyznaję.

– Imprezowałeś? – pyta mnie z nutką drwiny w głosie.

– Mam samochód – oznajmiam. – Załadujmy wasze bagaże, opowiem wszystko po drodze.

Zoe unosi brwi.

– Masz samochód?

– To...

– Niech zgadnę – przerywa mi Vicky. – Skomplikowane.

## Zoe

### *Rano najpewniej cię zabiję*

Henry przeciąga palcami po moich włosach, a ja nie chcę pamiętać, że dwie doby wcześniej tak samo robił Christophe. Zdecydowanie wypieram to wspomnienie.

W drodze do Londynu Henry opowiada nam o swoim sprytnym planie, podziurawionym paszporcie i o deportacji z Francji. Przespał się w hotelu na lotnisku, a większą część niedzieli spędził, pływając na plecach w basenie.

– Rozmyślałem – mówi mi, gdy wysadziliśmy Vicky przed jej domem.

Ona w przeciwieństwie do mnie nie jest gotowa wybaczyć Henry’emu – „do widzenia” skierowane wyłącznie do mnie, brak odpowiedzi na jego pożegnanie, znaczące trzaśnięcie drzwiami samochodu. Różnica, jak podejrzewam, polega na tym, że ja potrafię wczuć się w jego sytuację. Widzę, jak się zamotał. W tamtej zamkowej sypialni w nocy przed ślubem to pewność, a nie wątpliwość odebrała mu sen. Opowiedział mi o April, o tym, jak ze sobą chodzili, potem się rozstali i zeszli... Z zamku wymknął się ukradkiem o świcie. To była długa historia, jeździliśmy tam i z powrotem mostami nad Tamizą, kluczyliśmy przypadkowo wybranymi ulicami, cały czas rozmawiając. Jego samochód został zniszczony; na obu bokach ma głębokie rysy – pamiątka od wkurzonego brata narzeczonej. Nie jest mu lekko. April jest w ciąży z jego drużbą, a poród się opóźnia, co musi budzić niepokój. Słuchałam opowieści Henry’ego, jakby dotyczyła kogoś obcego, a nie faceta, który siedzi obok mnie. I w pewnym sensie tak było.

– U mnie czy u mnie? – spytałam.

Po drodze zrobiliśmy zakupy, zajechaliśmy do niego po ubranie na zmianę i nożyczki.

Teraz w moim ogrodzie, w lustrze opartym o ścianę składziku widzę, jak Henry przygląda się moim włosom. Unosi to, co zostało z grzywki i ciacha nożyczkami.

– Jesteś pewien, że jest jeszcze co ciąć? – pytam.

– Gdybym mógł, tobym je przedłużył, ale – przycina kolejne pasmo – co się stało, to się nie odstanie.

– Co zamierzasz zrobić?

– Czy to duże pytanie czy – pociąga mnie za kosmyk – ha, czy duże pytanie?

– I to, i tamto, jak sądzę.

– Trzeba spróbować obrócić nieszczęście na korzyść – odpowiada.

– Zostaniesz w Londynie?

Potrząsa głową.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Przynajmniej staram się o tym nie myśleć. Szkoda, że nie było cię na przyjęciu. Spodobałabyś się tacie.

– A mamie nie?

– Ona... by cię pokochała. – Dostrzegam na jego twarzy coś w rodzaju zakłopotania, zanim odwraca wzrok. Teraz obchodzi mnie, staje z tyłu, przesuwając pasma między palcami i przycina je tuż przy opuszkach.

– Żałuję, że ci nie powiedziałem – wyznaje.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Wzrusza ramionami, kręci głową.

Było późno, kiedy wróciłam z mojej przerwanej podróży do jego rodziców i rzuciłam się do demolki – negatywy, młoda para z cukru, włosy – wszystko wewnątrz domu. Domek dla ptaków zrobiony przez Henry'ego ocalał, nadal wisi na gwoździu na ścianie składziku. Niezasiedlony, ale w jednym kawałku.

– Kiedy tam byłem w zeszłym tygodniu – zaczyna Henry – mama powiedziała mi... w pewnym sensie przyznała się do romansu. Czy do skoku w bok... czegoś w tym rodzaju.

– Krępujące.

– Uhm. Ona i tato, oboje mają co nieco za uszami, o ile dobrze zrozumiałem. Ale... to, co ja zrobiłem, jest o wiele gorsze. Nie znam nikogo, kto posunąłby się do czegoś takiego. Dlatego... – wzdycha ciężko – to nie jest coś, o czym chce się opowiadać komuś, na kim ci zależy.

– Przespałam się z kimś – mówię, zanim mam czas się zastanowić, do czego się przyznaję. Twarz Henry'ego tężeje. Otwiera usta, ale żadne słowa z nich nie padają.

Kręcę głową, przytrzymuję go za rękę.

– Po śmierci Alexa – wyjaśniam.

Rysy mu się rozluźniają, kuca przy moich stopach.

– Może jakiś tydzień po tym, jak zginął – kontynuuję. – Ja... my obchodziliśmy... wiem, absolutnie nie powinno do tego dojść... to się chyba nazywa „wspominki”. A... on był najlepszym przyjacielem Alexa.

Henry milczy, uśmiecha się jedynie i kiwa głową. Nie wydaje się zszokowany tym, co usłyszał. A ja myślę – nie, ja czuję – czuję głęboką, gorącą, fizyczną miłość do niego. Mówi mi o tym skóra na głowie, wewnątrz dłoni, płuca.

– Staram się powiedzieć ci, że... rozumiem. Rozumiem, że zdarza się nam posuwać się do... takich rzeczy. Popępiać błędy.

– Wybacz, że ci nie powiedziałem – powtarza. – Było mi głupio.

– Co się stało, to się nie odstanie – cytuję go.

Uśmiecha się, całuje mnie i powraca do zmagania z moimi włosami.

– Zostaw – mówię mu. – Mają rok na odrośnięcie.

Po tym stwierdzeniu jakby pęka bańka, którą razem nadmuchiwaaliśmy.

Henry gotuje, ja biorę prysznic i potem z talerzami na kolanach oglądamy w telewizji krwawy, choć sprytnie pomyślany horror.

– Mój tata zawsze dba o tradycję – odzywam się.

– W Boże Narodzenie?

– Nie tylko. Na przykład w Nowy Rok puszcza latawce... – Odpływam myślami,

bo nagle uświadamiam sobie, że w tym roku nie będzie mnie przy tym.

– A u nas w Boże Narodzenie zawsze dochodzi do sprzeczek – wyznaje Henry. – Bankowo. Podobnie jest w Nowy Rok i w Wielkanoc.

– Znasz taki film *Naręczona dla księcia*?

– Brzmi trochę dziewczyńsko.

– Chyba by ci się spodobał. Piraci i te klimaty. Latami oglądaliśmy go zawsze w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Psuliśmy najlepsze odzywki, wypowiadając je na głos. *Niepojęte. Jak sobie życzysz. Jestem Inigo Montoya*, i takie tam. Albo: *Dobranoc, Westley. Śpij smacznie. Rano najpewniej cię zabiję*. Coś w ten deseń.

– I co?

– Westley jest chłopcem okrętowym na statku Straszego Pirata Roberta. Roberts mówi mu tak wieczorem.

– Rano najpewniej cię zabiję?

– Wieczór w wieczór, przez trzy lata. W sumie nigdy do tego nie dochodzi. Nie zabija go. Ich przygoda trwa. On, jak myślę, go... kocha.

Henry odwraca się do mnie, widzę w jego oczach, że zrozumiał aluzję.

– A więc on żyje?

Przytakuję ruchem głowy.

– Długo i szczęśliwie...

– Brzmi nieźle.

– Staram się ci powiedzieć, Henry Smisie, że... nie chcę się z tobą rozstawać.

On opuszcza wzrok na dłonie, ogląda ich spód, a potem wierzch, jakby tam szukał odpowiedzi.

– Cholera jasna, Henry, chcesz jechać do Tajlandii czy nie?

Śmieje się i kiwa głową.

– Czy to znaczy „tak”?

– Hmm – mruczy – muszę najpierw załatwić nowy paszport.

## Henry

### *Dużo pocztówek*

- Z Zoe w porzo? – zagaduje mnie Gus.
- Skręca papierosa, a ja nakładam folię na włosy mojej klientki.
- Kapitalnie – odpowiadam.
- Będziesz tęsknił, co?
- Odwracam się do niego. Mrugam porozumiewawczo.
- Odkłada tytoń.
- Nie?
- Przykro mi.
- Kiedy?
- Podnoszę cztery palce.
- Gus bierze gilzę i wraca do skręcania papierosa.
- No to, chłopie, przysyłaj kartki. Dużo pocztówek.

## Wrzesień

1 września godz.19.21

Od: Audrey [audreywilliams56@mymail.net]

Do: Alex Williams

Witaj, Synu.

W ubiegłym miesiącu spotkała mnie miła niespodzianka. Krótco po Twoich urodzinach napisała do mnie Zoe. Ucieszyłam się, że odezwała się po tylu miesiącach, ale jednocześnie zrobiło mi się smutno. Kiedy pograżamy się w rozpacz, czasem zapominamy, że inni też cierpią. Gdy zmarł Twój tata, potwornie za nim tęskniłam, ale miałam Ciebie oraz Pata i wspieraliśmy się wzajemnie. Zoe tego nie ma i musi być jej ciężko.

Postanowiła wybrać się w podróż. Tak jak kiedyś Ty po studiach. Zszokował mnie nieco ten pomysł, ale rozumiem, że to pomoże jej się odnaleźć i otrząsnąć po tej tragedii. Może to dziwne, co powiem – gdybym mogła mieć jedno życzenie dla Zoe, życzyłabym jej, żeby znalazła sobie kogoś, z kim mogłaby dzielić życie. Alex, wiem, jak bardzo ją kochałeś, i wiem, że Ty też byś dla niej tego chciał. Powiedziałam jej to. Powiedziałam, że życie ma sens, gdy w pełni się je przeżywa, dzieli się z kimś bliskim i kocha. I jeszcze jej radziłam, żeby śmiało jechała i cieszyła się każdą chwilą.

Uważam, że Zoe jest bardzo dzielna, i podziwiam ją za to. Jeżeli nie idziemy do przodu, cofamy się i marniejemy, prawda? Dlatego postanowiłam wziąć się za siebie. Nie będę więcej pisać tych listów. One przynosiły mi ulgę i podnosiły mnie na duchu, ale nie sądzę, aby ich pisanie służyło zdrowiu – to rozdrapywanie ciągle otwartej rany i nie tak chcę o Tobie pamiętać.

Nie potrzebuję listów, żeby zachować Cię w sercu – byłeś tam, zanim jeszcze się urodziłeś, i zostaniesz tak długo, jak będzie biło. Taka jest prawda.

Żegnaj, mój cudny chłopcze.

Kocham Cię z całego serca.

Mama xx

# Henry

## *Coś znalazłem*

Łatwiej byłoby mnie wymienić niż żarówki u Zoe.

Jedna była taka stara, że metalowa część przylgnęła do stopionej bakelitowej oprawki i musiałem wyrzucić całość. Akcja oświetleniowa, wliczając wycieczkę do sklepu z akcesoriami remontowymi B&Q, niegroźne porażenie prądem oraz powkręcanie nowych żarówek, zajęła nam trzy dni. Gus odebrał za mnie jedyny trzyminutowy telefon. W gabinecie znaleziono zastępstwo na popołudnie. Dorothy po półtoradniowych poszukiwaniach z trudem znalazła chętnego na mój pokój. April została mamą dziewczynki o imionach Violet Sheila. Brian osobiście mnie o tym powiadomił telefonicznie (nienadzorowany, bo April była w szpitalu z córeczką) i podał wszystkie istotne parametry. Podpity i rozemocjonowany, poinformował, że Vi ma oczy swojej mamy – co jest wspaniałą wiadomością dla małej.

Większość rzeczy Zoe trafiła już do magazynu, resztę w weekend zawozimy na wybrzeże, gdzie dostanę drugą szansę na zrobienie korzystnego wrażenia na jej rodzicach. Tym razem jako facet, który podróżuje po świecie z ich córką, a nie ktoś, kto obściskuje się z nią na owczej skórze. Następne spotkanie planujemy za mniej więcej dwanaście miesięcy.

Lokatorzy Zoe wprowadzają się za piętnaście dni, dzień po naszym odlocie z Piątego Terminalu. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy oni będą targać kartony po schodach, my znajdziemy się pięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia dziewięć mil od domu. Będziemy pić piwo w Bangkoku, kochać się, oglądać zachody słońca, pływać w morzu. Nieważne, co to będzie, liczy się, że będziemy robić to razem. Od dwunastu dni mieszkamy pod jednym dachem, wieczorami snujemy plany, studiujemy przewodniki, przygotowujemy dom dla przyszłych mieszkańców. Czyścimy piekarnik, oliwimy skrzypiące zawiasy, wymieniamy żarówki. W sypialni przez warstwę jasnej farby na ścianie przebijają ciemniejsze plamy, jednak kiedy zaproponowałem, że ją przemaaluję, Zoe zdecydowanie zaprotestowała, ucinając wszelką dyskusję. Dzisiaj moja dziewczyna jest w szampańskim humorze – podśpiewując z radiem, zamalowuje zadrapania na ścianach w salonie, a ja w tym czasie naprawiam trzy skrzypiące deski w podłodze. Przypomina mi się, jak tata przebił gwoździem rurę doprowadzającą wodę. Chyba nigdy nie widziałem go tak wkurzonego. Jednym uderzeniem młotka wbił dwucalowy gwoździec w luzną deskę i przy okazji w miedzianą rurę. Woda pod ciśnieniem trysnęła spomiędzy paneli i fontanna waliła w sufit. Tata skoczył na równe nogi, rzucił młotek i przydeptując gejzer, kręcił się bezradnie,



miotając przekleństwa niczym żaloszny bohater z komedii sytuacyjnej. Pamiętając o tamtej wpadce, wyjmuję całe deski, usuwam z nich stare gwoździe i ołówkiem zaznaczam miejsca, gdzie mam wbić nowe. Ostatnia z trzech desek w zapasowym pokoju daje się znacznie łatwiej usunąć od wcześniejszych dwóch, gwoździe też lekko wychodzą z legarów. Coś w szczelinie pod podłogą przyciąga mój wzrok. Wcześniej, gdy reperowałem podłogi w salonie i w sypialni, z takich miejsc wyjmowałem żółty papier zgnieciony w kule i mnóstwo kłaków kurzu, znalazłem też pół rolki taśmy izolacyjnej oraz opakowanie po papierosach.

Natychmiast się orientuję, że tym razem to nie są jakieś upchane śmieci, tylko coś, co celowo zostało ukryte. Wyciągam spod podłogi małą torebkę prezentową z czarnego sztywnego papieru z nazwą sklepu jubilerskiego wypisaną srebrnymi literami. Łapię się na tym, że wstrzymuję oddech, czuję pulsowanie za mostkiem. Torebka jest zamknięta przezroczystym krążkiem lepkiego plastiku wielkości monety. Nie powinienem jej otwierać, ale coś – ciekawość, czujność, zazdrość, a może strach – kieruje moimi palcami.

Wewnątrz jest czarne pudełeczko na pierścionek.

Nachodzi mnie chęć, aby wcisnąć to wszystko tam, gdzie leżało, i zakryć miejsce solidnie przybitą deską, ale czym prędzej odpędzam tę myśl.

Nonszalancko trzymam torebkę w obu dłoniach, jakbym niósł pakunek ze śmieciowym jedzeniem, a nie pierścionek zaręczynowy. Zoe na kuckach obok puszek z białą emulsją maskuje czarne ślady na listwie przypodłogowej.

– Coś znalazłem – oznajmiam, aby natychmiast się zorientowała, że ta rzecz nie jest ode mnie. Według daty na paragonie Alex kupił ten pierścionek jedenaście miesięcy temu, na początku października, może dzień czy dwa po wypłacie. Na dwa tygodnie przed śmiertelnym wypadkiem.

Zoe ogląda się na mnie i podnosi z kucek, a ja staram się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Coś znalazłeś? A co?

– Pod podłogą w zapasowym pokoju – mówię. – Alex... to on musiał tam to schować.

Wyciągam do niej rękę z torebką; jest pognieciona, bo niosłem ją w zaciśniętych dłoniach. Zoe patrzy na nią, ale nie robi żadnego gestu, żeby ją odebrać. Na jej twarzy pod maską obojętności kryje się szok, a pod nim jeszcze niedowierzanie podszyte lękiem.

– Co to jest?

– Usiądź – radzę.

Odkłada ostrożnie pędzel na podłogę, kapki białej farby zsuwają się z włosów na niedawno wyszorowane panele.

– Możesz otworzyć? – odzywa się. – Proszę.

Siadam na kanapie obok niej, wyjmuję pudełeczko z pierścionkiem i na tyle beceremonialnie, na ile mnie stać, podaję je Zoe.

– Czy to... o Boże... czy to... pierścionek?

Potwierdzam skinieniem głowy, a Zoe zamyka obie dłonie na pudełku;

obejmuje je, nie otwierając.

– Od Alexa – powtarzam.

Przypominają mi się moje oświadczyzny i rozczarowana mina April, gdy zobaczyła pierścionek. Zoe unosi wieczko, łzy spływają jej po policzkach. Wyjmuje pierścionek i trzyma go delikatnie między kciukiem i palcem wskazującym w obu dłoniach.

– Pierścionek – mówi, kiwając głową – pierścionek. – Łzy płyną jej teraz strumieniem.

Wsuwa go na palec lewej ręki i obraca tak, aby brylant znalazł się dokładnie na środku. Kładę jej dłoń na kolanie, ale ona cofa nogę.

– Podać ci coś?

Potrząsa głową.

– Może herbatę, kawę.

– Dobra, to kawa czy herbata?

– Nie wiem. – Odwraca się do mnie z twarzą wykrzywioną pogardą i irytacją. – Nie wiem – powtarza, skupiając się z powrotem na pierścionku. – Nic już nie wiem.

Zaparzam kawę, robię herbatę i stawiam oba kubki na stoliku.

Brylant skrzy się, załamując światło, kiedy Zoe bezmyślnie wyciąga rękę po jeden z kubków.

– Dziękuję – mówi. – Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Wszystko w porządku.

Kiedy byłem w kuchni, zniosła z góry karton ze starymi papierzyskami. Kilka dokumentów leży rozrzuconych na blacie. Zoe odstawia kubek, grzebie w kartonie i wyciąga coś, co wygląda mi na wyciąg z konta. Przegląda kolejne strony, przesuwał palcem po kolumnach cyfr i w pewnej chwili nieruchomieje.

Nie widzę, jaka pozycja przyciągnęła jej wzrok. Ona przez dłuższą chwilę wpatruje się w to miejsce. Jest spokojna, o emocjach świadczą jedynie łzy kapiące z nosa i z podbródka. Kiedy dopijam kawę, ona z ciężkim westchnieniem odkłada na bok wyciąg, resztę papierów wrzuca z powrotem do kartonu.

– Tak sobie myślę... – odzywa się, obracając pierścionek na palcu. – Chyba raczej pojedę sama. Do rodziców.

## Zoe

*To, co się nigdy nie zdarzyło, jest już zamkniętą sprawą*

Mama z tatą puszczają latawce. Śmieją się i pokrzykują jak dzieci. Wiatr i odległość zniekształcają ich głosy. Chyba nadal się kochają, przelatuje mi przez myśl. Ukryta za plażowym domkiem, wycelowuję w nich obiektyw aparatu. Przybliżam obraz i dostrzegam w wizjerze poruszające się usta mamy, ale słów nie odgaduję. Twierdzi, że wzrok jej się polepszył, a jednak chodzi w dużych, przeciwsłonecznych okularach.

Wczoraj, jadąc do domu, płakałam, śpiewałam z radiem i mówiłam sama do siebie. Zastanawiałam się, czy powiedzieć rodzicom o pierścionku. Jest trochę przyciasny, ale nie tak, żeby wciskać go na siłę. Był taki moment, że ledwo widziałam drogę przez łzy. Musiałam zjechać na pobocze i dać sobie czas na ochłonięcie.

Alex zamierzał mi się oświadczyć.

Co bym mu odpowiedziała? Wewnętrzny głos nakazywałby powiedzieć „nie”. Ale czybym się na to zdobyła... tutaj mam wątpliwości. Jakakolwiek byłaby moja odpowiedź, nic dobrego by z tego nie wyszło. Tak czy owak, już po sprawie i nie ma nad czym się zastanawiać.

Nie tylko mama potrafi mnie przejrzeć na wylot; wczoraj zapytała, czy u mnie wszystko w porządku. Czy coś się stało? Powiedziałam, że się denerwuję, że smutno mi, gdy wracam myślami do Alexa. To wszystko prawda. Spytała mnie bardzo ostrożnie, czy przed wyjazdem do Londynu nie chciałabym porozmawiać z doktorem Samuelsem. Depresja, słowo o dużym ciężarze gatunkowym i lepiej główno go nie wymawiać. Nie wiem, czy to akurat mój problem, czy nie, ale nie roznosi mnie szczęście przed zbliżającą się podróżą. Odparłam, że nie chcę, i obiecałam, że dam znać, gdybym zmieniła zdanie. Doktor Samuels jest przyjacielem rodziny, przypomnieli rodzice, i na pewno zgodzi się porozmawiać ze mną przez telefon, gdybym czuła taką potrzebę. Przyrzekłam, że w razie czego tak zrobię, kreśląc palcem małe „x” na wysokości serca.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole, gotując, jedząc, popijając i rozmawiając. Pod wieczór już szczerze się śmiałam z dowcipów taty, a mama odzyskała pozycję zwycięzcy w scrabble, co uważam za pozytywny znak. Tata próbował mi wcisnąć pieniądze, ale ze zrozumieniem przyjął moją odmowę. Są rozczarowani, że nie przywiozłam Henry’ego – szczególnie, że ostatnio awansował z pozycji znajomego na mojego chłopaka i towarzysza podróży. Skłamałam, że pojawiła się jakaś nagła sytuacja u niego w pracy. Niewinne kłamstwo, nie czuję wyrzutów sumienia. Zresztą wziął za mnie zmianę w Duck and Cover. Ta cała historia

z pierścionkiem niewątpliwie mi dołożyła, ale Henry też musi czuć się kiepsko. Ostatnio niewiele rozmawialiśmy, konsekwentnie omijając pewien temat. Cokolwiek się wydarzy, kocham go za to, że tak dyskretnie przy mnie trwa. Podtrzymuje na duchu, podstawia pod nos jedzenie, zabiera puste albo nietknięte talerze. Nie matkuje mi, nie biadoli i o nic nie pyta. A i tak po dwóch dniach w domu mimo wszystko poczułam się klaustrofobicznie. Henry dał mi kluczyki do samochodu, zapakował kartony do bagażnika i pocałował na pożegnanie. Smutne pożegnanie, jakby coś się skończyło.

Mama woła mnie z plaży i daje znak ręką, żebym do nich dołączyła.

Wyjmuję wyciąg z banku z tylnej kieszeni spodni. Prozaiczny, a zarazem łamiący serce spis wydatków: restauracja ze zdrową żywnością Pret, metro, delikatesy i kwaciarnia. Wydał czterdzieści pięć funtów w sklepie z winami, mniej więcej tyle, ile kosztuje butelka szampana, i ponad trzy tysiące u jubilera na Hatton Garden. Szampana wypijałam samotnie w wannie, zanim zabrałam się za obcinanie włosów tępymi nożyczkami. Wspominam tamto tajemnicze zachowanie Alexa w ostatnich dniach przed śmiercią, to, jak czule się ze mną kochał wtedy rano, śniadanie do łóżka (zaplanowane), bukiet róż (rozsypany na jezdni), pierścionek pod deską w podłodze (ukryty). W ostatnim mailu do matki napisał, że zachował się jak „jełop”, ale wynagrodzi mi to w Boże Narodzenie. Teraz już wiem jak.

W nocy spałam z pierścionkiem na palcu, ale więcej go nie nałożę. To, co się nigdy nie zdarzyło, jest już zamkniętą sprawą. Nie każdemu jest pisane szczęśliwe zakończenie, jak obiecują nam w bajkach dla dzieci. Brzydkie kaczątko przemienia się w łabędzia, księżę odnajduje damę swego serca. Tego lata przeczytałam chyba z tysiąc bajek, lecz w efekcie nie natrafiłam na taką, która się sprawdziła i w którą byłabym gotowa uwierzyć. Może ta nowa Zoe odkryje swoją bajkę po powrocie z dalekich stron.

Nakierowuję obiektyw na rodziców i strzelam fotki do ostatniej klatki na filmie. Ten aparat pod każdym względem mi ciąży. Wyjmuję rolkę z filmem i wkładam ją do kieszeni. W plażowym domku leży mnóstwo rupieci; walają się tam rurki do nurkowania, deski surfingowe, parawan, koc piknikowy, zabawki plażowe i gry, kije do krykieta, piłki i pierścienie do gry zręcznościowej. Wkładam leicę do dwóch plastikowych worków, zawiązuję je starannie i chowam na dnie starego plecaka. Może kiedyś znajdą ją tu moje dzieci.

## Henry

### *Żeby cię mogła namierzyć*

W sobotę wieczorem Zoe wchodzi do Duck and Cover, co odnotowuje połowa sali.

– Cześć, przybyszu – witam ją.

Przechyla się nad kontuarem i całuje mnie.

– Prezent – oznajmia, wręczając mi plastikową reklamówkę.

Klapki.

– Śliczne – zachwycam się. – Takie... Różowe.

– Żeby cię mogła namierzyć – mówi i znowu mnie całuje.

## Zoe

### *Wygrawerowane imię*

– O Boże! Przepraszam... ha, ależ oni są do siebie podobni.

– Skórka zdjęta z taty, co?

Na zdjęciu Alex siedzi u ojca na barana, obaj mają piłkarskie szaliki w białoczerwone paski.

– Ile on tu ma lat?

– Myślę, że jakieś cztery, kochanie. A Bruce około trzydziestu, tyle co Alex, kiedy... no, wiesz.

Audrey spogląda w stronę urny na kominku. Dyskretny cynowy cylinder z wygrawerowanym imieniem oraz datami narodzin i śmierci. Zimna obecność tego przedmiotu budzi niepokój, nie wiem, czemu moja niedoszła teściowa trzyma go na takim eksponowanym miejscu. Może dzięki temu czuje się bliżej syna.

– Problem w tym, że odkąd nastały te cyfrowe aparaty – zaczyna, przewracając kartkę w albumie – nigdy niczego się nie wywołuje. A przynajmniej nie tyle, ile by należało. Na przykład, nie sądzę, abym miała jakieś wasze wspólne zdjęcie.

– Mam kilka. Wyślę ci parę jeszcze przed wyjazdem.

– Dziękuję, kochanie. Denerwujesz się?

Przytakuję skinieniem głowy.

– Bardzo. Ale też jestem podekscytowana.

– Według mnie, jesteś bardzo odważna, wybierając się samotnie w taką podróż.

Audrey nie wie o Henrym. Co prawda w mailu do Alexa napisała, że w życiu liczy się miłość, jednak chyba za wcześnie mówić jej, że jestem na etapie zakochiwania się.

– Dziękuję, ja... wcale nie czuję się odważna.

– Poradzisz sobie. – Bierze mnie za rękę. – I jestem ci ogromnie wdzięczna, że przyjechałaś. To bardzo dużo dla mnie znaczy.

– Wybacz, że nie zjawiłam się wcześniej – tłumaczę się. – To było takie... trudne, dziwne...

– Wiem, skarbie. Naprawdę chcesz zanocować?

– Tak, bardzo chętnie. Poza tym, nie przejrzymy tego wszystkiego w jedno popołudnie, prawda?

– Rzeczywiście. O, popatrz tutaj. – Pokazuje mi zdjęcie może pięcioletniego Alexa pozującego z gitarą zabawką.

– Kochał muzykę.

– Oj, tak. – Ociera oczy. – Napijesz się herbaty, kochanie?

– Chcesz, żebym zrobiła?

– Nie, dziękuję, skarbie. Jak za długo siedzę, sztywnieją mi nogi w kolanach. W lipcu skończyłam sześćdziesiąt lat, dasz wiarę?

– Nie wyglądasz na swoje lata – mówię, a ona zbywa komplement machnięciem ręki.

– Wyglądam o wiele starszej, kochanie. Pat z Aggy zafundowali mi wizytę u kosmetyczki w prezencie urodzinowym. Ta biedna kobieta chyba nie wiedziała, z której strony się za mnie zabrać.

Czuję się jak oszustka; siedzę tutaj i udaję, że nie znam tych nowin, a przecież czytałam maile do syna. Już mam jej o tym powiedzieć, lecz w porę gryzę się w język, bo tylko wprawiałabym nas obie w zakłopotanie. To samo, może nawet w większym stopniu, dotyczy pierścionka od Alexa schowanego pod podłogą. Niektóre sekrety nigdy nie powinny zostać wyjawione i gdyby istniała możliwość zatajenia przed sobą samą tej części tragedii, przystałabym na to bez chwili namysłu.

– Jaką herbatę pijesz?

– Poproszę z mlekiem, bez cukru.

– Już robię. A wieczorem, myślę, powinniśmy otworzyć butelkę wina. Co ty na to?

– Świetny pomysł. Może coś bym nam ugotowała?

– Nie, nie. Ja się tym zajmę, a ty będziesz pilnować, żebym miała pełen kieliszek.

– Zgoda. Kiepska ze mnie kucharka.

Audrey przykłada mi dłoń do twarzy.

– Jesteś dobrą dziewczyną – mówi, gładząc mnie kciukiem po policzku. – Cieszę się, że Alex cię spotkał.

Kiwam głową, bo na nic więcej w tej chwili mnie nie stać. Ona w odpowiedzi robi to samo, potem ociera oczy i wychodzi do kuchni.

Kiedy Audrey robi herbatę, zamykam album i podchodzę do kominka. Urna w dotyku jest lodowata.

– Hej – mruczę pod nosem, wodząc palcem po wygrawerowanym imieniu. – Cześć.

# Henry

## *Wszystko oprócz Zoe*

– Wakacje? – pyta Jenny, wskazując ruchem głowy mój monstrualny plecak. – Jedzie z dziewczyną?

– Z Zoe – mówię jej. – Tak.

– Gdzie jedzie?

– Do Tajlandii. – Wybieram uproszczoną wersję.

Za cztery godziny wylatujemy, za dwie musimy znaleźć się na lotnisku.

Rachel wróciła z miodowego miesiąca i gdy Zoe spędzała ostatnią noc przed wyjazdem z dziewczynami, ja pojechałem samochodem na północ. Gdybym zostawił go na parkingu przy Black Horse, po roku niewiele by z niego zostało, dlatego tata ma go sprzedać i przesłać mi pieniądze. Od kiedy mama została przyszywaną babcią, wyraźnie przestała żywić do mnie urazę – pokazuje mi zdjęcia i bez przerwy opowiada o oczkach Violet, jej różowych usteczkach, maciupkich paluszkach i pucatej buzi. A ja czuję coś w rodzaju przyływu ojcowskiej tkliwości. Wkład April i Briana zdecydowanie okazał się bardziej znaczący, lecz może gdybym nie był takim chwiejnym dupkiem, Violet śliniłaby się na innym ramieniu. Jest naprawdę uroczym bobaskiem. Łzy w oczach mamy, gdy żegnaliśmy się rano, sprawiły mi ulgę. Wcześniej ich tam nie było i już się bałem, że wszechświat zapomniał o naszym kontrakcie. Ale wszystko dobrze się układa. Tata i mama wyglądają na szczęśliwszych, niż kiedy ich ostatnio widziałem, i wieczorem prawie się nie sprzeczała. Duże Buty nie powiedział jej jeszcze o kłopotach z pamięcią, ale mówi, że to zrobi: „O ile, synu, nie zapomnę”.

W domu wszelkie usterki zostały ponaprawiane, całość jest wysprzątana i odpicowana. Wszystko gra. Wszystko, oprócz Zoe. Pamiętam, jak cztery miesiące temu na Albert Bridge dostrzegłem w jej uśmiechu niezrozumiałą melancholię, która znikła na moment, lecz szybko z powrotem się pojawiła i nadała jej oczom nostalgiczny wyraz. Nadal towarzyszy nam bliskość, intymność i czułość; opiera się o mnie zwinęta w kłębek na kanapie, w łóżku kładzie mi głowę na piersi. Jednocześnie otacza nas ciężka, niemal fizycznie wyczuwalna cisza. Sprzątając, puszczamy płyty, słuchamy radia, lecz ta przytłaczająca drętwa ciągle nam towarzyszy. Po wizycie u matki Alexa Zoe ogarnęło coś w rodzaju spokojnej akceptacji. Od czasu do czasu wycofuje się w głąb siebie i na moment odpływa w swój własny świat. Przechodząc z pokoju do pokoju, potrafi zatrzymać się z ręką na klamce, zelektryzowana jakąś myślą czy wspomnieniem. Dwa dni temu cicho popłakiwała, wycierając ślady palców wokół kontaktów. Nieraz się zastanawiałem, czy mimo wszystko nie należało zostawić pierścionka



zaręczynowego pod podłogą, zabijając gwoździami deskę.

Lot do Bangkoku trwa jedenaście godzin i dwadzieścia pięć minut. Mam nadzieję, że sen, który opuścił mnie w ostatnim tygodniu, odnajdzie mnie w chmurach. Wtedy, gdy Zoe po raz pierwszy opowiedziała mi o Alexie, przegadaliśmy całą noc. Mówiła o podróży, że potrzebuje – musi – odnaleźć siebie i chce polegać wyłącznie na Zoe Goldman, chociaż nie ukrywa, że boi się czekających ją wyzwania. Rozumiałem, zazdrościłem i podziwiałem ją. Chociaż staram się ignorować pytanie: „Co się zmieniło?”, ono uparcie powraca.

Można to nazwać kaprysem albo niedbalstwem, bo jak dotąd nie usunąłem numeru Jenny z telefonu. Zadzwoiłem do niej dziś rano. Była nieco zaskoczona, gdy zapytałem, czy mogę ją odwiedzić, a jednocześnie chyba zadowolona, że ktoś zapewni jej towarzystwo. Oprowadziła mnie po domu, pokazała bibeloty, fotografie, albumy i pamiątki. I chociaż najchętniej przesiedziałybym u niej cały dzień, musiałem zdążyć na samolot.

– No, a jak twoje zęby?

– Znowu przyjaciele – odparła, uśmiechając się szeroko. – Wszystkie szczęśliwe.

Jej mieszkanie jest w sepii; przez siatki na oknach na rośliny, książki i półki pada jakby przykurzone światło. Niezbyt korzystne warunki do kontroli implantów. Niemniej obejrzałem zęby i stwierdziłem, że nic podejrzanego się nie dzieje.

– Coś wymyśliłem – mówię jej.

– Co?

Zamiast odpowiedzi otwieram plecak i wyjmuję skórzaną saszetkę, z której wyciągam nożyczki.

– Kiedy ostatni raz byłeś u fryzjera?

Minuta leci za minutą, a przekonanie jej, że po pierwsze, nie przyszedłem jej zamordować, a po drugie, potrafię zestopniować jej włosy w elegancki bob, zajmuje mi więcej czasu, niż liczyłem.

– Będzie drogie? – Chce wiedzieć. – Tak jak zęby?

– To prezent na pożegnanie – uspokajam ją. – Kiedy lecisz?

– Za trzy tygodnie.

– Podekscytowana?

– Przerażona. Lecę sama bardzo daleko.

– A dzieci? Nie chcą polecieć z tobą?

– Dzieci złe. One chcą trumnę, ha, ha.

– To on? – Wskazuję urnę na kominku.

– Lubi spacerować – wyjaśnia. – Godzinami. Przestrzeń, mówi. Mało przestrzeni w trumnie.

– Prawda.

– To rozsypię, co nie? Z dziećmi inaczej. Dla mnie dobrze, myślę.

– Tak – bąkam. – Pewnie. – A teraz siedź spokojnie.

Jenny łapie powietrze przez otwarte usta, gdy pierwsze pasmo spada na podłogę.

– Dużo – mówi.

– Teraz już nie ma odwrotu.

Kiedy czekam na taksówkę, Jenny podaje herbatę i pokazuje mi czarno-białe zdjęcia swoje i męża sprzed czterdziestu, może pięćdziesięciu lat.

– Ładna, co nie? – Puka palcem w młodszą wersję siebie.

– Bardzo, Jenny.

– Chyba mężowi się podobać? – Podnosi rękę do włosów. – Nowa pani.

– Faceci będą o ciebie walczyć.

Chichocze.

– Niegrzeczny – mówi i gładzi mnie po policzku.

Sprawdzam czas na telefonie. Mam niecałą godzinę do odprawy. I mam też wiadomość od Zoe.

Kocham cię.

To pierwszy raz, gdy któreś z nas to powiedziało. Odpowiadam w myślach: Ja ciebie też.

– Szczęśliwy? – pyta Jenny.

– Tak.

– Ładny uśmiech – chwali. – Szkoda, że taki nos. Ale uśmiech ładny, co nie?

Pod dom zajeżdża samochód, daje znak klaksonem.

– Czas – mówi Jenny.

– Czas.

## Zoe

### *Niezakreślone kratki*

Dziewczyny chciały odwiedzić mnie na lotnisko, Rachel miała prowadzić, ale ja wolałam odbyć tę krótką podróż bez ich towarzystwa. Twierdzą, że już wybaczyły Henry'emu, jednak to jest początek naszej przygody i lepiej zachować dyskrecję. W głowie mi się kręci od nadmiaru emocji: szczęścia, ekscytacji, smutku i poczucia zagubienia. W oczach mam łzy; sama nie wiem, czy wyciska je radość czy smutek.

Taksówkarz zerka na moje odbicie we wstecznym lusterku.

– Wszystko w porządku tam, z tyłu?

– Jasne – odpowiadam – tylko rzęsa... mi się podgięła. Już ją mam.

– W jakieś miłe miejsca ta podróż?

– Mam nadzieję – odpowiadam i śmiechem pokrywam to, co mógł wziąć za brak uprzejmości.

Odpowiada uprzejmym śmieszkiem, ale łapie aluzję.

Kolejny raz sprawdzam komórkę, Henry nadal nie odpowiedział na moją wiadomość.

Kocham cię.

Myślę, że on też mnie kocha.

Może zwleka, żeby powiedzieć mi to przy odprawie. Tak jak w którymś z tych jego ulubionych filmów. W ostatnich dwóch tygodniach obejrzelismy je wszystkie – *Garsonierę*, *Przeminęło z wiatrem*, *To wspiane życie* i całą resztę. Każdego ranka Henry w drodze do pracy wrzucał kolejne płytki DVD do skrzynki na listy na drzwiach sklepu z używanymi rzeczami. Jego kolekcja kurczyła się w takim samym tempie, w jakim ubywało niezakreślonych krutek w moim kalendarzu. W końcu nic nie zostało.

Wczoraj wieczorem Rachel zamówiła pizzę i jadłyśmy je przed telewizorem, oglądając Patricka Swayze i Keanu Reevesa w *Na fali*. Steve został na noc u przyjaciela, miałyśmy więc cały dom dla siebie. Wspominałyśmy, chichotałyśmy, snułyśmy plany. Spałam w gościnnej sypialni Rachel, Vicky zajęła kanapę w salonie. Przed pójściem spać przywołałam szeptem Rachel, posadziłam ją obok siebie na łóżku i pokazałam pierścionek, którego Alex nie miał okazji mi wręczyć. Pochlipałyśmy obie cichutko, przyciskając dłonie do ust, żeby nie zbudzić Vicky. Nie dlatego, że chciałyśmy ją wykluczyć, po prostu wolałam uniknąć niepotrzebnych wzruszeń. Rachel też bym nic nie powiedziała, gdybym nie potrzebowała jej pomocy. Zależy mi, żeby spieniężyła pierścionek albo oddała go na cele dobroczynne. Od tamtej chwili, kiedy Henry go znalazł, cały czas

nosiłam go w kieszeni i dosłownie zalałam się łzami, zamykając dłoń Rachel na pudełeczku. Teraz już go nie ma i wcale mi nie żal, jak się obawiałam.

Może dlatego, że w pewien dyskretny sposób Alex nadal jest ze mną.

# Henry

## *Nigdy nie obejrzeliśmy razem Casablanki*

Jak powinienem postąpić?

Od tygodnia to pytanie odbiera mi sen.

Porzucając April, postąpiłem źle, ale nie zrobiłem tego bez powodu. Nie kochałem jej. A może postąpiłem słusznie, tylko fatalnie się do tego zabrałem?

Zoe mówi, że mnie kocha, i chcę wierzyć, że ona w to wierzy. Natomiast absolutnie nie wątpię w moją miłość do niej. Jestem pewien, bo to jest coś, czego nigdy wcześniej nie czułem. Na pewno stoi teraz przed tablicą odlotów i być może po raz enty sprawdza, czy ma paszport i bilet. Czeka na mnie, żebyśmy razem przeszli przez bramki.

- Który terminal? – pyta taksówkarz.
- Poproszę na piąty.
- Jakies miłe miejsce?
- Tajlandia.
- Brzmi egzotycznie – mówi. – Za pięć minut dojeżdżamy.

Niebo huczy od nisko przelatujących samolotów. Nasze stanowisko odprawy już jest otwarte, załoga naziemna przygotowuje naszego jumbo jeta. Jednak czy wchodząc na pokład tego samolotu, nie kieruję się egoizmem? Dla mnie to dobre, co do tego nie mam wątpliwości, ale czy również dobre dla Zoe? Czy to najlepsze wyjście dla niej?

Ostatnie dziesięć dni upłynęło nam na oglądaniu mojej skromnej kolekcji starych filmów. Obejrzeliśmy wszystko oprócz *Casablanki*. Zoe nigdy jej nie widziała, a ja tak, i dobrze wiem, jak się kończy. Potajemnie wrzuciłem ten kawał dobrego kina do torby i niczym złą wiadomość ukradkiem wyniosłem z domu.

- No, jesteśmy na miejscu. O której ma pan odlot?

Taksówkarz zajeżdża pod terminal i drukuje paragon.

- Za niecałe dwie godziny.

- Idealne wycucie czasu.

– Po raz pierwszy w życiu – komentuję, podając mu pieniądze, i wysiadam z taksówki.

Na okładce *Casablanki* Rick Blaine z rękami w kieszeniach prochowca stoi na tle gotowego do drogi, dwusilnikowego samolotu, którym odleci jego ukochana. On z nią nie wsiądzie, bo zna odpowiedź; wie, jak należy postąpić. Lotnisku Heathrow brakuje tego tajemniczego romantyzmu *Casablanki*. Za dużo tu opasłych, bezdusznych samolotów. A ja nie mam ani prochowca, ani fedory, natomiast mam okazję raz w życiu odpowiednio postąpić.

Zoe powiedziała, że chce siebie odnaleźć.

Ja już ją znalazłem. I kocham ją; to nie są jakieś wydumane romantyczne dyrdymały, tylko głęboka i fizyczna pewność. Ja ją znalazłem, a teraz kolej na nią.

Automatyczne drzwi rozsuwają się na tumult dziesięciu tysięcy podróżnych. Ogarnia mnie coś na kształt paniki – mam ochotę zrobić w tył zwrot, wsiąść do pierwszej z brzegu taksówki i pojechać... sam nie wiem, dokąd. Tak nakazuje mi instynkt.

Ale muszę zobaczyć się z Zoe.

Muszę jej powiedzieć, że ją kocham, i dopiero wtedy będę mógł odejść.

## **Część trzecia**

## Epilog

Stoi na skalnej półce w połowie stromego klifu i patrzy przed siebie, mała kruszyna na tej pnącej się w niebo, niesamowitej geologicznej formacji wyrastającej z morza. Po zaledwie dwóch tygodniach w Bangkoku udała się w dziesięciogodzinną podróż autobusem na południe, do Krabi, a potem tubylczą łodzią przepłynęła krótki, ale budzący lęk odcinek do Rai Leh. Ostatnie pięćdziesiąt metrów do plaży pokonała, brnąc w wodzie z plecakiem uniesionym nad głową. Nadal bolą ją barki, rusza na boki głową, żeby rozluźnić sztywne mięśnie karku. Wpatrzona w horyzont, pozwala swobodnie płynąć myślom o przeszłości, nie wnikając w nie ani ich nie analizując. Czuje, jak ciepło wnika w ciało, powoli zmieniając odcień skóry. Powoli zmieniając ją.

Współtowarzysze podróży są sympatyczni, ale ona najchętniej przebywa sama; czyta, spaceruje... odnajduje siebie. Jeżeli zaczyna dokuczać jej samotność, co rzadko się zdarza, zamyka oczy i przenosi się myślami w swoje „jasne miejsce” – na Albert Bridge o zmierzchu z tysiącami światełek odbijającymi się w ciemnej wodzie Tamizy. Tutaj jest popołudnie, w Londynie wczesny ranek, ciekawe, czy Henry już się obudził. Czy myśli o niej. Ma nadzieję, że tak.

Sięga do torby na ramieniu i wyjmuje poskładany kawałek papieru.

Kiedy matka Alexa poszła zrobić herbatę, podeszła do kominka i dotknęła dłońmi do zimnej urny. Zaświtała jej wtedy pewna myśl. Nie miała odpowiedniego pojemniczka, zdjęła więc oprawkę z pomadki do ust i zaczerpnęła nią odrobinę prochów. Dopiero na lotnisku, gdy po ściągnięciu paska do spodni stanęła w bramce do wykrywania metali, dotarło do niej, jak głupio postąpiła. Na szczęście alarm się nie odezwał, pies nie zaszczekał, nikt nie zajrzał do małej kieszonki dzinsów na biodrze.

Przywiozła go tutaj. Na plażę, której nigdy nie miał zobaczyć.

Rozłożyła kartkę i uniosła, ofiarując prochy ciepłej bryzie. Lekki wiatr poderwał je i rozpylił, a ona posłała całusa w kierunku morza.

– Dziękuję, że mnie kochałeś.

Nikłe, szare smużki unoszą się, rozwiewają i znikają.

Zoe odwraca się i podejmuje przerwana wędrowkę na klif.



## Podziękowania

Wielkie dzięki dla całego zespołu Simon & Schuster za to, że ta książka powstała; dla Clare Hey, Sary-Jade Virtue, Ally Grant, Rumany Haider, Hayley McMullan, Dominica Brendona, Laury Hough, Sally Wilks, Emmy Capron i Jamiego Criswella.

I dla moich przyjaciół, rodziny oraz wszystkich ekspertów, którzy chętnie poświęcali mi wolny czas, dzielili się doświadczeniem i wiedzą; dla Chrisa Fordera, Marka Rolfego, Louise Cuming, Jane Griffiths, Jessiki Walker, Sunjay Soni, Keitha Juden oraz Nicoli Kennedy.

Dziękuję:

braciom Molyneux – Benowi, Samowi i Mattowi;

Bruce'owi Coxowi i Piotrowi Rozanskiemu z salonu fryzjerskiego Love & Dye w Raynes Park;

Lucie Brownlee, autorce odważnej i błyskotliwej powieści *Wife After Death*;

mojemu agentowi Markowi „Stanowi” Stantonowi. Za bycie moim agentem, no i za bycie Stanem;

Sarah Jones – pod wieloma względami mam wrażenie, że pisaliśmy tę książkę razem. Byłaś, kiedy pomyśl na nią się wyklął, wspierałaś mnie w trakcie długich bólów porodowych i asystowałaś przy narodzinach. Czytałaś szkice, dopingowałaś mnie i nie szczędziłaś słów krytyki, doradzałaś i inspirowałaś. Rzucałaś pomysły i robiłaś kanapki z bekonem;

Mamie – za szczere opinie, wiarę we mnie, za dobry humor oraz za słowa miłości i wsparcia. Za długie rozmowy telefoniczne przy butelce wina, gdy, jak podejrzewam, ja piłem za nas dwoje.

Dziękuję Wam wszystkim, bez Was nie dałbym rady.